

Napisana z niezwykłą
wrażliwością.

CHRIS CLEAVE

PRZEBUDZENIE
ANNA HOPE



Świat Książki

Spis treści

Karta tytułowa Karta redakcyjna Dzień pierwszy Dzień drugi Dzień trzeci Dzień
czwarty Dzień piąty Nota od autorki Podziękowania

ANNA HOPE
PRZEBUDZENIE

Z angielskiego przełożyła
Maria Olejniczak-Skarsgård


Świat Książki
wydawnictwo

Tytuł oryginału
WAKE

Wydawca
Grażyna Woźniak

Redaktor prowadzący
Beata Kołodziejska

Redakcja
Anna Jutta-Walenko

Korekta
Ewa Grabowska
Marzenna Kłos

Copyright © Anne Hope 2014
Copyright © for the Polish translation by Maria Olejniczak-Skarsgård, 2016

Świat Książki
Warszawa 2016

Świat Książki Sp. z o.o.
02-103 Warszawa, ul. Hankiewiczza 2

Księgarnia internetowa: swiatksiazki.pl

Skład i łamanie
Akces, Warszawa

Dystrybucja
Firma Księgarska Olesiejuk Sp. z o.o., Sp. j.
05-850 Ożarów Mazowiecki, ul. Poznańska 91
e-mail: hurt@olesiejuk.pl tel. 22 733 50 10
www.olesiejuk.pl

ISBN 978-83-8031-183-1

Skład wersji elektroniczne
pan@drewnianyrower.com

*Moim rodzicom
Tony'emu i Pameli Hope'om*

Dzień pierwszy

Niedziela, 7 listopada 1920 roku

Trzech żołnierzy opuszcza koszary w Arras, w północnej Francji. Pułkownik, sierżant i szeregowy. Dochodzi dwunasta w nocy, jest przejmujące zimno. Mężczyźni zmierzają do ambulansu polowego, który stoi przy bramie; pułkownik siada z przodu obok sierżanta, szeregowy z tyłu. Sierżant zapala silnik, a zaspany wartownik daje ręką znak, że mogą wyjechać na drogę.

Młody szeregowy łapie za uchwyt pod sufitem sanitarki, która chybocze się w koleinach. Jest podenerwowany, a podskakiwanie furgonetki jeszcze pogarsza mu samopoczucie. Ma wrażenie, że surowa pogoda tego poranka jest jakąś karą: gdy go obudzono przed kilkoma minutami, otrzymał polecenie ubrać się i wyjść na zewnątrz, tylko tyle. Wydaje mu się, że nie zrobił niczego złego, ale w wojsku trudno cokolwiek przewidzieć. Przez ostatnie sześć miesięcy, od kiedy przyjechał do Francji, wiele razy popełnił wykroczenie i dopiero z czasem powiedziano mu co i jak.

Zamyka oczy i mocniej chwytą za rączkę w trzęsącym się samochodzie.

Spodziewał się, że zobaczy, jak to było, tutaj. To, czego nie widział, bo był za młody, żeby walczyć. To, o czym pisał starszy brat w listach do domu. Jego bohaterski brat, który zginął, zajmując niemiecki okop, i którego ciało nigdy nie zostało znalezione.

Prawdę mówiąc, zobaczył jednak tyle co nic. Utknął na gruzowisku Arras, gdzie całymi tygodniami odbudowuje domy i kościoły, przerzuca cegły.

Sierżant pochyla się nad kierownicą i bacznie przypatruje się drodze. Zna ją dobrze, ale woli jeździć za dnia, ponieważ są tu zdradzieckie leje po pociskach. Nie ma ochoty rozwalić opony, w żadnym wypadku nie dziś. On też nie wie, co tu robi, tak wcześnie rano, niespodziewanie, ale zważywszy na pełne napięcia milczenie siedzącego obok pułkownika, woli nie pytać.

Tak więc trzej żołnierze jadą furgonetką, pod ich stopami warkocze silnik, obok przesuwa się wiejski teraz krajobraz, choć właściwie tego nie wiadomo, bo nic nie widać poza zasięgiem reflektorów i tylko czasem jakieś spłoszone zwierzę przemknie przez drogę z jednej ciemności w drugą.

Mniej więcej po półgodzinie pułkownik wydaje chrapliwe polecenie. „Tu. Stań”. Uderza ręką w deskę rozdzielczą. Sierżant zjeżdża na skraj drogi. Silnik terkocze kilka razy i gaśnie. W ciszy mężczyźni wysiadają.

Pułkownik zapala latarkę i kieruje światło na tył furgonetki. Wyjmuje dwie

łopaty, wręcza je żołnierzom, a sam bierze duży jutowy worek.

Przechodzi przez niski mur, za nim podążają wolno żołnierze, na przedzie podskakuje światło latarki.

Mróz sprawia, że błoto jest twarde i całkiem łatwo się po nim idzie, ale szeregowy zachowuje ostrożność; teren jest pokryty dołami, tu i ówdzie dość głębokimi, i pogniętymi kawałkami metalu. Wiadomo, że na tym obszarze roi się od niewybuchów. W barakach dla chińskich robotników, sprowadzonych do Francji, by zabierali z pól bitewnych ciała poległych i materiały wybuchowe, często odbywają się pogrzeby. Zaledwie w poprzednim tygodniu zginęło pięciu mężczyzn, a ich zwłoki ułożono rzędem, na widoku. Trafiają na te same cmentarze, które sami mieli tu zakładać.

Mimo zimna i zdenerwowania szeregowemu poprawia się humor. Jest podekscytowany wyprawą w ciemnościach, w których mającą roztrzaskane drzewa i czai się niebezpieczeństwo. Łatwo może sobie wyobrazić, że wypełnia jakąś inną misję. Bohaterskie zadanie. O którym napisałby do domu. W każdym razie lepsze to niż kościoły i szkoły.

Wkrótce droga się kończy i mężczyźni stają nad rowem, pozostałością ciągnących się zakosami okopów. Pułkownik schodzi tam i rusza przed siebie, reszta idzie za nim gęsiego.

Szeregowy mierzy wysokość ścian względem swojego wzrostu. Nie jest wysokim mężczyzną, a rów też nie jest głęboki. Mijają ziemiankę po prawej stronie, drzwi wiszą pod dziwacznym kątem, jedna z podpór oderwała się i przepadła dawno temu. Szeregowy przystaje na chwilę, oświetla latarką wnętrze, ale niczego szczególnego tam nie ma; widzi jedynie stół, przysunięty do ściany, na którym ostała się blaszana puszka pokryta rdzą. Kieruje snop światła z powrotem do okopu i szybkim krokiem podąża za innymi.

Pułkownik skręca w lewo, w prostszy i krótszy okop, a na jego końcu skręca w prawo, w kolejny okop, ciągnący się krótkimi zakosami jak ten na początku.

– Linia frontu – mamrocze pod nosem sierżant.

Kilka jardów dalej latarka pułkownika wyławia zardzewiałą drabinę, opartą o ścianę okopu. Pułkownik przystaje, raz i drugi naciska nogą dolny szczebel, sprawdzając jego wytrzymałość.

– Panie pułkowniku? – odzywa się sierżant.

– Co takiego? – Pułkownik odwraca głowę.

Sierżant chrząka i pyta:

– Musimy wychodzić na górę tędy, panie pułkowniku?

Szeregowy widzi, jak pułkownik przełyka ślinę i grdyka powoli unosi mu się i opada.

– Masz lepszą propozycję?

Sierżant nie wie, co odpowiedzieć.

Pułkownik szybko pokonuje stopnie drabiny.

– Jasna cholera! – warczy sierżant, ale nie rusza się z miejsca.

Stojący za nim szeregowy niecierpliwie czeka, kiedy wejdzie na górę. Choć wie, że po drugiej stronie będzie tak samo jak po tej, w cichości ducha liczy na coś jeszcze, coś mniej więcej takiego, po co tu przyjechał: nieokreślonego, odważnego i wspaniałego, o czym nie śmie mówić głośno, nawet do siebie. Nie może jednak zrobić kroku, dopóki nie posunie się sierżant, a ten zastygł w bezruchu.

Oficerki pułkownika pojawiają się na wysokości ich głów i na ich twarze pada światło latarki.

– Co tam? Wchodzić tutaj. No już. – Wypluwa słowa jak karabin maszynowy.

– Tak jest, panie pułkowniku.

Sierżant zamyka oczy, wygląda, jakby się modlił, po czym odwraca się i wchodzi na drabinę. Szeregowy wspina się za nim, czując pulsowanie krwi w uszach. Gdy już są na górze, zatrzymują się dla uspokojenia oddechu i szerokim łukiem omiatają latarkami teren: ogromne zwoje zardzewiałego drutu kolczastego, szerokie na dwadzieścia, trzydzieści stóp, podobne do dziwnego szkieletu jakiegoś pradawnego węża, ciągną się w obie strony jak wzrokiem sięgnąć.

– Niech to diabli! – rzuca sierżant i dodaje trochę głośniejsze: – Jak my przejdziemy?

Pułkownik wyjmuje z kieszeni cęgi.

– Masz.

Sierżant bierze je i waży w ręce. Zna się na drutach, często je przecinał. Zasieki obronne. Wystarczająco często też je kładł. Jeśli był czas, żeby zrobić to jak należy, zostawiano przejścia. Niewidoczne z drugiej strony. Ale tu nie ma przejść. Drut jest poplątany, zgnieciony i pogięty. Do niczego. Jak wszystko tutaj, psiakrew.

– No dobrze. – Podaje szeregowemu łopatę. – Tylko świeć mi porządnie.

Pochyla się i zaczyna ciąć.

Szeregowy patrzy uważnie na druty, starając się trzymać latarkę pewną ręką. W zwojach tkwią różne rzeczy, chyba od dawna, sądząc po ich wyglądzie. Są tam postrzępione kawałki materiału, sztywne od mrozu, w świetle latarki bielą się kości, nie wiadomo, czy ludzkie, czy zwierzęce. Unosi się dziwny zapach, bardziej metaliczny niż ziemny; szeregowy czuje go w ustach.

Sierżant prostuje się, odwraca i przyzywa ich kiwnięciem ręki zza zasieków. Wykonał dobrą robotę, obaj mężczyźni bez trudu idą wytyczonym przez niego przesmykiem.

– Tędy – mówi pułkownik.

Kroczy po nierównym terenie usianym małymi krzyżami. Są zrobione z białego drewna, a te prowizoryczne ze związanych razem odłamków pocisków.

Również z butelek, wetkniętych szyjkami w błoto, z kawałkami papieru wciąż widocznymi w środku. Pułkownik często się zatrzymuje, przykłęka przy krzyżu, oświetla napis latarką, a potem idzie dalej.

Szeregowy próbuje odgadnąć wyraz twarzy przełożonego, gdy ten czyta napisy. Kogo on szuka?

W końcu pułkownik kuca przy małym drewnianym krzyżu znajdującym się w niewielkiej odległości od pozostałych.

– Tutaj. – Daje znak żołnierzom, żeby podeszli. – Kopcie tutaj.

Na krzyżu jest data, drżące cyfry napisane czarnym ołówkiem, ale nie ma nazwiska.

Szeregowy posłusznie wbija łopatę w twardą ziemię. Sierżant robi to samo, ale po kilku ruchach przestaje kopać.

– Panie pułkowniku?

– Tak?

– Czego szukamy, panie pułkowniku?

– Ciała – odpowiada pułkownik. – Ruszać się, do cholery. Szkoda czasu.

Żołnierze wymieniają spojrzenia, po czym sierżant odwraca wzrok, spluwa i kopie dalej.

Pod zamarznąłą skorupą ziemia jest bardziej miękka, lepka, więc praca idzie szybciej. Wkrótce słychać brzęk metalu o metal. Sierżant odkłada łopatę, pochyla się i odgarnia błoto ze stalowego hełmu.

– Zdaje się, że jest, panie pułkowniku.

Pułkownik oświetla dół.

– Odgrzebcie go – mówi spiętym głosem.

Żołnierze kucają i rękami w rękawiczkach jak najstaranniej odkrywają ciało. Ale tak naprawdę pojawia się nie ciało, lecz stos kości w resztkach po mundurze. Z ciała nie pozostało nic prócz kilku czarnobrazowych szczątków na boku czaszki.

– Odsłońcie, ile się da, i poszukajcie naszywek.

Zmarły leży zgięty, prawa ręka jest przygnieciona. Żołnierze unoszą i odwracają zwłoki. Sierżant wyjmuje scyzoryk i zdrapuje ziemię w miejscu, gdzie powinno być ramię. Naszywki pułku ostały się, ale są nieczytelne, kolory wsiąkły w ziemię; nie wiadomo, co na nich kiedyś było.

– Niestety, nic nie widać, panie pułkowniku. – Światło latarki pada na czerwoną, spoconą z wysiłku twarz sierżanta.

– Szukajcie dokoła zwłok. Dokładnie. Chcę mieć cokolwiek, co pozwoli go zidentyfikować.

Żołnierze wykonują polecenie, ale niczego nie znajdują.

Powoli wstają. Szeregowy masuje sobie krzyż, patrząc na skąpe szczątki wydobyte z ziemi i przekrecone na bok. Przemyka mu przez głowę nieproszona myśl: jego brat zginął tutaj. Na takim właśnie polu we Francji. Nie znaleziono

ciała. A jeśli to on?

Tego nigdy nie będzie wiadomo.

Ogląda się na pułkownika. Nie wiadomo również, czy wydobyte zwłoki są tymi, których on szukał. To była strata czasu. Czeka na reakcję dowódcy, spodziewając się ujrzeć jego rozeźloną twarz.

Pułkownik jednak kiwa tylko głową.

– Dobrze – mówi, rzucając na ziemię niedopałek papierosa. – Wyjmijcie go i włóżcie do worka.

* * *

Hettie przeciera rękawem zaparowaną szybę taksówki i wygląda przez okno. Widzi niewiele – w każdym razie nic tu nie przypomina klubu nocnego – jedynie puste, nieoświetlone ulice. I pomyśleć, że parę sekund jazdy dzieli ich od Leicester Square.

– To tu. – Di pochyla się ku kierowcy.

– Należy się jeden funt. – Taksówkarz zapala lampkę i włącza bieg jałowy.

Hettie daje przyjaciółce swoją część, dziesięć szylingów. Jedną trzecią swojej wypłaty. Ścisną ją w gardle, gdy pieniądze przechodzą do ręki kierowcy. Ale jazda taksówką nie jest częścią zachcianką, nie o tej porze; omnibusy nie kursują, a metro jest zamknięte.

– Przekonasz się, że było warto – szepcze Di, gdy wysiadają. – Zaręczam ci. Daję głowę.

Taksówka odjeżdża, a one biorą się pod ręce i idą nieoświetloną boczną ulicą, przy chrzęście żwiru i okruchów szkła pod pantoflami do tańca. Mimo zimna Hettie czuje placki wilgoci w zagłębieniu pleców. Jest już zapewne grubo po pierwszej w nocy, jeszcze nigdy nie była w mieście o tak późnej porze. Myśli o swojej mamie i bracie, pogrążonych we śnie w Hammersmith. Za parę godzin wstaną i zaczną się szykować do kościoła.

– Jesteśmy na miejscu – mówi Di.

Staje przed starym trzypiętrowym domem. Zza okiennic nie prześwituje światło, jedynie nad drzwiami pali się mała niebieska żarówka.

– Na pewno? – odzywa się Hettie, a jej oddech gęstnieje w mroźnym powietrzu.

– Popatrz. – Di wskazuje tabliczkę z brązu przybitą do ściany.

Tabliczka wygląda zwyczajnie, jak przed gabinetem lekarza albo dentysty. Tyle że jest wyryty na niej napis: DALTON'S Nr 62.

„Dalton's”.

„Legendarny klub nocny”.

„Do tego stopnia legendarny, że jak twierdzą niektórzy, nie istnieje”.

– Gotowa? – Di posyła jej niebieski widmowy uśmiech od ucha do ucha

i puka do drzwi.

Przesuwa się klapka w okienku. W prostokącie światła widać dwoje wyblakłych oczu.

– W jakiej sprawie?

– Jestem umówiona z Humphreyem – mówi Di.

Sili się na elegancki akcent. Za jej plecami Hettie dusi w sobie chichot. Drzwi się jednak otwierają. Kobiety muszą się przez nie precyzyjnie przesuwać do holu, niewiele większego od szafy. Naprzeciwko wejścia, za wysoką drewnianą ladą, stoi młody portier. Jego wzrok prześlizguje się po Hettie, ubranej w brązowy płaszcz i beret szkocki, ale zatrzymuje na Di, jej ciemnych oczach i przystriżonych włosach, których końce wystają odrobinę spod kapelusza. Di ma szczególnie sposób patrzenia – w dół i w bok, i z powrotem w górę – który przykuwa uwagę panów. Właśnie tak teraz robi. Hettie widzi, że mężczyzna wybałusza oczy jak ryba złapana na haczyk.

– Muszą się panie wpisać – mówi w końcu, wskazując otwartą księgę, która leży przed nim na ladzie.

– Oczywiście. – Di zdejmuje rękawiczkę i składa wyćwiczony zamaszysty podpis. – Teraz ty. – Podaje pióro Hettie.

Z dołu niesie się pulsująca muzyka: zawrotne dźwięki trąbki. Przebija się przez nią radosny okrzyk jakiejś kobiety. Hettie słyszy łup-łup-łup własnego serca. Lśniący atramentem podpis Di wychodzi poza pole na rząd poniżej. Hettie też zdejmuje rękawiczkę i podpisuje się: Henrietta Burns.

– Proszę wejść. – Portier przysuwa księgę do siebie i macha ręką w stronę nieoświetlonych schodów za swoimi plecami.

Di idzie pierwsza. Schody skrzypią ze starości. Gdy Hettie wyciąga rękę, żeby utrzymać równowagę, czuje pod palcami, że z zawilgoconej ściany złazi farba. Nie tak wyobrażała sobie ten lokal; w ogóle nie przypomina Palais, gdzie przepych bije w oczy. Nikt by nie pomyślał, że te wydeptane schody prowadzą do miejsca, które jest warte uwagi. Po chwili słyszy wyraźnie muzykę, gwar rozmów, odgłosy szybkich kroków po parkiecie i już na samym dole niemal wpada w panikę.

– Bądź blisko mnie, dobrze? – prosi, chwytając Di za ramię.

– Oczywiście. – Di ściska przyjaciółkę i otwiera drzwi.

Uderza je woń roztańczonego tłumu. Klub jest nie większy niż parter domu, gdzie mieszka Hettie z rodziną, ale zatłoczony, wokół każdego stolika wianuszek gości, na parkiecie szalona zabawa. Większość przyszła w strojach wieczorowych – panowie na czarno i białą, panie w kolorowych sukniach – niektórzy wyglądają jednak jak przebierańcy. Najbardziej zdumiewa to, że na malutkiej scenie, w czteroosobowym zespole grającym ragtime, występuje czarnoskóry wokalista. Hettie jeszcze nigdy takiego nie widziała. Atmosfera przyprawia o zawrót głowy,

jakby wszystkie barwy, których pozbawione było miasto tam na górze, przemycono do podziemi.

– Kapitalnie! – woła z szerokim uśmiechem Di.

– Kapitalnie! – przytakuje Hettie, wypuszczając powietrze.

– O, jest Humphrey!

Di macha do jasnowłosego mężczyzny przeciskającego się przez tłum w ich stronę. Hettie go rozpoznaje: przed dwoma tygodniami w Palais wynajął Di do tańca, raz, drugi, trzeci, aż do końca wieczoru. (Taki mają bowiem zawód: „Instruktorka tańca, Hammersmith Palais, do wynajęcia, sześć pensów za jeden taniec, sześć dni w tygodniu”).

– Wspaniale, że jesteś! – woła Humphrey i całuje Di w policzek. – A to jest zapewne...

– Henrietta. – Podaje mu rękę.

Mężczyzna jest niewiele starszy od nich, ściska dłoń ze swobodą, ma sympatyczną piegowatą twarz. Przynajmniej robi miłe wrażenie. W przeciwieństwie do paru dawnych znajomych Di. Po roku pracy w Palais wewnętrzna busola Hettie pozwala jej przejrzeć mężczyznę. Wystarczą dwie minuty w jego towarzystwie i już wie, jaki to człowiek. Czy jest żonaty, czy oblewa się potem z poczucia winy, że sam wypuścił się wieczorem do miasta. Rozpoznaje te szkliste oczy, gdy gość rozbiera ją wzrokiem. Ale czasem panowie bywają uroczy, jak ten Humphrey.

– Chodźcie – mówi z szerokim uśmiechem. – Tu siedzimy.

Idą za nim, lawirując jak najzgrabniej między ciasno ustawionymi stolikami. Hettie posuwa się wolniej, co chwila zostaje w tyle, ponieważ odwraca się, żeby spojrzeć na zespół i wokalistę o zdumiewająco ciemnej skórze oraz na tancerzy, z których wielu porusza się bez opamiętania, jak nie pozwoliłby sobie nikt w Palais.

W końcu podchodzą do stolika w rogu sali, niedaleko sceny, od którego podrywa się niski mężczyzna we fraku.

– Diano, Henrietta – Humphrey dokonuje prezentacji – to jest Gus.

Ten wieczór przyjdzie spędzić Hettie w towarzystwie krępego, pulchnego mężczyzny, niewiele od niej wyższego. Przez rzadziejące włosy prześwituje mu lśniący od potu czaszka. Hettie pokrywa rozczarowanie uśmiechem.

– Mogę wziąć pani płaszcz?

Mężczyzna kręci się przy niej, a ona zsuwa okrycie z ramion. Stary brązowy płaszcz jest sfatygowany, spod niego wyłania się suknia do tańca, jej jedyna, która po pracy tego dnia na podwójnej zmianie nie wygląda zbyt świeżo.

Po drugiej stronie stolika rozdiewa się tymczasem Di, ukazując się w sukni, którą kupiła za pieniądze Humphreya zaledwie przed tygodniem. Hettie opada na krzesło. „Co za suknia!”. Reakcja robi na niej fizyczne wrażenie; Hettie podziwia ją

aż do bólu. Jest prawie czarna, naszyta mnóstwem koralików, tak maleńkich i tak olśniewająco opalizujących, że nie da się określić koloru materiału. Hettie była przy tym, jak Di ją kupowała, w dziale z gotową odzieżą u Selfridge'a. Kosztowała sześć funtów z kieszeni Humphreya. Hettie musiała zdusić w sobie zazdrość i uśmiechać się, gdy potem dla zabawy jeździły windami w górę i w dół.

Obaj panowie nie odrywają wzroku od Di. W końcu Gus przypomina sobie o dobrych manierach, siada obok Hettie i wskazując talerz z kanapkami na środku stolika, mówi z uśmiechem:

– Są dość podłe, ale muszą je podawać z trunkami. Nie mieliby licencji, rozumie pani. Niech leżą z boku.

Przestawia talerz, a Hettie tylko patrzy, jak się od niej oddalają. Zamordowałyby za kęs jedzenia. Nie miała nic w ustach od szóstej po południu, gdy w przerwie między zmianami zjadła kanapkę z szynką i pastą jajeczną.

– Z pewnością jest pani świetna. – Gus sięga po stojącą na stoliku butelkę i nalewa kieliszek Hettie. – Obie panie... tak mówił Humphrey... pracują jako instruktorki tańca w Palais, zgadza się?

– Och... – Hettie upija łyżeczek słodkiego gazowanego napoju. Przypuszcza, że to może być szampan. – Chyba jesteśmy niezłe.

W istocie to za mało powiedziane. Obie mają lata praktyki, ćwiczą ze sobą w salonach, przy zwiniętych dywanach, kroki kobiety i mężczyzny, na zmianę, nucąc do wtóru zapamiętane melodie, i ślęczą nad ilustracjami w „Modern Dancing”. Są zdecydowanie najlepszymi tancerkami w Palais. Nie ma w tym żadnej przechwałki. Taka jest prawda.

– Ja tańczę koszmarnie – wyznaje Gus, po dziecinnemu wydymając dolną wargę.

Hettie posyła mu uśmiech. Może nie powala wyglądem, ale przynajmniej jest nieszkodliwy.

– Nie wierzę.

– Naprawdę. – Pokazuje palcem w dół i wykrzywia usta. – Dwie lewe nogi. Od urodzenia.

Z parkietu dolatują okrzyki radości. Hettie odwraca się i widzi, jak wokalista zachęca muzyków, by grali dalej. Są Amerykanami, bez dwóch zdań. Żaden angielski zespół, spośród jej znanych, tak się nie prezentuje ani tak nie gra, już nie, od kiedy Original Dixies, z tymi swoimi krowimi dzwonkami, gwizdkami i klaksonami, wyjechali z powrotem do Nowego Jorku. A goście... tańczą po wariacku, jakby w ogóle ich nie obchodziło, co inni sobie pomyślą. Gdyby tylko zobaczyła to jej mama. „Przyzwoity” to jej ulubione słowo. Gdyby zobaczyła, jak bawią się ci ludzie, dostałaby szału.

Hettie odwraca się do Gusa.

– Kwestia wprawy – mówi, wypijając łyżeczek wina i całą sobą czując

porywający rytm muzyki.

– Nie, nie! – protestuje Gus. – Naprawdę jestem beznadziejny. Nigdy mi to nie szło. – Energicznie kołysze kilka razy kieliszkiem i po chwili dodaje: – Ale spróbujemy, jeśli ma pani ochotę pokręcić się na parkiecie.

– Ogromną – odpowiada Hettie i rzuca okiem na Di, która pochyla ciemną głowę ku głowie Humphreya, pogrążona w zażyłej rozmowie, jaką prowadzą niedosłyszalnym szeptem.

Cichną mocne akordy ragtime’u i zespół zaczyna grać w rytmie na cztery czwarte, wolny kawałek. Hettie i Gus przeciskają się przez tłum i znajdują wolne miejsce na skraju parkietu. Gus ujmuje jej dłonie i patrzy w sufit, jakby były tam wypisane na jego użytek sekrety tanecznych kroków. Podskakuje lekko, liczy pod nosem i ruszają do tańca.

Mówił prawdę. Tańczy okropnie. Nie ma wycucia rytmu, już ją wyprzedził o dwa takty, szarpie się z nią, w ogóle się jej nie poddaje.

„Skup się na muzyce! – chciałaby mu powiedzieć Hettie. – Daj się jej prowadzić. Nie słyszysz, jak oni kapitalnie grają?”

Ale to się na nic nie zda, więc próbuje dopasować ruchy swoich stóp do jego niezdarnych kroków.

(W Palais obowiązuje zasada, że płatna tancerka nie może tańczyć lepiej od partnera. Ma sprawić, żeby dobrze się przy niej czuł – po to ją wynajmuje. Jeśli będzie zadowolony, wynajmie ją ponownie. Jak z upodobaniem mówi Di, „ostatecznie liczą się względy ekonomiczne”).

Po kilku taktach Gus się odpręży i z zachwytem unosi wzrok.

– A niech mnie, chyba już łapię!

Podczas wykonywania obrotu Hettie porusza się z przesadą, żeby podkreślić ruchy partnera. Gdy utwór się kończy, Gus odbywa rundę honorową dokoła parkietu. Staje zadyszany i woła z promiennym uśmiechem:

– Humph miał rację! Jesteście niezwykle. Ale pić się po tym chce jak diabli. – Ociera twarz chusteczką. – Proszę sekundę poczekać. Przyniosę nam coś zimnego z baru.

Znika w tłumie. Hettie znajduje kawałek wolnego miejsca pod wilgotną ścianą, zadowolona, że przez chwilę jest sama i może chłonąć to, co się tu dzieje. Obok niej przeciska się dwoje młodych ludzi, którzy zaśmiewają się i podtrzymują nawzajem. Dziewczyna jest bardzo młoda, elegancko odziana w niebieski jedwab, na smukłej szyi lśni sznur pereł, ma uroczą twarz, ale niewyraźną minę, i ciągle zsuwa się z ramienia swojego towarzysza. Dopiero po chwili Hettie uprzytamnia sobie, że dziewczyna jest wstawiona. Spogląda za nimi ze zdumieniem, niemal pewna, że zostaną upomniani. Ale nikt nawet nie mrugnie okiem. To nie jest Hammersmith Palais.

W tym momencie ktoś wpada na nią z tyłu, z dużą siłą, i niemal zwała ją

z nóg, lecz udaje jej się utrzymać równowagę.

– Och, przepraszam. Boże drogi. Najmocniej przepraszam.

Hettie odwraca się i widzi wysokiego mężczyznę. Sprawia wrażenie rozkojarzonego i skruszonego.

– Najmocniej przepraszam – powtarza. Jedną ręką szarpie się za włosy, w drugiej trzyma jakiś bursztynowy napój. – Nic się pani nie stało? Przez chwilę bałem się, że zostanie z pani mokra plama.

– Nie... wszystko w porządku. – Śmieje się cicho, z zażenowaniem, choć sama nie wie, czy z niego, czy z siebie.

Nieznajomy obejmuje ją baczniejszym spojrzeniem, wywołując rumieniec na jej twarzy. Jest bardzo przystojny.

– Boże drogi – mówi mężczyzna, już bez uśmiechu, lecz z przestraczem.

Z przejęcia pieką ją policzki.

„Co to znaczy? Co mu jest?”.

Pytania przelatują jej przez myśl, ale się nie odzywa, a mężczyzna nadal wpatruje się w nią jak w jakieś okropieństwo, od którego nie może oderwać wzroku.

– Przepraszam. – Potrząsa głową, jakby chciał odzyskać przytomność umysłu. Na jego twarzy pojawia się cień uśmiechu sprzed chwili. – Myślałem, że pani jest... – Unosi szklankę z napojem. – Może drinka? Proszę dać się zaprosić na drinka. Na przeprosiny i w ogóle.

To wykluczone.

– Dziękuję, ale jestem... Ktoś mi zaraz przyniesie.

Robi krok w tył, chcąc stworzyć między nimi dystans, wyjąć lusterko i sprawdzić, czy jej twarz wygląda jak należy, ale mężczyzna przytrzymuje ją za ramię.

– Skąd pani pochodzi?

– Słucham? – Czuje jego mocny uścisk.

– Pytam tylko, czy pani jest Angielką.

– Tak.

Kiwa głową i puszcza jej rękę. Czyżby malowało się na jego twarzy rozczarowanie?

– Przepraszam... muszę iść – mówi Hettie.

Czmycha, lawirując w tłumie, teraz jeszcze gęstszym, w poszukiwaniu toalet, które znajduje za łukowatym przejściem; są ciasne i zatechłe, na ścianach widać ciemne plamy grzyba.

Ciężko oddychając, patrzy na swoje odbicie w lustrze. Nie widzi niczego strasznego poza czerwonymi plamami na szyi, z powodu skrępowania, i dwiema szpilkami, które wysunęły się z włosów, co grozi rozsypaniem się fryzury. Wpycha nieposłuszne szpilki, żeby kolczasty jeżozwierz utrzymał upięte włosy. Te

bezsensowne długie włosy, których mama nie pozwala jej ściąć.

„Jeżeli kiedykolwiek zobaczę, że wyglądasz jak ta twoja koleżanka, to pożałujesz. Bezwstydna pannica”.

Mama w ogóle nie ma rozeznania. Żadna dziewczyna w Palais nie jest tak dobrze ostrzyżona jak Di. Wszystkie ciągle ją pytają, gdzie się czesze.

Hettie opiera się o zimny brzeg umywalki. Zrobiło się późno. Od wielu godzin jest na nogach. Wieczór, który zapowiadał się tak obiecująco, jakoś się psuje. Ogarnia ją znajome poczucie niepewności. Pochodzi z Hammersmith. Jest za wysoka. Ma starą sukienkę i nie stać jej na kupno nowej, ponieważ połowę zarobków oddaje co tydzień matce na utrzymanie jej i swojego brata, który jest do niczego niezdatny. Przecierała pachy sukienki benzyną i perfumami niezliczenie wiele razy, ale zapach się utrzymuje, a takiej sukni, jaką ma Di, prawdopodobnie nie kupi sobie do końca życia. Musi być miła dla Gusa. Na domiar złego sterczą jej piersi, bez względu na to, jak stara się je obwiązywać.

To przez tego człowieka, uznaje, odnajdując swój wzrok w lustrze. Przez to, jak na nią patrzył i jakie zadawał pytania. „Skąd pani pochodzi?”. Jakby widział, że ona tu nie pasuje, do tego klubu, gdzie nietrzeźwi i roztańczeni goście zachowują się tak swobodnie, przekonani, że cokolwiek zrobią, życie ułoży im się pomyślnie.

„Przestań!”.

Spryskuje twarz wodą, sprawdza, czy nie wystaje jej halka, i wsuwa ostatnią oporną szpilkę we włosy. Plamy na szyi trochę zbladły.

Wróciwszy na pole działania, obrzuca spojrzeniem tłum i z ulgą stwierdza, że wysoki mężczyzna zniknął. Gusa też nie widać; dopiero po chwili zauważa jego lśniąca łysinę, wciąż podrygującą wśród gości, którzy stoją w kolejce do baru. Przenosi wzrok na ich stolik. Di i Humphrey nadal siedzą w tych samych pozach, może tylko odrobinę bliżej siebie. Di śmieje się z tego, co powiedział Humphrey. Wygląda na to, że nie byliby zachwyceni, gdyby ktoś włączył się do ich rozmowy. Gdy tak stoi sama, coraz trudniej jej wytrwać w swym kruchym postanowieniu. Ale wtedy coś się zaczyna dziać na parkiecie. Goście przestali tańczyć, muzycy zwalniają, jeden instrument po drugim przycicha, aż w końcu tylko perkusista trzyma rytm, który przyprawia słuchaczy o dreszcz napięcia. Potem i on przestaje grać, dotknięciem ręki tłumi dźwięk talerzy z brązu i na sali zapada cisza. Di i Humphrey unoszą głowy.

Wstrzymując oddech, Hettie odsuwa się o krok od ściany.

W tej naelektryzowanej atmosferze, gdy wydaje się, że wszystko może się zdarzyć, przed orkiestrę wychodzi trębacz i przykładą do ust trąbkę. Instrument lśni w przyćmionym świetle. Przechylny dźwięk rozchodzi się po sali. Hettie chłonie go z zamkniętymi oczami, by wypełnić ją bez reszty. Gdy mężczyzna zaczyna grać, dźwięki spadają złotym deszczem w stworzonej przez niego przestrzeni. Kiedy tak stoi, przepełniona muzyką, uderza ją olśniewająca myśl, że to wszystko jest

w gruncie rzeczy bez znaczenia, że jest młoda, umie tańczyć i warto było wydać dziesięć szylingów, żeby choć zobaczyć ten lokal, posłuchać tej muzyki i potem opowiedzieć dziewczętom z Palais, iż naprawdę jest klub w West Endzie, schowany w podziemiach, z najlepszym zespołem jazzowym od czasu, gdy Dixies wyjechali do Nowego Jorku.

– Przyczaiła się pani?

Gwałtownie otwiera oczy. Tamten mężczyzna stoi kilka kroków od niej, oparty o ścianę, z papierosem w ustach.

– Słucham?

– Pani się czai.

– Skądże! – Serce wali jej w piersi.

– Właśnie że tak. Obserwuję panią przez całe dwie minuty. Trwanie bez ruchu przez dwie minuty oznacza czajenie się.

Czuje, jak te okropne plamy znowu wypęłzają jej na szyję.

– Wcale się nie czaję... Przyglądam się orkiestrze.

Zakłada ręce na piersi i odwraca od niego wzrok, próbując skupić się na palcach trębacza i chcąc zapamiętać to przyjemne uczucie sprzed chwili. Kątem oka widzi, że mężczyzna odrywa się od ściany.

– Mam nadzieję, że nie jest pani jakąś anarchistką.

Hettie odwraca się do niego, nie wierząc własnym uszom.

Jego szare oczy patrzą spokojnie. Twarz już się nie uśmiecha.

– Czytałem o takich jak pani. Pojawiacie się w miejscach publicznych tego rodzaju. – Zatacza szeroki łuk ręką. – Setki niewinnych istot. Bomba pod płaszczem. Zostawiona w toalecie. Przyczajacie się i... buum! – Naśladuje wybuch.

Gdy wyrzuca do góry i rozkłada ręce, popiół z papierosa rozsypuje się w powietrzu. Kilka płatków osiada na jej sukience.

Jest tak zaskoczona, że nie może wydobyć głosu. Po chwili mówi:

– Mój płaszcz jest tam. – Wskazuje stolik w rogu sali. – Nie ma w nim bomby. Poza tym, gdybym chciała wysadzić coś w powietrze, nie czaiłabym się, tylko wyszła jak najszybciej.

– Aha. – Kiwa głową. – Może się pomyliłem co do pani.

– Bez wątpienia.

Ich spojrzenia się krzyżują. Hettie stara się patrzeć spokojnie, wyczuć tego człowieka, ale nie, nic z tego – jej busola się rozregulowała.

Usta mężczyzny rozciągają się w uśmiechu.

– Przepraszam – mówi. – Beznadziejne poczucie humoru.

Serce zamiera jej w piersi. Niepokoi ją ten śmiech, taki nagły, jakby wychynęła spod spodu zupełnie inna osoba. Ten człowiek wygląda całkiem przyzwoicie, w białej koszuli i we fraku, ale jakoś dziwnie je nosi. Hettie nie umie tego sprecyzować. Może z nonszalancją? Nie pomaduje włosów. Ma fioletowe

cienie pod oczami.

Mężczyzna sięga do kieszeni, wyjmując piersiówkę i podaje Hettie.

– Proszę, łyczek dla uprzyjemnienia sobie czekania.

– Dziękuję, nie.

Na wpół odwrócona od niego, aż się wzdryga, słysząc to swoje „dziękuję, nie”. Zupełnie w tonie Hammersmith. Takie rozkapryszone. Takie afektowane.

– Niech pani spróbuje. Warto. Szkocka z najwyższej półki.

Teraz już śmieją mu się oczy. Czy on się z niej natrzęsa? Jest typem człowieka, który zagada do każdego. W takim razie co on tu robi? Kryje się w tym jakiś podstęp.

Powinna iść i poszukać Gusa; na pewno już go obsłużyli.

Powinna.

Ale nie idzie.

Natomiast bierze od mężczyzny piersiówkę i przykładą do ust.

Robi tak, ponieważ przyszła tu tylko na jeden wieczór, jej towarzysz jest do niczego i nie wiadomo, gdzie się podział, a jej przyjaciółka zajmuje się kim innym.

Poza tym co ma do stracenia?

Nie spodziewając się, że trunek będzie taki mocny, krztusi się i kaszle.

– Chyba nie jest pani wielbicielek whisky.

W odpowiedzi pociąga jeszcze jeden łyk, duży, i tym razem przełyka gładko.

– Dzięki – mówi zadowolona z siebie i oddaje butelkę.

Mężczyzna spogląda na parkiet.

– Przyszła pani potańczyć – pyta – czy tylko się czaić?

– Przyszłam potańczyć – odpowiada, czując, jak rozpala ją alkohol.

– Miło to słyszeć. – Gasi papierosa w stojącej nieopodal popielniczce i odwraca się do Hettie. – Miałyby pani ochotę zatańczyć ze mną?

– Jeśli pan sobie życzy.

Na parkiecie jest teraz mniej ludzi, więc od razu wychodzą na środek. Mężczyzna unosi ręce w trochę dziwnym geście – nie tak jakby zamierzał objąć partnerkę, lecz raczej jakby pokazywał, że jest nieuzbrojony. Hettie kładzie dłoń na jego dłoni, drugą rękę przykładą do fraka, mocno dopasowanego na plecach. Kant kołnierzyka dotyka jej ucha. Jego ręka jest chłodna. Czuje od niego zapach cytryn i papierosów. Trochę kręci jej się w głowie. Pewnie od alkoholu.

Przejmująca, cudowna trąbka cichnie i znowu cały zespół gra w stylu ragtime’u, one-stepa.

„Raz, dwa, raz, dwa”.

Parkiet się wypełnia, zewsząd napierają tancerze, pokrzykują, klaszczą, wybijają stopami rytm, znów ożywiając muzykę.

„Raz, dwa, raz, dwa”.

Mężczyzna robi krok w jej stronę.

Hettie robi krok w tył.

I nagle ten pierwszy mały ruch przynosi olśnienie. Otóż to! Rzadkie poczucie pewności, że partner umie tańczyć. Rozbrzmiewa głośna melodia i już suną po parkiecie.

– Dobry zespół. – Głos mężczyzny przebija się przez muzykę. – Amerykański. Lubię Amerykanów.

– Ja też.

– Tak? – Unosi brwi. – A kogo pani słyszała?

– Original Dixies.

– Dixies?! A niech mnie! – wykrzykuje ze zdumieniem. – Oni byli najlepsi. – Stawia nogę między jej nogami, rozpoczynając obrót. – Gdzie wtedy występowali?

– W Palais. W Hammersmith. – Hettie znów jest zwrócona do niego twarzą.

– W Palais? Raz tam byłem i też ich tam widziałem! – Ni stąd, ni zowąd zaczyna się zachowywać jak podekscytowany chłopaczek.

Hettie zastanawia się nad tym, co powiedział, i przychodzi jej na myśl, że być może tańczyli niedaleko od siebie. Z pewnością nie tańczyli ze sobą. To by zapamiętała.

– Który utwór podobał się pani najbardziej?

Hettie śmieje się; to łatwe pytanie.

– *Tiger Rag*.

– *Tiger Rag*! – Na jego twarzy pojawia się szeroki uśmiech. – O rety! Niebezpieczny numer. Strasznie szybki.

Najszybszy w ich repertuarze. Nawet ona dostawała zadyszki.

– Jak on się nazywał? – Mężczyzna marszczy brwi. – Ten trębacz... Nick Jakiśtam.

– LaRocca.

Nick LaRocca – światowej sławy trębacz z Nowego Jorku. Dziewczyny miały bzika na jego punkcie. Kiedyś uśmiechnął się do niej w korytarzu za kulisami, gdzie hulał przeciąg. „Hej, mała!”, powiedział i puścił do niej oko, zawiązując muszkę. Od tamtej pory nad jej łóżkiem wisi jego zdjęcie.

– LaRocca! O właśnie! – Ma uradowaną minę. – Szaleniec. Grał jak wariat. – Są przy krawędzi parkietu, gdzie nie jest tak głośno. – No to jak? Powiesz mi wreszcie, anarchistko, która uwielbia amerykański jazz?

– Wcale nie jestem...

Spotykają się wzrokiem i coś się między nimi dzieje, pojawia się nieme zrozumienie. „To wszystko jest grą”.

– Pod jaką przykrywką pani działa? – pyta mężczyzna, przysuwając się tak blisko, że Hettie czuje zapach whisky w jego oddechu.

– Przykrywką?

– Chodzi mi o zajęcie w ciągu dnia.
– Tańczę w Palais. Jestem tam instruktorką tańca.
– Dobra przykrywka. – Uśmiecha się i w tej samej chwili znów marszczy brwi, jakby coś sobie przypomniał. – Chyba nie siedzi pani w tym okropnym metalowym czymś.

Hettie skręca się ze wstydu, jak już nieraz.

– Niestety, tak.

– Biedactwo.

Zagroda. „To okropne metalowe coś”. Tam siedzi z Di, jak w pułapce, razem z jeszcze dziesięcioma dziewczętami, i czekają, aż ktoś je wynajmie, jakiś mężczyzna bez partnerki, jeden z wielu, którzy przepływają przed nimi tam i z powrotem jak rekiny, zastanawiając się, czy wybrać tę, czy tamtą, czy jest warta sześciu pensów za okrążenie parkietu.

Mężczyzna odchyła się w tył, jakby chciał lepiej się jej przyjrzeć.

– Nie wygląda pani na dziewczynę do wynajęcia.

Czy on znowu się z niej naśmiewa? Mogłaby to uznać za komplement, ale nie ma pewności.

– Nawiasem mówiąc, mam na imię Ed. Koszmarny brak ogłady z mojej strony. Powinienem był przedstawić się wcześniej.

Hettie milczy.

– W porządku – ciągnie z uśmiechem. – Może mi pani powiedzieć, jak ma na imię, gdy wyjmę śrubę do miażdżenia kciuków.

Hettie parska śmiechem. Taniec się kończy. Zerkając nad ramieniem Eda, widzi na skraju parkietu Gusa z dwiema szklankami w rękach, który patrzy na nich z niepokieszoną miną. Przy ostatnich dźwiękach muzyki Hettie nagle traci grację, znów ma świadomość swojego ciała i kontaktu z ciałem Eda. Opuszcza ręce i robi krok do tyłu.

– Zaczekaj. – Ed łapie ją za nadgarstek. – Nie odchodź. A przynajmniej powiedz najpierw, jak ci na imię.

Jego twarz znów się zmienia. Znika uśmiech.

– Hettie – odpowiada, ponieważ ich gra, czymkolwiek była, najwyraźniej dobiegła końca, a jej samej, bez względu na wszystko, kłamstwo nie przechodzi przez usta.

– Hettie – powtarza Ed, mocniej zaciskając palce na jej nadgarstku. Przysuwa się bardzo blisko i mówi: – Nie martw się. Nie wydam cię. Wiem, jaką wagę mają te sprawy. Też chcę wysadzić w powietrze to i owo.

Puszcza jej rękę, odwraca się i oddala, nie przystając ani nie oglądając się za siebie, w ścisku, po schodach na górę, w kierunku wyjścia.

Sala wiruje dokoła niej, mdlące obrazki w kalejdoskopie.

O, jest Gus. Idzie ku niej przez parkiet, podłamany, bez śladu niedawnej

radości.

– Kto to był? Jakiś znajomy? – pyta.

Hettie kręci głową. Choć wciąż go czuje, tego Eda, tego nieznanego, wciąż czuje piekącą pokrzywkę na nadgarstku.

– Wydawało się, jakbyś go znała – stwierdza rozżalony.

Hettie ogarnia nagle złość. Na biednego łysego Gusa. Za to, że jest marnym tancerzem, że stoi przed nią z niemal uniozoną miną. Po chwili, gdy widzi, że on to zauważył, robi jej się go żal.

– Być może się znamy – mówi cicho. – Możliwe, że już kiedyś go spotkałam.

Chyba udobruchała go trochę. Gdy nie dodaje nic więcej, Gus kiwa głową.

– Lemoniady? – proponuje, podając jej szklankę.

* * *

– Evelyn.

Ktoś woła ją po imieniu.

– Evelyn, wyłącz ten cholerny budzik! Nie mogę słuchać tego brzęczenia!

Otwiera oczy i patrzy w ciemność.

Wyciąga rękę spod koca, szukając po omacku zegara na komodzie przy łóżku. Nagle zapada zaskakująca cisza, przzerwana burknięciem Doreen zza drzwi.

– Wielkie dzięki.

Evelyn zwija się w kłębek, gryząc przyciśnięte do ust palce. Słyszy oddalające się kroki Doreen i szuranie kapciami.

Znowu miała ten sen.

Jeszcze chwilę leży nieruchomo, po czym odejmuje rękę od ust, siada i rozsuwa kotary. Słabe światło pada na tarczę zegara. Niewzruszone realia poranka dają o sobie znać. Jest ósma. Niedziela, urodziny mamy, musi być w Oxfordshire przed lunchem.

„A niech to diabli”.

Z łazienki dolatują stuki i piski rur. Evelyn zwleka się z łóżka, stawiając gołe stopy na zimnej podłodze, i gdy Doreen podśpiewuje i pluszcze się za ścianą, ona ubiera się w półmroku – wkłada najmniej znoszoną bluzkę i najdłuższą spódnicę z serży oraz pończochy i pantofle i ciasno owija się swetrem.

Kiedy kończy się ubierać, jest widniej; mimo to woli nie przeglądać się w lustrze wiszącym na ścianie.

Wychodzi na dwór, na mały, nędzny trawnik, który nosi miano ogrodu, otwiera drzwi zawilgoconej wygodki i kuca, dygocząc podczas siusiania, potem pociąga za łańcuszek i zamyka za sobą drzwi. W kieszeni swetra ma pogniecioną paczkę gold flakesów; zapala papierosa, pokaszując. Patrzy w górę na drzewa, na mokre gałęzie, które tą zimową porą tworzą czarną siatkę na jaśniejącym niebie.

Gdy tak stoi, pojedynczy, wymęczony liść odrywa się i wirując, spada na ścieżkę. Zaciągnąwszy się parę razy, Evelyn rzuca niedopałek koło liścia i oba wdeptuje w ziemię.

* * *

Idzie do kuchni. Gotuje wodę, po czym wlewa wrzątek prosto do kubka z grubo zmielonymi ziarnami kawy. Stawia kubek na stole i zapala kolejnego papierosa.

- Dzień dobry. – Zza drzwi wychyla się uśmiechnięta twarz Doreen.
- Dzień dobry. – Evelyn sypie dwie czubate łyżeczki cukru i miesza kawę.
- Jak się miewasz?
- Wyśmienicie, kochanie, wyśmienicie.
- Śniadanie? – Doreen znika w spiżarni i szpera po półkach.
- Chryste, nie. – Evelyn siada przy stole.
- Jedziesz na wieś?
- Z Paddington. O dziesiątej.

Doreen przynosi chleb i masło.

- No to się pośpiesz.

Choć Evelyn uwielbia Doreen i nie wyobraża sobie, by z kimkolwiek innym mieszkało jej się tak spokojnie i nieuciąźliwie, właśnie tego ranka w ogóle nie ma ochoty na rozmowę. Wolałaby siedzieć tu sama, otulona strzępami swojego snu jak szalem chroniącym przed szarością i chłodem.

Doreen wysuwa krzesło i zaczyna kroić chleb, nucąc pod nosem. Ubrana wyjściowo, w ładną sukienkę, wypucowana i upudrowana, włosy upięte do góry. Choć przy tym świetle trudno to stwierdzić, być może ma nawet róż na policzkach.

– A ty jakie masz plany na dzisiaj? – pyta Evelyn. – Jest niedziela. Nie powinnaś być w łóżku?

Doreen podnosi wzrok.

– Też wyjeżdżam. Z tym gościem, pamiętasz? Opowiadałam ci w zeszłym tygodniu. Obiecał wywieźć mnie z Londynu. Uważa, że marnieję w miejskim dymie.

– Aha.

– Na pewno zaciągnie mnie na jakieś odludne wzgórze i każe podziwiać widoki. Mimo to... – Doreen rumieni się i uśmiecha ze skruchą.

Evelyn gasi papierosa w popielniczce.

– Masz rację, muszę się zbierać. – Wkłada płaszcz. – Ślicznie wyglądasz. W ogóle jesteś śliczna. Baw się dobrze. Pozdrów go ode mnie. – Przy drzwiach odwraca się. – I życz mi powodzenia.

– Powodzenia – mówi Doreen, unosząc umazany masłem nóż. – Nie pozwól, żeby staruszka cię przybiła.

* * *

Evelyn stoi pod zegarem, niecierpliwie stukając nogą i wypatrując swojego brata w tłumie na Paddington Station. Ani śladu. Jeszcze raz spogląda na tablicę odjazdów, po czym podąża przez dworzec, przecinając szerokie smugi porannego światła. Nie do zniesienia. To nie do zniesienia, że on się spóźnia.

Lokomotywa wyrzuca drobiny popiołu, gdy Evelyn wpada na peron. Ledwie wskakuje do ostatniego wagonu, pociąg rusza. Idzie przez kołyszący się pociąg, szukając w każdym przedziale wysokiej, smukłej sylwetki brata, jego uśmiechu na powitanie. Nigdzie go nie widać, poza tym jest tłoczno, ale w ostatnim wagonie drugiej klasy znajduje pusty przedział.

Gdzież on się, u licha, podziewa? Byli umówieni od tygodni. Ściska ją w środku z niepokoju o brata, ale zaraz odsuwa od siebie obawy. Nie chce o nim myśleć. Brat potrafi doskonale zadbać o siebie. Woli rozmyślać o swoim śnie. O tym, jak on się zaczyna.

A zaczyna się tak: siedzi w salonie swojego domu rodzinnego i czyta książkę. Słyszając dzwonek u wejścia, wsuwa zakładkę, wstaje i idzie po dywanie do drzwi. Wystarczy, żeby przekręciła gałkę i wyszła do holu, a zobaczy czekającego na nią Frasera. Trzyma rękę na gałce i czuje, jak do dłoni przepływa chłód mosiądzu; przekręca uchwyt, drzwi się otwierają i...

Tu sen zawsze się urywa.

Pamięta pewne rzeczy: letni poranek, Fraser obok niej na łóżku, ruchome cienie na jego twarzy.

Pociąg łoskocze w tunelu. Gdy z niego wyjeżdża, w światło tego niezbyt obiecującego poranka, Evelyn spostrzega swoje odbicie w lustrze nad siedzeniem. Ponieważ wisi pod kątem, lekko nachylone do dołu, wyraźnie widać przedziałek we włosach. Już jakiś czas nie patrzyła na nie w świetle dziennym i zauważa teraz na ciemnej głowie sztywne białe nitki, za wiele, by je zliczyć.

Taka jest prawda i sedno rzeczy, przelatuje jej przez myśl. Nawet gdyby wydarzenia ze snu działały się na jawie, gdyby Fraser mógł pozbierać swoje rozrzucone szczątki, gdyby ona otworzyła drzwi i znalazła go za nimi, całego, byłby przerażony: za miesiąc będzie miała już trzydzieści lat. Zdradziła go. Zestarzała się.

Za oknem przesuwają się londyńskie przedmieścia. Evelyn rozmyśla o wszystkich mieszkańcach tych wszystkich domów, którzy po przebudzeniu widzą ten bezbarwny poranek, swoje bezbarwne włosy i bezbarwne życie.

Współistniejemy w tej bezbarwności, myśli.

To nam pozostało.

* * *

Gdy Evelyn się budzi, jej wzrok pada na chłopczyka siedzącego naprzeciwko, na kolanach tęgiej kobiety. Obydwoje wpatrują się w nią. Dziecko ma gęste pomarańczowe loki i okrągłą bladą buzię. Kobieta natychmiast odwraca głowę, jakby przyłapano ją na czymś wstydlwym, natomiast chłopiec nie odrywa od niej oczu; ma otwarte usta, a z nosa wisi mu aż do brody cienki srebrzysty gil. W przedziale są jeszcze trzy osoby: jakiś pan i dwie starsze panie przy drzwiach. Evelyn wygląda przez okno. Odjeżdżają ze stacji. Reading, połowa drogi.

– Ta pani nie ma palca.

– Cii – odzywa się matka. – Cii, Charlesie.

Evelyn unosi brwi.

– Spójrz w okno, Charlie – mówi kobieta wysokim, stłumionym głosem. –
Widzisz owce?

– Nie! – Chłopiec wierci się i wije na jej kolanach. – Zobacz – zwraca się do siedzącego obok mężczyzny – pani nie ma palca. – Pochyliła się do przodu, a gil niemal ociera się o spódnicę matki.

Evelyn spogląda na swoją rękę. Rzeczywiście nie ma jednego palca. A właściwie połowy. Wskazujący palec lewej ręki kończy się kikutem, gładko zaokrąglonym tuż za kostką.

– Boże drogi. – Patrzy na chłopca. – Wiesz, Charlie, masz całkowitą rację. – Macha mu palcem przed nosem. – Zjadłeś mi go, gdy spałam?

Charlie szybko się cofa. Reszta pasażerów gwałtownie wciąga powietrze i zaraz nieruchomieje, ze wzrokiem wbitym w przestrzeń, jak w zabawie „Baba Jaga patrzy”.

– Jeśli chcesz, możesz go dotknąć – mówi Evelyn, pochylając się w stronę chłopca.

– Naprawdę? – szepcze Charlie i wyciąga rękę.

– Nie! – wyrzuca z siebie matka, purpurowa na twarzy, i szarpie dziecko do tyłu. – W żadnym wypadku!

– No cóż... – Evelyn wzrusza ramionami. – Gdybyś zmienił zdanie, to powiedz.

Charlie siedzi na kolanach matki, oparty o nią plecami. Wodzi wzrokiem od twarzy Evelyn do kikuta palca i z powrotem.

– Dokąd jedziesz, Charlie? – pyta Evelyn.

– Do Oksfordu – odpowiada skołowany chłopiec.

– Świetnie się składa. Ja też. Obudź mnie, gdy będziemy na miejscu.

* * *

Na stacji w Oksfordzie Evelyn macha Charliemu na pożegnanie i przesiada się do lokalnej kolejki jadącej do wioski. Wciąż ma cichą nadzieję, że jej brat wyłoni się z przedniego wagonu kolejki, ale na tym maleńkim peronie

wysiada tylko ona. Okienko kasy jest zamknięte okiennicami; w podwieszanych koszykach przetrwały marne resztki pelargonii, na grządkach kruche szkielety naparstnic. Z dworca przechodzi na drugą stronę skrzyżowania ulic, gdzie z witryn stojących naprzeciwko siebie poczty i rzeźnika wygląda niedzielna pustka, i mija pięć niskich domów przy drodze prowadzącej na błonia.

Mieszkał tu kiedyś pewien chłopiec, Thomas Lightfoot, syn jednego z pracowników jej ojca; jej brat bawił się z nim czasem, gdy byli dziećmi. Zawsze podobało jej się jego nazwisko. Był pierwszą znajomą osobą, która umarła. Pamięta, jak mówił jej o tym brat pewnego słonecznego popołudnia w Londynie, wiosną tysiąc dziewięćset piętnastego roku. Thomas miał żonę i dziecko, zaznał życia i umarł – wszystko zanim skończył dwadzieścia trzy lata. Gdy przechodzi koło jego domu, spogląda w okna i widzi młodą kobietę, która stoi odwrócona plecami i myje coś w zlewie.

Evelyn idzie dalej; wokoło zalega cisza, którą rozprasza jedynie odgłos jej kroków; wychodzi z wioski na otwarte pola, gdzie wrony wydziobują resztki ziarna tu i tam na rzysku. Świeci słońce. Evelyn mruży oczy i pod powiekami tańczą jej pomarańczowe plamy. Nabiera haust czystego powietrza, zadowolona, wbrew sobie, że wyjechała z Londynu. Przed oczami ma niski murek z kamieni, który wyznacza granice posiadłości jej rodziców, a za nim kępę wysokich, rozłożystych jodeł na tle jasnego nieba.

Skręca na drogę prowadzącą do tylnego wejścia, dzięki czemu pojawi się niezauważona; otwiera furtkę w ogrodzeniu i staje na trawniku przed domem zbudowanym z wapienia z Cotswolds, który, kiedy patrzeć z boku, złoci się w słońcu. Gdy tam stoi, bocznymi drzwiami wybiega ubrana na czarno pokojówka, wpada za drzewo i znika z oczu. Po chwili w powietrze wlatuje smużka dymu. Evelyn uśmiecha się. „Brawo!”.

Przecina trawnik, kierując się za dom. Ze zdziwieniem stwierdza, że trawa się utrzymuje, choć jest już listopad, i w przemoczonych pantoflach staje na schodach. Biodrem pcha drzwi i klnąc pod nosem, pochyla się, żeby rozpiąć sprzączki. Pantofle są zamszowe, z paseczkiem na kostce – jedyne w miarę eleganckie obuwie, jakie posiada, rzadkie ustępstwo na rzecz gustów jej matki – teraz tak mokre, że nie może w nich chodzić. Zrzuca je z nóg i zanosz do szafki przy tylnych drzwiach, skąd wypływa znajomy zapach: wilgoci, pajęczyn i gumowych kaloszy zapowiadających zimę. Wrzuca buty między stojak na parasole a stare prawidło do rakiety tenisowej, przez chwilę rozważa zalety pójścia na lunch w kaloszach i odrzuciwszy ten pomysł, drepcze w mokrych pończochach korytarzem, po zimnych kamiennych płytach. Gdy mija kuchnię, rzut oka przez wewnętrzne okno pozwala jej zobaczyć, że zastęp służących uwija się jak w ukropie.

Na końcu korytarza zatrzymuje się i dotyka ręką ściany.

Za zakrętem wejdzie do holu, na którego końcu znajdują się przeszklone drzwi frontowe, a za nimi stoi w jej śnie Fraser. Evelyn zdaje sobie sprawę, że to głupie, ale...

Zamyka oczy i pozwala, by wrażenie bliskości rozeszło się po jej ciele, przeniknęło piersi, ramiona, powietrze, które czuje na twarzy, aż...

– Evelyn!

Gwałtownie otwiera oczy.

– Co ty wyprawiasz? – Wyrasta przed nią matka, cała kremowo-złota. – Gdzie masz pantofle?

– Ja... – Evelyn patrzy na przyklejone do stóp pończochy. – Weszłam od tyłu. Wstawiłam je do szafki pod schodami.

Matka wydaje szczególnie dźwięk, młsańnięcie językiem z tyłu gardła.

– To nie do przyjęcia. Bluzka też. Wyglądasz jak ekspedientka. Przybrałaś nowe oblicze?

– Ja...

– Twoja kuzynka już tu jest. – Matka pochyla się i syczy: – Na górze masz swoje stare sukienki. Natychmiast idź się przebrać. – Cofa się o krok i patrząc na nią zwężonymi oczami, pyta: – Gdzie jest twój brat?

– Nie... nie wiem. Mieliśmy przyjechać razem, ale...

– Ale co?

– Nie było go w umówionym miejscu.

– Gdzieś musi być, nieprawdaż?

Evelyn poddaje się i wzrusza ramionami.

– Przykro mi, mamó. Naprawdę nie wiem.

Matka prostuje się jak struna – wygląda wspaniale, nawet Evelyn musi to przyznać – i pręży bujną pierś.

Evelyn zaciska zęby. Czasem, tylko czasem, zbierze się w sobie na tyle, by podjąć walkę.

– Mamó?

Matka odwraca się w jej stronę.

– Najlepsze życzenia urodzinowe.

Odpowiada jednym szybkim kiwnięciem głowy, jakby przyjmowała do wiadomości coś przykrego, ale nieuniknionego, na przykład konieczność wyrwania zęba, a potem otwiera drzwi do kuchni. Wahadłowe drzwi zamykają się i w środku zamiera gwar. Słychać wrzaskliwy głos matki, jakieś polecenie w związku z rybą.

Evelyn wraca do swoich myśli, zamyka oczy. Ale to na nic. Wrażenie odpłynęło. Evelyn skręca do holu. Widzi drzwi, połąć niewzruszonego drewna, ale za szybkami pusto. Nikt tam na nią nie czeka. Nie ma tam nic prócz jasnego światła i refleksów słońca tańczących na bąbelkowym szkle.

* * *

Po śniadaniu Jack odsuwa od siebie talerz i wstaje.

– Zapomniałem o tym wczoraj. – Sięga głęboko do plecaka i wyjmuje dynię piżmową. – Dorodna, moim zdaniem. – Kładzie ją na środku stołu i zarzuca na ramię pusty plecak. – No to do wieczora. – Przystaje na chwilę, jakby zamierzał coś dodać.

„Dwadzieścia pięć lat”.

Ada nie rusza się z krzesła. Barczysta sylwetka męża wypełnia jej pole widzenia. Jack ma na sobie stare odświętne ubranie, teraz do pracy na działce, wymiętoszone i sfatygowane po latach noszenia. Wciąż dostrzega w nim młodzieńca. Ledwie, ledwie.

– Do wieczora – odpowiada.

Jack kiwa głową, wychodzi, tylne drzwi zamykają się za nim i na ścieżce cichną jego kroki.

Jutro będzie dwadzieścia pięć lat. Dwadzieścia pięć lat temu weszli do okrągłej kaplicy i złożyli przysięgę; w ciepły dzień, niemal wiosenny, szła nierówną kamienną ścieżką do drzwi. W środku było chłodno i ciemno, aż wciągnęła gwałtownie powietrze, jakby wydobyto ją spod wody: z trudem oddychała, mocno ściśnięta gorsetem. Miała wrażenie, że jest sama, i dopiero po chwili dostrzegła zarys jego sylwetki, obok pastora, w przedniej części nawy. Stopniowo rozpoznawała również gości rozsianych po obu stronach. Wytyczyła kurs na Jacka i starała się iść prosto.

„W porządku. – Ujął ją za rękę i mrugnął do niej. – No to spróbujmy”.

Rankiem w kuchni jest mroczno, ale dynia, którą jej zostawił, ma jaskrawy pomarańczowożółty kolor, skóra niemal pulsuje wspomnieniem słońca. To są ostatnie zbiory, nim zaatakuje mróz. Aż tętni w niej życie.

Ada zbiera talerze po śniadaniu, wkłada do zlewu i wychodzi na dwór, żeby nabrać do czajnika wody z pompy na podwórku. Wraca i stawia czajnik na gazie.

Przez tylne okno widzi płoty i ogródki siedmiu domów. Zna imiona i nazwiska wszystkich matek na tej ulicy i na sąsiedniej, wszystkich dzieci, wszystkich mężczyzn, zarówno tych, co żyją, jak i tych, co umarli. Mieszka w tym domu od dwudziestu pięciu lat. Jack nawet przeniósł ją przez próg, na oczach zebranych sąsiadów, którzy z rozbawieniem i zachwytem przyglądali się nieoczekiwanemu widowisku.

Gdy czajnik zaczyna gwizdać, wlewa wodę do dzbanka do herbaty, a resztę do miski, po czym myje pokryte zastygłymi resztkami jedzenia talerze. Przyrządzi dynię jutro. Na obiad z okazji rocznicy. Duszone mięso i kluski. Kupi kawałek dobrego mięsa. Cieszy się na tę myśl.

Po wytarciu talerzy i wstawieniu ich do szafki, gdy zabiera ze stołu dynię i chowa do spiżarni na następny dzień, słyszy hałas przy drzwiach wejściowych:

jakieś szuranie, jakby zwierzę podeszło pod próg. W pierwszej chwili jest przekonana, że to Jack po coś wrócił. Ale on nigdy nie wchodzi od frontu. Więc może sąsiadka? Ivy? Ona też tędy nie wchodzi, ani w niedzielę, ani żadnego innego dnia.

Rozlega się pukanie i Ada szybko zdejmuje fartuch, wygładza spódnicę i idzie otworzyć drzwi.

– Pan w jakiej sprawie?

Na schodku stoi młody mężczyzna. Cienkie rudoblond włosy, blade oczy, zapowiedź wąsów ledwie rysujących się nad górną wargą. Świeżo ogolona twarz, poczerwieniała od chłodnego powietrza. Maluje się na niej zdumienie, jakby to kobieta zakłóciła mu spokój, a nie on jej. Zdejmuje czapkę, trzyma ją przy piersi.

– Dzień dobry pani.

– Dzień dobry.

Jego wzrok odrywa się od jej twarzy i ramion i biegnie w głąb korytarza.

– Pani tu mieszka?

– Tak.

– Czy m-m-mogę zająć pani chwilę?

Wygląda tak, jakby ulżyło mu, gdy wypowiedział te słowa. Czego on może chcieć? Na ziemi, przy jego nodze, stoi ciężka torba. Oni się teraz kręcą wszędzie, młodzieńcy z takimi torbami, na każdym rogu sprzedają co bądź, od zapalek po sznurowadła. Albo żebrzą. Pukają do drzwi i proszą o zbędne kurtki i buty.

– Niczego nie potrzebujemy.

Mężczyzna wlepia w nią wzrok.

– Co proszę?

– Niczego nie potrzebujemy – powtarza Ada i chce zamknąć drzwi.

Nieznajomy robi krok w przód, wpada w popłoch.

– Mogę wejść? Tylko na chwilę. Pozwoli pani?

Mówi takim tonem, jakby usiłował wkraść się w jej łaski. Lekko się odwraca i wtedy widać spod kurtki jego lewe ramię. Ada zauważa poślizgnięty brzeg temblaku. Nie rusza się z miejsca, drzwi są uchylone, młodzieniec przestępuje z nogi na nogę. Po chwili Ada mięknie, cofa się i trochę szerzej otwiera drzwi, pozwalając mu wślizgnąć się do środka.

Stoją blisko siebie. Czuje jego zapach, kwaśny, przebijający się przez czystą, silną woń świeżego powietrza. Ramiona kurtki są przyprószone białymi drobinkami. Mija kilka niezręcznych sekund. Nie chce wprowadzić go do salonu, ale któreś z nich musi zrobić pierwszy krok.

– Proszę tędy.

Nieznajomy idzie za nią do kuchni. Stając przy zlewie, Ada zwraca się do mężczyzny twarzą i krzyżuje ręce na piersi. On zatrzymuje się w drzwiach, chyba czeka na pozwolenie, a gdy Ada lekko pochyla głowę, jakimś dziwnym, szarpanym

krokiem przekracza próg. Podchodzi do stołu i kładzie ręce na oparciu krzesła.

– Miło tu u pani – mówi z lekką zadyszka, jakby wyczerpał go ten niewielki wysiłek. – Miło i cicho. – Wpatruje się w nią, jak gdyby czekał, aż ona zrobi to coś, co należy zrobić.

– Niech pan mi pokaże, co pan ma – odzywa się w końcu Ada.

– Słucham?

– To, co pan ma w torbie.

– Ach tak, oczywiście.

Pochyla się i wyklada na stół paczki zawinięte w papier pakowy. Każdy ruch wykonuje z taką samą starannością i skupieniem, jakby nie miał pewności, że jego ciało spełni te błahe polecenia. Przypomina Adzie jej syna, jego nieprzewidywalne wymachiwanie rękami i nogami, gdy był mały.

„Nerwica frontowa”.

„Jeden z tych”.

Patrzy na pomięte paczki wyjmowane brudnymi rękami i wie, że jest w nich sama tandeta.

– Żałuję – mówi – ale właściwie niczego nie potrzebujemy.

Mężczyzna unosi wzrok, mizerna twarz się napina; kiwa pośpiesznie głową, jakby stwierdzał, że prowadzą tę rozmowę nadaremno.

– Może zmywaki? – Otwiera paczkę, w której leży stos luźno tkanych szmatek piaskowego koloru. – Zmywaki są zawsze potrzebne.

– Mam zapas zmywaków. Dziękuję.

– A ścierki do wycierania naczyń? – Pochyla się nad torbą.

Torba jest duża. Może im to zająć cały ranek.

– Ile kosztują zmywaki?

Mężczyzna gwałtownie się prostuje.

– Zmywaki? – powtarza ze zdziwieniem. – Są po dwa pensy. Dwa pensy za pięć sztuk.

– Wezmę zmywaki. Pięć sztuk. To wszystko. Zaraz przyniosę portmonetkę.

Robi kilka kroków i nagle uprzytamnia sobie, że popełniła błąd: jeżeli pójdzie po pieniądze, pokaże mu, gdzie trzyma portmonetkę.

– Pozwoli pani, że zapalę? – pyta znów tym przymilnym tonem. – Tak na chybcika. To zimno mnie wykończy. – W pośpiechu, zanim Ada zdąży się sprzeciwić, wyjmuje zdrową ręką paczkę papierosów, wytrząsa papierosa prosto do ust i sięga do kieszeni po zapalnik. – Poczęstuje się pani? – Podsuwa jej paczkę.

– Nie, dziękuję.

Mężczyzna kładzie papierosy na stole.

– Mogę usiąść?

Coś dziwnego wisi między nimi w powietrzu, coś więcej niż bezczelność tego młodzieńca. Ada odczuwa jakiś trudny do określenia lęk, ale kiwa głową

powoli, a on wysuwa krzesło.

– Dziękuję. – Słysząc trzask zapałki o pudełko i syk płomienia.

Ada szybko dorzuca do ognia i energicznym krokiem podchodzi do kredensu stojącego za plecami nieznanego, by wyjąć z szuflady portmonetkę. Odwraca się, żeby sprawdzić, czy on na nią nie patrzy, ale siedzi tyłem do niej i łapczywie zaciąga się dymem. Jak najciszej wysuwa szufladę, wyjmując portmonetkę i szpera w środku, gdy nagle dolatuje ją jakiś dźwięk, jakby zduszony krzyk. Odwraca się: mężczyzna siedzi wpatrzony w przestrzeń przed sobą, zgięty, całym ciałem wychylony ku czemuś, czego ona nie widzi.

– Michael? – rozlega się jego głos.

Nieznamy szarpie głową raz i drugi, jakby walczył z silnym prądem, i nieruchomieje.

Ada upuszcza portmonetkę do szuflady i staje przed nim.

– Pan coś powiedział?

– Nie, nic. – Młodzieniec krzywi się i kręci głową. – Ani słowa. Skądże.

– Powiedział pan – mówi wolno, choć wali jej serce. – Słyszałam.

– Skądże. – Wstaje. Gasi papierosa. Cofa się kilka kroków.

– Powiedział pan: „Michael”.

Młodzieniec zaczyna dygotać, trzęsie się na całym ciele, ma atak, prawie, okropne konwulsje, strasznie to wygląda, powinna mu pomóc, ale nie może się na to zdobyć, bo on ją przeraża, więc stoi nieruchomo, aż atak mija i mężczyzna się uspokaja.

Dopiero po chwili Adzie udaje się wydobyć głos.

– Dlaczego powiedział pan: „Michael”?

Stara się, żeby zabrzmiało to lekko i swobodnie. Chce, żeby jeszcze został.

– Nic nie powiedziałem. – Młodzieniec zgarnia w pośpiechu paczki. – Ani słowa. Tylko zapukałem do pani drzwi. Sprzedaję różne rzeczy, sama pani widzi. – Wyciąga do niej ręce z tymi beznadziejnymi paczuszkami, a potem wpycha je do torby.

– Pan powiedział: „Michael”. Pan go znał.

– Nie. Nic nie powiedziałem – zaprzecza gwałtownie. – Nie znam żadnego Michaela. Nie znam.

– Niech pan przestanie – mówi Ada. – Dość tego. Pan go znał. Pan znał mojego syna.

Mężczyzna kręci głową coraz szybciej i szybciej, potem zbliża się do Ady, chwyta ją za rękę i kładzie jej dłoń na swojej głowie.

– Przepraszam. – Mocno przyciska jej dłoń do czaszki. – Przepraszam panią.

– Niepewnym krokiem wychodzi z kuchni.

Ada stoi nieruchomo, czuje jego piekący, pulsujący dotyk. Po chwili zrywa się, pędzi korytarzem, wybiega z domu za mężczyzną i woła, żeby się zatrzymał.

Ale na spokojnej w niedzielę ulicy nie ma nikogo. Młodzieniec zniknął.
Jakby nigdy go nie było.

* * *

Z okna swojego pokoju w koszarach armii brytyjskiej, położonych przy drodze prowadzącej na wybrzeże, tuż pod miasteczkiem Saint-Pol-sur-Ternoise, niedaleko Agincourt, młoda pielęgniarka obserwuje podjeżdżający ambulans polowy.

Dziwna rzecz – tego dnia widzi już czwarty taki ambulans.

Wydmuchuje nos. Jest przeziębiona i marnie się czuje. Właśnie czyta list z kraju, siedząc przy malutkim piecyku, najbliżej jak się da. Napisał do niej narzeczony. Całkiem przyjemny list, o wielu całkiem przyjemnych sprawach, od całkiem przyjemnego człowieka.

A jednak.

W zeszłym tygodniu dostała dokumenty demobilizacyjne. Jedna z ostatnich osób, które wciąż tu przebywają. Nie śpieszyło jej się do wyjazdu. Niedługo będzie musiała się z nim spotkać. Z tym niedużym, nieciekawym mężczyzną, który został ranny w tysiąc dziewięćset osiemnastym roku, którego pielęgnowała, którego było jej żal, i zgodziła się go poślubić, gdy to wszystko się skończy.

Potem pielęgniarka się zakochała. We francuskim kapitanie. Poznała go na wieczorku. On mówi do niej chérie, tak jak nazywa się ten owoc.

Wiedziała, że jest żonaty. Nigdy tego nie ukrywał. Obiecał jednak, że zostawi swoją żonę. Potem, w zeszłym tygodniu, gdy w wolnym dniu pojechała na zakupy do Saint-Pol, brzydkiej i poturbowanej miejsciny, zobaczyła ich: całą rodzinę. Dwójkę ciemnowłosych małych dzieci, Francuza i jego ładną młodą żonę. Wszyscy się śmiali, trzymali się za ręce, trajkotali w języku, którego nie rozumiała. Schowała się w jakiejś wnęcie, zażenowana, i stała tam, dopóki nie zniknęli jej z oczu.

Pielęgniarka odkłada list i podchodzi do okna, owijając się mocniej swetrem, żeby nie zmarznąć. Czterech mężczyzn wyjmuje z ambulansu trumnę. Pozostałymi ambulansami też przyjechały dzisiaj trumny. Patrzy, jak mężczyźni chwytają tę zwyczajną skrzynię i niosą ją do małej kaplicy, którą postawiono przed tygodniem. To też było dziwne: nikt nie wyjaśnił, dlaczego budują niewielki barak Nissena i przybijają krzyż nad wejściem. Do tej pory doskonale dawali sobie radę bez kaplicy.

Zastanawia się, kto leży w środku.

Obecnie widok trumny jest rzadkością. Nie tak jak dawniej, gdy załadowywano je i wyładowywano jak bochenki chleba. Pielęgniarka postanawia popytać wokoło, dowiedzieć się, co spowodowało, że przywieziono tu dzisiaj cztery ciała.

Gdy ambulans odjeżdża, znów siada przy piecyku i bierze do ręki list. Po chwili jednak go odkłada. Odpowie później. W tej chwili nie wie, co mogłaby napisać.

* * *

Evelyn siedzi na krawędzi łóżka w swojej dawnej sypialni na górze i pali papierosa. Patrzy nienawistnie na rząd sukienek w otwartej szafie i strząsa popiół na rękę. Potem podnosi połówkę okna i wyrzuca niedopałek.

W oddali widać niebieskoszarą taflę jeziora. Właściwie to nie jest jezioro; zwykła tak mówić od najmłodszych lat, choć z wysokości okna zbiornik wygląda w istocie jak większy staw. Dostrzega również czerwony dach dwupokojowego domku letniego, który stoi na środku obrosniętej trzciniami wysepki. W jednym pokoju jest kominek. Mogłaby teraz przemknąć się na dół i wykraść z kuchni trochę drewna, popłynąć na wyspę małą łódką, rozpalić ogień i zaszyć się tam z książką na cały dzień. Nie pierwszy raz zwiłaby w ten sposób z rodzinnego przyjęcia.

Lepsze to niż przedstawienie podczas lunchu z okazji urodzin matki; lepsze to niż widok kuzynki Lottie, która wkłada malutkie kąski do malutkich, starannie umalowanych usteczek, dorzucając jakieś malutkie słówko do rozmowy.

Jeżeli brat się nie zjawi, będzie po stokroć gorzej.

Słysząc pukanie do drzwi. Evelyn odwraca się od okna i widzi w drzwiach młodą kobietę w mundurku. Nie zna jej. Pewnie jest nowa. Matka zawsze zmieniała pokojówki jak rękawiczki.

– Tak?

– Przysłano mnie do pomocy.

– Do pomocy?

Dziewczyna się rumieni.

– Przy ubieraniu, proszę pani.

– Ach, no tak. Nie, dziękuję. – Evelyn macha ręką. – Powiedz mojej matce, że doskonale poradzę sobie z wyborem sukienki.

Pokojówka przyjmuje to z ulgą i znika, a wtedy z głębi domu dobiega dźwięk gongu, niski i natarczywy. Evelyn podchodzi do szafy i przesuwa dłonią po wiszących rzędem sukniach, które kołyszą się na podzwaniających wieszakach, ładne, uległe jak marionetki. Wyjmuje najbardziej stonowaną, jaka tam wisi, sukienkę na dzień, z zielonego jedwabiu, której nie nosiła od lat. Gdy wkłada ją przez głowę, czuje zapach stęchlizny i naftaliny. Niedobrze jej w tym kolorze, wydaje się jeszcze bledsza niż zwykle.

Ożywiona pogawędka niesie się z salonu porannego do holu, gdy Evelyn schodzi głównymi, szerokimi schodami. Nadstawia ucha, ale nie słyszy głosu brata, wobec tego idzie prosto do jadalni. Niedługo wszyscy i tak się tu zbiorą.

Dwóch młodych mężczyzn, jeszcze niedawno chłopców, wprowadza ostatnie poprawki w ułożeniu zastawy stołowej. Evelyn nie rozpoznaje żadnego z nich, więc pewnie też są nowi. Skinąwszy jej głowami, kłaniają się i wyslizgują z pokoju.

Podchodzi do okna z widokiem na opadający ku jezioru trawnik. Dostrzega również małą łódkę przywiązaną do pomostu i wyczarowuje w myślach mokre drewno, zapach lakieru, ocieranie się wioseł o wnętrze dłoni.

– Tu jest!

Evelyn odwraca się i widzi ciotkę Mary, matkę Lottie, pulchną i obwieszoną biżuterią, a za plecami ciotki pochód krewnych. Z rezygnacją przyjmuje pocałunek i baczne spojrzenie z odległości wyciągniętych ramion.

– Wyglądasz na przemęczoną. Czyżbyś nadal chodziła do pracy?

– Uhm... – Evelyn kiwa głową.

Ciotka marszczy brwi.

– I wciąż masz to okropne mieszkanko?

Wbrew sobie Evelyn się uśmiecha.

– Tak, ciociu – potwierdza, delikatnie uwalniając się z jej objęć. – Niestety.

Zaraz podchodzą inni, całe towarzystwo: wuj Alec, kuzynka Lottie, Anthony – lord Anthony – mąż Lottie. Wszyscy pełni wigoru, zadowoleni i uśmiechnięci. Ani śladu brata. Przelatuje jej przez myśl, czy nie stało się coś bardzo złego, ale tamci zaraz ją dopadają, więc spina się, przybiera odpowiednią minę i wydaje stosowne pomruki, przechodząc do kolejnych osób, które raptem i wbrew sobie stanowią komitet powitalny na okoliczność lunchu z okazji urodzin jej matki. Ojciec wita ją skinieniem głowy i wysuwa brodę do przodu, wpatrując się, jak zwykle, w jakiś punkt na lewo od jej twarzy. Natomiast stojąca obok niego matka lustruje ją od góry do dołu. Jak było do przewidzenia, w jej spojrzeniu pojawia się bezgraniczne rozczarowanie. „Trochę lepiej – można z niego wyczytać – ale nie dość dobrze”.

Gdy członkowie rodziny zajmują miejsca przy stole, dwaj młodzi służący wtaczają stolik na kółkach i serwują zupę. Naprzeciwko Evelyn siedzi Anthony. Krzesło po jego prawej stronie jest puste.

– No więc... – odzywa się Lottie, na lewo od Evelyn.

– Słucham? – Evelyn odwraca się do kuzynki, która prezentuje się olśniewająco w żółtych koronkach.

– Jak tam Londyn?

Lottie ma taką minę, jakby Londyn był nieobliczalnym znajomym z dawnych lat, z którym kiedyś się spotykała, a potem straciła z nim kontakt. Po wyjściu za mąż, przed dwoma laty, Lottie wyprowadziła się z mieszkania w Chelsea, które przez krótki czas wynajmowała do spółki z koleżanką, i zamieszkała u Anthony’ego, w brzydkim wiktoriańskim gmaszysku zwieńczonym

blankami. Teraz tytułuje się lady. „Lady Charlotte. Lady Lottie”. Evelyn może sobie wyobrazić, jaką wściekłością wezbrało serce jej własnej matki.

– Całkiem dobrze – oświadcza, upijając łyk wina. – Trzyma się. Mam przekazać pozdrowienia?

Lottie uśmiecha się wyrozumiale.

– Nadal mieszkasz z Doreen?

Cała trójka, Lottie, Evelyn i Doreen, chodziła do tej samej szkoły. Evelyn i Doreen były o trzy klasy wyżej, ich przyjaźń przypieczętował wstręt do wszystkiego, co propagowała szkoła. Kiedy Evelyn, w wieku dwudziestu jeden lat, dostała niewielki spadek po swojej babce, kupiła mieszkanie w Primrose Hill i zaproponowała Doreen, żeby się do niej wprowadziła. Wywołało to takie zgorszenie w rodzinie Evelyn, jakby co najmniej oświadczyła, że planują otworzyć tam burdel.

– Nadal mieszkam z Doreen – potwierdza Evelyn.

– A ona nadal jest... – Lottie taktownie zawiesza głos – wolna, czyż nie?

Evelyn wytrzymuje mdłe spojrzenie kuzynki.

– Tak – kłamie. – Jest wolna.

W holu coś się dzieje. Dobiega głos jej brata. Nareszcie. Evelyn unosi głowę i widzi, jak brat podaje płaszcz jednemu z młodych służących.

– Jest Edward!

– Przepraszam, ma. Utknąłem. Uciekł mi pociąg. Wyglądasz bosko.

Gdy Ed bierze matkę w objęcia, jej twarz różowieje z radości. Brat prezentuje się nie najlepiej – marynarka jest pomięta, włosy wyglądają tak, jakby po drodze zmoczył je pod kranem – ale jakoś mu to uchodzi. Zadowolenie z jego przybycia maluje się na uśmiechniętych twarzach gości. Evelyn nagle dostrzega, nie pierwszy raz, jego niewymuszony urok, bezmiar wdzięku, jaki roztacza. Gdyby to ona tak się spóźniła na rodzinne przyjęcie, zostałaby wydziedziczona.

Jest ostatnia w kolejności powitań. Gdy brat pochyla się, żeby ją pocałować, czuje od niego zapach alkoholu, nie świeży, lecz zatęchły, jakby pił od dłuższego czasu.

– Zdaje się, że mieliśmy przyjechać razem – cedzi mu do ucha.

– Przepraszam, Eves.

– A w ogóle to gdzie byłeś? Wyglądasz koszmarnie.

– Na mieście – zbywa ją krótko.

Evelyn przewraca oczami, a Ed zajmuje miejsce po przekątnej. Matka już się przekonała, że lepiej, jak jej dzieci nie siedzą obok siebie. Młodzi służący znów wtaczają stół i nalewają zupę.

– A co u ciebie? – zwraca się Evelyn do Lottie. – Służy ci wiejskie życie?

Lottie bierze łyżkę.

– Właściwie całkiem dobrze. Poniekąd. Trochę niedomagałam.

– Chwileczkę. – Evelyn próbuje przyciągnąć spojrzenie brata, ale on już gawędzi z Anthonym, wobec tego nachyla się do przodu i podbiera papierosa z papierośnicy, którą położył przed sobą na stole. Z niechęcią wraca do rozmowy z Lottie. – O czym to mówiłaś?

– Będę miała dziecko. – Cienki, cichy głos Lottie unosi się na końcu zdania, jakby sama nie była pewna, czy rzeczywiście tak jest.

Evelyn zapala papierosa.

– Będę miała dziecko – powtarza Lottie odrobinę głośniejsze.

– Słyszę. – Evelyn wypuszcza kłęb szarego dymu. – Boże drogi.

Nie patrząc, czuje, jak z prawej strony, od szczytu stołu, pada na nią wzrok matki. Odwraca się całym ciałem do Lottie, pokazując matce tył głowy.

– Wspaniale – mówi donośnie. – Gratulacje. Co to będzie?

– Słucham? – Lottie jest zdezorientowana.

– Co to będzie? Mięso armatnie? Czy ten drugi rodzaj? Jak by to powiedzieć? Mięso salonowe? Mdła strawa?

Lottie odkłada łyżkę.

– Chyba nie wiem, co masz na myśli.

– Chłopiec – mówi wolno Evelyn – czy dziewczynka?

Na drugim końcu stołu Anthony i Ed, jakby w odruchu rycerskości, unoszą głowy. Anthony odchrząkuje, pochyla się do przodu i zagaduje do Evelyn:

– A co u ciebie, staruszko?

Chyba jeszcze przytył, stwierdza w duchu Evelyn, patrząc mu w oczy, natomiast Lottie jest chuda jak nigdy dotąd. Może coś im się pomyliło i to Anthony je za dwoje. Przez krótką, straszną chwilę nęka ją potworny obraz: Lottie i Anthony w sytuacji łóżkowej. Anthony uśmiecha się zachęcająco.

– Więc pójdiesz z nami w czwartek?

– W czwartek?

– Ceremonia pogrzebowa. W opactwie westminsterskim. Mój przyjaciel ma mieszkanie przy Whitehall – ciągnie Anthony. – Z widokiem na Cenotaph. Będą drinki. Jesteś mile widziana.

„Ceremonia pogrzebowa. Będą drinki”. Mówi, jak gdyby planowali wypad do West Endu.

– Bo ja wiem? Nie jestem entuzjastką pogrzebów.

Anthony spogląda na nią takim wzrokiem, jakby szacował względną prawdę jej słów.

– Nadal walczysz w słusznej sprawie? – odzywa się po chwili. – Przypomnij mi, co to takiego. Pośredniak?

– Renty i emerytury – mówi Evelyn.

Przecież on to wie, stwierdza w duchu. Kiedyś o tym rozmawiali.

– Renty i emerytury – powtarza za nią Anthony, kręcąc głową.

Wiotki fałd skóry już wisi mu pod brodą, zauważa Evelyn. Niedługo będzie miał wole jak indor.

– Nie rozumiem, jak tam wytrzymujesz – wtrąca ze śmiechem Lottie, bardziej pewna siebie, gdy przybyły posiłki. – Ja bym w żadnym wypadku nie mogła.

– To jasne, dlaczego ona tam pracuje – rzuca Anthony.

Evelyn ma wrażenie, że rozmowy przy stole ucichły.

– No dlaczego? – pyta.

– Z powodu mężczyzn. – Rechocze, odchylając się na oparcie krzesła. Klepie się po udzie i rozkłada ręce. – Tych wszystkich mężczyzn. To coś dla ciebie. Kaleki, w większości, nie zdołają uciec. Tylko brać ich na muszkę. – Udaje, że strzela. – Proste jak drut.

Lottie chichocze.

Evelyn robi się gorąco.

– Bynajmniej – mówi.

Wreszcie udaje jej się przyciągnąć wzrok brata. Na jego twarzy maluje się uśmiech, lecz to, co wyrażają jego oczy, jest nikłą kopią spojrzenia, które tylekroć widziała, popłuczyną rozbawienia i podziwu, zachęty, by posunęła się jeszcze dalej. Wygląda na zmęczonego, jakby nie miał siły znosić tego, co zaraz nastąpi. Ogarnia ją złość, bardziej na brata niż na nich wszystkich razem wziętych.

– Bynajmniej – powtarza, trochę głośniej.

– A czemuż to? – Anthony uśmiecha się zachęcająco.

– Wiadomo, gdzie stoję w tej kwestii.

– Mianowicie gdzie? – odzywa się matka od szczytu stołu. – Gdzie konkretnie stoisz?

Evelyn odwraca się do niej.

– Na półce, rzecz jasna.

– Na półce? – bąka Lottie.

– Tak, na półce. Wiesz, co to takiego. Na starej, zakurzonej półce. – Ogarnia wzrokiem siedzących przy stole: nikt nie patrzy wprost na nią, nikt nie patrzy wprost w bok. – Nigdy o tym nie słyszeliście? Całkiem wygodne miejsce, możecie mi wierzyć. Widok z góry jest niezły. Pewnie tego nie rozumiecie, żadne z was. – Bierze nóż do ryby. – Wszyscy jesteście po drugiej stronie. Co jest przeciwieństwem odstawienia na półkę? Bycie w użyciu? Jak naczynie stołowe? Spójrzcie na Lottie... – Wskazuje czubkiem noża na kuzynkę, która gwałtownie łapie powietrze. – Czyż ona nie jest urocza? Istny pączuszek, nieprawdaż?

– Evelyn – mówi przeciągle matka.

Córka spogląda na nią.

– Słucham, mamó?

– Nie potrzebujesz popielniczki?

Evelyn patrzy na papierosa, z którego lada chwila wpadnie do zupy okazałej długości popiół. Młody służący wsuwa popielniczkę pod jej prawą rękę.

– Evelyn? – odzywa się ponownie matka.

– Tak?

– Kiedy ty się wreszcie nauczysz?

– Czego? – Gasi papierosa w popielniczce.

– Zgorzkniałość nie jest ani trochę pociągająca.

Evelyn otwiera usta. I zaraz je zamyka.

Gdy była mała, wyobrażała sobie, że jej mama jest dzikuską z jakiegoś plemienia i strzela zatrutymi strzałami z dmuchawki. Nigdy nie chybi, więc trzeba nauczyć się robić uniki.

Kładzie nóż na stole, równo przy talerzu.

„Zgorzkniała?”.

„Wcale nie jest zgorzkniała”.

„Wszystko, tylko nie to”.

* * *

Ada jest na drugim krańcu małego parku, gdy widzi Jacka: idzie do domu, lekko zgarbiony, z pochyloną głową, broniąc się przed zimnem. Przebywa tu dłużej, niż miała zamiar: chce się uspokoić, odetchnąć chłodnym popołudniowym powietrzem, i wędruje po wyłysiałej miejscami murawie, tam i z powrotem przez cały park, obchodząc sterty zgrabionych liści. Skręca w stronę Jacka; jeśli przyspieszy kroku, to go dogoni.

Jack podnosi głowę, gdy żona do niego podchodzi.

– O, to ty? – Patrzy na nią ze zdziwieniem. – Co tu robisz?

– Ja tylko... – Chce się uśmiechnąć, ale nie czuje policzków. – Miałam ochotę pobyć na powietrzu.

– Szkoda, że nie poszłaś ze mną. – Poprawia plecak. – Na działce było dziś mnóstwo roboty.

Czy w jego głosie słyhać urazę? Trudno jej powiedzieć, w każdym razie idą obok siebie równym krokiem, przecinając park, w kierunku domu. Przed nimi, na ołowianym niebie, wisi nisko słońce. Idą w niewielkiej, ale niezmiennej odległości jedno od drugiego; nie potrafią nazwać tego dystansu ani o nim porozmawiać. Ada bierze głęboki oddech.

– Jack?

Mąż zwalnia i odwraca się do niej.

– Co takiego?

Ada przystaje, zaciskając dłonie w kieszeniach.

– O co chodzi? – Stara się spojrzeć jej w oczy. – Coś się stało?

– Rano... zaraz po twoim wyjściu... przyszedł młody człowiek. Zapukał do

drzwi.

Jack marszczy brwi.

– Kto to był?

– Nie wiem. Jeden z tych, co sprzedają różne rzeczy. Przeważnie to tandeta.

Ale... wpuściłam go.

– Wpuściłaś go do domu?

– Był ranny – wyjaśnia Ada.

Jack ze zrozumieniem kiwa głową.

– Co się stało? Coś ci zrobił?

– Nie, nie, gdzie tam.

– No to o co chodzi?

Ada wdycha zapach kopców liści, słodycz zaczynającego się procesu gnicia.

– Było w nim coś dziwnego – stwierdza. – Coś nie tak. Powiedziałam, że kupię parę zmywaków, tylko po to, żeby sobie poszedł. Ale gdy sięgałam po portmonetkę, gdy stałam w rogu... on to powiedział.

– Co powiedział?

Znajomy błysk zagrożenia.

Ich małżeństwo jest jak beczka z prochem.

„Jeszcze możesz się wycofać”.

– „Michael” – mówi Ada.

Lont został zapalony. Ada wyczuwa syk w przestrzeni między nimi.

Jack nagle nieruchomieje.

– Powiedział: „Michael”? – upewnia się.

– Tak.

– Michael Hart?

– Nie, tylko Michael.

Jack odsuwa się od niej na krok.

– Kim był ten człowiek? Przedstawił się?

– Nie zapytałam.

– Jak wyglądał?

Obok nich przechodzi dwoje młodych ludzi, mają pochylone ku sobie głowy.

Ada czeka, aż ich miną, i cichym, spiętym głosem mówi:

– Był drobnej budowy. Ranny. Lewa ręka na temblaku. Trzymałam portmonetkę i wtedy on powiedział: „Michael”. Gdy się odwróciłam, on patrzył przed siebie. Jakby coś widział.

Wiatr targa platanami. Zrzuca masę liści pod stopy.

– Siedział na twoim krześle.

– Co było potem?

– Nic.

– Jak to nic?

– Zapytałam, dlaczego to powiedział, a on odparł, że mi się wydawało. Że się mylę. Ale ja się nie pomyliłam. – Czuje, jak coraz mocniej bije jej serce. – Dobrze go słyszałam – dodaje z naciskiem. – Na pewno tak powiedział. Michael.

Jack patrzy jej w oczy jeszcze chwilę, przenikliwie; widać zmarszczki na jego czerwonej w popołudniowym świetle twarzy. W końcu odwraca wzrok.

– Co ty na to? Odezwij się – mówi Ada.

– Jest zimno – stwierdza Jack spokojnym, opanowanym głosem. – Idę do domu. Ty też?

Milczy, rozszoszczona.

– Jak wolisz. – Jack idzie kawałek przed siebie.

– Jack! On wymówił jego imię!

Tylko kręci głową, bez słowa, i rusza przez park.

Ada wciąga powietrze, raz i drugi. Kieruje wzrok tam, gdzie rozlewa się po niebie krwista plama słońca, wspaniale zachodzącego jesienną porą. Potem opuszcza głowę i idzie za mężem do domu.

* * *

Z jakiegoś niewiadomego powodu w ich przedziale nie pali się światło. Evelyn majstruje przy lampce, coraz bardziej rozeźlona, i w końcu wychodzi na korytarz. Tam też nie ma oświetlenia. Nigdzie nie widać konduktora, za to w następnym wagonie jest jasno. Siedzący tam pan w średnim wieku unosi wzrok znad krzyżówki, napotyka spojrzenie Evelyn i patrzy na nią z kamienną twarzą. Marszcząc brwi, Evelyn odwraca się i idzie z powrotem do swojego ciemnego przedziału.

Nawet nie ma z kim porozmawiać, bo naprzeciw niej Ed śpi, z otwartymi ustami i rozluźnioną twarzą; zasnął, ledwie pociąg wyjechał z Oksfordu. Wygląd Eda podczas lunchu i zapach, jaki od niego dolatywał, świadczyły o tym, że zapewne w ogóle nie spał poprzedniej nocy. Evelyn wsadza ręce do kieszeni. Można tu zamarznąć; ogrzewanie prawdopodobnie też jest elektryczne. W zapadającym zmierzchu pola za oknem mają niebieski odcień. Kiedyś lubiła te miesiące. Gdy przychodziła zima. Zbliżało się Boże Narodzenie. Teraz czuje się nieswojo. Nic tylko ciemność aż do wiosny.

Szarpięcie pociągu budzi Eda. Trze twarz i posyła Evelyn niemrawy, rozespany uśmiech, a potem spogląda w okno.

– Gdzie jesteśmy?

Evelyn też patrzy przez szybę. Od jakiegoś czasu nie mijali żadnej stacji.

– Nie mam pojęcia. – Z jej ust wydobywa się obłoczek pary. – Dobrze się spało?

– Wyśmienicie, dzięki.

– Hmm. – Nie może się powstrzymać. – Wyciąłeś niezły numer.

- Słucham? – Ed odpowiada na jej spojrzenie.
- Spóźniając się.
- Właściwie się nie spóźniłem, prawda? – Śmieje się pod nosem. –

W ostatecznym rozrachunku.

- A w ogóle to gdzie się podziewałeś?
- Kiedy?

– Dziś rano. Umówiliśmy się na dziesiątą. Na Paddington Station. Pod zegarem. Pamiętasz?

Ed ziewa.

- Przepraszam, Eves. Zabalowałem.
- Gdzie?
- Gdzieś.

Evelyn myśli o tym, co robiła zeszłego wieczoru. Po spacerze wróciła do pustego mieszkania, czytała, aż zgasło w kominku, i położyła się spać. Brat nigdy nie zaproponował jej wspólnego wypadu wieczorem. Doskonale może sobie wyobrazić, dokąd on chodzi. W narastającym mroku przygląda się jego sylwetce. Łagodne kontury. Przez lata byli sobie bliscy. Teraz rzadko rozmawiają. Zastanawia się, co skrywa powłoka. Nawet na wojnie chyba w ogóle się nie zadrapał, nie potknął; twarz i całe ciało ma bez skazy, a wdzięku wręcz mu przybyło.

Odwraca się, ale widząc jej spojrzenie, uśmiecha się, wyjmując papierośnicę i częstuje siostrę papierosem.

- Zabawne – mówi.
- Co mianowicie? Twój wieczór?

– Nie. A właściwie... – Znajduje w kieszeni zapałki. – Pod pewnym względem był zabawny. Ale nie to miałem na myśli. Chodziło mi o dzisiejszy dzień.

– Ach tak? Co cię rozbawiło? – Nie przychodzi jej na myśl nic szczególnego, co mogło wzbudzić wesołość.

– Coś mi się przypomniało, gdy na początku przyjęcia wyszedłem na papierosa do ogrodu.

- Co to było?

W świetle zapałki jego twarz wygląda jak wydrążona. Evelyn pochyla się w stronę płomienia i zapala papierosa.

- Domek letni. Na wyspie. Pamiętasz, jak schowałeś się tam na całą noc?
- Tak naprawdę na dwie noce – uściśla, czując lekkie ukłucie dumy.

– Istotnie. – Ed chichocze cicho. – Teraz pamiętam. W domu wszyscy wychodzili z siebie.

– Miałam zaledwie jedenaście lat. Nie było tam zbyt wielu innych możliwości ukrycia się.

– A ja wiedziałem, gdzie jesteś. Od samego początku.

– Naprawdę?

– Tak.

– To dlaczego nie przyszedłeś wcześniej?

– Myślałem, że chcesz być sama.

Evelyn owija się szczelniej płaszczem.

– Sądzę, że tak było.

Wówczas nie dokuczał jej brak towarzystwa. Nieustannie pozwalała sobie na takie rzeczy.

– Eves?

– Słucham?

Ed przeciąga się.

– U ciebie wszystko w porządku, staruszko?

– Wyśmienicie. A co? Są powody, żeby było inaczej?

– Po prostu miałem wrażenie...

– Jakie?

– Czy ja wiem? Że jesteś trochę... nie w sosie.

– Nie w sosie?! – oburza się Evelyn. – I kto to mówi? Sam wyglądałeś jak śmierć na chorągwi.

– Już dobrze. – Ed podnosi rękę. Zapada cisza. – Skończ z tym, Eves – mów cicho. – Jak długo będziesz to w sobie nosić?

– Z tym?! Co znaczy „to”?

Ktoś przechodzi korytarzem obok ich przedziału.

„Czy jestem zgorzkniała? Naprawdę?”

„Powiedz. Proszę. Wysłucham cię”.

Gdy Ed pochyła się do przodu, Evelyn widzi tylko jego oczy w zanikającym świetle dnia i aureolę szarego dymu dookoła jego głowy.

– Wiesz, Eves... być szczęśliwym to nie zbrodnia.

Evelyn aż gwizdże.

– Coś podobnego! Boże jedyny, jak łatwo tak powiedzieć.

– Przepraszam. – Ed prostuje się. – Przepraszam, Eves, masz rację.

Evelyn odwraca głowę i patrzy w gęstniejącą ciemność za oknem.

„Łatwo”.

„Łatwo ci tak mówić”.

„Dla ciebie wszystko jest takie cholernie łatwe”.

* * *

– Di?

– Uhm?

– Nie śpisz?

– Uhm.

Pokoik Di jest bez kominka i Hettie ma zimny nos.

– Która godzina? – mamrocze chrapliwym, zaspanym głosem Di i ziewa.

– Nie wiem, ale robi się ciemno.

Di przewraca się na plecy, więc Hettie z konieczności się odsuwa. Poza tym ścierpła jej prawa ręka. Zwiesza ją z łóżka, a wtedy spływa do palców krew, aż czuć bolesne mrowienie.

– Muszę wracać – mówi. – Mama mnie zabije, jeżeli się spóźnię.

Ich oddechy zamieniają się w delikatne obłoki pary nad głowami.

– No to po prostu zostań tutaj.

Hettie znów wsuwa rękę pod koc. Myśl jest kusząca. Gdyby miała wybór, tak by zrobiła. Zostałaby w pokoju Di nad sklepem meblowym, gdzie nie ma matek, które mierzą cię wzrokiem z góry na dół albo obwąchują twoje ubranie w poszukiwaniu śladów poprzedniego wieczoru.

– Nie mogę. Powiedziałam, że wrócę na kolację.

Nie wstaje jednak z łóżka. Jeszcze chwila. Jest tak miło pod kocami, w ciepłe przesyconym zapachem ich ciała.

– Kapitalny wieczór. – Di przeciąga się, a Hettie niemal słyszy uśmiech w jej głosie.

Spędziły w klubie wiele godzin, a gdy wychodziły, był już ranek: zaskoczone gołębie bacznie im się przyglądały, mężczyźni w kombinezonach sprząтали ulice. Humphrey dał Di pieniądze na taksówkę; jechały przez niemal puste miasto, nad którym wstawało różowe słońce.

Po chwili milczenia Di kontynuuje:

– Humphrey chce, żebym z nim wyjechała.

– Co?! – Hettie przewraca się i leżą teraz twarzami do siebie. – Kiedy?

– W następny weekend. Do hotelu.

Jest tak ciemno, że Hettie nie widzi wyrazu twarzy Di, ale czuje, jak coś ją mrozi w środku.

– Pojedziesz? – pyta szeptem.

– Tak. Chyba tak.

Łomot serca Hettie wypełnia dzielącą je przestrzeń. Rozmawiały o tym, w nieskończoność. O tym, jak to jest być wreszcie z mężczyzną. Nie ze znajomymi z dzieciństwa czy kolegami z Palais, którzy usiłowali wyciągnąć je na dwór na papierosa albo coś więcej. Nie z większością panów w sfatygowanych wizytowych garniturach, którzy wynajmowali je do tańca i stale przyciskali do siebie odrobinę za mocno. Ale z prawdziwym mężczyzną. Kimś, kto ci się podoba. Dwie ich znajome już to zrobiły – jedna z żołnierzem podczas wojny, potem musiała oddać dziecko; druga, Lucy z Palais, z facetem z Ealing, za pięć funciaków stanowiących zaliczkę na futro z foki.

Czyli nadeszła ta chwila. Przyszłość otwiera się przed Di.

– A jeżeli... no wiesz... a jeżeli wpadniesz?

– Nie wpadnę – zapewnia ją lekkim tonem Di. – Wiem, co się robi.

Hettie zamyka oczy. Widzi zaciemniony pokój hotelowy, łóżko, dziewczynę z mężczyzną. Ale nie jest to Di z Humphreym.

„Obserwuję panią przez całe dwie minuty”.

Ogarnia ją dojmująca tęsknota. Tak silna, że aż budzi strach.

– A co u ciebie? – pyta Di. – Podobał ci się Gus?

Hettie otwiera oczy, wypuszcza powietrze z płuc w ciemność. W końcu przetańczyła z Gusem wiele godzin, ale teraz ledwie może go wskrzesić: same niewyraźne fragmenty, zamazana sylwetka.

– Był... – szuka słowa – miły.

– Podobałaś mu się – mówi Di. – Widziałam.

– Hmm.

Zapada milczenie.

– Lepiej już pójdę. – Hettie niechętnie wysuwa się spod pościeli.

Spała w sukience, ponieważ gdy wróciły, w pokoju było przeraźliwie zimno. Dlatego teraz nie musi robić nic więcej, jak wsunąć stopy w pantofle, założyć kapelusz i narzucić płaszcz.

– Do zobaczenia jutro.

Obejmują się pośpiesznie; Di, ciepła i ociężała, już z powrotem zapada w sen.

Hettie idzie do drzwi, przy których leży na oparciu krzesła niedbale rzucona suknia Di. Unosi przeświecającą czarną tkaninę, czując pod palcami szeleszczące cekiny. Za jej plecami Di przewraca się na łóżku.

– Pa, pa – rzuca Hettie i wypuszcza z ręki materiał.

Po wyjściu na ulicę obwiązuje się mocniej szalikiem i mija witryny sklepu meblowego, przedziwnie wyglądające o zmierzchu: łóżka, komody i krzesła stoją w zamkniętych grupkach, jakby zajmowały się swoimi ciemnymi sprawami, w których ludzie są im zupełnie zbędni. Na końcu ulicy skręca w lewo, w Goldhawk Road, gdzie nad zamkniętymi straganami nadal unosi się zapach ryb, metaliczna woń mięsa i lekki słodkawy odór gnijących warzyw. Szybkim krokiem przemierza zabudowane niskimi domami ulicę pomiędzy Shepherd's Bush a Hammersmith. Widzi ludzi siadających do kolacji i zapalone w mieszkaniach lampy, których blask już przysłaniają zaciągane na noc kotary. Wszystko jest jak należy, wszędzie panuje ład i porządek, typowe dla Hammersmith i tak ogłupiające, że czasem, gdy nachodzą ją wyjątkowo czarne myśli, Hettie żałuje, iż zeppelin nie zrzucił bomb tutaj, tylko poleciał z nimi dalej do śródmieścia.

Przyczyna leży w tym, że ona tu nie pasuje. Jak sięgnie pamięcią, czuła to i pragnęła czegoś więcej. Czegoś, co miało ją zadowolić, gdy pracowała w domu

towarowym Woolwortha, ale tak się nie stało, choć dobrze zarabiała i chodziła w eleganckim mundurku. Co miało ją zadowolić w Palais, ale pozostawia tylko wrażenie kręcenia się w kółko, raz po raz dokoła parkietu. Di też odczuwa takie pragnienie, Hettie wie to na pewno. Tyle że Di przekuła je w pochylanie głowy i spuszczenie oczu, co przyciąga mężczyzn i pieniądze i daje możliwość ucieczki. Hettie nie ma takich umiejętności, nie potrafi schlebiać i flirtować, nawet nie jest przekonana, czy chciałaby umieć, i w rezultacie to pragnienie ciągle w niej tkwi, dojmujące, dokuczliwe.

Gdy otwiera drzwi wejściowe, uderza ją zapach gotowanej baraniny. Na wszelki wypadek zerka do lustra w przedpokoju i w duchu zanosi modły, by przygody minionego wieczoru nie były wypisane na jej twarzy.

– Het? To ty? – dobiega ją z kuchni zrzędlawy głos matki.

– Chwileczkę.

Zdejmuje kapelusz i idzie wąskim korytarzem. Matka stoi przy garnkach. Brat siedzi w samej koszuli, z łokciami na stole. Gorąco w kuchni i gotujące się jedzenie powodują, że na oknach osiada para i wszędzie czuć mocny zapach baraniny. Brat patrzy na nią szklanym, pustym wzrokiem, jak zawsze.

– Dzień dobry, mamó. Cześć, Fred.

Matka obrzuca ją spojrzeniem z góry na dół. Fred mamrocze swoje „cześć”.

– Miałaś być wcześniej.

– Naprawdę?

– Nie wiedzieliśmy, gdzie się podziewasz.

– Byłam u Di. – Hettie podnosi nogę i dotyka nią łydki drugiej nogi. –

Uprzedzałam cię, pamiętasz?

– Nie śpieszyłaś się do domu. Zastanawialiśmy się, czy coś ci się nie stało. Prawda, Fred?

Hettie zerka na brata, który nie sprawia wrażenia, żeby w ogóle nad czymkolwiek się zastanawiał.

– Dlaczego nie wróciłaś wcześniej? Ciarki mnie biorą na myśl, że idziesz wieczorem przez to targowisko.

Lepiej się nie odzywać.

– No to zdejmuj płaszcz i bierz to ode mnie.

Robi, co jej kazano: zanosi dwa talerze na stół i stawia jeden przed bratem.

– Dzięki – mówi cicho Fred.

„Dzięki”, tyle zdoła z siebie wydobyć. „Proszę” i „dziękuję”, i czasem, jeśli człowiek ma szczęście i zada bezpośrednie pytanie, odpowie „tak” albo „nie”. Poza tym wszystko trzeba z niego wyciągać. Od kiedy wrócił z Francji. Za to nadrabia w nocy. We śnie płacze i wykrzykuje imiona kolegów. Jego głos dochodzi do niej przez ściany.

– A więc wypowiedzmy kilka słów podziękowania – mówi matka, zająwszy

miejsce przy stole.

Hettie opiera brodę na splecionych dłoniach.

Tak mówił jej ojciec. „Wypowiedzmy kilka słów podziękowania”.

Był Irlandczykiem, dobrotliwym człowiekiem. Czasami spoglądał na nich ze zdumieniem, jakby nie mógł się nadziwić, że wyrzuciło go na brzeg akurat tutaj, że jego żona jest Angielką i dzieci Anglikami, że wie dzie życie z obcymi ludźmi, którzy podają się za jego rodzinę.

Hettie zamyka oczy i przez sekundę znów jest w klubie – jak gdyby wspomnienie wyświetliło się pod powiekami: murzyński wokalista, szaleńcza gra zespołu, ludzie tańczący tak, jakby naprawdę nie przejmowali się niczym.

– ...za to, co będziemy teraz spożywali...

„Przyszła pani potańczyć?”.

– ...niech Pan Bóg natchnie nas wdzięcznością – mamrocza Hettie i Fred.

Otwiera oczy. Na talerzu przed nią leży kawałek baraniny, obok bryła tłuczonych ziemniaków, a wszystko pływa w gęstym sosie pieczeniowym. Matka robi sos pieczeniowy w niedzielę wieczorem, na kościach od pieczeni. Nic zatem dziwnego, że w następną niedzielę sos, skąpo wydzielany przez cały tydzień, najbardziej przypomina to, czym w istocie jest: klej.

Matka bierze do rąk nóż i widelec, po czym zapada spokój, bryłowata niedzielna cisza, przerywana jedynie zgrzytaniem noża i widelca po talerzu.

– Widziałam na mszy tę Alice, twoją koleżankę z Woolwortha.

Hettie dziobie widelcem w jedzeniu.

„Obserwuję panią przez całe dwie minuty”.

– Hettie?

– Słucham? – Unosi wzrok. Mama przygląda jej się bacznie. – Tę Alice, której siostra umarła na gripę w tym samym czasie co tata?

Hettie ma przed oczami swojego ojca na łóżku. Jednego dnia czuł się świetnie, dzień później już nie żył, skóra mu błyszcząca, nabrała fioletowego koloru, pojawił się okropny wykwit w kolorze heliotropów rosnących w ogródku za domem. Tęskni za ojcem. Z nawiązką rekompensował jej wady matki.

– Pamiętam ją – mówi cicho.

– Wyszła za męża. Spodziewa się dziecka.

– O. – Hettie już wie, co się szykuje.

– Mówi, że jej stanowisko się zwolni.

Matka nigdy nie wybaczyła Hettie, że rzuciła posadę w dziale z artykułami gospodarstwa domowego u Woolwortha, gdzie pracowała od czternastego roku życia, i zatrudniła się w Palais. Uważała, że tamtędy prowadzi najkrótsza i najpewniejsza droga do piekła. „Na samo dno”. Matki nie zainteresowała, nie ucieszyła ani nie wprawiła w dumę wiadomość, ile dziewcząt ubiegało się o tę pracę. „Pięćset kandydatek na osiemdziesiąt miejsc”, wszystkie przesiane przez sito

w jeden dzień. Matki nie stać było na nic więcej jak tylko: „Szanująca się dziewczyna prędzej padłaby trupem, niż pokazała się w takim miejscu”.

– Wielkie dzięki, mam, ale mam pracę.

Matka burczy coś pod nosem.

Hettie dziobie widelcem w baraninie.

– Co tam u Di?

– W porządku. – Hettie wzdycha. – W najlepszym porządku.

Przećwiczona rozmowa:

„Czy ona musi mieszkać sama?”

„Nie mieszka sama, mam. Sąsiedni pokój zajmuje właścicielka domu”.

„Niemniej coś w tym jest. Przecież tak nie wypada. Wszystko może się wydarzyć”.

Nie ma sensu tłumaczyć, że właśnie o to chodzi; gdyby Hettie postawiła na swoim, też by tam zamieszkała.

Patrzy na nich – na matkę, z rzadkimi włosami ściągniętymi z tyłu w węzeł, ubraną w fartuch, którego Hettie nie znosi, ponieważ wygląda w nim na osobę, którą w istocie jest: na sprzątaczkę idącą co rano sprzątać domy innych kobiet. Patrzy na wypucowaną małą kuchnię. I na przeżuwającego Freda, który ma szklany wzrok i tak przezroczystą twarz, że niemal prześwituje przez nią ściana za jego plecami.

Na to musi oddawać ponad połowę swoich zarobków. Piętnaście szylingów co tydzień na to wszystko. W każdy poniedziałek wieczorem kładzie je na stole. Co tydzień, od kiedy jej brat wrócił do domu niezdalny do niczego, od kiedy umarł jej tata i zostawił ich samym sobie. Mieszkanie u Di kosztowałoby ją mniej. I jeszcze miałyby za co się ubrać.

„Mam nadzieję, że pani nie jest jedną z tych anarchistek”.

Oni są nierzeczywiści. Oboje. Jej matka i brat. Ta kuchnia też jest nierzeczywista. To wszystko jest nierzeczywiste.

„Też chcę wysadzić w powietrze to i owo”.

Oczami wyobraźni Hettie widzi wybuch, potężny, dom w gruzach, ulica w ogniu, nad głową wielkie rozgwieżdżone niebo, i ona, z drobinami popiołu fruującymi na włosach, wkracza w bezkresną przestrzeń.

– O co chodzi? – pyta matka.

– Słucham?

– Uśmiechałaś się.

– Naprawdę?

Matka ściąga brwi.

– Co cię tak rozbawiło?

– Nic – mówi Hettie, kręcąc głową.

Opuszcza wzrok na talerz i nabiera na widelec kawałek baraniny.

Dzień drugi

Poniedziałek, 8 listopada 1920 roku

W Saint-Pol-sur-Ternoise minęła właśnie północ. Generał brygady Wyatt wysiada z auta wojskowego. Jest dyrektorem Imperialnej Komisji do spraw Grobów Wojennych i zajmuje się organizowaniem pochówków żołnierzy armii brytyjskiej. Towarzyszy mu jego zastępca, pułkownik Gell. Podchodzą do dwóch żołnierzy, którzy trzymają straż przed barakiem. Żołnierz starszy rangą robi krok w przód i salutuje.

- Wszystko gotowe, panie generale.
- Grupy poszukiwaczy już poszły?
- Tak, panie generale.
- A przywiezionych ułożono wedle rozkazu?
- Tak, panie generale.
- Doskonale.

Wyatt mija żołnierza i wchodzi przez drzwi z blachy falistej. Za parafinową lampką, ledwie widoczną w przyćmionym świetle, leżą cztery pary noszy. Generał przystaje, słucha podmuchów i poświstów wiatru przez szpary w ścianach baraku. Po lewej stronie stoi otwarte puste pudło zwykłej drewnianej trumny, wieko jest odłożone na bok, na ziemię. Na każdych noszach, na wprost niego, coś spoczywa, przykryte flagą brytyjską.

To coś jest bardzo małe. Niemożliwe, żeby to były zwłoki. To raczej resztki czegoś, przypominające szmaty.

Generałowi przemyka przez myśl, że nastąpiła okropna pomyłka.

Ale zaraz kręci głową. Oczywiście, że to nie są ciała. Zbyt długo leżały w ziemi.

Myśli o tym, co sprowadziło go tutaj, zaledwie trzy tygodnie po decyzji Rady Ministrów: lawina depesz, zwołane naprędce i odbyte w pośpiechu zebrania nadzwyczajnej komisji poszukiwawczej, mozolne przekonywanie niechętnie nastawionego króla, że to dobry pomysł.

Oby rzeczywiście był dobry. Wyatt ma nadzieję, że wybrali właściwy kraj i że za cztery dni okaże się, iż jednak warto było to robić.

Z zewnątrz dolatuje go kasłanie kogoś z żołnierzy.

Obejmuje wzrokiem nosze, jakby chciał zachować w pamięci tę chwilę. Potem zamyka oczy i szybkim ruchem wyciąga rękę, dotykając jednych noszy. Stuka w ścianę baraku, żeby przywołać pułkownika. W milczeniu wskazuje

wybrane nosze. Razem biorą szczątki, leżące w worku zawiązanym sznurkiem na obu końcach, po czym wkładają do trumny. Przykręcają wieko śrubami i przykrywają podartą flagą. Wychodzą z baraku, wsiadają do pułkowego samochodu, który strzela raz i drugi, i odjeżdżają.

* * *

Wczesnym rankiem, gdy jeszcze jest ciemno, następnych dwóch żołnierzy zbliża się do baraku. Cała czwórka oddaje sobie honory, po czym strażnicy odsuwają się na boki.

Nowo przybyli żołnierze spoglądają na trumnę okrytą podartą flagą. Chwilę przy niej stoją, a następnie podchodzą do pozostałych noszy, tych niewybranych. Biorą pierwsze i wkładają do ambulansu. Wracają po drugie. Potem zabierają trzecie.

Przy sanitarce dołącza do nich kapelan, wyrwany ze snu, w wojskowym płaszczu narzuconym na szaty. Jadą na południe, drogą prowadzącą do Albert. Po dwudziestu minutach stają. Na skraju drogi widać duży lej po pocisku. Żołnierze przejeżdżali tędy wcześniej za dnia i zauważyli to miejsce.

Zapalają latarnię sztormową i stawiają na ziemi, tak żeby oświetlała średnio głęboki dół, szeroki na jakieś piętnaście stóp. Ostry wiatr siecze ich po twarzach. Chętnie wróciliby do koszar, do łóżek. Zsuwają pierwszy worek do dołu. Spada niemal bezgłośnie. Kiedy wszystkie worki są złożone, kapelan wysiada z samochodu. Podchodzi do leja, trzymając w ręce Biblię oprawioną w skórę. Kontury worków ledwie majaczą na dnie. Stojąc na krawędzi dołu, smagany wiatrem, który zwiewa mu włosy na czoło, odmawia krótką modlitwę. Wtedy żołnierze biorą łopaty i pośpiesznie zasypują zwłoki ziemią. Wkrótce potem trzech mężczyźni wsiadają do sanitarki i odjeżdżają.

* * *

Ada wstaje, szybko się ubiera i podchodzi do okna, żeby rozsunąć zasłony. Na ulicy panuje cisza, niebo się rozjaśnia. Pora jest wczesna; Jack już wyszedł, ale jeszcze kilku mężczyzn śpieszy do pracy. Poranne światło wypełnia pokój, pada na znajome przedmioty, rozprasza mrok minionej nocy.

Prawie nie spała. Przez cały wczorajszy wieczór omijali się nawzajem z Jackiem; miała wrażenie, że tu, między nimi w pokoju, wciąż jest ten młody mężczyzna, a także ich syn Michael, którego imię rozbrzmiewa echem, wypowiedziane pierwszy raz od trzech lat.

Ale coś ją nurtuje, gdy tak stoi tutaj, w tym zwykłym porannym świetle.

Może źle zrozumiała, co powiedział ten młodzieniec. Może usłyszała tylko to, co chciała usłyszeć. Tak już bywało.

Niezależnie od tego, czy się przesłyszała, czy nie, on tu najprawdopodobniej

nie wróci, zważywszy na okoliczności, w jakich stąd wyszedł.

Ada podchodzi do komody, na której stoi fotografia jej i Jacka równo sprzed dwudziestu pięciu lat. Oboje patrzą prosto w obiektyw, roześmiani. Bierze do ręki zdjęcie i ogląda je z bliska. To ona chciała, żeby się sfotografowali. Oszołomiona, zaraz po ślubie, zaciągnęła Jacka do atelier przy High Road, gdzie pedantyczny młody pracownik zaprowadził ich do pokoju na zapleczu i zaczął im pokazywać różne przedmioty: misia, miotełkę z piór, trąbkę rowerową. Gdy nacisnął trąbkę, roześmiali się na cały głos i w tym momencie aparat wystrzelił światłem.

Wyglądają tak młodo. Ada lekko przeciera rękawem blat komody i odstawia fotografię na miejsce. Pamięta, jak się czuła, gdy pierwszy raz szła tą ulicą do ich domu: otwierały się przed nimi drzwi jasnej i rozległej przyszłości, tylko przez nie przejść.

Dwadzieścia pięć lat małżeństwa. Uczenia się, jak żyć z drugim człowiekiem. Kochać go. Grzebać sprawy, z którymi oboje nie potrafią się zmierzyć.

Jest poniedziałek i jak w każdy poniedziałek Ada zmienia pościel. Ale tego dnia, zanim zdejmie prześcieradło, staje bez ruchu, poddaje się wspomnieniu. Spędzali tu całe niedzielne poranki, choć powinni być w kościele, jego palce w jej włosach, nogi splecione z jej nogami, ciche rozmowy. W tym łóżku rodziła, pod opieką położnej z sąsiedniej ulicy. Co za wstrząs. Zdumienie i radość na widok syna, czerwonego od wrzasku.

Odwraca się i dostrzega swoje odbicie w lustrze. Światło wpadające z ukosa przez okno nie jest dla niej łaskawe. Co on myśli, jej mąż, patrząc na nią teraz? Przykłada dłoń do twarzy, rozciąga wiotką skórę na szczęce, przez chwilę, i puszcza obwisłą fałdę.

Co się z nią dzisiaj dzieje? To z powodu tej rocznicy: przywołuje wspomnienia, odciąga ją od pracy. Ada zgarnia brudną pościel i niesie na dół, napełnia wiadra wodą z pompy na podwórku, wkłada prześcieradła do kotła, żeby je wygotować. Robi krochmal, najpierw rozrabia w zimnej wodzie, potem dodaje gorącą, płucze prześcieradła i wyżyma. Ciężka praca. Gdy kręci korbką, opada ją wspomnienie: jej syn, jeszcze mały, stoi przy niej, stara się pomóc, trzyma rozprostowane jak najlepiej prześcieradło, które ociekając z wody, przesuwają się między wałkami, gdy ona kręci korbką.

Michael.

Dech w niej zamiera na to wspomnienie.

Po chwili je odpycha i zmusza się, by nabrać powietrza.

* * *

Tego ranka kolejka jest długa. Mijając wejście do stacji metra, Evelyn widzi, jak zakręca na rogu i kończy się dopiero w połowie drogi do następnej przecznicy.

Musi przejść między tymi ludźmi, żeby dostać się do tylnych drzwi biura. Naciąga więc kapelusz głębiej na głowę i podnosi kołnierz płaszcza.

– Przepraszam.

Jasnowłosa mężczyzna odsuwa się, żeby ją przepuścić. Przeciska się koło niego, wciągając głowę w ramiona. Oddycha z ulgą, gdy dociera do drzwi biura; woli, by często bywający tu interesanci nie rozpoznawali jej na ulicy. Zdejmuje kapelusz i płaszcz, wieszając je w korytarzu i idzie do ciasnej, niewielkiej kuchni. Choć dzień jest chłodny, otwiera zacinające się okno, które wychodzi na dziedziniec za budynkiem. Stojąc w ciszy, ma wrażenie, że przyszła do pracy pierwsza, ale po chwili słyszy trzask otwieranych drzwi pokoju i kroki Robina idącego korytarzem w jej stronę.

– Dzień dobry.

Odwraca się i widzi Robina w drzwiach, barczystą postać w tweedowej marynarce i spodniach, stoi i uśmiecha się, jakby wiedział, że ten dzień przyniesie coś przyjemnego.

Irytujące. Momentalnie irytujące.

– Dzień dobry.

Odpowiada jak najbardziej obojętnym tonem. Nie ma sensu zbytnio się starać. Robin jest zupełnie nowy, pracuje tu około tygodnia. Było już wielu takich jak on. Przychodzą z uśmiechem na ustach i najlepszymi intencjami, pozostają miesiąc albo dwa; czasem, jeśli starcza im wytrwałości, nawet pół roku, a potem odchodzą, przybici monotonią, nieszczęściem i tymi ludźmi. Jeden z nich wytrzymał zaledwie dzień. Niski, czerwony na twarzy mężczyzna, który przed wojną był nauczycielem. Ktoś doprowadził go do płaczu. Gdy opuszczał biuro, zatrzymał się w drzwiach i powiedział jej, że jest głupia, że tu jest gorzej niż we Francji.

Robin pochyla się nad zlewem i napełnia wodą obtłuczony czajnik.

– Ładny dzień – mówi, z aprobatą kiwając głową w kierunku otwartego okna. – Przyjemne, rześkie powietrze.

– Nie sądzę, byś miał czas cieszyć się pogodą.

Na jego twarzy maluje się zdziwienie.

– Chyba nie. – Stawia czajnik po drugiej stronie zlewu. – Jak się miewasz?

Tyle w nim świeżości, werwy. Tyle życzliwości. Jego pytanie naprawdę brzmi tak, jakby był szczerze zainteresowany.

– Znakomicie. Wszystko w najlepszym porządku.

Robin stoi przy oknie, a ona zakłada na ramię torbę i idzie do niewielkiego biura, przed którym widać przygarbione postacie czekających mężczyzn. Pierwsi w kolejce osunęli się na ziemię, najprawdopodobniej śpią; czekają już wiele godzin. Gdy Evelyn zapala światło, siedzący na ziemi dźwigają się, popychając i trącając jeden drugiego. Słyszy wytlumione przez szybę przekleństwa.

Gdy Robin wchodzi za nią do pokoju, Evelyn sprawdza, czy ma wszystko, co do przerwy na lunch będzie jej potrzebne w pracy: zatemperowane ołówki, dostateczną liczbę kolorowych formularzy, które musi wypełnić dla każdego interesanta, zapisując każdą uwagę i każdą skargę. Różowe dla żołnierzy ze stopniami oficerskimi. Zielone dla pozostałych. Potem spogląda na zegarek. Za trzy dziesiąta. Wyjmuje pęk kluczy z górnej szuflady biurka i idzie do drzwi.

– Za wcześniej – stwierdza Robin.

– Owszem. – Evelyn odwraca się do niego. – Jesteś gotowy?

Mimo wysokiego wzrostu Robin zgrabnie okrąża biurko i sadowi się na krześle.

– Tak jest – odpowiada, salutując.

Evelyn przewraca oczami i otwiera drzwi.

Tłum ludzi napiera z tyłu i kilku otumanionych snem mężczyzn na początku kolejki chwieje się i niemal traci równowagę. Evelyn wychodzi na zimne powietrze.

– Ktokolwiek zakłóci porządek, zostanie wyproszony albo odesłany na koniec kolejki. Czy to jest jasne?

Słysząc pomruki w dalszej części kolejki.

– Czy to jest jasne?!

Pomruki cichną. Dolatuje do niej potulne „tak, proszę pani” od kilku osób. Evelyn idzie do swojego biurka, czując, jak wzbiera w niej znajome uczucie troski o tę gromadę obszarpańców. Wie jednak, że współczucie jest pułapką. Lepiej się nie wzruszać. Zwłaszcza o dziesiątej rano w poniedziałek. Bo nie dotrwa do końca tygodnia.

Przelotnym spojrzeniem obrzuca pierwszego mężczyznę, który podchodzi do jej biurka. „Po amputacji”. Sądząc po tym, jak ma podpiętą prawą nogawkę, odjęto mu nogę chyba tuż pod biodrem. Nie nosi protezy; prawdopodobnie kikut był za mały, by dało się ją dopasować. Siada na krześle przed biurkiem. Evelyn wymyśliła sobie zabawę, która polega na zgadywaniu stopnia wojskowego rozmówcy, zanim ten się odezwie. W obecnym pomundurowym świecie łatwo zidentyfikować bieguny skali, które, jak wynika z jej doświadczenia, są sztywne, jak zawsze były; inaczej rzecz się ma na odcinku pośrednim, który podlega zmianom. Najtrudniej rozpoznać lepsze sfery z awansu, ludzi, którzy zostali promowani za zasługi na polu bitwy i teraz tkwią pomiędzy warstwami społecznymi. „Lepsze sfery z awansu” – co za wredne określenie; niemniej w miarę dobrze wyraża istotę sprawy. Ten człowiek – ponad wszelką wątpliwość – nie jest z lepszych sfer, z awansu czy nie z awansu; jego ubiór i postawa świadczą o tym, że jest szeregowym w każdym calu.

Evelyn pochyla głowę i bierze pierwszy formularz.

* * *

Gdy podchodzi czwarty interesant, Evelyn wie od razu, że będą kłopoty.

– Teraz moja kolej, co? – mówi, siadając przed biurkiem.

Jest w nim coś szczególnego, jakaś pewność siebie, postawa. Czyżby oficer? Akcent nie do rozpoznania. Evelyn kładzie formularz przy krawędzi biurka. Stopień? Trudno powiedzieć: tego gościa nie potrafi rozszyfrować.

– Nazwisko?

– Reginald Yates.

– Stopień?

– Podporucznik, dawniej.

Na górze różowego formularza pisze: Reginald Yates.

– Czy to pana pierwsza wizyta w ministerstwie?

– Nie – prycha. – Bynajmniej.

Ma ostre rysy, brązowe wypomadowane włosy, gładko zaczesane do tyłu, i starannie przystrzyżone wąsy. Trudno określić jego wiek. Może mieć równie dobrze dwadzieścia pięć lat jak i dziesięć więcej. Jest jakiś niespokojny, najeżony. Evelyn nauczyła się oceniać, co może jej grozić w danej sytuacji; pewnego razu, przed rokiem, mężczyzna rzucił się z nożem na kobietę. Była jej ostatnią koleżanką z pracy. Przeleżała noc w szpitalu i już tu nie wróciła.

– Dostaję mniej – mówi interesant, wyjmując z kieszeni paczkę marnego tytoniu i z wprawą zwijając papierosa.

Evelyn podsuwa mu popielniczkę.

– To znaczy mniej pieniędzy?

– Tak.

Zapala papierosa i wydmuchuje dym, od którego szarzeje między nimi powietrze.

– Niestety, zdarza się, panie... Yates.

Odpowiada na jej spojrzenie przez chmurę dymu.

– Czy mogę zapytać, jakie pan odniósł obrażenia?

– Nie, nie może pani.

Evelyn zauważa, że nieco opuściła go pewność siebie.

– W porządku. Pana decyzja.

„A zatem w pośladki albo w krocze. O tym nigdy nie chcą mówić”.

Mężczyzna pochyla się do przodu i dźga palcem w powietrze, mówiąc:

– Ma pani wiedzieć tylko tyle, że dostawałem siedemnaście szylingów tygodniowo, a teraz dostaję mniej.

Jego akcent staje się wyraźniejszy.

– No cóż – odpowiada Evelyn – muszę panu wyjaśnić, panie Yates, że przy obrażeniach drugiego stopnia, w urzędowej terminologii, a do takich zaliczają się wszelkie uszkodzenia ciała prócz utraty kończyny, wypłata zmniejsza się po trzech

latach. Kiedy został pan ranny?

– W tysiąc dziewięćset siedemnaście.

Evelyn rozkłada ręce.

– No właśnie. Przykro mi, panie Yates. Zawsze może pan złożyć odwołanie.

Mężczyzna wypluwa drobinę tytoniu na podłogę.

– I to wszystko?

– Niestety, tak.

– Nie powie mi pani, czy dostanę więcej?

Evelyn wzdycha. Wciąż nie może się nadziwić, że tu siedzi jako rzeczniczka komitetu, dla którego każde roszczenie budzi podejrzenia, każdy człowiek symuluje, jest uznawany za winnego, dopóki nie wykaże się jego niewinności; każdy musi prosić o ochłapy rząd, który już dawno temu przestał się nim przejmować.

– Przykro mi, panie Yates, ale jesteśmy tylko pierwszą instancją. Jeśli pan sobie życzy, proszę złożyć formalne zażalenie, wtedy je zarejestrujemy i prześlemy dalej. O terminie ponownej oceny stanu pańskiego zdrowia, co będzie wymagało stawienia się na badanie lekarskie, zostanie pan powiadomiony w ciągu miesiąca.

– W ciągu miesiąca?! – naśladuje jej akcent, pochylony w przód.

Całkiem nieźle mu to wychodzi, stwierdza Evelyn.

– A co z dodatkiem? – mówi dalej. – Jak to się dzieje, że gdybym pozostał szeregowym, dostawałbym więcej? I to ma być „kraj godny swoich bohaterów”[1]?

Ma rację. Byłym szeregowym w pewnym sensie się poszczęściło; dostali niewielki zasiłek dla bezrobotnych. Taki dodatek nie przysługuje żołnierzom ze stopniami oficerskimi; uważa się, że mają przyjaciół albo własne środki. Dżentelmenów z awansu boleśnie sprowadzono na ziemię. Interesant odchyła się do tyłu i celuje w nią z papierosa, jakby zastanawiał się, czy nie strzelić.

– Pieprzona baba – cedzi przez zęby.

– Cóż – dodaje Evelyn – bezrobotne kobiety, niestety, też nie dostają zasiłku.

Mężczyzna ma taką minę, jakby chciał splunąć.

Evelyn rzuca okiem w stronę Robina, ale jest zajęty rozmową z rudym mężczyzną, który przed nim siedzi. Śmieje się z czegoś, co tamten powiedział.

– Przykro mi, panie Yates. – Evelyn przenosi wzrok na swojego rozmówcę.

– A teraz gdyby pan zechciał...

– Ile pani ma dzieci?

– To nie pańska...

– Bo ja mam pięcioro. – Kaszle, znów pochylając się do przodu i zniżając głos. – Pani nie ma ani jednego, co?

Evelyn się nie odzywa.

– Stara panna, zgadza się? Sucha jak wiór w tamtym miejscu.

Wszelkie współczucie, jakie w niej budził, już dawno jej przeszło. W wyobraźni wymierza mu cios, wbija mu ołówek w rękę.

– Założę się, że sprawia to pani wielką przyjemność. Wymądrzanie się i patrzeć na ludzi z góry.

– Oczywiście. – Odchyła się na oparcie krzesła. – Chce pan wiedzieć dlaczego?

– No, dlaczego?

Znowu się do niego przysuwa.

– Bo jestem sadystką.

Mężczyzna otwiera usta i zaraz je zamyka.

– Suka – mamrocze i wstaje, szurając krzesłem po podłodze.

– Rzeczywiście, panie Yates, jestem sadystyczną suką.

Sięga po różowy formularz i nie podnosząc głowy, odkłada go na stos dokumentów do rozpatrzenia.

– Następny, proszę!

* * *

Szerokie smugi porannego światła przecinają łóżko Hettie, dotykają twarzy na fotografiach starannie rozmieszczonych nad nią na ścianie: Vernon i Irene Castle'owie tańczący fokstrotą, Theda Bary, Lillian Gish na fotosie ze *Złamanej lilii*. Obok wisi wycięte z gazety zdjęcie Dixies, tuż przed ich wyjazdem z Londynu, w pełnym składzie: Billy Jones, Larry Shields, Emile Christian, Tony Spargo i Nick LaRocca, dzierżący trąbkę jak śmiercionośną broń.

Widać, że wszyscy są zadowoleni, szeroko uśmiechnięci tego niespodziewanie słonecznego ranka.

Hettie słyszy, jak w pokoju obok Fred szykuje się do wyjścia. Matka już poszła do pracy, na długo przed świtem. Niedługo Hettie będzie miała dom dla siebie przez kilka błogich godzin, zanim uda się o dwunastej do Palais. Zagotuje wodę i weźmie kąpiel. Ale teraz chce jeszcze poleżeć, w tym wspaniałym słońcu, i porozmyślać o spotkaniu w Dalton's mężczyźnie, o Edzie.

Zamyka oczy i stara się go wyczarować. Jego zapach. Sposób tańczenia. I sposób prowadzenia rozmowy, jakby wszystko było grą.

„Trwanie bez ruchu przez dwie minuty oznacza czajenie się”.

Jeszcze nikt tak z nią nie rozmawiał.

Czuje przez ścianę za głową, jak przy otwieraniu trzęsie się szafa Freda. Raptownie unosi powieki. Nic z tego; nie potrafi się skupić na niczym przyjemnym, gdy jej brat myszkuje tuż obok.

Tej nocy Fred znów wyrwał ją ze snu. Tym razem tylko krzyknął raz i drugi, a potem zapewne sam się przebudził, bo zapadła cisza.

Rozlega się stuk wieszaków, gdy wyjmuje marynarkę. Każdego ranka ubiera

się i wychodzi z domu, choć nie ma dokąd pójść. Nie pracuje. Nie ma pracy, od kiedy wrócił z Francji dwa lata temu w grudniu, wkrótce po śmierci ich taty. Przez wiele tygodni po demobilizacji nie opuszczał domu, przesiadywał w fotelu ojca w salonie. Gdy wracała z Woolwortha, tkwił w takiej samej pozycji, w jakiej go zostawiła. Słabe światło i ułożenie ciała powodowały, że często miała wrażenie, jakby patrzyła na zmartwychwstałego tatę. Dreszcze przebiegały jej po plecach. Fred nie ruszał się z miejsca całymi godzinami, jakby czekał, kiedy ten stary fotel powie mu, gdzie znaleźć pracę.

To od tamtej pory musiała oddawać połowę swoich zarobków. A Fred po prostu beczynnie sobie siedział.

Dawniej był inny. Nie dawało się zamknąć mu ust. Działał na nerwy. Zagarniał przestrzeń. Rozkładał części swojego roweru na całym stole w kuchni. Naśmiewał się z jej kursu tańca i kolekcji pocztówek z fotosami filmowymi. Tak jak ojciec pracował w fabryce żarówek w dzielnicy Brook Green. Co rano razem jechali do pracy rowerami. Dobrani jak w korcu maku. Czasem szli po robocie do pubu, wracali, podśpiewując, a mama udawała, że się gniewa, ale widać było, że wcale nie jest zła, ponieważ Fred zawsze był jej ulubieńcem. Miał dziewczynę, Katy, o włosach tak jasnych, że prawie białych, od której szedł zapach strużyn z ołówka, ponieważ pracowała w papierniczym przy stacji metra.

Potrafił również okazać serdeczność. Pewnego razu przyjechał z Francji na przepustkę, akurat gdy przypadają urodziny Hettie; napisał do niej, pytając, co chciałaby dostać w prezencie. Poprosiła, żeby poszli do teatru, więc kupił bilety do His Majesty's na *Chu Chin Chow*. Wtedy pierwszy raz była na West Endzie. Przedstawienie składało się z wielu piosenek i tańców, występowały nawet żywe zwierzęta. Gdy podczas spektaklu nastąpił nalot zeppelinów, oboje, zamiast zejść ze wszystkimi do piwnicy, wyszli na ulicę i wypalili na spółkę papierosa, obserwując przelatujące po późnowieczornym niebie sterowce z pękatymi brzuchami jak u ogromnych wielorybów.

„Nie mów mamie”. Fred mrugnął do niej jak do współniczki w tej przygodzie, a ona czuła się taka dorosła i przejęta i była mu wdzięczna za to wszystko.

Ale następnym razem przyjechał z Francji odmieniony. Miało się wrażenie, że już nie robi wokół siebie szumu, że uszło z niego życie i pozostała pusta, niema skorupa.

Hettie słyszy jego kroki pod swoimi drzwiami i ciche stąpanie po schodach.

– Fred! – woła.

Nie słyszy odpowiedzi, więc wstaje z łóżka i wygląda na korytarz.

Brat stoi w połowie schodów.

Hettie przechyla się przez poręcz.

– Wychodzisz?

Fred kiwa głową i kuli się, jakby przyłapano go na robieniu czegoś wstydliwego.

– Dokąd się wybierasz?

– Ja tylko... – Wzrusza ramionami i chrząka, obracając w rękach kapelusz. – Idę do pośredniaka. Zobaczę, jak się mają sprawy.

– Będziesz szukał pracy?

Zapada okropna cisza, przeciąga się, na policzkach Freda występują purpurowe wypieki.

– Chyba tak – bąka w końcu. – Tak.

Wkłada kapelusz i niemal zbiega ze schodów.

Hettie wraca do sypialni, zamyka drzwi i opiera się o nie plecami.

Fred nie chodzi do pośredniaka.

Pewnego razu widziała go, gdy był poza domem. Zwyczajnie włókł się ulicą, jak starzec. Przypomina jej niektórych mężczyzn z Palais, tych cichych, co to wynajmują dziewczyny do tańca, a potem snują się po parkiecie w milczeniu, które pokrywa ich jak błonka na powierzchni pęcherza i zasłania sprawy, o jakich nie chcą mówić.

Jej wzrok pada na sukienkę do tańca, rzuconą przy łóżku.

Gdyby Fred dostał pracę, przynajmniej miałyby trochę pieniędzy na ubrania.

Dlaczego on nie może po prostu iść do przodu?

Nie tylko on. Inni też. Ci wszyscy ekszołnierze z tekturkami na szyjach, którzy żebrzą na ulicach. Przypominają człowiekowi o tym, o czym woli zapomnieć. To już trwa dostatecznie długo. Dorastała w cieniu tego przykucniętego olbrzyma, który wysysa z życia wszystkie kolory i całą radość.

Kopnięciem odrzuca sukienkę w kąt.

Wojna się skończyła, więc dlaczego, do cholery, oni wszyscy nie idą do przodu?

* * *

– Dzień dobry pani. Czym mogę służyć?

Pomocnik rzeźnika wyciera ręce w poplamiony krwią fartuch.

– A co jest dobrego?

– Mamy ładną wątróbkę – odpowiada chłopak, naciskając palcem ciemnoczerwone mięso, z którego wycieka na tacę mała kałuża krwi.

– Poproszę trochę. I jeszcze kawałek tej wołowiny.

– Już się robi. – Pogwizdując, chłopak odwraca się i bierze nóż.

Ada wyjmuje z torebki portmonetkę. Na ladzie przed nią leży płat żeber; z jednej strony poprzerastanego tłuszczem mięsa wystają bielące się kości. Intensywny zapach coraz bardziej bije w nos. Ada przenosi wzrok na zalaną słońcem ulicę. Dwie kobiety stoją pod markizą sklepu rybnego; młody mężczyzna

przechodzi obok, odwrócony w drugą stronę.

Młodzieniec jest szczupły, ma brązowe włosy. Wygląda jak Michael. Jak jej syn.

– Pani Hart?

Sprzedawca podaje jej zapakowane mięso. Ada nie odbiera zakupów, tylko wybiega ze sklepu. W pierwszej chwili nie widzi młodzieńca, ale zaraz dostrzega tył jego głowy, jakieś pięćdziesiąt jardów przed sobą po drugiej stronie ulicy. Młody człowiek idzie dziarsko, kołyszając rękami. Ada woła za nim, ale on jest za daleko, żeby ją usłyszeć. Między nimi przejeżdża furgonetka, zasłania widok: „Mydło Sunlight dla mamy”, skromna dziewczynka w niebieskim fartuszkowi i kapelusiku trzyma w wyciągniętej ręce pudełko płatków mydlanych. Ada lawiruje za furgonetką. Znowu widzi syna: równym krokiem idzie w słońcu ulicą, zmierzając do parku.

– Michael! – woła.

Przyśpiesza, ale ma wrażenie, że on też idzie szybciej. Stara się go dogonić, nie stracić z oczu. Chłopiec wygląda dobrze. Zauważa to nawet od tyłu. Ma obie ręce i obie nogi, stąpa mocnym, swobodnym krokiem, prosto trzymając głowę, a włosy ma tak samo ostrzyżone jak w dniu, gdy widziała go ostatni raz; słońce dotyka koniuszków jego uszu; cokolwiek mu się stało, gdziekolwiek był, wyszedł z tego, żyje i ma się dobrze. Ada ponownie woła go po imieniu.

Przed sklepem spożywczym stoi nieduża kolejka. Ada przeciska się jednak między ludźmi, czuje, jak odwracają się za nią głowy. Wali jej serce, pot występuje na czoło, spływa po plecach, brakuje jej tchu, ale odległość między nimi pozostaje taka sama. Jest przekonana, że Michael wyczuwa za sobą jej obecność, bo najwyraźniej stara się dostosować krok do jej kroku, jakby prowadzili dziwną, skomplikowaną grę.

Gdy młodzieniec dociera do wylotu ulicy, można odnieść wrażenie, że się waha, w końcu staje przy sklepie żelaznym, jak gdyby nagle stracił pewność, że idzie właściwą drogą, i musiał się zastanowić.

„Skręć w lewo”.

„Idź do domu”.

Skręca w lewo, a ona woła za nim, gdy znika jej z oczu. Wiedząc, że syn zmierza do domu, uznaje, że może trochę zwolnić. Dochodząc do sklepu żelaznego, widzi jednak, że ulica przed nią jest pusta. Syn zniknął. Z naprzeciwnika zbliża się powoli staruszek, prowadzi boksera, który obwąchuje chodnik.

– Przepraszam – zwraca się do staruszka Ada, chwytając go za ramię. – Widział pan, że ktoś tędy szedł?

– Słucham?

– Widział pan tu kogoś? Chłopca? Młodzieńca?

Mężczyzna wygląda na przestraszonego, kręci głową.

– Nie, kochanieńka. Nikogo nie widziałem.

Puszcza jego rękę i opiera się o ścianę, uspokajając oddech.

– Dobrze się pani czuje?

– Tak, tak. Nic mi nie jest.

Idzie dalej, w pośpiechu, ulicą wokół parku, myśli jej się rwą. Nagle coś do niej dociera i odczuwa taką ulgę, że zbiera jej się na płacz: uprzytamnia sobie, że on na pewno pobiegł; gdy zobaczył, gdzie jest, gdy się zorientował, że ma już niedaleko, na pewno przebiegł ten ostatni kawałek drogi do domu. Ada też by pobiegła, ale zmusza się, żeby iść wolnym krokiem, ponieważ nie chce, by syn zobaczył ją na ostatnich nogach, zasapaną, niezdolną wydusić słowa. Mimo to, gdy staje pod drzwiami kuchennymi, trzęsie się tak bardzo, że potrzebuje obu rąk, żeby przekręcić klucz.

Dom wygląda tak, jak go zostawiła. Wyżymaczka stoi w kącie, powietrze wciąż jest ciężkie od pary i zapachu mydła, pranie wisi na osłonie kominka i na suszarce u góry.

– Michael! – woła. Wilgotne powietrze tłumi jej głos. Woła głośniejszym głosem: – Michael? Gdzie jesteś?

Podnosi wilgotne prześcieradła. Zagląda za krzesła w salonie. Staje na szczycie schodów do piwnicy i woła w zatęchłą ciemność.

Sypialnia na piętrze, którą dzieli z Jackiem, jest pusta. Staje na podeście, pod drzwiami dawnego pokoju Michaela, i czeka, serce wali jej jak młotem. Nic, cisza. Głucha cisza. Głucha. Ada popycha biodrem drzwi.

W pokoju jest pusto. Przystaje niepewnie na progu i po chwili wchodzi do środka.

Nie była tu od miesięcy. Z trudem oddycha. Podnosi koc i widzi, że nikt tu nie spał. Opada na kolana i wpatruje się w pustą przestrzeń pod łóżkiem. Została już tylko szafa w rogu pokoju. Gdy ją otwiera, rozchodzi się zapach nieużywanego drewnianego mebla. W środku nic nie ma. Nic prócz dwóch gołych wieszaków i tekturowego pudełka obwiązanego sznurkiem. Jest zawiązane tak mocno, że nie da się go szybko otworzyć; nikt go nie otwierał od lat.

* * *

Evelyn odpycha myśl o Reginaldzie Yatesie i pracuje nieprzerwanie; każdy interesant to kolejny arkusz papieru, każda skarga jest spisana i zarejestrowana na formularzu odpowiedniego koloru. Za kwadrans jedenasta Evelyn potrząsa dzwonkiem i zamyka na klucz drzwi przed przerwą na lunch. Z zewnątrz dolatują pomruki niezadowolenia. Bywały gorsze. Po chłodnym poranku ociepliło się, niewzyczajnie jak na tę porę roku; przez całe przedpołudnie słońce wlewa się oknem od frontu i w biurze robi się duszno. Evelyn chętnie by się przewietrzyła. Łapie sweter i papierosy, po czym wychodzi na brudny, mały dziedziniec na tyłach

budynku, opiera się o ścianę i patrzy w niebo. Wciąż boli ją szyja po tym, jak zeszłego wieczoru spała na siedząco w pociągu. Podnosi rękę i przechyla głowę na boki.

– Mogę się przyłączyć?

Odwraca się i widzi w drzwiach Robina.

– Nie wiedziałam, że palisz.

– Nie palę. Robię sobie przerwę na nabranie świeżego powietrza. –

Z uśmiechem dodaje: – Mam nadzieję, że nie przeszkadzam.

Evelyn wzrusza ramionami.

„Przerwa na nabranie świeżego powietrza”. Wyrażenie w jego stylu.

Robin staje obok niej pod ścianą.

– Co tam słyszać w szeregach?

Evelyn zapala papierosa, wypuszcza dym i rzuca od niechcenia:

– To co zwykle.

Zapada cisza. Po chwili Robin mówi:

– Miałem dość ciekawą rozmowę.

– Ach tak?

– Z człowiekiem, którego trochę znałem, jeszcze przed wojną.

– Naprawdę? – Spogląda na niego. – Skąd go znałeś?

– Wspinaliśmy się razem.

– Wspinaliście się? Na co?

– Po górach. – Uśmiecha się lekko, ze smutkiem. – Poznaliśmy się w Walii.

W schronisku w Pen-y-Pass.

Evelyn zaciąga się papierosem.

– Z pewnością było miło.

Robin nie słyszy albo nie chce słyszeć sarkazmu w jej głosie.

– O tak. Spotkaliśmy się tam w tysiąc dziewięćset dwunastym. I ponownie rok później. W ciągu dnia wspinaczka, wieczorem rozmowy przy drinku. Mieliśmy wtedy wrażenie, że wszystko jest możliwe. – Patrzy prosto przed siebie, jakby gdzieś tam była jego przeszłość, przewijająca mu się przed oczami, a nie zapuszczony dziedziniec i poczerniała od sadzy ściana. – Stracił nogę – dodaje – jak ja.

Evelyn spogląda na Robina i po raz pierwszy robi to z uwagą. Nie jest nieatrakcyjny. Wielu ludzi uznałoby go nawet za przystojnego. Jest dobrze zbudowany, ma szeroką klatkę piersiową i przyjemną twarz. Tacy mężczyźni doskonale się nadają do zdobywania szczytów. Ale jest w nim coś nie tak: stan jego zdrowia, ta uprzejmość. Na samą myśl o nim Evelyn odczuwa zmęczenie. Zerka na zegarek.

– Już czas? – Słysząc, że jest rozczarowany.

– Tak.

Evelyn gasi papierosa o mur za swoimi plecami, mija Robina i wraca do biurka.

* * *

Tekturowe pudełko leży obok niej na kocu. Ada go jednak nie dotyka. Trzyma ręce na kolanach. Ale świerzbią ją palce, w głowie jej huczy, jakby kłębił się tam rój pszczół.

Dlaczego znów go widziała? Dlaczego akurat teraz?

To przez nią samą? Ona sama go wyczarowuje? Umysł płata jej figle?

Nie. To przez tego dziwnego, jękającego się chłopaka.

Wyciąga do niej rękę.

Ucieka jak krab po podłodze.

Ada unosi głowę. Rozgląda się po pustym pokoju, gdzie jedyną oznaką tego, że mieszkał tu jej syn, są słabo widoczne ślady na ścianie po zdjęciach piłkarzy. Czubkami palców dotyka teraz tych miejsc, po kolei.

„Zapytaj mnie o nazwiska zawodników. No, pytaj, mamó”.

Dwunastoletni syn w skupieniu marszczy buzię, siedząc przy stole w kuchni, nadal w szkolnym mundurku, przy otwartych drzwiach do ogrodu, w letnie popołudnie.

„Parker,

Jonas,

McFadden,

Scott”.

Clapton Orient. „Nasi O”.

Jack zaczął zabierać syna na mecze drużyny, na jej własnym boisku, gdy chłopiec miał sześć lat; szli obok siebie, a mała rączka zaciskała się mocno na ręce taty. Od tamtej pory żaden z nich nie opuścił ani jednego meczu – jeśli pamięć jej nie zawodzi – aż do dnia, gdy w tysiąc dziewięćset piętnastym roku zawieszono rozgrywki futbolowe. Cały pierwszy skład zaciągnął się wtedy do wojska. Zamieszczono ich zdjęcie na pierwszej stronie gazety, uśmiechniętych, w mundurach. To był rok Kitchenera, jego portret rozklejono wszędzie: na omnibusach, tramwajach, furgonetkach, z każdego kawałka muru celował w przechodnia tym oskarżycielskim palcem. OJCZYŻNA POTRZEBUJE CIEBIE! Dokądkolwiek się poszło, przyciągał wzrok. Wywoływał poczucie winy. Zastanawiała się, jak oni, u licha, osiągnęli ten efekt.

Po ostatnim meczu w sezonie wszyscy zawodnicy przedfilowali wokół stadionu, a potem po High Road. Ada stała tam i przyglądała się, razem z rodziną, Michael przed nią, cała trójka machała i wznosiła okrzyki, aż do zachrypnięcia, wiwatując z tłumem.

Następnego dnia Jack odnalazł go przy biurze werbunkowym: stał w kolejce,

żeby się zaciągnąć. Wywłókł go stamtąd za ucho i zaprowadził do domu. Michael miał pianę na ustach. Nie mógł zrozumieć, dlaczego każą mu zostać w domu, gdy on musi walczyć, razem ze swoimi bohaterami.

Ależ się potem kłócili.

Pewnego razu, gdy Michael wypadł wściekły z domu, podeszła do Jacka, który stał przy zlewie, patrząc przed siebie. Położyła mu rękę na ramieniu, a on podskoczył jak oparzony.

– Czego chcesz?

– Może powinniśmy go puścić – powiedziała. – Wojna niedługo się skończy. Odwrócił się do niej.

– Wierzysz w to? Że wojna się skończy? Gdy idą do boju dzielni ludzie Kitchenera?

Zaskoczył ją pogardliwy ton Jacka. Ponieważ ona naprawdę w to wierzyła. Tego lata czuło się to wszędzie: coraz większy optymizm i nadzieję.

Wszyscy odbywali szkolenie: Parker, Jonas, McFadden, Scott i pozostali z Clapton O; również Joe White, Sam Lacock i Arthur Gillies z sąsiedztwa – chłopcy, z którymi Michael dorastał, tylko trochę od niego starsi. Wraz z milionem innych młodych mężczyzn przechodzili szkolenie, by stać się żołnierzami, którzy wygrają wojnę. Tego wczesnego pięknego lata tysiąc dziewięćset szesnastego roku całą kraj czekał, aż będą gotowi, niemal wstrzymywał oddech.

Ostrzał zaczął się w ostatnim tygodniu czerwca. W swojej kuchni w Hackney Ada słyszała odgłosy, jakby ciche dudnienie, na granicy słyszalności, dzień i noc przez tydzień. Potem ustały. Siódma rano, pierwszy lipca. Wysła na ulicę zabudowaną domami szeregowymi z brązowej cegły, niespodziewanie cichą w ten letni poranek, zalaną słońcem stojącym już wysoko na niebie. Sąsiadki też tam były. Wśród nich Ivy White. Przeszła przez ulicę do Ady.

– Stało się – powiedziała. – Tak?

Chwyła dłonie Ady śliskimi, mokrymi rękami. Całymi w mydlinach.

– Teraz ich wysła, prawda? To koniec wojny.

Ale to nie był koniec wojny. Jack miał rację. To był początek czegoś potwornego i nowego. Gazety drukowały listy ofiar, coraz dłuższe i dłuższe. Syn Ivy, Joe, zaginął, przypuszczalnie poległ. Ada widywała ją czasem, pod koniec dnia: stała przy oknie od frontu i patrzyła z nadzieją na ulicę, jakby Joe miał zaraz nadejść, pogwizdując w drodze do domu.

Nawet Kitchener zginął. Utopił się, płynąc do Rosji. Jego krążownik trafił na niemiecką minę.

Któregoś dnia pod koniec lipca tamtego roku, wróciwszy do domu, zastała Michaela przy stole w kuchni; siedział nad otwartą gazetą i obejmował głowę rękami.

– Co ci jest? – zapytała. – Co się stało?

Spojrzał na nią, poblądły, podsunął jej gazetę i wyszedł na dwór.

W pierwszej chwili nie wiedziała, na co patrzył. W końcu zobaczyła zdjęcie i podpis: „Szeregowy William Jonas z Clapton Orient”. Krucze włosy przylizane i elegancko uczesane z przedziałkiem, powaga na młodej twarzy nad wycięciem koszulki w literę V. Napisano, że poległ w okopach razem z sierżantem McFaddenem. Obok zdjęcia zamieszczono listę jego osiągnięć piłkarskich: „Środkowy napastnik, 73 wystąpienia, 23 bramki”. Z dworu dolatywały odgłosy gniewnego kopania piłki o ścianę.

Wyszła na zewnątrz, ściskając w ręce gazetę.

– Spójrz na mnie – powiedziała do syna. – No spójrzże.

Michael nie przestawał kopać piłki.

– Nie cieszysz się, że jesteś tutaj? – Mówiła piskliwie, nie panując nad głosem. Ale było jej to obojętne. – Nie cieszysz się, że tato sprowadził cię wtedy domu? Że jesteś w bezpiecznym miejscu. To mogłeś być ty.

Zastopował piłkę podeszwą i odwrócił się do Ady.

– Bezpieczne miejsce?! – prychnął. – Nigdzie nie jest bezpiecznie. Nie ma czegoś takiego jak bezpieczeństwo, rozumiesz? Nikt nie jest bezpieczny, już nie.

Weszła do domu, usiadła i położyła drżące ręce na kolanach.

Miał rację.

I wtedy już wiedziała, że to się stanie. Że to czeka ich wszystkich. Jak w Biblii, w opowieściach, które pamiętała z dzieciństwa. Jakby padł rozkaz zabicia wszystkich chłopców.

Nadeszła jesień, dni były coraz krótsze, rozpoczęto pobór. Zaczęła się modlić, choć nie robiła tego od lat. Modliła się samolubnie, gorączkowo, za siebie, za Michaela, za to, żeby wojna zatrzymała się na progu ich domu. Nie wiedziała, do kogo się modli, nie wiedziała, kto jest potężniejszy: daleki Bóg, który może jej słucha, a może nie, nienasycona wojna, której pomruki słychać tuż za furtką, czy Kitchener, którego wyblakłą już twarz na plakatach na wpół zasłaniały reklamy ovaltine i papierosów, ale palec wciąż był wycelowany, wciąż w oskarżycielskim geście zza grobu.

Urodziny Michaela przypadały dwudziestego lutego. Powołanie do wojska przyszło w pierwszym tygodniu marca siedemnastego roku.

Po odbyciu szkolenia dostał tygodniową przepustkę do domu. Wieczorem, w przeddzień wyjazdu Michaela do Francji, Ada zapukała do jego sypialni. Właśnie kończył się pakować, jego duża torba i płaszcz już czekały w korytarzu. Stał w pokoju, przy otwartym plecaku, pośród części rynsztunku. Ada obeszła leżące w równym półkolu rzeczy. Szczoteczka do zębów, mydło i mały ręcznik, dwie zapasowe sznurówki, menażka, widelec i łyżka. Przez otwarte okno wpadało blade słońce. Michael spojrzał na nią, mrużąc oczy.

– Przeprowadzasz inspekcję, mamó?

– Może.

Przysiadł na piętach.

– Prawdziwy z ciebie starszy sierżant.

Kucnęła obok niego. Podniosła mały przybornik do szycia i zaczęła obracać go w rękach.

– A więc uczą was, jak się tym posługiwać?

– Tyle o ile.

Odłożyła futeralik na miejsce, po czym usiadła na łóżku, przyglądając się synowi. Wyglądał masywniej niż przed wyjazdem na szkolenie. Jego miękkie chłopięce ciało zaczynało krzepnąć, nabierało kształtu właściwego mężczyźnie, jakim miał się stać. Patrzyła na jego głowę, jak się przechyla i opuszcza, na wąskie, długie plecy, na opaloną skórę przesuwaną się po górnym kręgu kręgosłupa. Miał coś zawieszzonego na szyi.

– Co to jest? – spytała, pokazując palcem.

Powędrował za jej spojrzeniem.

– Identyfikator.

– Mogę zobaczyć?

Wyjął go spod koszuli, wstał i podszedł.

– Jest moje nazwisko. – Wskazał na brązowy krążek z włókien azbestowych.

– Nazwa pułku. I mój numer.

Wbiła wzrok w numer. Sześć cyfr. A obok pulsująca żyła, która odmierza czas. To jej syn.

– Wszystko w porządku, mamó?

– W jak najlepszym.

Kiwnęła głową. Włożyła mu krążek pod koszulę i zapięła guziki.

Wyjechał rano, zanim na dobre wzeszło słońce. Zaproponowali, że odprowadzą go na stację, ale nie chciał. Nie upierali się. Stali w drzwiach i patrzyli, jak zarzuca plecak, potem pomachali mu na pożegnanie, zabawnej, obciążonej postaci z blaszanym hełmem podskakującym na karku. Odwrócił się, raz, na końcu ulicy, uniósł rękę w coraz jaśniejszym świetle poranka, a potem zniknął im z oczu.

* * *

Szyby brzęczą w oknach, gdy koło domu przejeżdża pociąg.

Ada stawia pudełko na kolanach. Próbuje rozsypać węzeł, ale jest taki mocny, tak ciasno zawiązany, że będzie musiała wziąć jakieś narzędzie. Chwilę się waha, ale tylko chwilę, po czym idzie na dół po nożyczki.

* * *

– Dzień dobry, ślicznotko – wita ją portier Graham, salutując zdrową ręką. – Jak się miewa moja ulubiona tancerka? Pracujesz dziś na dwie zmiany?

– Niestety.

Hettie zagląda do małego pomieszczenia, gdzie koło drzwi, przy włączonym grzejniku olejowym, siedzi Graham. Czuć tam swojski zapach: ciepłej wełny i fajki. Graham jest częścią Palais. Ten krzepki cockney z charakterystycznym akcentem, przed wojną pracownik kolei, jest skarbnicą opowieści. Mówi się, że można siedzieć godzinami w jego klitce, a gdy człowiek, mrugając powiekami, wychodzi stamtąd na światło dnia, ma dziesięć lat więcej i całą młodość za sobą.

„Powołali mnie jako jednego z ostatnich.

Nie chcieli takiego starego drania.

Jestem dumny, że na koniec ją straciłem.

Dwa dni przed zawieszeniem broni!

Widziałem ją na ziemi. Jeszcze drżała.

Poznałem, że moja, po tatuażu na nadgarstku!”.

– Wyrazy współczucia – mówi Graham.

– Muszę zarabiać. – Hettie wzrusza ramionami.

– Jak my wszyscy. Zaczekaj chwilę.

Graham wyjmuje z kieszeni puszkę, a z niej pastylkę, brunatną.

– Proszę. – Podaje jej przez okienko pastylkę mięsną Nelsona. – Doda ci siły. – Mruga do Hettie. – Dzięki niej mogliśmy iść godzinami, słowo daję. Marszobiegiem. Przez całą Francję.

Zawsze tak mówi.

– Dzięki. – Hettie wkłada pastylkę do kieszonki swetra. – Zachowam na później.

Zawsze tak robi. Tak się między nimi utarło.

Czy on się domyśla, że te małe cuchnące pastylki trafiają natychmiast do kosza na śmieci w szatni?

Ale tak się między nimi utarło i według niej wpływa to dobrze na ich samopoczucie.

– Nie rozumiem, jak wy wytrzymujecie, dziewczęta – mówi Graham, kręcąc głową. – Żeby tańczyć godzinami. W ogóle nie rozumiem.

Hettie przyjmuje to obojętnie, jakby chciała powiedzieć: co robić? Owija się ciaśniej swetrem i idzie na koniec długiego nieogrzewanego korytarza, gdzie jest jarząca się świetlówkami garderoba. Z kilku stron odwracają się ku niej głowy dziewcząt, padają powitania, gdy Hettie wiesza na drążku sztruksową torbę. Dziewczyny, które już się przebrały, siedzą zajęte pogaduszkami, paląc papierosy, wbrew zakazom wiszącym na ścianach.

Zimna szatnia w Palais jest jedną z wątpliwych zalet tej pracy. Choć nie takiego pomieszczenia można by się spodziewać, patrząc na salę taneczną, wyłożoną tapetą w chińskie wzory przedstawiające ptaki i pagody. Na zapleczu

ściany są pomalowane zwykłą farbą, na dodatek ponurego zielonego koloru. Parę dziewcząt wyskrobało swoje inicjały w tynku, który tu i ówdzie już odpada. Jakaś żartownisia napisała nawet wierszyk na ścianie, na wysokości kolan.

*Strzeż się starego Graysona,
bo kara twa zasłużona.
Klaps czeka cię srogi,
Gdy wchodzisz w te progi.
Spóźniona.*

Gdy Hettie zaczęła tu pracować, dziewczyny musiały opowiedzieć jej o Graysonie, kierowniku sali, legendarnie bezwzględny wrogu spóźnialskich, który podobno żył z mężczyzną gdzieś w Acton Town. Chłopcy zapewniają z całą mocą, że nieustannie posyła im przeciągłe spojrzenia.

Hettie zdejmuje sweter, bluzkę i spódnicę, wiesza ubranie na drążku i wkłada sukienkę do tańca, drżąc na myśl, że zaraz zmarznie. Dopóki w ogromnej sali nie zrobi się tłoczno pod koniec tygodnia, trzeba będzie znosić zimno. Kierownictwo nie pozwala wnosić na salę sweterków, więc dziewczęta chwytają się najróżniejszych sposobów: podszywają sukienki dodatkowymi warstwami materiału albo noszą dwie pary pończoch, ale wszelkie sztuczki na niewiele się zdadzą zimą, w poniedziałkowe popołudnie; pozostaje żyć nadzieją, że będą miały klientów i dużo tańczyły, byle tylko nie siedzieć za długo bez ruchu.

– Cześć, Hettie!

– No i jak? Dostałyście się do środka? Do Dalton's? W sobotę?

Odwraca się i widzi wianuszek dziewcząt o twarzach pełnych oczekiwania, niczym głodne zwierzęta czekające na ochłapy.

– Tak, byliśmy tam.

– Więc naprawdę istnieje?

– Istnieje, jak najbardziej. Choć jest trochę schowany, z zewnątrz można go nie zauważyć.

Dziewczęta wypuszczają powietrze, zdawałoby się jednocześnie, i Hettie prawie czuje na sobie ich oddech, ozłacający ją obłok ich zazdrości. Zastanawia się, czy nie powiedzieć o gościach, o tym, że ci ludzie tańczyli tak, jakby nic ich nie obchodziło, ale jest to za trudne do wyjaśnienia.

– A zespół? Byli tacy dobrzy jak Dixies?

– Kapitalni.

– A facet Di? Jaki on jest?

– Zakochany. Do tego bogaty.

Dziewczęta wzdychają, znów siadają przed lustrami, sięgając po puderniczki i papierosy, robiąc ostatnie poprawki przy makijażu i fryzurach. Hettie wyjmuje z torby pantofle do tańca i przysiada, żeby zapiąć sprzączkę, opromieniona

blaskiem uznania. Pierwszy raz jest obiektem zawiści. Może to nieładnie, ale sprawia jej to przyjemność.

Di wpada w ostatniej chwili; krzywiąc się, zrzuca płaszcz i ledwie zdąży się przebrać w błyskawicznym tempie, gdy otwierają się drzwi, zza których wyłania się głowa Graysona.

– Panie, już czas. – Grayson klaszcze w dłonie. – Na parkiet. – Wsuwa głębiej głowę i z teatralną przesadą pociąga nosem. – Jeżeli przyłapię którąś na paleniu, potrączę jej tygodniówkę.

Dziewczyny, Hettie i Di jako ostatnie, wychodzą na chłodny korytarz, chłopcy opuszczają garderobę po drugiej stronie. Dwunastu, wszyscy w garniturach, gotowi do pracy na popołudniowej zmianie.

Znajome doznania ścierają się w sercu Hettie, gdy tancerze wkraczają przez duże dwuskrzydłowe drzwi na salę. Bez wątpienia Palais to okazały lokal. Cały wystrój jest w stylu chińskim: nad parkietem wisi dach pagody, wokoło są panele ze szkła i laki, przedstawiające chińskie sceny; sufit wspierają wysokie czarne kolumny, na których widnieją olśniewające złote litery. Na środku parkietu stoi miniaturowa góra, po której ścieka woda z fontanny na szczycie. Pod jedną z dwóch małych kopii świątyń rozgrzewają się muzycy.

Pierwszy raz zobaczyła Palais, gdy przyszła na przesłuchanie pewnego zimnego styczniowego dnia. Niektóre części budynku wciąż były ogrodzone linami, a odgłosy młotków i pił towarzyszyły bębnieniu w pianino, gdy Grayson kazał maszerować pełnym nadziei tancerzom przed srogo wyglądającą panią, która wykrzykiwała polecenia i w jeden dzień przetrzebiła grupę pięciuset kobiet i mężczyzn do osiemdziesięciu.

Już wtedy czuło się, że ten lokal, choć jeszcze nieukończony, zalatujący wiórami i oheblowanym drewnem, będzie wyjątkowy.

We wszystkich miejscowych gazetach pojawiły się reklamy:

PALAIS DE DANSE! SENSACJA W LONDYNIE!

Największy i najokazalszy pałac tańca w Europie!

Dwie orkiestry jazzowe.

Instruktorzy i instruktorki tańca.

Strój wieczorowy nie obowiązuje.

Hettie wycinała te reklamy z gazet i zostawiała na stole w kuchni, żeby przeczytała je matka.

W weekend po otwarciu przyszło sześć tysięcy ludzi. Widząc pierwszy raz cały splendor sali, rzeczywiście można było się poczuć jak w pałacu. Jednak Hettie szybko się zorientowała, że nic z tych wspaniałości nie powstało dla dobra personelu. Wszystko zrobiono z myślą o gościach, o ludziach, którzy płacili te dwa szylingi i sześć pensów. Na Hettie, Di i pozostałych tancerzy czekała zagroda.

I wciąż czeka.

Wchodzą gęsiego, mężczyźni po jednej stronie, kobiety po drugiej, z pochylonymi głowami, a Grayson sprawdza, czy nie mają swetrów, sterczących chusteczek do nosa, przygarbionych pleców, niedozwolonych papierosów lub robótek na drutach, które mogłyby uprzyjemnić tancerkom czas oczekiwania na klientów. Przeczesuje wszystkich wzrokiem; „generał Grayson” – tak go nazywają chłopcy, zwłaszcza ci, co byli we Francji.

Dwunastu panów, dwanaście pań na jednej zmianie.

Dwadzieścia tańców po południu (godz. 15-18),

dwadzieścia pięć wieczorem (godz. 20-24).

Jeden taniec – sześć pensów.

– Cholernie tu dzisiaj zimno – szepcze Di, gdy kierownik przechodzi obok niej.

Grayson przystaje. Powoli odwraca się, a Di patrzy na swoje ręce. Ale on nie ma czasu jej skarcić, bo już otwierają się ciężkie drzwi i wpływa fala gości, setki ludzi, nawet w poniedziałkowy wieczór, głośno stąpają po drewnianej podłodze na legarach.

Orkiestra zaczyna trochę nierówno i pierwsze pary dzielnie wchodzą na parkiet. Na początku zawsze grają walca. Hettie wsuwa dłonie pod pachy, żeby nie zmarzły, i ogarnia wzrokiem niezachęcający widok. Jeśli gościom Palais w ogóle chce się ubierać w stroje wieczorowe, to na pewno nie w poniedziałek. Na parkiecie rozlewają się plamy brązu, czerni i szarości, panowie mają na sobie biurowe garnitury, panie najczęściej bluzki i spódnice.

Parkiet przecina matrona w wełnianym kostiumie, zdecydowanym krokiem zmierzając w kierunku zagrody dla tancerzy. Di szturcha Hettie, chichocząc pod nosem.

– O, jest.

W zagrodzie po drugiej stronie Simon Randall prostuje plecy, ukradkiem spluwa w rękę i przygląda włosy. Kobieta staje przed nim, z udawaną nieśmiałością podając mu bilet. Simon z uśmiechem na ustach bierze bilet i otwiera bramkę. „Wynajęty”. Simon należy do najpopularniejszych tancerzy; na dwa popołudnia w tygodniu wynajmuje go ta sama kobieta, płacąc jedenaście szylingów za każdym razem. Nie licząc napiwków.

Tłum się rozproszył, jedni siedzą przy stolikach, inni kupują drinki w małych stoiskach po bokach parkietu. Obszerna sala wypełnia się, przybywa tańczących par, muzyka brzmi mocniej, popołudnie nabiera kształtu. Hettie dostrzega wysokiego mężczyznę, który powoli przesuwają się wśród tłumu po przeciwnej stronie parkietu. Siada prosto i pochyla się do przodu, czując, jak wali jej serce; mężczyzna przypomina tamtego. Eda z klubu Dalton's.

„W Palais? Raz tam byłem”.

Zaciska rękę na barierce. Czyżby przyszedł tu do niej?

Gdy mężczyzna wchodzi na parkiet, Hettie, chcąc mu się przyjrzeć, wychyla się jeszcze bardziej, niemal wstaje, po chwili przekonuje się jednak, że to nie on. Mężczyzna, pomijając wysoki wzrost, w niczym nie przypomina tamtego; ten idzie niepewnym krokiem, powłócząc protezę. Można ich rozpoznać na odległość. Z nimi trzeba uważać; nadeptują człowiekowi na nogę, nawet o tym nie wiedząc.

– Co jest? – pyta szeptem Di.

– Nic. – Hettie kręci głową, rozzłoszczona.

Ale mężczyzna już zwrócił na nią uwagę i kieruje się w jej stronę. Hettie zna ten sposób bycia: klient wygląda na niezdecydowanego, cicho poświstuje przez zęby, jakby chciał pokazać, że nie wie, o co w tym wszystkim chodzi.

– Dzień dobry – mówi, z rękami w kieszeniach.

– Dzień dobry.

– Ile kosztuje to błazeństwo?

– Sześć pensów – odpowiada Hettie.

– Sześć pensów? – Mężczyzna robi niezadowoloną minę i lekko podnosi głos. – Dopiero co zapłaciłem dwa szylingi i sześć pensów za wstęp.

– Jeżeli nie chce pan płacić, to proszę przyjść z partnerką – wtrąca się Di.

Jego twarz oblewa się purpurowym rumieńcem.

Hettie czuje się okropnie. Serce jej się ściska – na myśl o nim, o niej samej, o tym, jak działa ten cholerny interes.

– Tam pan kupi bilet – odzywa się łagodnie, wskazując stoisko po swojej lewej stronie. – Teraz będzie fokstrot.

Mężczyzna przełyka ślinę.

– Jeszcze tu wrócę – mówi agresywnym tonem, chcąc sprowokować jej sprzeciw.

– Doskonale. – Uśmiecha się do niego. – Bardzo proszę.

Mężczyzna odchodzi, cały sztywny, jakby w obawie, że jeśli z czymś się zderzy, to on sam i jego godność rozsypią się po podłodze.

Di prycha z pogardą.

– Będzie fura śmiechu.

– Łatwo ci mówić – burczy Hettie. – Ale ja muszę zarabiać. Nie mam faceta, który kupi mi to, czego potrzebuję.

Usta zdumionej Di układają się w małe „o”.

– Co cię napadło? Wstałaś z łóżka lewą nogą?

Hettie wzrusza ramionami. Sama nie wie, dlaczego irytuje ją dzisiaj Di. I Palais. I to wszystko. Gość wraca z biletem w ręku. Hettie odbiera bilet, wkłada do woreczka i wychodzi przez małą metalową furtkę. Uśmiecha się do mężczyzny, wcale nie na pokaz, ponieważ tak naprawdę Bóg jeden wie, ile wymaga od każdego

z nich przyjdzie tutaj samemu.

Unosi ręce i otwiera dłonie.

Na tym to polega: wynajmują cię i tańczysz. Jeżeli jesteś miła dla klienta, a jemu pasuje twój sposób poruszania się, poprosi cię do następnego tańca, co oznacza kolejne sześć pensów, i tak to się toczy. Kierownictwo zabiera połowę twoich zarobków, więc opłaca się być miłą.

Gdy klient przyciąga ją do siebie, Hettie czuje, że jego ręce są lepkie. Zalutuje od niego potem, suterenową stęchlizną i znoszonym ubraniem, które należałoby wyprać. Do mężczyzny z Dalton's tak mu daleko jak to tylko możliwe.

Podobnie jak jej.

Rozbrzmiewa muzyka i zaczynają tańczyć.

* * *

O trzeciej po południu w kolejce czeka już tylko pięciu, może sześciu interesantów. Evelyn ledwie tłumi ziewanie. Mężczyzna na przedzie mierzy ją wzrokiem, niezdecydowany, kołysząc się lekko na boki, jakby poruszała się pod nim ziemia.

„Nerwica frontowa”.

„Szeregowy”.

– Proszę wejść – mówi Evelyn. – Niech pan usiądzie.

Interesant przysiadł na krawędzi krzesła przed jej biurkiem.

– Imię?

– Rowan.

Evelyn odkręca skuwkę pióra.

– Nazwisko?

– Hind.

Nazwisko jest takie urocze[2], że Evelyn nieruchomieje. Łania, złota figurka, a jak żywa. Unosi wzrok, spoglądając uważniej niż zazwyczaj, szukając w jego twarzy podobnego piękna. Nie jest jednak urodziwy: w za dużym garniturze, otrzymanym przy demobilizacji, z lewą ręką na brudnym temblaku, wygląda jak pomarszczeni, postarzali ludzie, którzy zawsze żyli na krawędzi. Jeden z tych bywalców garkuchni.

– Stopień?

– Szeregowy, proszę pani. Dawniej.

Pióro skrzypi na papierze. Popołudniowe słońce grzeje ją w policzek. Oby po pracy było jeszcze dość widno, żeby mogła pójść do domu przez park.

– Czym mogę panu służyć?

– Przechodziłem tędy – mówi mężczyzna. – I ja... ja...

Evelyn odchyła się do tyłu. Przywykła już do tego jąkania się, zacinania. Potrafi zdobyć się na ciepłość, gdy chce; potrafi być życzliwa. Rowan Hind

patrzy w dół i milknie.

– Pani palec – odzywa się po chwili, widząc jej rękę.

– Tak?

– Jak to się stało? – Jego blade oczy napotyka ją jej wzrok.

Jest w tym człowieku coś dziwnie pociągającego, rozbijającego, więc postanawia powiedzieć mu prawdę.

– Wypadek w fabryce.

– Podczas wojny?

Kiwa głową.

– W fabryce amunicji? – pyta mężczyzna.

– Tak.

– Domyśliłem się. – Na jego twarzy widać zadowolenie. – Kanarek[3], prawda? Wciąż ma pani trochę żółtą twarz.

– Ach tak? – Bolało? Na pewno bolało.

Evelyn patrzy na miejsce po straconym palcu i swoją dłoń odruchowo obejmującą kikut w ochronnym geście.

– Bolało – potwierdza. – Choć nie w pierwszej chwili.

W pierwszej chwili się roześmiała. Widok był zaskakujący: palec. Jej palec. Dopiero co połączony z ręką. I ten dziwny, przedłużający się moment, zanim krew trysnęła na fartuch i na twarz. Pamięta, że odwróciła się do kobiety, która siedziała po lewej stronie, i zobaczyła krople krwi na jej twarzy. Przeniosła wzrok na maszynę, która wciąż pracowała, palec tkwił wewnątrz, białe ścięgno ciągnęło się jak klej. Ktoś krzychał. Potem wszystko zniknęło w ciemności. Gdy się ocknęła, miała już zabandażowaną rękę i jechała karetką do szpitala.

Siedzący przed nią pan Hind kiwa głową.

– Też to widziałem. Koledzy tracili rękę albo nogę i na parę sekund kompletnie głupieli. Gdyby była pani w wojsku – pochyła się ku niej konspiracyjnie – dostałaby pani dożywotnią rentę.

– No tak. – Uśmiecha się z żalem. – Trudno.

Widzi, że następny mężczyzna w kolejce przestępuje z nogi na nogę.

– Chodzi o zażalenie? – pyta. – Z tym pan tu przyszedł?

Rowan Hind jakby się zastanawia, po czym mówi:

– Nie, chodzi o coś innego.

Evelyn czeka na wyjaśnienia, ale on tylko siedzi i wpatruje się w swoje ręce.

– Ma pan teraz pracę?

– Tak. – Spogląda na nią. – Jestem domokrażcą.

– Odpowiada to panu?

Mężczyzna unosi kciuk do ust i przygryza skórę przy paznokciu.

– Ani trochę.

Oczywiście, że nie. No bo czy ludzie traktują go miło, gdy puka do ich

drzwi? Domokrążca. Mały pan Hind.

– Ale nie o to chodzi – mówi dalej. – Mam inną sprawę.

– Słucham.

– Chcę odnaleźć swój pułk. I kapitana. Nie wiem, gdzie szukać... Gdy przechodziłem tędy, zobaczyłem tabliczkę. Służyłem w siedemnastym batalionie pułku z Middlesex, wie pani, razem z ludźmi z Camden, w czasie wojny.

– Rozumiem. – Bierze z biurka kartkę i sięga po pióro. To nie należy do jej obowiązków, ale mając służbową legitymację, zawsze może pójść do archiwum. Od czasu do czasu można przecież nagiąć przepisy. – To nie powinno być trudne. Zakładając, oczywiście, że mężczyzna, o którego chodzi, wciąż żyje. Najpierw poproszę o pana adres. – Odkręca skuwkę pióra.

– Grafton Street numer jedenaście, w Poplar. – Mężczyzna pochyła się do przodu, uważnie patrząc, co ona pisze.

– I jeszcze pana pułk.

– Siedemnasty batalion pułku z Middlesex.

Evelyn wszystko zapisuje.

– Kiedy odbywał pan służbę?

– W tysiąc dziewięćset szesnastym do siedemnastego.

– I w siedemnastym zwolniono pana z przyczyn zdrowotnych?

– Tak.

– Jakich doznał pan obrażeń?

Pan Hind odpowiada z wahaniem:

– Ręki.

– To widzę. – Czekaj na dalsze informacje. – Może pan nią poruszać?

– Nie.

Ponieważ nadal nie podaje szczegółów, Evelyn zaczyna to lekko irytować.

– Przejdźmy do pańskiego kapitana.

– Dobrze.

– Jak miał na nazwisko?

Na jego twarzy drga mięsień.

– Montfort – odpowiada.

W pierwszej chwili Evelyn sądzi, że się przesłyszała.

– Kapitan Montfort – powtarza mężczyzna, czekając, żeby to zanotowała.

Evelyn spogląda na pióro, które trzyma w ręce i przyciska do kartki.

Atrament spływa nierówno do szarych żyłkowanych rowków i dolinek. Odrywa stalówkę od papieru.

– Kapitan Montfort? – upewnia się.

Rowan Hind kiwa głową.

– Przykro mi. – Odchyła się do tyłu. – Niestety, nie będę mogła panu pomóc.

– Że co? Jak to?

– Zajmujemy się tutaj tylko rentami. Rentami i dodatkowymi świadczeniami. Nie jesteśmy biurem osób zaginionych. – Bierze kartkę ze stosika na biurku, odwraca ją, po czym otwiera małą książeczkę oprawioną w skórę i przepisuje z niej adres. Wszystko robi powoli i uważnie, starając się pewnie trzymać pióro. – Sądzę, że najlepiej byłoby skontaktować się bezpośrednio z siłami zbrojnymi. Tu ma pan wszelkie informacje.

Mężczyzna patrzy na kawałek papieru w jej ręce z taką miną, jakby litery były napisane w obcym alfabecie.

– Ale. – Spogląda na Evelyn. – Mówiła pani, że się tym zajmie. Przed chwilą powiedziała pani, że mi pomoże.

– Przepraszam, myliłam się.

Nie odrywa od niej wzroku. „On wie, że kłamię”, myśli Evelyn. Wytrzymuje jego spojrzenie. Głowa zaczyna mu się trząść.

– Panie Hind?

Drgawki są coraz silniejsze, obejmują całe ciało. Rowan porusza się jak wyskakujący z pudełka pajacyk na sprężynie, ma wykrzywioną twarz, potworną. Evelyn widziała już takie napady. Wygląda to okropnie, ale nie da się nic zrobić, trzeba tylko czekać. Wbijają paznokcie w dłonie i odwraca głowę, wpatrując się w poplamiony brązowy dywan pod stopami.

– Wszystko w porządku?

Podnosi wzrok i widzi Robina, który stoi tuż przed nią i trzyma rękę na ramieniu pana Hinda. Przez chwilę ma wrażenie, że zwraca się do niej, ale zaraz słyszy:

– Już dobrze, stary, już dobrze. – Robin mówi przyciszonym głosem, jakby uspokajał zwierzę, powolnymi ruchami gładząc niskiego mężczyznę po plecach. Przy nim wygląda potężnie, jak niewzruszony dąb. – O właśnie. Tak. Już dobrze.

Napad powoli mija, Rowan ciężko oddycha, ale odzyskuje panowanie nad sobą. Robin odsuwa się od niego o krok, dając mu więcej przestrzeni i tworząc trójkąt między Evelyn, Rowanem i sobą. Wkłada ręce do kieszeni.

– Wszystko w porządku, kolego?

Rowan wbija wzrok w podłogę.

– Tak, proszę pana. Bardzo pana przepraszam.

– Nie ma powodu przepraszać – mówi spokojnie Robin i zwraca się do Evelyn: – Jak się czujesz?

– Dziękuję. Czujemy się świetnie – odpowiada szorstkim tonem.

– To dobrze.

Obrzuca ją spojrzeniem i wraca do swojego biurka. Evelyn patrzy za nim, gotując się z wściekłości; oni robią to ciągle, w różnych sytuacjach. Nic tylko ją pouczają. Nie znosi tego ponad wszystko. Pracuje tu od dwóch lat; jest urzędniczką z najdłuższym stażem. Odwraca głowę i napotyka wlepione w siebie oczy Rowana.

– Pani... – mężczyzna mówi powoli, jakby pchał przed sobą słowa przez coś gęstszego niż powietrze – pani wyglądała zupełnie jak on, przed chwilą.

– Jak kto?

– Ten człowiek. Ten, którego szukam.

– A więc. – Evelyn przesuwając kartkę po blacie biurka w kierunku Rowana – ci ludzie powiedzą panu, czy... człowiek, którego pan szuka, wciąż żyje.

* * *

Trumnę załadują do ambulansu wojskowego o numerze 63638. Razem z ziemią z sześciu pól bitewnych, o objętości sześciu baryłek, co w sumie daje sto worków. Ambulans rusza długą, prostą drogą na północ, w stronę wybrzeża. Towarzyszy mu eskorta wojskowa: dwa samochody z przodu, jeden z tyłu. W każdym siedzi w milczeniu czterech żołnierzy, którzy trzymają czapki na kolanach.

Tutejszy krajobraz, choć nadal spustoszony przez wojnę, bardziej niż tereny nad Sommą, niżej na południe, przypomina wiejskie okolice. Tu znowu widać w gospodarstwach oznaki życia. Tu, nawet po tym wszystkim, pola wciąż wyglądają jak pola, jak obszar, na którym coś może wyrosnąć.

Konwój mija rolnika idącego za pługiem. Mężczyzna patrzy na wojskowe samochody i poobijany stary ambulans. Zaledwie poprzedniego roku wrócił do tego gospodarstwa. Był ranny pod Verdun i stracił oko; gdy zwolniono go ze służby, w głębi duszy odczuł ulgę. Uznał, że utrata oka jest niewielką ceną za zachowanie życia. Opuścił jednak swoje gospodarstwo i zamieszkał u teścia w Burgundii po niemieckim natarciu w tysiąc dziewięćset osiemnastym, po tym, jak Niemcy popędzili do przodu, prowadząc tamtą wiosenną ofensywę, i zarekwirowali jego dom, piwnicę i ziemię. Po tym, jak wypili wszystko co do kropli, zabili i zjedli wszystkie kury, oszołomieni dostatkiem, wygłodzeni za linią frontu. Po tym, jak spili się tak, że obudzili całą jego rodzinę, gdy z wrzaskiem, nadzy, zataczali się na podwórzu, trzymając hełmy przy kroczu, a butelki po winie turlały się po ziemi. Wtedy doszedł do wniosku, że jest po wszystkim. Że Niemcy są skończeni. Że udało się powstrzymać natarcie z powodu tych pijanych, wygłodniałych chłopców.

Takie obrazy wojny nosi w pamięci. Teraz pragnie tylko jednego: żeby dano mu spokój. Chce zorać pole i nie natrafić na pozostawioną tu amunicję. Zna wielu rolników, którzy stracili rękę czy nogę, albo spotkało ich coś jeszcze gorszego, gdy starali się jak najlepiej wykorzystać swoje pola.

Zastanawia się, kogo wiozą przejeżdżające samochody: może zagranicznego dygnitarza? Ale zaraz porzuca tę myśl. Wraca do pracy, zgarbiony, w drobnym deszczu, który pada z szarego nieba, i wyobraża sobie, jak razem z żoną je kolację przy kominku.

* * *

Szybkim, zdecydowanym ruchem Ada przecina węzły. Sznurek opada, a nad nim unosi się malutki obłoczek podobny do dymu.

Na wierzchu są listy Michaela do niej i Jacka, dwa grube pliki, każdy też owinięty sznurkiem z końcami związanymi na supeł. Wyjmuje listy i kładzie obok siebie na łóżku. Jeszcze nie teraz.

Pod nimi leży stosik luźnych widokówek. Jedna przedstawia kościół. W prawym dolnym rogu jest napisane: „Albert”. Na szczycie dzwonnicy widać posąg kobiety z dzieckiem; kobieta ma wyciągnięte ręce i trzyma wiszące w powietrzu dziecko. Na odwrocie, ręką jej syna:

Ta kobieta to Maria Panna. Stoi wychylona tak od paru lat. Ludzie mówią, że gdy spadnie, skończy się wojna. Módl się, mamo, żeby spadła, gdy będziemy wygrywać!

To była pierwsza pocztówka, którą jej przysłał po przyjeździe do Francji w tysiąc dziewięćset siedemnastym roku, i od dnia, gdy nadeszła, wisiała na ścianie w kuchni. A jednak budziła w niej jakiś niepokój; coś w tej kobiecie, zawieszona w powietrzu i kurczowo trzymającej swoje dziecko, przypominało ją samą.

Miała w domu mapę, taką jak wszyscy jej znajomi, bezpłatny dodatek do „Daily Mail”; miasto Albert znajdowało się w samym środku strefy brytyjskiej, zaznaczone na czerwono. Ada obwiodła je kółkiem. Teraz mogła przynajmniej wyobrazić sobie gdzieś Michaela, spojrzeć na kościół i zobaczyć coś, co on widział. Poza tym dobrze się nazywało, jak po angielsku; Albert, łatwe do wymówienia, w przeciwieństwie do innych miejscowości na mapie: Ypres, Thiepval, Poperinghe. Nie miała bladego pojęcia, jak się wymawia te nazwy.

Przekłada rzeczy w pudełku. Wysuwają się kolejne widokówki: rzeka, na brzegu ludzie w letnich strojach urządają sobie piknik. Na dole podpis: „Somma”. Z tyłu widokówki Michael napisał: „To już tak nie wygląda!”. Pamięta, co zrobiła, gdy odebrała tę pocztówkę: bacznie przyjrzała się twarzom ludzi na brzegu i z ulgą stwierdziła, że Francuzi aż tak się nie różnią od jej rodaków.

Ostatnia widokówka przedstawia brukowaną miejską ulicę. Na odwrocie coś się przykleiło, wierzchem do góry. Zdjęcie Michaela. Ada delikatnie je odrywa. Już sobie przypomina: przysłał je niedługo po przyjeździe na miejsce, razem ze zdjęciem, które stoi oprawione w salonie na dole. Zapewne były zrobione jedno po drugim, przez tego samego fotografa, bo na obu widać identyczne tło, pomalowaną ścianę. Na zdjęciu Michael się nie uśmiecha, patrzy nieufnie, zarys postaci jest nieostry, więc trudno dostrzec krawędź munduru na tle ściany. Ada jest przekonana, że syn się ruszył, gdy opadła migawka, mimo to nie lubi tego zdjęcia. Ma wrażenie, jakby on już prznosił się w przyszłość, w której nie będzie istniał.

Pod spodem leżą cztery mniejsze kartki pocztowe jasnobrażowego koloru.

Nie ma na nich obrazków, natomiast na każdej jest wydrukowane to samo, po lewej stronie, od góry do samego dołu:

U mnie wszystko dobrze.

Leżę w szpitalu

\7b

chory

\7d

i czuję się coraz lepiej.

ranny

i mam nadzieję, że niedługo zostanę wypisany.

Odsyłają mnie do bazy.

\7b

list/listy z dn.

\7d

Dostałem twój

depeszę z dn.

paczkę z dn.

Wyślę do ciebie list możliwie jak najszybciej.

Nie dostałem od ciebie listu

\7b

ostatnio

od dawna.

TYLKO

\7d

PODPIS

Data.....

Dwie pierwsze kartki zostały wysłane w czerwcu tysiąc dziewięćset siedemnastego roku, ledwie ruszył do walki. Ada pamięta, że przez ponad tydzień nie dostali listu, potem zaczęły przychodzić te kartki, dzień po dniu, a na nich wszystkie zdania były skreślone oprócz: „U mnie wszystko dobrze”.

Co za ulgę jej przynosiły, chociaż mówiły tak mało.

Gdy w końcu opublikowano listy ofiar w jego kompanii, rzuciła się do gazety i wodziła palcem po spisie nazwisk, gorączkowo sprawdzając, czy nie ma go wśród rannych i zabitych. Nie znalazła. Ale i tak musiała czekać tydzień, zanim dostała od niego prawdziwy list. Nim to się stało, dowiedziała się z gazet, że na dwustu żołnierzy pozostało przy życiu pięćdziesięciu, i starała się zrozumieć, co to oznacza.

Wtedy już zdawała sobie sprawę, że to, co zobaczył jej syn, przeniosło go gdzieś daleko, poza jej zasięg.

W pudełku leży jeszcze jedna kartka pocztowa z pola walki. Z datą czternasty września tysiąc dziewięćset siedemnastego roku. Przyszła po dwóch tygodniach jego milczenia. Przez te dwa tygodnie ona napisała do niego cztery razy. Przez te dwa tygodnie, gdy co rano stuknęła klapka przy otworze na listy, biegła na korytarz; co wieczór Jack wchodził do kuchni, mnąc czapkę i udając, że nie patrzy, czy czeka na niego list od syna oparty o dzbanek z herbatą. Na tej kartce pocztowej widniały te same słowa:

U mnie wszystko dobrze.

To była ostatnia wiadomość od niego: z czternastego września tysiąc dziewięćset siedemnastego roku.

Przewertowali gazety, ale tym razem nic nie napisano o jego kompanii. Ani o działaniach, w których brała udział. Nie podano żadnej informacji.

Na dnie pudełka leży list w małej brązowej kopercie. Ada bierze go do ręki.

Jak na rzecz o takim ciężarze, w ogóle nic nie waży.

Przyszedł we wrześniu, w słoneczny, ciepły poniedziałek. Wieszala wyprane prześcieradła. Wszystkie sąsiadki stały na dworze i robiły to samo, w ogrodach furkotały na sznurkach białe girlandy. Nie usłyszała stuku klapki przy otworze na listy, a gdy weszła do ciemnego korytarza, ledwie dostrzegła prostokątny kształt na wycieracze. Podniosła list i zobaczyła urzędowy stempel pocztowy i nazwisko Jacka wydrukowane czarną czcionką. Wypuściła list z rąk i od razu wyszła z powrotem na dwór.

Słońce biło w biel prześcieradeł na jej sznurku i w ciągnących się rzędem ogrodach, jakby wszystkie kobiety w Londynie naraz się poddawały. Przed nią stała klatka na króliki, którą Jack miał zreperować, ale wciąż nie mógł się do tego zabrać. Ada wpatrywała się w dziurę między sześciokątną siatką a ramą z surowego drewna. Przed laty przyszedł lis i rozdarł siatkę. Obok klatki spał rozleniwiony ciepłem kot sąsiadów, brzuch unosił mu się i opadał na słońcu.

Następne, co pamięta, to że stała w kuchni, dokoła niej wydłużały się cienie, a potem wszedł Jack. Podawał jej list. Mówił jej, żeby usiadła.

– Nie otwieraj – powiedziała.

Ale on otworzył. Obserwowała jego twarz, gdy czytał. Jego oczy przebiegły po kartce. Znieruchomiały. Powróciły na górę kartki. Patrząc na te drobne ruchy, czuła, że jej życie, jej przyszłość, kurczy się i wali.

– To nieprawda.

Położył list na stole. Przesunął w jej stronę.

Spojrzała na ręce męża, na wierzch palców pokrytych czarnymi włoskami.

– Musisz to przeczytać, Ado.

Wzięła od niego list.

Szanowny Panie Hart!

Z wielką przykrością informuję, że Pana syn Michael zmarł 17 września na skutek odniesionych ran.

Z poważaniem

Tylko tyle wystukano na kartce. Na dole nawet nie było nazwiska, tylko podpis, niewyraźny, jakby ktoś pisał w pośpiechu albo na deszczu.

– To nieprawda – oświadczyła, patrząc na Jacka. – Wiedziałybym wcześniej, gdyby tak się stało. To nieprawda.

Nie napisano do nich nic więcej, nie poinformowano, jak zginął ich syn. Jack napisał do kompanii, w której służył Michael, ale nie otrzymał odpowiedzi. Wszyscy dostali po dwa listy. Wszyscy znajomi Ady, którzy kogoś stracili. Większość z nich dostała coś jeszcze: list od człowieka obecnego przy śmierci, od

kogoś, kto przesłał słowa otuchy, podał jakieś szczegóły.

Była przekonana, że nastąpiła pomyłka.

Przez pewien czas ludzie zatrzymywali ją potem na ulicy, żeby wyrazić współczucie. Mówili, że przyniósł jej chlubę; tak jakby swoją śmiercią sprawił, że wzrosły jej notowania. Ona tylko stała, aż powiedzieli swoje i poszli. Nie wyjęła sukni żałobnej, która leżała w skrzyni przy nogach łóżka, zapakowana w bibułę razem z kulkami na mole, nienoszona od śmierci jej matki przed dwudziestu laty.

Gdy przyszała zima tysiąc dziewięćset osiemnastego roku, po zakończeniu wojny, chłopcy zaczęli wracać do domu. Nagle pojawili się wszędzie, w garniturach otrzymanych przy demobilizacji i w płaszczach za piętnaście szylingów; ulice się od nich roiły. Można było sądzić, że magia zadziałała w odwrotną stronę, że tam, we Francji, wcale nie umarli, lecz rozrosli się na podmokłych polach, odrodzili się na urodzajnej glebie. Gazety były pełne opowieści o cudownych zdarzeniach: o chłopcach, którzy się ukrywali za liniami nieprzyjaciela i pieszo pokonywali całą drogę do domu albo nawet nie wiedząc, że wojna się skończyła, zjawiali się w ogródku za domem, brudni i obszarpani, akurat na podwieczorek.

Wtedy zobaczyła go pierwszy raz: stał na rogu ulicy, na skraju grupy młodzieńców, plecami do niej. Podeszła, chłopiec się odwrócił, ale to nie był on, więc szybko go minęła, spocona i roztrzęsiona. Kilka dni później pojawił się znowu, w parku, spacerował pod rękę z dziewczyną. Ruszyła za nim, wykrzykując jego imię. To nie był Michael. Takie sytuacje zaczęły się powtarzać. Biegła za nim, dopóki się nie zorientowała, że to ktoś inny, jego wzrostu, z podobnie przechyloną głową albo włosami takiego samego koloru. Zdarzało się również, że chłopiec, za którym szła, po prostu znikał.

Podczas bezsennych nocy często zostawiała śpiącego Jacka i kładła się na łóżku syna, na wąskim materacu w wąskim pokoju ze zdjęciami piłkarzy na ścianie. Z czasem widziała Michaela również tam. Budziła się, a on siedział przy niej na łóżku. Nigdy jej to nie dziwiło. Gdy chciała go dotknąć, wyciągał rękę i robił taki gest, jakby ją powstrzymywał. Dokoła poruszały się cienie.

„Kto to jest?” – pytała go.

„Cii. – Z uśmiechem przykładał palec do ust. – Nie przejmuj się, mamó, oni są w porządku. To tylko zmarli”.

Pewnego dnia, pod koniec długiej zimy tysiąc dziewięćset osiemnastego roku, do domu przyszedł lekarz. Zrobił jej zastrzyk, szybkim ruchem ukłuł ją w ramię. Gdy się ocknęła, była z powrotem w małżeńskiej sypialni, a Jack siedział na krześle w rogu. Pokój wypełniało czyste zimne światło. Jack podszedł do niej i pomógł jej wstać.

– Już dobrze – powiedział.

Nie zabrzmiało tak jak pytanie.

Idąc na dół, minęli sypialnię Michaela. Przez otwarte drzwi widać było ogołoczone wnętrze. Po zdjęciach piłkarzy pozostały tylko puste powierzchnie o ciemniejszych krawędziach i małe plamy po kleju, który robił z mąki zmieszanej z wodą. Ada zadrżała do pokoju i przeniosła wzrok na męża.

– Gdzie są jego rzeczy? – wykrztusiła, czując, że język rośnie jej w ustach.

– Schowałem. – Wyglądał na winnego, mimo stanowczej miny i zaciśniętych szczęk.

W tym momencie pomyślała, że go nienawidzi, ale nawet nienawiść wydawała jej się odległym uczuciem, jakby wezbrała w kim innym, w kimś, kto jest blisko, lecz trudno do niego dotrzeć, jak gdyby tkwił za szklaną taflą.

* * *

Z parteru dobiega hałas. Stuk otwieranych drzwi od strony ogrodu. Kroki Jacka w kuchni.

Ada gorączkowo zgarnia pocztówki. Za oknami niebo jest już ciemne.

– Ado?

Mięso zostało u rzeźnika. Obiad niezrobiony. Dzień przeleciał. Gdzie się podział? Wpycha listy do pudełka, natomiast urzędowe zawiadomienie zostawia, wsuwa do kieszeni fartucha. Próbuje zawiązać sznurek, ale robi to niezdarnie i bez powodzenia, a Jack już idzie po schodach. Wstawia pudełko z powrotem do szafy i jak najszybciej ją zamyka. Gdy Jack otwiera drzwi, odwraca się do niego, przyglądając włosy.

– Co robisz?

– Nic. Tylko... sprzątam.

– Tutaj? – Patrzy na jej puste ręce i znów na twarz.

– Tak. Nie... nie byłam tu od miesiący, więc... pomyślałam, że sprawdzę... może coś tu trzeba... – Serce wali jej jak młotem.

– Czym sprzątasz?

– Niczym, jeszcze niczym. Właśnie... miałam zacząć. – Czuje, że rumieni się po korzonki włosów.

Jack rozgląda się po pokoju, jego wzrok pada na łóżko, nożyczki wciąż tam leżą.

– Moim zdaniem jest w porządku.

– Tak, jest w porządku – mówi Ada.

Wstaje, zabiera nożyczki, mija go i szybko schodzi do kuchni, zadowolona, że jest tam chłodno i ciemno. Słyszy kroki Jacka nad głową. Słucha, jak przemierza pokój syna. W pewnej chwili ma wrażenie, że Jack staje przy oknie i patrzy na zewnątrz. Kroki zawracają, niepewnie. Czy otworzy szafę? Zobaczy, że pudełko było ruszane? Ada ledwie może odetchnąć. Ale słysząc stąpanie w kierunku drzwi i po schodach na dół. Ada przytrzymuje się zlewu.

– Ciemno tu. – Jack wchodzi do kuchni.
– Rzeczywiście. – Ada zapala gaz i żółte światło przemyka po ścianach.
– Nie ma nic do jedzenia?
– Przepraszam... zapomniałam.
– Jak to zapomniałaś?!

– Przepraszam – powtarza, odwracając się do niego.
„Dwadzieścia pięć lat”. Czeka, żeby Jack coś powiedział, wspomniał o rocznicy. Ale on milczy.

– Pójdę kupić porcję ryby – mówi w końcu, spokojnie. – Też chcesz?
Ada kiwa głową, czuje się paskudnie.
Jack łąpie czapkę i wkłada na głowę.
– Na razie.

Odprowadza go wzrokiem. Opada na krzesło. Myśli o mięsie zostawionym na ladzie. Co on o niej pomyślał, pomocnik rzeźnika, gdy wypadła ze sklepu? Chowa głowę w dłoniach.

Jakaś głupia kobieta, starzeje się.
Goni duchy.
Woła na ulicy swojego zmarłego syna.
* * *

Ambulans polowy wiezie trumnę wzdłuż szpaleru brytyjskich i francuskich wojskowych, stojących na ulicach Boulogne. Przejeżdża przez bramę starówki i pnie się na strome wzgórze, skąd roztacza się widok na port, jedzie przez most, który prowadzi do ufortyfikowanego wejścia do chateau, i dalej, pod wielkim kamiennym łukiem, a potem z chrzęstem żwiru pod kołami staje na dziedzińcu.

Ośmiu żołnierzy niesie trumnę krętymi korytarzami starego chateau, obok oczekujących żołnierzy francuskich, kierując się do mesy oficerskiej w dawnej bibliotece, gdzie utworzono tymczasową chapelle ardente, płonąca kaplicę. Pomieszczenie jest udekorowane flagami i palmami, posadzka usłana na żółto, pomarańczowo i czerwono jesiennymi kwiatami i liśćmi.

Przy zwłokach trzymają wartę francuscy żołnierze. Wszyscy z ósmego pułku piechoty, wszyscy niedawno odznaczeni Legią Honorową za zasługi wojenne. Pałają się świece. Żołnierze stoją po obu stronach trumny, trzymając na ramionach karabiny skierowane kolbami do góry. Jeden z nich, trzydziestoletni weteran, zerka na trumnę i wbija wzrok w posadzkę. Skrzynia jest zrobiona z surowego, nieobrobionego drewna. Nie jak dla człowieka, który ma być pochowany z całym ceremoniałem. Zadaje sobie pytanie, czy ta powściągliwość jest jakąś angielską osobliwością.

Anglicy, których poznał na wojnie, byli zwariowani i zabawni. Zwłaszcza jednego nigdy nie zapomni. Poznał go pewnego wieczoru w estaminet, tuż za linią

frontu. Młody Anglik jadł frytki z jajkiem. Wszyscy Angole o to prosili tym swoim śmiesznym, stanowczym tonem, ciągle frytki z jajkiem. Pomyśleć tylko: frytki z jajkiem! Ten chłopak był niski i masywny. Gdy francuski żołnierz usiadł przed nim z piwem i Angol uniósł wzrok, Francuz wiedział bez słów, co niedługo zrobią. I zrobili to: za ruinami kościoła, przy starych nagrobkach, z brzuchami pełnymi piwa i smażeniny.

Francuz przypomina sobie, że potem chłopak wybuchnął płaczem. Z pewnością powodem było nie to, co zrobili, albo niezupełnie to, raczej cała reszta. Siedzieli objęci wśród zwalonych kamieni, aż zaczęły śpiewać ptaki i blade słońce wstało nad ruinami kościoła.

Było to w czerwcu tysiąc dziewięćset szesnastego roku, tuż przed Sommą.

Francuski żołnierz nie odrywa oczu od posadzki, w blasku świec płonącej kolorami. Patrzy na liście, na kwiaty u stóp.

* * *

Evelyn w zamyśleniu chowa rzeczy do torby. Opuszczając biuro, Robin odezwał się do niej, a ona mu odpowiedziała, ale teraz, gdy wyszedł, w ogóle nie pamięta, co mówili. Zapomniała nawet o tym, że jest na niego zła za to, co się wydarzyło wcześniej, za wtrącanie się do jej rozmowy z Rowanem Hindem. Gasi światło i chwilę stoi, patrząc przez okno. Popołudniowe niebo, które przy włączonym oświetleniu wyglądało niemal na czarne, ma, jak się okazuje, coraz mocniejszy niebieski kolor.

„Kapitan Montfort”.

Przywołuje w pamięci twarz mężczyzny, gdy wymieniał to nazwisko. Sprawiał wrażenie wystraszonego. Codziennie spotyka tak wielu ludzi, którzy zdają się wystraszeni. Czy właśnie dlatego mu nie pomogła?

Wkłada kapelusz i płaszcz, idzie ciemnym korytarzem i po wyjściu na ulicę wyjmuje klucze, żeby zamknąć drzwi.

– Evelyn?

Z krzykiem odskakuje w tył, upuszczając klucze i łapiąc się za gardło. Obok niej, w ciemnym załomie drzwi, stoi Robin.

– Chryste Panie, ależ mnie przestraszyłeś.

– Przepraszam. Nie chciałem.

Robin pochyla się, najwyraźniej zamierzając podnieść klucze. Widząc to, Evelyn go ubiega i zgarnia mu je sprzed nosa. W mroku twarz Robina jest biała.

– Co się stało? – odzywa się po chwili. – Zapomniałeś czegoś? Musisz wrócić?

Zaczyna się ściemniać. Evelyn chciałaby iść do parku, nim zostanie zamknięty. Przekłada klucze w palcach, nie próbując ukryć irytacji w głosie.

– Chcę tylko o coś zapytać.

– O co?

Robin przybliżyła się o krok.

– No więc... często chodzę wieczorem potańczyć i... pomyślałem... czy... – Staje wyprężony i spogląda w dół na Evelyn. – Krótko mówiąc, pomyślałem, czy nie poszłabyś ze mną. W czwartek wieczorem gra całkiem dobra orkiestra dixielandowa. W Dzień Rozejmu. Chcę to uczcić. Jakoś inaczej. Weselej.

Evelyn cofa się o krok.

– Dziękuję, Robin, ale nie.

– Aha. – Uchodzi z niego powietrze. – Masz inne plany?

Macha wymijająco ręką.

Robin obraca kapelusz w dłoniach.

– To może innym razem?

– Może.

Zapada milczenie.

– A mógłbym...? – Gestem wskazuje stację metra. – Może idziesz?

– Nie. Wracam do domu piechotą.

Powstrzymuje się, by nie napomknąć o parku. Nie chce, żeby szedł obok niej, z tą nogą, i nakładał sobie drogi. Uderza ją myśl, że nawet nie wie, gdzie on mieszka, że nie wie o nim prawie nic.

Robin kiwa głową.

– A więc jutro.

– Jutro?

– Miałem na myśli: do zobaczenia jutro. – Odwraca się i odchodzi.

Evelyn zapina płaszcz pod samą szyję.

– Robin?

– Słucham. – Patrzy na nią z wyczekującą miną.

– Będę wdzięczna, jeśli w przyszłości przestaniesz się wtrącać.

– Nie rozumiem.

– Mój interesant z nerwicą frontową. Sytuacja była pod kontrolą.

– O to chodzi. – Robi krok w jej stronę. – Przepraszam. Po prostu nauczyłem się tego we Francji. Czasem to... naprawdę pomaga.

– Wołałabym, żebyś nie sprawdzał skuteczności swoich metod w moich godzinach pracy.

Zalega cisza. Wokół nich gęstnieje na chodniku tłum przechodniów zmierzających po pracy do domu.

– Oczywiście – przytakuje. – Przepraszam. A zatem do jutra.

Evelyn odwraca się i zostawia Robina. Wychodzi na główną ulicę, udając się w odwrotnym niż on kierunku, zadowolona, że są coraz dalej od siebie, że wchłonie ją tłum. Przeciska się między ludźmi, którzy idą z naprzewidka do stacji metra, i skręca w prawo, w Parkway. Robin?! Zaprasza na tańce? To niemal

dowcip. Może po prostu chciał okazać życzliwość, litując się nad nią. A może wcześniej to zaplanował, zjazd kalek: będą krążyć niezdarnie po parkiecie, ona będzie mówić o stracie palca, on o stracie nogi. Tańce? Nie tańczyła od lat. Myśl o tańczeniu jest dla niej niemal obsceniczna.

Przy wejściu do parku nie ma już tylu ludzi. Żelazna brama stoi otworem. Zawsze zamykają o zmierzchu, ale zmierzch nastął godzinę wcześniej, ponieważ dwa tygodnie temu cofnięto zegary. Mimo to dozorca jeszcze się nie pojawił. Znalazłszy się za bramą, Evelyn łapczywie bierze wielkie hausty powietrza i spragnionymi oczami chłonie resztki światła, po czym wchodzi szybkim krokiem na stromy pagórek, ciesząc się, że po dniu przy biurku może się ruszać; kołysze rękami, czując, jak krew krąży jej w żyłach i napływa do policzków.

Gdy staje na szczycie, widzi z radością, że jej ławka jest pusta i że prócz pojedynczych osób spacerujących z psami po zboczu nie ma w pobliżu nikogo. W dole, jedną z wielu alejek, które krzyżują się na murawie, powoli idzie latarnik, a za nim rozbłyskuje ciąg światełek. Niskie chmury ścigają się na stalowym niebie. Mimo zimna Evelyn zdejmuje rękawiczki i przykłada otwarte dłonie do szorstkich desek ławki.

Tu siedzieli, na tej ławce, ona i Fraser, mając nad głowami płonące niebo, trzy lata i cztery miesiące temu, siódmego lipca, o trzeciej po południu; to była ostatnia godzina, którą spędzili razem na tej ziemi.

Napisał do niej pod koniec czerwca tysiąc dziewięćset siedemnastego roku. Okazało się, że pozwolono mu jechać na dziesięć dni do domu, pierwszy raz od dziesięciu miesięcy. Miał szczęście. Dużo przepustek odwołano. Szykowało się coś poważnego. Zamierzał odwiedzić rodzinę w Szkocji, ale w zależności od kursowania pociągów zostaną mu co najmniej dwa dni na koniec.

Myśl o Londynie, gdzie dokoła widzi się mundury khaki, jest równie przygnębiająca jak przebywanie tutaj. Czy możemy spędzić czas gdzieś indziej? Wybrać się gdzieś, gdzie będzie zielono? Gdzie nigdy nie byliśmy? Chcę usiąść z tobą na skraju pola i mieć przed oczami jedynie bezmiar zieleni.

Pracowała wtedy w biurze, w wysokim budynku przy Strandzie; odhaczała pozycje na listach towarów dostarczanych z doków, sprawdzając zgodność spisu z zamówieniami państwowymi – zajęcie nudne jak flaki z olejem. Najbliżej niej, przy sąsiednim biurku, siedziała tęga, wiecznie spocona kobieta, która każdego dnia dojeżdżała z Horsham i wciąż trajkotała głównie o fatalnym poziomie usług na kolei, będącym przyczyną jej spóźniania się do pracy. W dniu, gdy nadszedł list od Frasera, Evelyn wyszła z biura w przerwie na lunch i kupiła u Stanforda mapę, którą po powrocie wsunęła pod zlecenia spedycyjne, by nikt jej nie zauważył. Potem przeglądała mapę przez całe smrodliwe popołudnie, gdy muchy tłukły się o szyby, sześć pięter nad ziemią.

Szukała na mapie wyłącznie obszarów zieleni i wybrała na chybił trafił

wioskę między Londynem a Hastings, na głównej trasie z Victoria Station. Według mapy miejscowość była otoczona polami, a nieopodal zaznaczono granatową plamą jezioro albo jakiś zbiornik wodny, wielkości paznokcia u małego palca. Może uda się popływać, pomyślała.

Dzień, w którym mieli się spotkać, był duszny. Wcale nie udało im się uniknąć widoku mundurów, ponieważ pociąg był pełen żołnierzy, którzy wybrali się ze swoimi dziewczynami nad morze. Fraser przyjechał wczesnym rankiem, pociągiem z Edynburga, w samą porę, żeby przejechać Londyn i zdążyć na spotkanie. Niewiele brakowało, a przeszłaby obok i go nie zauważyła. Gdy złapał ją za ramię, przystanęła zdumiona. Ledwie go poznała. Wyglądał tak, jakby mu przybyło dziesięć lat, z wyczerpania miał zapadnięte policzki. Natychmiast stwierdziła, że pomysł wycieczki był niedorzeczny. Żałowała, że po prostu nie zostali w domu.

Fraser przespał całą podróż na południe, siedząc z opuszczoną na piersi, kołyszącą się głową. Co jakiś czas wyrwał go ze snu chóralny śpiew. Budził się wystraszony i zdezorientowany; widząc koło siebie Evelyn, ścisnął ją za rękę, uśmiechał się i od razu ponownie zasypiał. Wyjęła z torebki książkę i usiłowała czytać, ale litery skakały jej przed oczami. Pod pozorami wymuszonej wesołości czuło się jakąś desperację w tym zadymionym wagonie, przenikniętym kwaśnym zapachem mundurów, ciał i gorąca. Okna nie dawało się otworzyć; z niewiadomych powodów pociąg zatrzymywał się między stacjami. To tylko pogłębiało zakłopotanie Evelyn; zamknięte pomieszczenie, wiejskie tereny dokoła, bujna zieleń drzew napierająca na okna, to wszystko szokowało, wyglądało złowrogo; lato w pełnym, nieświadomym rozkwicie.

Potrząsnęła Fraserem, gdy wjechali na mały dworzec w wybranej przez nią miejscowości. Wysiedli z pociągu, który odjechał w chmurze dymu i pary, i w milczeniu stali na peronie, patrząc jedno na drugie, nagle jakby sobie obcy, zagubieni.

Fraser zapalił papierosa i powiedział:

– Miałem sen.

– Naprawdę? Co ci się śniło? Możesz mnie poczęstować?

Podał jej papierosa i zapalił następnego.

– Nie bardzo wiem. – Przysłonił oczy ręką i patrzył na ciągnące się w dal pola za torami. – Chyba coś nieprzyjemnego.

Pszenica wyrosła wysoko. Słońce stało w zenicie. Powietrze miało temperaturę krwi. Fraser był wysokim mężczyzną, ale lejące się z nieba promienie słoneczne jakby go przygniotły, skurczyły. Evelyn nigdy go takiego nie widziała. Miała dojmujące przecucie, że coś im się stanie, wśród tych pól, a wtedy nie zdoła go uratować.

– Nie wzięłam wody – powiedziała.

Jest beznadziejna. Jak mogą podróżować bez wody? I bez niczego do jedzenia. Było tyle czasu, żeby wszystko zaplanować. O czym ona myślała przez te dni? Teraz, gdy się tu znaleźli, są nieprzygotowani i niewątpliwie spotka ich coś strasznego, a przecież jemu zależało wyłącznie na tym, żeby tu przyjechać.

– Cóż – odparł z uśmiechem – jeżeli umrę z pragnienia, to przynajmniej nie będę musiał wracać do Francji.

Kiedy wyszli z dworca, wziął ją za rękę i zaczęli schodzić z pagórka, wzdłuż rzędu niskich domków z czerwonej cegły, wokół których buchały letnimi kwiatami ogrody. W cieniu drzewa drzemał kot. Gdzieś w oddali kościelne dzwony wydzwaniały kwadrans. U podnóża pagórka skręcili w gruntową drogę osłoniętą koronami drzew jak baldachimem. Panował tam chłód i rozlegały się tylko odgłosy ich kroków.

Szli w milczeniu, ale ona miała w głowie natłok myśli. Zawsze tak było: po tych wszystkich listach, gdy stawał przed nią fizycznie, zamykała się w sobie.

Szukała tematów i po kolei je odrzucała. W żadnym wypadku nie mogła pytać go o Francję. Pomyślała zatem, że spyta o pobyt w Szkocji i o jego rodziców, jak się czuł, wracając do domu; nie wiedziała jednak, od czego zacząć.

– Wyjąć mapę? – spytała w końcu. – Mam ją w torbie. – Przynajmniej to wzięła ze sobą.

Spojrzał na nią rozkojarzony, jakby przerwała mu coś ważnego.

– Nie wyjmuj. – Pokręcił głową. – Po prostu idźmy przed siebie.

Weszli na pagórek. Korony drzew stały się trochę rzadsze. Powiew wiatru uniósł liście nad ich głowami i ziemia nagle pokryła się plamami światła. Po jakimś czasie drzewa się rozstały i zobaczyli szeroki krajobraz; poczuła, że coś ścisną ją za gardło: pola wcale nie były zielone. Były bladożółte, porośnięte pszenicą.

– Ja... – Urwała.

Fraser nie patrzył na nią, przysłonił ręką oczy.

– Chodźmy tam. – Wskazał przed siebie.

Powiodła oczami za jego palcem i zobaczyła kępę drzew na górze. Ruszyli w tamtą stronę. Ścieżka była wąska, więc musieli iść gęsiego, ona z tyłu. Co pewien czas Fraser zerkał na lewo i na prawo, jakby coś mogło wypaść na nich z łanu zboża. W końcu doszli do drzew i usiedli w skąym cieniu pod dębem. Fraser podciągnął kolana, oparł na nich łokcie i zapatrzył się na łagodnie opadający, rozległy krajobraz. Tu, na wyżej położonym terenie, jakby się odprężył. Zapalił następnego papierosa, a Evelyn sięgnęła do kieszeni swetra po swoją paczkę. Nad polami w dole pikowały ptaki. Od upału zaczynała boleć ją głowa.

– Przepraszam – odezwała się.

– Za co? – zapytał Fraser, odwracając się do niej.

Sprawił wrażenie tak wyczerpanego, że coś ścisnęło ją w żołądku.

– Za to. – Ogarnęła ręką pola. – To wszystko jest trochę... – Zmarszczyła

nos.

Spojrzał w dal i kiwnął głową.

– Możemy wrócić? – spytał.

– Dokąd?

– Do Londynu.

– Już teraz?

– Tak.

– Ale dlaczego? – Usłyszała, że mówi podniesionym głosem, jak dziecko.

– Bo jest nie tak.

– Przepraszam – powtórzyła.

– Nie przepraszaj. To nie twoja wina. Po prostu... jestem bardzo zmęczony.

Wróćmy, dobrze?

– Ja jestem nie taka? – Wypowiedziała te słowa, zanim zdążyła się pohamować.

Fraser nie odrywał wzroku od doliny, jakby coś tam majaczyło, jakby w błękitnej przestrzeni było coś, co usiłował dostrzec.

– Nie zadawaj mi takich pytań – powiedział po chwili. – To nie fair.

Była bliska płaczu, czuła, jak wzbiera w jej piersi. Zaciągnęła się głęboko papierosem, żeby zdusić łzy.

* * *

Tamtej nocy, po powrocie do Londynu, leżała obok niego, nie mogąc zasnąć, a jego ciężar zawładnął wąskim łóżkiem. Spał przez całą drogę powrotną, a potem, w mieszkaniu, zaraz się położył i przespał długie skwarne popołudnie, i spał dalej, gdy popołudnie przeszło w wieczór i niebo przybrało szarogranatowy kolor. Natomiast Evelyn nie zmrużyła oka tamtej krótkiej nocy. O brzasku stanęła w otwartym oknie, słuchając śpiewu ptaków. Gdy słońce świeciło już jakiś czas, usłyszała szelest na łóżku.

– Evie?

Wciąż stała plecami do niego. Było wcześniej rano, ale już gorąco. Dwoje dzieci bawiło się na ulicy, pod oknami, ich cienkie, piskliwe głosy niosły się w powietrzu.

– Evie?

Odwróciła się do Frasera.

– Chodź tutaj. – Leżał podparty na łokciach. Miał rozluźnioną twarz po długim śnie. Na policzku widać było zagniecenia od poduszki. – Chodź – powtórzył. – Przepraszam, Evie. Wybacz.

Poczuła na karku podmuch powietrza z otwartego okna. Przeszła przez pokój, ale gdy Fraser wyciągnął do niej rękę, nie pozwoliła się objąć, tylko wsunęła się do łóżka i zwinęła w kłębek, leżąc twarzą tuż przy jego twarzy.

– Przepraszam – powiedział jeszcze raz.

Odgarnął jej włosy z czoła i założył za ucho. Dostrzegła błysk potu w płytkim rowku nad górną wargą. Dotknęła tego miejsca palcem i włożyła go do ust. Miał słony smak, zapach snu. Fraser pocałował ją w policzek, jeden i drugi, rozpiął jej guziki piżamy i przytulił ją. Potem objął za szyję i przyciągnął do siebie.

– Tak dobrze? – zapytał.

– Tak.

Położyła głowę na jego piersi. Słyszała nad sobą trzaski bibułki, gdy się zaciągał papierosem. Słońce wpadało do pokoju, dotykało jej nóg i podeszew stóp, grzało ją; z ulicy dolatywały odgłosy poranka, niosły się jak to w lecie: perkusyjne dźwięki, jak gdyby miasto było bębniem naprzężonym od upału.

Później poszli na dwór, do parku, wspięli się na pagórek i usiedli na tej ławce. Pozostały dwie godziny do odjazdu pociągu. Fraser zamknął oczy, a ona obserwowała drżenie jego gałek pod powiekami i bruzdy na skórze, już nie takie czarne.

– Wiesz – odezwał się – ci żołnierze tam we Francji... Czasem wydają mi się nedorzecznici.

– Dlaczego?

– Ponieważ w coś wierzą. – Powoli otworzył oczy i ujął ją za rękę. – Nawet po tym, co przeszli. Większość wierzy w Boga. Wszyscy wierzą w życie po śmierci. Chodzę wśród nich wieczorami i wiem, że żaden nie myśli o tym, że może zginąć. Żaden. – Wodził palcem po zagiętej linii na wewnętrznej stronie jej dłoni. – Przepowiadają sobie przyszłość.

Coś ścisnęło ją w środku.

– Naprawdę? – Starła się mówić lekkim tonem. – A... a ty?

– O co pytasz?

– Czy ktoś przepowiadał ci przyszłość?

– Nie – odparł, wsuwając dłoń w jej rękę.

Wiedziała jednak, że kłamał.

Ziemia wokół nich była spieczona, pokryta żółtozieloną murawą, jak zwykle latem w Londynie. Słońce stało wysoko. Czuła Frasera przy sobie i również w sobie – pamiętała go, pamiętała, jak byli razem w łóżku, dopiero co, wszystko jakby znowu się działo, jego ciężar, szorstki policzek na jej policzku. Jego usta.

– Też tak sądzisz? – zapytała po dłuższej chwili. – Że nie zginiesz?

– No właśnie – odrzekł, śmiejąc się pod nosem. – Jak przyjdzie co do czego, jestem dokładnie taki jak oni.

Ścisnął ją za rękę, a wtedy poczuła, jak płynie przez nią jego siła życiowa.

Siedzieli tam w lipcowym słońcu, wśród woni lata, wśród owadów i ptaków, brząków i szmerów toczącego się w powietrzu życia.

* * *

– Billy. Billy!

Evelyn otwiera oczy. Ma lodowate ręce. Zerwał się wiatr i rozgania niskie chmury na niebie. Rozszczekany piesek obwąchuje jej stopy. Zza pleców dolatuje wołanie właścicielki psa, cienki, piskliwy głos niesie się na wietrze.

– Biiilly! Chodź, piesku. Wracamy do domu.

Pies odbiega, a Evelyn wstaje z ławki, przytupując, żeby poprawić krążenie krwi w nogach. Jest prawie ciemno. Jeszcze na chwilę przykłada otwarte dłonie do szorstkich desek ławki, po czym odwraca się i schodzi z pagórka.

Gdy jest w połowie zbocza, staje jak wryta, przypominając sobie Rowana Hinda.

„Chcę odnaleźć swojego kapitana”.

„Kapitana Montforta”.

Czego on chciał od jej brata?

Gryzie ją sumienie, ale je zagłusza. Przecież nie tylko jeden kapitan Montfort jest na tym świecie. Gdyby pomagała każdemu zagubionemu i bezradnemu człowiekowi, który przed nią staje, w ogóle nie miałyby czasu dla siebie.

* * *

Po wyjściu gości Hettie, Di i pozostali tancerze stają wyprężeni przed panem Graysonem („Nie garbić mi się podczas hymnu!”), muzycy grają *Boże, chroń króla* i dopiero gdy wybrzmia ostatnie takty i na zegarze wybije północ, dopiero wtedy – wreszcie! – tancerze mogą iść do domu.

– Zamykamy, panowie! – krzyczy Simon Randall, gdy cała grupa opuszcza salę i uwalnia się spod kontroli Graysona.

Kilku chłopców parska śmiechem i trąca się łokciami.

– Gdyby tak... wypić teraz kufelek w pubie! – odzywa się tęskny głos.

Dziewczęta wloką się jedna za drugą do szatni, wkładają swetry, pulowery, płaszcze, wrzucają do toreb pantofle do tańca. O tej porze żadnej nie chce się rozmawiać.

– Ilu? – pyta Di.

– Dwudziestu. – Hettie opada na drewnianą ławkę. Dziewięciu po południu, jedenastu wieczorem. Nieźle jak na podwójną zmianę w poniedziałek. – A ty?

– Dwudziestu czterech.

Hettie wzdycha. Pod tym względem rzadko jest lepsza od Di.

– Jutro dzień wolny – mówi Di.

Hettie z wysiłkiem kiwa głową, pochylając się, żeby odpiąć sprzączki pantofli i rozmasować stopy.

Di zapina płaszcz i owija szyję szalikiem.

– No jak? Przejdziesz się ze mną do rynku?

– Nie dziś – odpowiada Hettie.

– Het? – Di siada przy niej. Jej blada, ładna twarz marszczy się z zatroskaniem. – Nie gniewasz się na mnie, co?

Hettie podnosi wzrok. Jak to wytłumaczyć? Z tego wszystkiego dręczy ją uczucie pustki. Jest tak od soboty. Niewątpliwie przed Di otwiera się przyszłość, a ona tkwi w teraźniejszości. Kto wie, jak długo Di będzie tu jeszcze pracować.

– Nie. – Kręci głową. – Po prostu... jestem zmęczona.

– Wpadniesz jutro? – Di wstaje z ławki. – Pochodzimy po sklepach.

– Dobrze.

– No to pa.

Di wkłada kapelusz i razem z dziewczętami wychodzi z szatni; ich głosy rozbrzmiewają na korytarzu i cichną w nocnym powietrzu. Hettie przez minutę siedzi nieruchomo na ławce i wpatruje się w zakurzone płytki podłogi. Tego wieczoru coś się guzdrze. Odbity blask, jaki otaczał ją od soboty, szybko zniknął.

Wychodzi ostatnia, gasi światło i idzie ciemnym korytarzem w stronę jasnej plamy na podłodze przy pokoiku Grahama. Już ma poczłapać dalej, nie przystając, gdy przypomina obie, że to dzień wypłaty, i wsuwa głowę przez okienko. Graham siedzi w środku, plecami do niej, i przegląda jakieś papiery.

– Dobranoc, Graham.

– Hettie! – Odwraca się z uśmiechem. – Myślałem, że cię przegapiłem. Proszę, to dla ciebie. – Grzebie w kieszeni i podaje jej pastylkę mięsną. – Doda ci siły, żeby dotrzeć do domu. – Mruga do niej.

Widok pastylki przyprawia ją o mdłości.

– Nie, dziękuję. – Odsuwa jego rękę. – Schowaj ją. Nie mogłabym. Nie dzisiaj. Masz dla mnie kopertę?

Graham staje przed szafką z przegródkami.

– No, popatrzmy... Burns. Jest. – Daje jej kopertę.

– Dzięki.

Obmacuje małą brązową kopertę. W środku powinny być trzy dziesięcioszylingowe banknoty. Piętnaście szylingów znajdzie się za pół godziny na stole w kuchni.

Rusza do wyjścia, gdy Graham unosi palec.

– Zaczekaj. To nie wszystko.

Wyjmuje z kieszeni złożoną na pół kartkę.

– Zostawiono ją parę godzin temu – mówi, podając kartkę przez okienko.

Hettie wpatruje się w nią, ale jej nie dotyka. Pierwsze, co przychodzi jej do głowy, to zagrożenie. Śmierć. Jej ojciec. To, że nieszczęście uderza nagle.

– Całkiem miły pan – dorzuca Graham, puszczając do niej oko.

– Kto? – Hettie podnosi głowę.

Graham wzrusza ramionami, więc Hettie rozkłada kartkę.

*Zamierzam cię zdemaskować.
Szantaż wisi w powietrzu.
Spotkamy się, żeby omówić warunki?
Dalton's? Wtorek? Dziesiąta wieczorem?*

– Co to za jeden? – Hettie pochyla się do przodu, trzęsą jej się ręce. – Był tutaj?

– A jak myślisz? Wiadomość przyszła przez telefon?

Hettie znów patrzy na kartkę.

„Zamierzam cię zdemaskować”.

Jakiś żart Di?

Ale ona go nie widziała. Przecież się nie poznali. Di nie zna jego sposobu mówienia.

„Szantaż wisi w powietrzu”.

To w jego stylu.

– Jak z wyższych sfer. Bardzo uprzejmy. Zapytał, czy tu pracuje Hettie i czy mógłbym przekazać tę wiadomość. – Graham marszczy czoło, zaniepokojony. – Mam nadzieję, że nie narobiłem ci kłopotu, skarbie.

– Skądże. – Hettie z uśmiechem kręci głową. – Ani trochę. – Pochyla się i całuje go w szorstki, zalatujący tytoniem fajkowym policzek. – Dzięki, Graham!

– A niech mnie! – Uśmiecha się od ucha do ucha. – Wobec tego skombinuję na jutro drugi taki liścik!

– Dobranoc.

– Czołem, ślicznotko.

Hettie biegnie korytarzem niemal w podskokach i wypada na ulicę. Na wysokim niebie nie ma ani jednej chmury, widać tylko gwiazdy, jakby rozrzucone szczodłą ręką.

„Zamierzam cię zdemaskować”.

Tak nie mówi nikt z jej znajomych.

I właśnie wtedy, nocą, na dworze, Hettie czuje ten smak. Przyszłość wreszcie otwiera się przed nią, musuje na języku jak oranżada w proszku.

* * *

Evelyn przychodzi do domu skostniała. Ledwie daje radę przekręcić klucz w drzwiach. Dokoła niej jest cicho i pusto. Wlecze się na piętro z poczuciem zawodu. Doreen pewnie znów poszła na randkę. Prawie się nie widują. Piszą do siebie krótkie liściki: „Sprzątaczk?? 10 szylingów. Twoja działka”. Albo: „Mleko?? Dwie butelki?? Zniknęły!!”.

Kładzie się na łóżku, wsadzając ręce głęboko w kieszenie starego płaszcza, zbyt zmęczona, żeby rozpalic w kominku, zbyt zziębnięta, żeby się ruszyć. Dłuższy

czas tylko leży – na suficie kładą się dziwne cienie gałęzi drzew rosnących przy ulicy, do pokoju wpada jedynie drżące żółte światło latarni – i słucha wieczornych dźwięków, raz głośniejszych, raz cichszych: brzęku łańcuszka w łazience u sąsiadów, szybkich kroków dwojga ludzi na chodniku, ich przytłumionych głosów, dopóki kobieta nie parska dźwięcznym śmiechem, warkotu taksówki, która stoi tylko chwilę, aż pasażer wysiądzie, i odjeżdża.

Evelyn przewraca się na bok, podkłada rękę pod głowę. Znowu widzi Rowana Hinda, niemal tak wyraźnie, jakby był w jej pokoju: drobna twarz, dygocząca postać. Zwisająca, niesprawna ręka.

„Kapitan Montfort”.

Czy to naprawdę jej brat jest tym człowiekiem, z którym on chce się zobaczyć?

Czego szeregowy może chcieć od kapitana, na dodatek po tylu latach?

Zwleka się z łóżka i idzie do kominka. Rozgrzebuje węgle, chuchając w rękę, potem zwija ciasno kawałki papieru i wtyka w kratki rusztu, a na wierzch kładzie kilka gałązek ze stosika obok wiadra z węglem. Gdy ogień jest już rozniecony, zapala papierosa i siedzi przed kominkiem, obejmując rękami kolana i patrząc w płomienie.

Wiadomość przyszła w krótkim, prostym liście od jego ojca. Ponieważ nie byli małżeństwem, nie zawiadomiono jej jako członka najbliższej rodziny.

Ale Fraser trochę mu o niej opowiadał. Zostawił jej adres, gdyby coś takiego się stało. Żałują, że jej nie poznali. Jest im przykro, że kontaktują się dopiero teraz. Czy mogliby się kiedyś spotkać?

Dwa tygodnie. Przez dwa tygodnie wierzyła, że on wciąż przebywa na tym świecie, wysyłała do niego listy, siedziała w dusznym biurze obok kobiety z Horsham, a myśl o nim pomagała jej jakoś zachowywać równowagę i zajmować się swoim życiem.

Jak to było możliwe? Dlaczego jakiś instynkt nie podpowiedział jej, że ma zastygnąć w bezruchu?

„A więc to takie uczucie”.

Jednak nie czuła nic; była odrętwiała, jakby za pomocą jakiejś sztuczki opuściła swoje ciało i stanęła obok. Przeczytała list jeszcze raz, usiłując skupić się na najdrobniejszych szczegółach.

„Początkowo, ponieważ nie znaleziono ciała...”.

Podniosła głowę. Próbowwała się nad tym zastanowić. „Nie znaleziono ciała”.

Znowu spojrzała na kartkę.

„Początkowo, ponieważ nie znaleziono ciała, wydawało się, że jest nadzieja.

Po pewnym czasie przysłyły dwa raporty z jego kompanii. Widziano, jak ruszył do przodu, a potem tuż przy nim wybuchł pocisk. Gdy opadły masy ziemi, zniknął”.

Zniknął?! Co to w ogóle miało znaczyć? Jak można zniknąć? Ku swemu zdumieniu poczuła nieodpartą chęć, by się roześmiać. Zaczęła się śmiać i zaraz śmiech się urwał. Czekwała, jaka będzie jej następna reakcja, ale nie było żadnej.

Iść przed siebie.

Zniknąć.

Już nie mieć ciała.

Gdzieś być, a chwilę później rozlecieć się na cztery strony świata.

Boleją nad tym, napisali, że nie ma ciała, więc nie będzie miejsca pochówku. Ale liczą na to, że z czasem będą mieli dokąd pojechać.

Byli tacy uprzejmi. Jakby to oni ponosili winę za to, że ich syn zniknął z powierzchni ziemi.

Spojrzała wokoło: na stojak, w którym stał popsuty parasol, na stół, który porysował się podczas przeprowadzki, gdy z Doreen uderzyły nim o futrynę drzwi na wspólnym korytarzu. Wszystko było tym, na co wyglądało, i jednocześnie wcale tym nie było. Wtedy Evelyn zrozumiała, w pełni, co miał na myśli Fraser. Tu nic nie było rzeczywiste.

Musiała wrócić do rzeczywistości.

Następnego dnia poszła do fabryki amunicji i zapytała, czy przyjmą ją do pracy. Powiedzieli, że może zacząć przy produkcji skorup pocisków, od poniedziałku. Od razu wydano jej kombinezon.

1 W listopadzie 1918 roku premier Lloyd George powiedział w przemówieniu, że Wielka Brytania ma być „a country fit for heroes to live in”.

2 *Hind* (ang.) – tu: łania.

3 *Canary girls* albo *canaries* – w Anglii podczas pierwszej wojny światowej tak nazywano pracownice fabryki amunicji, które stykały się z trotylem.

Dzień trzeci

Wtorek, 9 listopada 1920

Na dworze pada cicho deszcz, zwiędłe i rozmiękłe liście łagodzą uderzenia kropli o ziemię. Ada już się obudziła i rozmyśla o swoim synu. O tym, gdzie leży we Francji i czy tam też pada.

Gdy czuje, że jej mąż zaczyna się budzić, zamyka oczy, udając, że śpi. Jack wstaje, przeciąga się i ziewa; Ada słyszy każdy jego ruch, ciche sapnięcia i stęknięcia, kiedy wkłada skarpetki, zapina guziki rozporka, nasuwa szelki. Po jego wyjściu kładzie się na plecach i patrzy w sufit, obserwując, jak pokój coraz bardziej się rozjaśnia.

Na dole Jack szykuje się do pracy. Przez krótką chwilę Ada nie słyszy jego kroków, tak jakby zastanawiał się, czy zawołać i ją obudzić. Nie robi tego. Drzwi zamykają się za nim z trzaskiem.

A zatem łatwiej im nie rozmawiać ze sobą.

Zawsze łatwiej jest nic nie mówić.

Wstaje z łóżka, ubiera się i podchodzi do drewnianej komody po drugiej stronie pokoju, otwiera szufladę i wyjmuje list, który schowała pod pościelą poprzedniego wieczoru. Wkłada go do kieszeni swetra. Będzie go potrzebowała później; musi się z kimś zobaczyć.

* * *

Parę lat temu zainstalowano w biurze telefon, ale można go używać tylko w nagłych wypadkach, więc właściwie nie jest wykorzystywany. Evelyn podchodzi do aparatu i podnosi słuchawkę. Od rana niemal ciągle mżyło, teraz jednak rozpadało się na dobre, po szybie spływają szerokie tłuste strugi, gonią jedna drugą. Na zewnątrz interesanci siedzą w kucki pod płaszcami i płachtami brezentu, nad nimi unosi się wilgotna chmura dymu z papierosów.

– Nieprzyjemnie – mówi Robin, wyglądając przez okno.

– Rzeczywiście.

Tego ranka czują się skępowani w swoim towarzystwie jak nigdy dotąd; żadne nie napomknęło o ich wczorajszej rozmowie. Evelyn przykładła słuchawkę do ucha i czeka na zgłoszenie się telefonistki.

– Słucham.

– Poproszę Londyn osiemdziesiąt jeden czterdzieści dwa.

Telefon dzwoni i dzwoni, w uchu Evelyn rozbrzmiewa głuchy ton. Jej

oddech owiewa tubkę mikrofonu, a krew szumi jak dalekie fale; w końcu, gdy wydaje się, że minęły wieki, ktoś podnosi słuchawkę.

– Ed?

– To ty, Eves? – Brat jest zdezorientowany, ma ochryply głos, jakby właśnie się obudził. – Przepraszam, byłem... trochę zajęty.

– Jak się miewasz? – Mówi sztywno, nie radzi sobie z tymi urządzeniami.

– Świetnie. Jestem trochę przeziębiony, poza tym... świetnie.

– Pomyślałam. – Stuka palcami w blat jasnego drewnianego biurka. – Czy nie chciałbyś pójść ze mną na lunch.

Słyszy, jak siedzący z prawej strony Robin wierci się na krześle.

– Dzisiaj? – Brat jest zaskoczony.

– Tak. – Evelyn stara się przybrać radosny ton. – Dlaczego by nie? – Słyszy odgłos zapalania papierosa, potem kaszel.

Po chwili rozlega się już mocniejszy głos brata:

– Dobrze. Gdzie?

– Będę miała niewiele czasu, tylko godzinę. Niedaleko jest Lyon's, za rogiem...

– W herbaciarni?!

Mogła się tego spodziewać.

– No dobrze. Może w tej małej francuskiej restauracji, między twoim mieszkaniem a parkiem. Nazywa się La Forchette. Spotkamy się tam? Dziesięć po pierwszej?

– W porządku. Do zobaczenia. Eves?

– Tak?

– U ciebie wszystko jak należy, staruszko?

– Oczywiście. Po prostu... pomyślałam, że byłoby miło.

– Pewnie. No to do zobaczenia.

Evelyn odkłada słuchawkę na widełki i stoi z ręką na mikrofonie. Za plecami słyszy chrząkanie Robina. Gdy spogląda na niego przez ramię, on uśmiecha się z przymusem.

– Randka przy lunchu?

– Och, nie. To był tylko... – Czuje, że się rumieni.

– Przepraszam. – Robin unosi dłoń. – Niezdrowa ciekawość.

– Mój brat.

Stojący na zewnątrz mężczyzna puka w okno, wydychając obłok pary i ręką wskazując zegar nad głową Evelyn. Najwyższa pora otworzyć drzwi.

* * *

– Ale kto to jest?

Siedzą na łóżku Di. Mimo że zbliża się pora lunchu i dzień wyraźnie

zaznacza swoją obecność za cienkimi zasłonami, Di wciąż ma na sobie koszulę nocną i potargane po spaniu włosy, krótko obcięte na pazia; pali papierosa, pochylając się do przodu i wpatrując się w liścik, który dostała Hettie.

– Już ci mówiłam. Poznałam go w Dalton's. Tańczyliśmy.

– Ile razy?

– Raz.

– Kiedy?

– Na początku.

– A gdzie ja wtedy byłam? – Di spogląda na nią podejrzliwie.

– Zajmowałaś się Humphreyem.

– A Gus?

– Stał w kolejce do baru.

Di robi wielkie oczy, zdumiona, że Hettie jest zdolna do czegoś takiego.

– Ale... dlaczego nic mi nie powiedziałaś? – pyta cicho, z urazą.

– Bo ja wiem? – Hettie wzrusza ramionami. – Po prostu... nie było okazji.

Di wstaje, podchodzi do komody i spośród rzeczy na blacie wygrzebuje starą puszkę po sardynkach, po czym stawia, chyboczącą się, na żółtej narzucie między sobą a przyjaciółką.

– No więc... kto to jest? – pyta raz jeszcze, strąsając popiół do puszki ze śladami oleju.

– Nie wiem.

Di, z niedowierzaniem, wypuszcza obłoczek dymu.

– Nie wiesz?!

– Nie. – Hettie odsuwa od siebie kartkę i wzdycha z rezygnacją. – Masz rację. Chyba jednak nie powinnam iść.

– Wcale tak nie powiedziałam. Daj tę kartkę. Obejrzymy ją sobie. – Di czyta powoli: – „Zamierzam cię zdemaskować”. – Patrzy na Hettie, unosząc zarysowane delikatnie brwi. – Co to w ogóle znaczy?!

– Mówił, że... – Hettie zaplata frędzle narzuty – wyglądam na anarchistkę.

– Że co? Anarchistkę?! To te, o których czyta się w gazetach? Te, co podkładają bomby?

– On żartował. Przynajmniej tak mi się wydaje.

– Hmm, to jakiś wariat – stwierdza Di i oddaje Hettie kartkę.

– Bardzo możliwe.

– Przystojny?

Hettie kiwa głową.

– Ale jakby inny.

Przypomina sobie jego twarz: szare oczy, które się rozszerzały przy uśmiechu, tak jakby nosił maskę, a pod nią ukrywał się ktoś zupełnie inny.

– Inny?! – Na Di nie robi to wrażenia. – Jest bogaty?

– Nie wiem. Być może, ale...

– No co?

– Och, sama nie wiem. Nie da się tego wytłumaczyć.

Hettie patrzy na kartkę, którą trzyma w ręku.

„Dalton’s? Wtorek? Dziesiąta wieczorem?”.

– Pójdę.

– Co takiego?!!

– Podobał mi się. Pójdę.

– Podobanie się to za mało – oświadcza Di. Ma oczy jak spodki. – Może to jakiś... zboczeniec? Albo handlarz żywym towarem?

Hettie uśmiecha się.

– A jeżeli... – Di pochyla się ku niej przez łóżko i zniża głos – będzie chciał zabrać cię do Limehouse i zmusić do palenia opium?

Obie widziały film *Złamana lilia* – oglądały go trzy razy i mogłyby obejrzeć jeszcze raz – w dużym kinie przy Broadway, siedząc wśród skórek wyssanych pomarańczy i łupinek po fistaszkach, przejęte losem Lillian Gish, która zakochała się w Chińczyku, paliła opium, była maltretowana przez swojego ojca i w końcu umarła.

– Nie zabierze mnie do Limehouse – mówi Hettie.

– Skąd wiesz?

– Nie wiem. – Bierze papierosa z paczki Di.

„Też chcę wysadzić w powietrze to i owo”.

– Pójdę – oświadcza ponownie, zaciągając się głęboko i z zadowoleniem.

– Oszałałaś! – woła z piskiem Di i kręci głową.

Może tak. Może oszałała. Ale raptem przepełnia ją cudowne poczucie wolności.

– Di?

– No?

– Pożyczysz mi jakiś ciuch?

Di marszczy czoło.

– Proszę cię. Nie mam nic innego oprócz tej starej sukienki. Ona już śmierdzi.

– To ją upierz.

– Di, proszę.

Di ma niezadowoloną minę, wydyma dolną wargę.

– Myślałam, że pójdziemy dzisiaj do kina. Grają *Znak Zorro*.

Zwykle przebiega to inaczej. Odwrotnie. Di jest drobniejsza i ładniejsza i to do niej uśmiecha się przyszłość. To ona wie, jak ułożyć sobie życie, to wokół niej zawsze coś się dzieje. Hettie widzi, jak przyjaciółka zмага się z nową sytuacją, stara się być uprzejma.

– No dobrze – niechętnym tonem odzywa się Di. – Co chcesz pożyczyć?

Pyta, choć dobrze wie. A Hettie wie, że ona wie. Może chodzić tylko o jedną sukienkę. Ma ją przed oczami: wisi na drążku przy łóżku, jej ciemne piękno połyskuje w przytłumionym zasłonami świetle dnia. Hettie czuje, jak na myśl o niej aż skręca ją w żołądku.

– Mogłabym... tę czarną?

– Tę czarną?! – jęczy Di. – Boże drogi.

– Proszę cię.

– Niech ci będzie. – Di pada plecami na łóżko i z rezygnacją wypuszcza kłęb dymu.

– Naprawdę? – Hettie zrywa się na nogi.

– Błagam. – Di zakrywa dłonią oczy. – Nie mówmy już o tym.

Hettie zdejmuje suknię z wieszaka i przykłada do siebie. Kreacja jest piękna. Cięższa, niż Hettie sobie wyobrażała. Już to czuje: materiał sływa po nogach, ociera się o skórę, gdy ona krąży z nim po parkiecie.

– A jak zmierzasz dotrzeć do Dalton's?

Hettie obraca się, trzymając suknię przy ciele.

– Pojadę metrem. Mam się z nim spotkać o dziesiątej.

Słowa wyskakują w powietrze jak klawisze maszyny do pisania.

Mam się z nim spotkać o dziesiątej.

Nie do wiary. Nie do wymazania. Nie da się już ich cofnąć.

– Uważaj na nią. – Di siada na łóżku, wyciągając palec. – Bo rozerwę cię na strzępy.

– Na pewno, obiecuję. – Hettie podchodzi do łóżka i obejmuje przyjaciółkę.

– Wielkie dzięki, Di.

– Uhm.

Hettie składa suknię, po czym ostrożnie pakuje ją do torby.

– Jeszcze jedno... – mówi, prostując się.

Di unosi brwi.

– Chciałabym zapytać cię o coś jeszcze...

* * *

Restauracja jest mniejsza, niż zapamiętała ją Evelyn: zaledwie pięć stolików, każdy nakryty takim samym zwykłym obrusem, z zapaloną czerwoną świeczką. Tylko przy jednym siedzą goście: elegancka pani i łysiejący pan pochylają się nad swoimi daniami. Podnoszą głowy, gdy wchodzi Evelyn; czuje, jak na jej widok, samotnej kobiety w tym miejscu, następuje lekkie poruszenie. Otrząsa parasolkę i wkłada do stojaka przy drzwiach, po czym zaraz podchodzi kelner, żeby zabrać jej płaszcz. Na czarnej tablicy widnieje napisane kredą *menu fixe*: stek z ziemniakami, *tarte tatin*.

Evelyn siada twarzą do okna i zamawia karafkę wina, a gdy pojawia się na stoliku, wypija szybko pół kieliszka, patrząc na ulicę przez zachlapaną deszczem szybę. Zapala papierosa. Para przy sąsiednim stoliku obrzuca ją spojrzeniem, w którym Evelyn wyczuwa ostrą dezaprobatę. Gasi papierosa, ale zaraz ogarnia ją złość na siebie, że tak zrobiła. Gdy znów go zapala, papieros smakuje okropnie.

Otwierają się drzwi i staje w nich Ed, z mokrą gazetą nad głową. Roześmiany podchodzi do Evelyn.

– Nie wyjrzałem porządnie przez okno. Nie miałem pojęcia, że tak cholernie pada.

Jej brat wygląda blado. Jest ubrany niedbale: marynarka, źle zawiązany krawat, jakby wstał z łóżka i wyszykował się po ciemku. Dwoje gości podnosi wzrok. Evelyn zauważa, że kobieta prostuje plecy, wyciąga szyję.

Ed, jak zwykle, jest błogo nieświadomy wrażenia, jakie wywiera na ludziach. Zawsze tak było. Gdy w młodości musieli chodzić na te okropne bale w wiejskich posiadłościach, rozszczebiotane panny ustawiały się do niego w kolejce, ale on z równą przyjemnością tańczył z nią. A ponieważ nie znosiła tych przyjęć, rozmów o niczym, nieudolnych tancerzy, przyzwoitek, całego tego kojarzenia par, zawsze była mu za to głęboko wdzięczna. Tańczył najlepiej ze wszystkich.

Spogląda na zegarek. Jest już dwadzieścia po pierwszej.

– Jestem głodna. Zamówimy?

– Ty zamów. – Ed macha ręką i siada przy stoliku. – Dla mnie co bądź.

Evelyn przywołuje kelnera i zamawia dla nich obojga stek.

Ed pochyla się ku niej, upija łyk wina z jej kieliszka i się krzywi.

– Och, przestań, nie jest takie złe.

– Ty tak uważasz. – Zapala papierosa.

– O jedenastej jeszcze w łóżku, tak? – Evelyn nie może się pohamować.

– Długi wieczór.

– Łatwe życie.

– Za to ty, staruszko, jesteś koneserką wyboistych ścieżek. – Unosi swój kieliszek. – Na przykład tego wina. O ile w ogóle można nazwać ten płyn winem. – Daje znak kelnerowi. – Czy mogę prosić o kartę win?

Gdy kelner przynosi kartę, Ed przemyka wzrokiem po stronicy.

– Poproszę czerwonego burgunda – mówi. – Rocznik tysiąc osiemset dziewięćdziesiąty czwarty.

– Pokaż. – Evelyn wyrywa mu kartę. – Butelka kosztuje dwa funty!

– No i co?

– To, że muszę wracać do pracy.

– Dajże spokój! – Uśmiecha się szeroko i pochyla w jej stronę. – Kiedy mamy taką okazję?

„Za rzadko. A z czyjego powodu?”

Na stole pojawiają się drugie wino i dwa czyste kieliszki. Ed daje znak, żeby zde gustowała. Kelner nalewa odrobinę do jej kieliszka, a ona smakuje wino, zamykając na chwilę oczy. Jest wyśmienite. Nic dziwnego. Kosztuje dwa funty. Evelyn kiwa głową, kelner napełnia kieliszki i odchodzi.

Evelyn upija duży łyk. Wino jakże gładko spływa do gardła. Na dworze krople deszczu odskakują od chodników i miękkich dachów zaparkowanych automobili, smagają zmoczone pelargonie po obu stronach drzwi wejściowych. Evelyn odchyła się na oparcie krzesła. Stwierdza w duchu, że cieszy się ze spotkania z bratem, tym przystojniakiem. Że z przyjemnością pije jego wino za dwa funty. Chętnie by tu została, w ciepłym kokonie, jaki on tworzy swoim swobodnym stylem bycia, i wypłała to wino do dna. Nie wychodziła na deszcz, żeby wrócić do przygnębiającego biura z przygnębiającym Robinem i tymi przygnębiającymi interesantami.

– No więc? – W jego oczach widać rozbawienie. – Co to wszystko ma na celu? Czyżbym wyczuwał podstęp?

– Podstęp? – Evelyn oblewa się rumieńcem. – Skądże. Ja tylko... – Odstawia kieliszek. – Takie nasze spotkania już nie odbywają się zbyt często.

– Wypiję w tej intencji.

Wznosi toast i trącają się kieliszkami.

– Właściwie zamierzałem cię spytać – mówi Ed.

– O co?

– Czy przyjdiesz w czwartek?

– Dokąd?

– Nie pamiętasz o zaproszeniu od Anthony’ego?

Pewnie ma skonsternowaną minę, bo Ed z uśmiechem kręci głową.

– Mieszkanie przy Whitehall. Podczas ceremonii. Nieznany Żołnierz – wyjaśnia. – Czy ty w ogóle czytasz gazety?

– Aha. – Evelyn marszczy nos. – Nie zastanawiałam się nad tym, prawdę mówiąc.

– Pomyślałem, że moglibyśmy pójść razem. – Ed pochyla się w jej stronę. – Zadośćuczynienie za sobotę. Za zostawienie cię na Paddington. Zaniedbanie swojego obowiązku i całą resztę.

– Trudno mi powiedzieć. – Z jakiegoś powodu robi jej się niedobrze. Na myśl o publicznym pochówku, z pompą i przepychem. – Nie sądzisz, że to wszystko jest trochę...

– Jakie?

– Sama nie wiem. Obłudne? Jakby mogło cokolwiek zmienić. Sprawić, że ludzie zapomną.

– Nie wydaje mi się, żeby chodziło o to, by ludzie zapomnieli. Jeśli już, to

raczej chodzi o upamiętnienie.

– Możliwe. – Wzrusza ramionami.

– Zastanów się. Moglibyśmy przyjemnie spędzić dzień. Potem gdzieś pójść. Chętnie bym się z tobą wybrał, jeśli chcesz.

Wbrew sobie odczuwa przyjemność.

– Zgoda – mówi w końcu. – Może być miło.

Kelner przynosi steki w śmietanie. Cienkie, posypane pieprzem, parujące, obok ziemniaki z masłem. Evelyn nabiera potrawę na widelec, po czym podnosi wzrok i widzi, że brat nie je.

– Nie jesteś głodny?

– Może coś zjem – mówi obojętnym tonem i wyjmuje papierośnicę. – Będzie ci przeszkadzało, jeśli zapalę?

– Ani trochę.

Ed pali papierosa, a ona je, w przyjacielskim milczeniu.

– No, mów – odzywa się Ed, gdy Evelyn kończy posiłek. – O co ci tak naprawdę chodzi?

Evelyn zjada ostatni kęs steku i odkłada widelec na talerz.

– Miałam interesanta – oznajmia. – Przyszedł wczoraj do biura.

– I co?

– Zdaje się, że szuka ciebie.

– Mnie?

– Chyba tak. – Bierze kawałek chleba z koszyczka i rozkrusza na talerz. – Nazywał się Rowan Hind.

Ręka jej brata nieruchomieje; dym z papierosa unosi się prostą smugą. Z tyłu dochodzi brzęk kieliszków w ręce kelnera, z lewej strony stuk widelców dwojga gości.

– Rowan Hind?

– Tak. – Evelyn je kawałeczki chleba nasączonego śmietaną.

Ed wypija łyk wina. Między jego brwiami pojawia się niewielka bruzda.

– Jak wyglądał?

– Ma dość rzadkie nazwisko.

– To prawda. – Kiwa głową. – Na pewno sobie przypomnę. Powiedz coś więcej. Miał jakąś szczególną cechę?

Evelyn odchyła się na oparcie krzesła.

– Raczej nie. – Sięga po papierosa. Zastanawia się chwilę i stwierdza, iż najbardziej uderzało w nim to, że był taki zwyczajny. – Niski mężczyzna. Sprawiał wrażenie wygłodniałego. Był szeregowym. Zwolniono go z przyczyn zdrowotnych w siedemnastym roku.

– Jakich doznał obrażeń?

– Ma niesprawną jedną rękę. – Zapala papierosa. – Nosi ją na temblaku.

I nerwica, tak mi się zdaje.

Ed kiwa głową.

– Z czym do ciebie przyszedł?

– Chciał cię odszukać.

Patrzy na nią ze zdumieniem.

– To niedorzeczne. Skąd, do diabła, mógł wiedzieć?

– Nie wiedział. Nie miał pojęcia, że jestem twoją siostrą. Trafił do mnie przypadkiem.

– Powiedziałaś mu, kim jesteś? – pyta, nachylając się do niej.

– Oczywiście, że nie. To byłoby nieetyczne. – Obserwuje jego twarz, żyłkę pulsującą na skroni, napiętą skórę na czaszce. – Ale dałam mu adres archiwum. Jeżeli się nad nim ulitują, mogą mu powiedzieć, gdzie mieszkasz.

– Mało prawdopodobne.

– Dlaczego?

Ed odsuwa się, wypija duży łyk wina, spogląda na swój stek: widać cienką skorupkę na maśle, które skrzepło w sosie.

– Przepraszam na chwilę.

Wstając, Ed upuszcza serwetkę, którą ona podnosi i kładzie przy jego talerzu.

– Czy państwo skończyli? – słyszy z boku głos kelnera.

– Tak, dziękuję.

– Życzą sobie państwo deser?

– Nie, dziękuję. Poprosimy o rachunek.

Bębni palcami po stole i opróżnia kieliszek. W butelce nadal jest sporo wina. Nalewa sobie do pełna. Z tyłu dolatuje szum splukiwanej wody i trzask drzwi. Ed podchodzi do niej i staje za jej krzesłem, po lewej stronie.

– Muszę już iść.

– Poprosiłam o rachunek – mówi pojednawczym tonem Evelyn, odwracając się ku niemu. – Usiądź i poczekaj jeszcze chwilę.

Ed siada. Noga podryguje mu pod stołem, przez co kieliszki stukają o siebie i podzwaniają, tak jakby pod ziemią przejeżdżał pociąg metra.

– Ed? Wszystko w porządku?

– W jak najlepszym. – Nie patrzy jej w oczy.

– Dziwne, prawda? – Evelyn pochyla się w stronę brata. – Dlaczego szeregowy chciałby cię odnaleźć? Po tylu latach.

– Skąd mam wiedzieć? – odburkuje Ed. – Daj spokój, Eves. Wiesz, jacy są ludzie. Wbijają sobie coś do głowy. Tkwiają w miejscu. Kto jak kto, ale ty dobrze o tym wiesz.

To boli.

– O co ci chodzi?

Ed rozkłada ręce.

– Sama się domyśl.

– Nie. Ty mi powiedz. Co to miało znaczyć?

– Posłuchaj, Eves. Nie zrozum mnie źle, ale powinnaś nabrać trochę dystansu. Może wtedy przestałabyś rozpamiętywać różne rzeczy.

Ogarnia ją znajomy kwaśny nastrój, sący się z niej, psując to popołudnie, powodując, że kiśnie stek, wino i śmietana.

– A więc tym się zajmuję? Rozpamiętywaniem? Wybacz, w ogóle nie zdawałam sobie z tego sprawy.

Ed wypija kolejny łyk wina i szuka wzrokiem kelnera. Zniecierpliwienie maluje się na jego ściągniętej twarzy. W tej chwili wygląda jak ich ojciec. W przeblasku wyobraźni Evelyn widzi go piętnaście lat później: identyczna pewność siebie, identyczne samozadowolenie, identycznie zaciśnięte szczęki.

– Co ten człowiek wyrabia? Na miłość boską!

– Ed...

– No co? – Obrzuca ją spojrzeniem.

– A zatem nie pamiętasz żadnego Rowana Hinda?

– Tego nie powiedziałem. Samo nazwisko. I tyle. Wiesz, iloma ludźmi dowodziłem?

Evelyn nie ma pojęcia.

– Setką?

Brat patrzy na nią pogardliwie.

– Dwustu pięćdziesięcioma. Mniej więcej. Myślisz, że pamiętam byle szeregowego, który postradał zmysły?

– Nie mówiłam, że postradał zmysły.

Evelyn czuje, że coś się między nimi dzieje, atmosfera wyraźnie się ochłodziła.

Po chwili milczenia jej brat odzywa się bardzo spokojnie:

– Co konkretnie chciałaś osiągnąć, ściągając mnie tutaj?

– Ja... – Milknie.

Tak naprawdę sama nie wie: chciała się czegoś dowiedzieć, ale czego?

– Skończ z tym.

– Nie rozumiem.

– Powiedziałem: skończ z tym. Wtrącasz się w nie swoje sprawy.

– Ja się wtrącam?!

– Tak, Eves. Ta twoja praca jest deprymująca. Chryste Panie, ona ci nie służy. Zresztą wcale nie musisz pracować.

– No tak. Cóż, nie wszyscy chcą się wylegiwać w łóżku do południa. Może byś tak przypomniał mi, czym właściwie się zajmujesz, gdy nie zamawiasz porządnych win?

Noga znów podryguje mu pod stołem. Kładzie ręce na blacie, jakby chciał ją unieruchomić, ale to nie odnosi skutku.

– Udam, że tego nie usłyszałem, dobrze?

Atmosfera między nimi jest tak podminowana, że wystarczy iskra, by rozgorzał konflikt.

Evelyn odwraca głowę i widzi tuż obok kelnera trzymającego spodek z rachunkiem. Sięga po torebkę, ale Ed już poderwał się z krzesła. Rzuca parę banknotów i pochyła się przez stół, muskając ustami jej policzek.

– Do zobaczenia wkrótce. Mam nadzieję, że do tego czasu samopoczucie ci się poprawi.

Zanim zdąży wstać, on już jest za drzwiami.

* * *

Zakład jest mały i przytulny, niepozornie ulokowany w bocznej uliczce, na skraju dzielnicy Shepherd's Bush. Pachnie pianką do golenia, skórą i mężczyznami. Po dłuższych namowach Hettie wreszcie wyciągnęła z Di adres.

„Z zewnątrz wygląda nieszczególnie. Nigdy byś nie przypuszczała, że to tam. Bardziej przypomina golarnię. I rzeczywiście to jest golarnia. Nie przejmuj się mężczyznami – będą się na ciebie gapić, ale nie zwracaj na to uwagi. Zapytaj o Giovanniego. Powiedz, że ja cię przysłałam. On jest najlepszy”.

Koniec końców decyzja była łatwa.

Nawet nie tyle łatwa, ile wcześniej podjęta.

I oto Hettie już siedzi na popękany skórzany fotelu, pośród wielu innych klientów, okryta czymś w rodzaju białego obrusa, który jest wetknięty za brzegi sukienki, a z tyłu stoi podstarzały Włoch z nożyczkami w ręku.

– Ile ścinamy? – pyta, co brzmi jak: „Ila cinama?”.

Hettie widzi, że za oknem stoi dwóch wgapionych w nią mężczyzn. Zupełnie się tym nie przejmuje. Ani trochę.

– Na krótko – odpowiada.

Fryzjer okrąża ją, zatacza pełny półokrąg, unosząc i puszczałając długie pasma włosów.

– Na... krótko... – mówi do siebie, obchodząc Hettie. Po chwili staje i patrząc na nią w lustrze, stwierdza: – Pani ma piękne włosy, ale wyglądają okropnie, jak u konia.

– Wiem – przytakuje Hettie. – Dlatego chcę je obciąć.

– Nie jak u konia – poprawia się. – U konika.

Jedną ręką bierze pęk włosów i unosi nożyczki. Ostrza lśnią w popołudniowym słońcu.

– To będzie dla mnie przyjemność – oświadcza.

Ciach!

Trzyma w ręku pierwsze pasmo włosów. Trofeum. Obcięty ogon konika. Przez chwilę Hettie jest sztywna z przerażenia. Przez chwilę spodziewa się, że popłynie krew.

Ciach!

Widzi swoją matkę.

Ciach!

„Co powiedziała by ojciec? On uwielbiał twoje włosy!”.

Ciach!

Widzi swojego ojca, jego twarz pokrytą zmarszczkami. Nabierając łagodności, gdy się uśmiechał.

Ciach!

„Przepraszam, tato”.

Ciach!

„Tak mi smutno, że nie żyjesz”.

Ciach!

„Bezwstydną pannica”.

Ciach!

Ciach!

„Zamierzam cię zdemaskować”.

Ciach!

Ciach!

Ciach!

„Lubisz wysadzać coś w powietrze?”.

Ciach!

„Przyszłość się otwiera”.

Ciach!

„Coraz szerzej”.

Ciach!

„Już”.

Ciach!

„Prawie”.

Ciach!

„Na oścież”.

Bujna czupryna. Odsłonięta szyja.

Fryzjer robi krok w tył i mówi:

– Pięęęęęknie.

– Zabójczo – szepcze Hettie, spotykając jego wzrok w lustrze.

* * *

„Mam nadzieję, że do tego czasu samopoczucie ci się poprawi”.

Te słowa nieustannie kołaczą się Evelyn w głowie. Jak on śmie tak mówić?! Zupełnie jakby coś było z nią nie w porządku, jakby była chora, a wszystko dlatego, że ośmieliła się zadać mu pytanie, domagała się wyjaśnień od niego czy któregokolwiek z nich. Czyżby cała ta cholerna wojna była tylko jakimś klubem dżentelmenów o szerokim zasięgu?

Wciąż leje deszcz; poruszanie się w gąszczu ludzi i parasoli na chodnikach jest ryzykowne. Evelyn wpada na mężczyznę idącego przed nią wolnym krokiem i potyka się, zawadzając o obcas jego buta. Chwyta za pręt żelaznego ogrodzenia, żeby utrzymać równowagę.

– Mogłaby pani uważać – upomina ją mężczyzna.

Jest stary, ale trzyma się prosto, ma postawę wojskowego i dźwięczny głos, który brzmi donośnie nawet w tak wilgotnym powietrzu.

Evelyn stoi, lekko się chwiejąc, i patrzy na mężczyznę. Takich jak on jest mnóstwo, gdziekolwiek spojrzeć. Robi jej się niedobrze na widok bijącej z nich pewności siebie; to starcy posiadli ziemię.

– Och, idź do diabła! – rzuca za nim.

Mężczyzna otwiera usta, jakby chciał się odciąć, i zaraz je zamyka. Odwraca się pierwszy, idealnie wyprostowany, i odchodzi sztywnym krokiem. Evelyn natychmiast ogarnia wstyd. Zaciska dłonie na szpikulcach zwieńczających ogrodzenie. Widzi świat jak przez mgłę. Dopiero teraz, gdy się zatrzymała, uprzytamnia sobie, że niepewnie stoi na nogach. Ile wina ostatecznie wypła? Prawie całą butelkę, ona sama. Jest dobrze wstawiona. Będzie musiała się pozbierać, żeby wrócić do pracy. Potrząsa ręką, zsuwając zegarek spod mankietu, i patrzy mętным wzrokiem na tarczę. Już jest spóźniona, ale w takim stanie nie może pojawić się w biurze. Mieszka niedaleko stąd; jeżeli teraz skręci w prawo, dojdzie do domu na skrót. Wpadnie na minutę i doprowadzi się do porządku. Myśl jest kusząca, bo dużo lepiej przyjść za późno niż na gazie. Odrywa się od barierki i skręca w boczną ulicę, idzie szybkim krokiem, niemal biegiem, omijając kałuże i unosząc wysoko parasol.

W mieszkaniu panuje atmosfera obojętności i lekkiego zaskoczenia, jak to popołudniem w powszedni dzień. Powietrze jest nieruchome, trochę zatęchłe. W zlewie piętrzą się brudne naczynia z wielu dni. W sypialni są zaciągnięte kotary. Evelyn nie pamięta, kiedy je ostatnio rozsuwała. Gdy teraz je uchyla, jakiś ruch w mieszkaniu naprzeciwno zwraca jej uwagę. Ktoś tam jest, w mroku, ledwie widoczny w głębi pokoju. Evelyn stoi jeszcze chwilę, patrząc przez okno, ale deszcz wszystko zamazuje.

Odwraca się i krzywi z obrzydzeniem. W świetle dziennym jej sypialnia wygląda potwornie. Co za nora. Zastanawia się, dlaczego nie przyszła sprzątaczką, i zaraz przypomina sobie, że kobieta wyjechała w odwiedzinach do matki, gdzieś do Dorset czy Devonu. W zeszłym tygodniu Doreen zostawiła jej kartkę z tą

wiadomością. Evelyn zdejmuje przemoknięty płaszcz i kładzie go na łóżku, potem idzie do łazienki i napełnia umywalkę zimną wodą. Patrzy na swoją twarz w lustrze.

Jej brat kłamał.

Jesteś kłamcą, Edwardzie Montforcie, kłamcą!

Zdejmuje bluzkę i spryskuje twarz lodowatą wodą, głośno prychnąjąc.

Doskonale wiedział, kim jest Rowan Hind; miał to wypisane na twarzy.

W takim razie co ma do ukrycia?

Znowu spryskuje się wodą, raz i drugi, mocząc całą górną część halki. Halkę też zdejmuje. Potem starannie myje zęby, wyciera się ręcznikiem i idzie do pokoju.

W oknie mieszkania naprzeciwko poruszają się cienie. Evelyn aż podskakuje. Jest do pasa naga. Deszcz przestał padać, więc wszystko dobrze widać. Cienie gęstnieją, rozdzielają się i w końcu wyłania się mężczyzna na wózku inwalidzkim, patrzy na drugą stronę ulicy, w jej kierunku.

Gdy Evelyn obserwuje go ze swojego okna, mężczyzna podjeżdża bliżej szyby. Widzi jego bladą cerę, opadające powieki i podkrążone oczy. Jest młodszy od niej; z tej odległości wygląda najwyżej na dwadzieścia lat. Ma piękną twarz. Patrzy prosto na Evelyn, prosto w oczy.

Napina jej się skóra wokół sutków.

Na rogu łóżka leżą papierosy. Z miejsca, gdzie stoi, dostrzega je kątem oka. Powoli, nie odwracając się, nie odrywając oczu od twarzy chłopca, sięga po papierośnicę i zapalniczkę.

Zapala papierosa, zaciąga się i wydmuchuje dym, upuszczając zapalniczkę, która miękko upada na łóżko. Chłopak rozpina guziki spodni. Evelyn obserwuje go, gdy on wkłada rękę do środka. Czuje ruch powietrza na skórze; słyszy szmer swojego oddechu. Znów zaciąga się głęboko. Ręka chłopca zaczyna się powoli przesuwać w górę i w dół. Jego oczy nie odrywają się od jej twarzy. Evelyn lekko rozstawia nogi, czuje, jak majtki ocierają się o skórę: mocne pulsowanie wewnątrz. Pociąga papierosa. Oboje nie ruszają się z miejsc, wpatrzeni w siebie, a ręka chłopca przesuwa się coraz szybciej. Oddech więźnie jej w gardle. Wreszcie tamten opada bezwładnie, a Evelyn wypuszcza powietrze z cichym sapnięciem.

Chłopak siedzi z pochyloną głową. Przez dłuższą chwilę nie rusza się, a potem, nie podnosząc wzroku, odjeżdża i znika z widoku.

Evelyn kładzie rękę na piersiach i zaciąga kotarę, a wtedy nagle zalega ciemność. Siada na skraju łóżka i obejmuje rękami głowę. Zbiera jej się na płacz.

Jednak nie płacze. Wstaje. Otrząsa się, wyjmując z szafy świeżą halkę i wkłada na nią sweter.

* * *

Przychodzi do biura spóźniona półtorej godziny. Jakimś cudem kolejka nie

jest taka długa, dziesięciu, może piętnastu interesantów czeka na zewnątrz.

Ukradkiem wślizguje się na swoje miejsce. Wyczuwa jednak moment, kilka sekund później, gdy Robin orientuje się, że wróciła. Słysząc, jak wierci się na krześle, jak coś szumi w powietrzu między nimi. Dziwny jest ten szum, ale Evelyn nie podnosi głowy, nie odpowiada na spojrzenie Robina.

* * *

– O, Ada! – Ivy staje w drzwiach. Jej wydatne policzki są zarumienione, skóra lśni od potu. – Jaka przyjemna niespodzianka. Akurat zagotowała się woda. Zaparzę nam herbatę.

Ada wsuwa rękę do kieszeni i dotyka koperty. Idzie za Ivy ciemnym korytarzem do kuchni, gdzie jakiś lepki zapach unosi się z garnka stojącego na małym ogniu na kuchence. Okna są zaparowane, na stole leży kłębowisko gałązek. Zapach surowego drewna miesza się z landrynkową parą.

– Co tak ładne pachnie?

– Pączki róży. – Ivy bierze do ręki miskę pełną obranych owoców. – Wiesz, że zawsze robię syrop, świetny na zimowe przeziębienia. Dam ci trochę, jak będzie gotowy.

– Dziękuję.

– Siadaj. Zajmę się herbatą, dobrze?

Ada odsuwa krzesło przy wytartym stole i patrzy, jak Ivy krząta się po kuchni, zdejmując pokrywkę dzbanka do herbaty, zerka do niego, płucze go, wrzuca liście i zalewa wrzątkiem. Ivy jest cięższa niż kiedykolwiek, rusza się znacznie wolniej. Znają się od lat; Ivy, starsza od Ady o jakieś trzy lata, mieszka przy tej ulicy dłużej; miała już dwie córki, gdy Ada się wprowadziła. Ale jednocześnie były w ciąży: Ada urodziła Michaela, Ivy – Josepha, trzecie dziecko. W tamtym czasie Ivy była śliczna, ciągle odrzucała głowę do tyłu i śmiała się z byle czego. Straciła syna latem w tysiąc dziewięćset szesnastym. Potem na długo przestała się śmiać.

Ivy przynosi dzbanek, stawia filiżanki na spodeczkach i nalewa herbatę.

– Mam wrażenie, że nie widziałyśmy się całe wieki – mówi z uśmiechem.

Jej uśmiech, jak zawsze, wprawia Adę w zdumienie. Ivy dostała nowe zęby tuż przed końcem wojny; jej córki zaoszczędziły pieniądze na sztuczną szczękę; wyrwała stare i ma nowe, górne i dolne. Wyglądają śmiesznie, jakby zrobiono je dla kogoś innego. Poza tym są nie najlepiej dopasowane; gdy mówi, słysząc stuki i świsty.

– U Jacka wszystko w porządku? – pyta Ivy. – Z tej działki wciąż dużo zbiera?

– Tak, przynosi różne rzeczy.

– To dobrze. – Ivy siada przy stole. – Cieszę się, że wpadłaś. Od pewnego czasu chciałam się o coś zapytać.

– O co?

– Wybierasz się do miasta na pogrzeb? No wiesz, Nieznanego Żołnierza.

Na razie unikali z Jackiem tego tematu. Ada z góry wie, że Jack nie będzie chciał iść.

– Czytałam w gazecie – ciągnie Ivy – że postawią na ulicach barierki. Spodziewają się tysiący ludzi.

– Starczy dla wszystkich miejsca?

– W tym cała rzecz, co? Że wszyscy tam będą, że będziemy chcieli złożyć hołd.

– Pewnie tak.

– Myślałam, że pójde z dziewczętami, ale nie mają ochoty. – Jej twarz powleka się smutkiem, lecz zaraz się rozpogadza. – A potem wpadłam na pomysł, że mogłybyśmy przejść się tam razem... Chciałabyś?

– Sama nie wiem... Mogę się nad tym zastanowić?

– Oczywiście. Nie ma pośpiechu.

Ada dotyka listu w kieszeni, odstawia filiżankę.

– Chciałabym cię o coś zapytać, Ivy.

– Pytaj.

– To dotyczy twojego Joego.

– Co z nim?

– Dostałaś list, prawda? Napisali ci, jak do tego doszło, tak? Po jego śmierci, tak?

– Dostałam.

– A potem przyszedł drugi list, prawda? Napisali o jego grobie, tak? Napisali, gdzie się znajduje...

Ivy kiwa głową.

– Mogę go zobaczyć?

Adzie przelatuje przez głowę myśl, czy nie powiedziała za dużo. Ale Ivy mówi:

– Oczywiście. Jeżeli tak bardzo chcesz. Zaraz przyniosę.

Idzie do salonu, skąd dolatują jej kroki. Przez okno widać, że w ciemnym ogrodzie nagle zrywa się wiatr i rozwiewa chmurę małych liści. „Nieznany Żołnierz”. Oficjalnie używa się określenia „Nieznany Wojownik”. Brzmi tak podniośle. Ada wie, jaki sens ma ten pogrzeb: jedna uroczystość dla tych wielu, którzy nie wrócili do domu. Tylko dlaczego oni nie nazywają go żołnierzem? Tak jak wszyscy ludzie.

– Sama przeczytaj. – Ivy staje w drzwiach. – Ja nie mogę. Przepraszam. – Kładzie przed Adą na stole dwie brązowe koperty. – I tak powinnam to sprzątnąć. – Przenosi naręczę gałązek na blat kuchenny i zaczyna je łamać na pół.

Ada wyjmuje pierwszy list.

Szanowna Pani!

Polecono mi poinformować Panią o nadejściu raportu, w którym stwierdza się, że zmarły szeregowy Joseph White został pochowany około dwóch tysięcy jardów na północny zachód od Guedecourt, położonego na południowy zachód od Bapaume.

Grób jest zarejestrowany w naszym departamencie i oznaczony trwałym drewnianym krzyżem, na którym widnieje napis zawierający pełne dane.

Z wyrazami szacunku

kapitan sztabowy generała brygady,

dyrektora Departamentu Rejestracji Grobów i Dochodzeń

Drugi list jest dłuższy, napisany bardziej zwartą czcionką. U góry widnieje stempel z datą: 20 marca 1920. Ada mruży oczy. Czytanie w słabym świetle sprawia jej trudność.

Szanowna Pani!

Pragnę Panią powiadomić, iż zgodnie z porozumieniem zawartym z rządami Francji i Belgii, dotyczącym przeniesienia wszystkich rozproszonych grobów i małych cmentarzy, które nie spełniają wymogów stałego miejsca pochówku, konieczne okazało się przeprowadzenie ekshumacji na pewnych terenach. Z tego względu zwłoki szeregowego White'a zostały przewiezione i złożone na cmentarzu Grass Lane w Guedecourt, na południe od Bapaume.

Ubolewamy, że tak się stało, ale było to nieuniknione z wyżej wspomnianych powodów. Może być Pani pewna, iż ponowne złożenie szczątków do grobu odbyło się w sposób godny i z należytą starannością, podczas stosownej ceremonii religijnej.

Z wyrazami szacunku

major, pierwszy zastępca dyrektora ds. administracyjnych

Z upoważnienia generała dywizji

dyrektora Departamentu Rejestracji Grobów i Dochodzeń

– Strasznie tu dużo wielkich słów – stwierdza Ada, składając list.

Ivy zdejmuje garnek z kuchenki i mówi z goryczą:

– Mydlenie oczu, co? Zwyczajnie idą na łatwiznę. Ściągają ich w jedno miejsce tylko po to, żeby łatwiej było wszystkim zliczyć. Wolę o tym nie myśleć. Dlaczego nie zostawili go w spokoju? I jeszcze ten kawałek na końcu, o ceremonii religijnej. W ogóle mnie nie pytali, jakiego był wyznania. Gdyby wyznawał hinduizm, psiakrew, nie mieliby zielonego pojęcia. A on był ateistą. Jak jego tata.

– Nie zapytali nawet?

Ivy cmoka z niezadowoleniem.

– Nie. Widzisz, co tam jeszcze przysłali?

Stawia na stole świecę. Z tyłu jest doczepiona kartka z suchą informacją:

Nazwisko: Joseph White

Pułk: 10 batalion pułku z Londynu

*Lokalizacja grobu: cmentarz Sił Imperialnych Australii (Grass Lane),
Guedecourt Kwaterna 7, rząd D, grób 4*

Najbliższa stacja: Bapaume

Najbliższe miasto: – // –

Najbliższy ośrodek informacji: Albert

– Znam tę nazwę. – Ada pokazuje ją palcem, przejęta widokiem znajomego słowa. – Tak było napisane na pocztówce od Michaela. Albert. Jest tam kościół z figurą kobiety z dzieckiem.

– Zgadza się – przytakuje Ivy. – Też widziałam zdjęcia tego kościoła.

Ada wyjmuje z kieszeni list, który przyszedł do niej.

– Spójrz na to. Mogłabyś zrobić to dla mnie?

Ivy zerka na kopertę.

– Przepraszam cię, ale chyba nie dam rady.

– Proszę.

Ivy mięknie. Z brązowej koperty wyjmuje pojedynczą kartkę, czyta szybko, a potem, kiwając głową, odsuwa ją od siebie.

– Też taki dostałam, na początku. Zawsze wysyłają coś w tym rodzaju.

– Wiem – mówi Ada. – Ale mnie nie przysłali nic więcej. Nawet słowa o tym, jak umarł. Ani gdzie jest pochowany. Nic takiego jak to. – Wskazuje leżące na stole listy.

Ivy jest zaskoczona.

– Dlaczego nic wtedy nie mówiłaś?

– Ciągle myślałam, że wróci, pamiętasz? Że nastąpiła pomyłka.

– Nigdy do nikogo nie napisałaś?

– Jack napisał do jego kompanii. Odpowiedzieli, że trzeba pytać w Ministerstwie Wojny. No to zwrócił się do nich. Ale się nie odezwali.

Ivy wciąga przez zęby ślinę.

– Chryste Panie, krew się we mnie burzy. Ci chłopcy tyle zrobili, a oni w ogóle się nie przejmują. Coś ci pokażę. – Wyjmuje z szuflady ulotkę wydrukowaną na gazetowym papierze i kładzie ją na stole. – Widziałaś to? Zaczęli organizować wycieczki i pokazywać groby.

– Widziałam.

– Widziałaś, ile sobie liczą?

Jej palec zawisa nad ogłoszeniem zamieszczonym w szerokiej czarnej ramce u dołu strony.

Wycieczki all-inclusive. Groby i pola bitew.

Prowadzone ze współczuciem przez weterana.

£6 – w tym posiłki i transport.

Ivy kręci głową.

– Pytali mnie o napis na grobie, o płytę. Jedna litera miała kosztować sześć pensów. Przypuszczałaś, że za to zapłacą, prawda? Przynajmniej za napis. Usiadłam z Billem i zaczęłam liczyć, jak długo musiałabym oszczędzać. Dwanaście funtów za wycieczkę dla nas obojga. Ile to będzie? Mam piętnaście szylingów na tydzień, żeby utrzymać dom. Jeżeli bym odkładała dwa szylingi tygodniowo, zajęłoby mi to ponad cztery lata. Ale oni o tym nie pomyśleli, gdy postanowili nie zabierać ich do kraju. – Trzęsie się ze złości. – Dobrze dla tych, których stać, prawda? Jak na wszystko inne, psiakrew.

Cierpkawy zapach dolatuje od strony kuchenki.

– Poczekaj, zajrzę do garnka.

Za oknem wzmaga się wiatr, dzwonią szyby. Ada trzyma ręce na kolanach i zaplata palce.

– Ada? – odzywa się Ivy już spokojniejszym tonem. – Pamiętasz moją kuzynkę May? Tę, co mieszka koło Islington. Straciła obu synów. Poznałaś ją zeszłego lata, na ślubie Ellie, pamiętasz?

Ada spogląda na Ivy, która stoi przy kuchence i wolno miesza w garnku.

– Pamiętam. – Przypomina sobie małą jak ptaszek kobietę, do głębi przejętą smutkiem.

– No więc dostała niedawno list dotyczący jej synów.

– Ach tak?

– Powiadomili ją, że obaj znajdują się na pomniku. Dużym, we Francji, gdzie ludzie będą mogli przyjść i złożyć hołd poległym, a jej chłopcy zostaną wymienieni z nazwiska razem ze wszystkimi innymi. W jednej z tych miejscowości o dziwnej nazwie. Chyba zaczęła się na T.

Ada kiwa głową. Nie umie sobie tego wyobrazić. Jak miałby wyglądać taki pomnik? I jak mógłby komukolwiek przynieść ulgę?

– Po jej chłopcach nic nie zostało – mówi cicho Ivy. – Nic a nic.

Zapada milczenie.

– Nie dostałaś takiego listu? – pyta Ivy.

– Nie.

– Może przyjdzie.

– Może. – Ada odstawia filiżankę. Bierze list, który przyniosła, i obraca go w palcach. – Ivy?

– Słucham.

– A tamta kobieta? Ta, do której poszłaś.

– Jaka kobieta?

– Ta, która mówiła, że rozmawia ze zmarłymi.

Ivy przykrywa garnek i odwraca się, wycierając ręce w fartuch.

– Co z nią?

– Jak myślisz, mogłaby to zrobić? Czy wtedy się udało?

Ivy zakłada ręce na piersi.

– O co chodzi, Ada? Skąd te pytania? Co się stało, że wszystko rozgrzebujesz?

Ada pociera kciukiem bok palca przy kostce.

– Przyszedł do mnie młody człowiek. – Szybko wyrzuca z siebie słowa. – Sprzedawał jakąś tandetę. Sama nie wiem, dlaczego go wpuściłam. – Uderza ją pewna myśl. Spogląda na Ivy i pyta: – Czy tu ktoś przychodził? W niedzielę rano. Czy ktoś do ciebie pukał? Handlarz ścierkami i różnymi takimi?

Po chwili zastanowienia Ivy kręci głową.

– Nie. A cały dzień siedziałam w domu.

– Wszedł do kuchni. Nie chciałam niczego kupować, ale było mu zimno, więc wpuściłam go na papierosa. A potem, potem... on wymówił imię Michaela. – Podnosi wzrok. – Wiem, że to brzmi głupio, ale gdy się odezwał, ten chłopiec, wyglądało to tak, jakby patrzył na niego. Jakby widział go w kuchni.

Ivy siada obok niej na krześle.

– Co to znaczy? Tak jakby zobaczył ducha?

– No... chyba tak.

– Ada – mówi łagodnie Ivy – przecież wiesz, że nie ma duchów.

- Wiem. Ale potem... wczoraj... widziałam go na ulicy.
- Kogo?
- Michaela. I szłam za nim całą drogę do domu, ale tam... on zniknął.
- Ada, kochanie...

Ivy pochyla się ku niej i przez chwilę siedzą obok siebie, obejmując się nawzajem, aż w końcu Ada wypuszcza Ivy z objęć. Nie skończyła. Jeszcze nie.

– A potem, wczoraj, wyjęłam wszystkie jego listy. Nie zaglądałam do nich od dwóch lat. Ciągle zastanawiałam się: dlaczego?! Dlaczego nikt nie powiedział nam, co się wydarzyło? Dlaczego ten dziwny chłopiec przyszedł do mnie? Do ciebie nie przyszedł, prawda? Nie mógł być zwykłym handlarzem ścierkami.

– Nigdy nie wiadomo.

– Nie był. – Ada zapalczywie potrząsa głową. – To ze mną chciał się zobaczyć. Jestem przekonana. Na pewno wiedział coś o Michaelu. Później pomyślałam, że ten chłopiec już nie wróci. Że nigdy się nie dowiem. A potem pochłonęła mnie myśl o kobiecie, z którą się spotkałaś. Nie mogłam o niej zapomnieć. Gdzie to było? Gdzie ona mieszkała?

Ivy zacina usta. Podnosi się z miejsca, niezadowolona.

– Nie chcę o tym rozmawiać. Kto umarł, to umarł. Lepiej zostawić zmarłych w spokoju.

Słysząc pukanie w okno. Obie kobiety zastygają w bezruchu. Za szybą majaczy jakiś kształt, zgarbiony i czarny, ale świeca jest tak blisko, że nie można się zorientować, kto czy co to jest. Ivy podchodzi do okna.

– To Ellie – oznajmia i otwiera drzwi.

Ada słyszy w jej głosie ulgę. Czuć podmuch zimnego powietrza, gdy Ellie, córka Ivy, bystra i schludna dziewczyna, wpada do kuchni, niosąc dziecko na biodrze.

– Wszystko w porządku, mamó? – Ellie stara się przeniknąć mrok. – O, to Ada? Cześć! Dobrze się miewasz? Byłam u Sal. Pomyślałam, że wpadnę i zobaczę, jak leci.

– Siedziałyśmy przy herbacie.

– Przydałoby się tu więcej światła.

– Powinnam już iść. – Ada wstaje z krzesła.

– Nie wychodź z mojego powodu. – Ellie przenosi wzrok z jednej na drugą.

Ada zdobywa się na uśmiech.

– I tak muszę się zająć obiadem. Jack niedługo wróci do domu.

Ellie kiwa głową, przestaje interesować się Adą i podchodzi do kuchenki, żeby pokazać maluchowi gotujący się w garnku syrop.

– Co to takiego, Johnny, no co? Co my tu mamy?

– Ivy – odzywa się Ada – proszę cię. Tylko daj mi jej adres.

– Jeszcze raz powtarzam. – Ivy mówi cicho, ostrzegawczym tonem. – To

było cztery lata temu. Przez cztery lata dużo mogło się wydarzyć.

– Wiem o tym. Po prostu...

Ivy odsuwa się od Ady. Staje obok córki przy kuchence.

– Ada wychodzi, John – zwraca się do wnuczka. – Powiedz pa, pa.

Ellie podnosi głowę.

– Babcia chce, żebyś pożegnał się z Adą. – Ujmuje rączkę syna i macha nią, a ten poddaje się, gaworzy, usta rozciągają mu się w szerokim uśmiechu, policzki nabierają jaskrawych rumieńców przy gorącej kuchence. – Pa, pa, Ada. Johnny, powiedz pa, pa.

* * *

Dwaj brytyjscy przedsiębiorcy pogrzebowi idą krętymi, nisko sklepionymi korytarzami *chateau*. Ich kroki dudnią po kamiennej posadzce.

Panowie nazywają się Sowerbutts i Noades. Przybyli do Francji wczoraj, wieczornym pociągami z portu. W kieszeni marynarki pan Sowerbutts ma list polecający od sir Lionela Earle'a, podsekretarza stanu w Ministerstwie Budownictwa Jego Królewskiej Mości. Za nimi idzie sześciu żołnierzy; niosą ciężką pustą trumnę, którą przedsiębiorcy pogrzebowi przywieźli z Londynu. Trumna została zrobiona z drewna dębu rosnącego przy pałacu Hampton Court. Panowie Sowerbutts i Noades nadzorowali pracę osobiście. Trzeba było dwóch tygodni, żeby drewno oheblować, oszlifować i wypolerować zgodnie z surowymi wymogami firmy. Żeby umocować żelazny pręt wokół trumny, a do niego przynitować kółka. Żeby wpuścić w wieko miecz krzyżowca, podarowany przez króla, a na wieku umieścić tekst wypisany gotykiem:

**Brytyjski Wojownik,
który poległ w Wielkiej Wojnie 1914-1918
za Króla i Ojczyznę**

Panowie Sowerbutts i Noades przystają na progu kaplicy. Ze zdziwieniem patrzą na posadzkę zasłaną karbowanymi kwiatami i liśćmi. Kolory są niezwykle. Widok sprawia trochę niepokojące wrażenie, niemal trąci pogaństwem.

Trzymający wartę Francuzi salutują i wychodzą, a stuk ich butów, niczym kanonada, odbija się rykoszetem od ścian.

Pan Noades daje znak znajdującym się za nim żołnierzom brytyjskim, żeby postawili trumnę. Pan Sowerbutts bierze torbę, którą przywiózł ze sobą z Anglii. Staje przy zwyczajnej drewnianej trumnie. Obu panom powiedziano, że mogą prosić o wszystko, co będzie im potrzebne do wykonania zleczonej pracy, ale oni są perfekcjonistami. Uważają się, nie bez powodu, za najlepszych fachowców; wolą używać własnych narzędzi.

Nie poinformowano ich, skąd konkretnie pochodzą zwłoki ani jak długo

leżały w ziemi. Wiedzą jedynie, że zabrano je z pól w północnej Francji. Są zaintrygowani. Wiadomo, że tamtejsze pola pokrywa gęsta, rozmiękła glina. Ale jak wysoka jest zawartość gliny w glebie? Ile jest w niej wody?

Pan Noades dołącza do kolegi i staje po drugiej stronie trumny.

– Gotowy?

Kiwa głową. Mija chwila i razem podnoszą wieko.

Uderza ich zatęchły zapach. Wcale nie taki nieprzyjemny. Odór rozkładu i gnicia dawno już uleciał. Szczątki nadal leżą w jutowym worku, do którego włożono je dwa dni wcześniej. Pan Noades bierze nożyce i rozcina worek od dołu do góry. Obaj mężczyźni pochylają się, wstrzymując oddech.

Ukazuje się mały, skulony szkielet. Resztki skóry przylegają do kości czaszki. Jeden płat widać u góry przy prawym policzku. Wygląda jak pergamin. Drugi pokrywa brodę, następny kawałeczek leży na czubku głowy. Tu i ówdzie przywiera do kości zabłocony mundur khaki; kurtka jest właściwie nienaruszona, natomiast brak niemal całych spodni, prócz części wokół lędźwi, w którym to miejscu szkielet jakby został zgięty wpół w ziemi.

Pięć lat, stwierdza w duchu pan Sowerbutts.

Cztery i pół roku, stwierdza w duchu pan Noades. Oczywiście zależy od wilgotności gleby.

Jesień tysiąc dziewięćset piętnastego, ocenia pan Sowerbutts.

Wiosna tysiąc dziewięćset szesnastego, ocenia pan Noades.

Delikatnie wyjmują z worka szczątki mężczyzny i umieszczają je w dębowej trumnie. W tym wypadku niewiele mogą zrobić, by w tradycyjny sposób przygotować zwłoki do pochówku. Wobec tego układają starannie kości, tak żeby szkielet leżał na plecach, z rękami po bokach.

W milczeniu wykonują swoją pracę.

Wkrótce, jak obaj dobrze wiedzą, oczy całego kraju zwrócą się na tę trumnę. Jej siła oddziaływania będzie polegała na tym, że każdy, kto na nią spojrzy, wyobrazi sobie, iż leżące wewnątrz zwłoki należą do bliskiej mu osoby.

Ogarnia ich konsternacja na myśl, że znany jest, nawet jeśli tylko w przybliżeniu, czas śmierci tego żołnierza.

Choć przez całą drogę tutaj byli tego ciekawi, określenie roku, sprecyzowanie pory, w jakimś sensie ujmuje sprawie znaczenia.

Mimo to każdy z nich skreśla w myślach znajomych mężczyzn, którzy odbywali służbę: tego, bo był wyższy, tamtego, bo zginął później.

Gdy zwłoki są przygotowane, przedsiębiorcy pogrzebowi nakładają ciężkie wieko.

Nie uzgadniając ze sobą, obaj wiedzą, że o tym nigdy nie będą rozmawiać. Ani słowa o wyglądzie tych szczątków, nigdy, do nikogo. Bez względu na to, kto zapyta.

* * *

Evelyn nie unosi głowy znad biurka, dopóki nie załatwi ostatniego interesanta. Dopiero wtedy odchyła się na krzesło i przeciąga. Jest siedemnasta.

Robin stoi przy swoim biurku, plecami do niej, i zapina teczkę.

– Mam zamknąć? – pyta cicho, nie odwracając się.

– Gdybyś mógł. Jeszcze tylko coś tu dokończę.

Wyjmuje z torby komplet kluczy i kładzie na brzegu swojego biurka. Nie patrzy na Robina, gdy ten idzie przez pokój w jej stronę, ale widzi jego rękę sięgającą po klucze, cienkie jasne włoski na wierzchu palców. Kiedy Robin odwraca się tyłem, Evelyn przerzuca plik papierów. Nie może znaleźć potrzebnego jej formularza; zapewne wczoraj włożyła go do akt.

– No to do widzenia. – Robin stoi obok niej.

– Chwileczkę. – Evelyn podnosi głowę. – Posłuchaj, bardzo przepraszam, że zostawiłam cię dzisiaj samego.

– W porządku.

– Nie, nie w porządku. To z powodu lunchu. Przedłużył się.

– Lunchu z twoim bratem?

– Tak.

Robin rzuca okiem na jej sweter. Evelyn przypomina sobie, że się przebrała, ma inne ubranie, i czuje, że krew napływa jej do twarzy. W żaden sposób nie zdoła naprawić sytuacji. Pograży się tylko jeszcze bardziej.

– Proszę. – Robin wyciąga dłoń z kluczami. – Są twoje.

Evelyn odkłada je na biurko.

– Zaczekaj, Robin. – Z jakiegoś powodu nie chce być tu teraz sama, nawet przez minutę. – Proszę, mógłbyś zostać, tylko chwilę?

– Skoro sobie życzysz. – W jego głosie słychać zdziwienie.

– To nie potrwa długo, słowo.

Podchodzi do segregatora pod ścianą i przesuwa wzrokiem w dół po szufladkach, aż znajduje tę z literą H, po czym szpera w niej i w końcu wyciąga małą niebieską kartkę, na której jest napisane u góry: Rowan Hind. Przepisuje do notesu adres: Grafton Street 11, Poplar, i podnosi głowę. Wysoka sylwetka Robina rysuje się na tle okna; stoi z rękami w kieszeniach i wygląda na zewnątrz. Z niskich szarych chmur, zakrywających niebo, pada deszcz. Jest już prawie ciemno. Evelyn ogarnia ten sam dziwny niepokój co niedawno; Doreen najprawdopodobniej znów będzie poza domem, a ją czeka powrót do pustego mieszkania.

– Jestem gotowa – oznajmia po chwili.

Robin nadal stoi tyłem do niej i patrzy przez okno.

– Paskudnie leje.

– Niestety, tak – odpowiada Robin.

– Chyba nie zdobędę się na to, by wyjść na ten deszcz. – Śmieje się do siebie. – Może zaparzę herbatę.

– W porządku. – Kiwa głową. – Zatem do jutra. – Rusza w stronę drzwi.

– Napijesz się ze mną?

Robin zatrzymuje się przy jej biurku.

– Herbaty?

– Tak.

– Hm, nie, dziękuję. Nie jestem entuzjastą nagród pocieszenia.

– O Boże, nie tak miało to... – Wstaje zbyt szybko i czuje rozsadzający ból głowy. – Po niedawnym upojeniu alkoholowym pozostała gruba, ciasna obręcz wokół czaszki. – Tak naprawdę – opiera się mocno dłońmi o biurko – wcale nie mam ochoty na herbatę. Idę na porządnego drinka. Co ty na to?

Robin już ma się odezwać, gdy Evelyn unosi rękę.

– Wiesz co? Nie zwracaj sobie głowy. Rób, jak chcesz. Przepraszam, że pytałam.

Wkłada płaszcz i zbiera swoje rzeczy. Robin nie rusza się jednak z miejsca. Gdy Evelyn spogląda na niego, dostrzega na jego twarzy uśmiech. Dziwny uśmiech, jakiego dotąd nie widziała.

– Tak naprawdę chciałem powiedzieć, że mam ochotę właśnie na porządnego drinka.

* * *

Pub mieści się na rogu, kilka domów za biurem; jest to jeden z tych robotniczych, brązowych w tonacji pubów, gdzie kobietę widuje się rzadko. Evelyn zazwyczaj ich unika, ale mocno pada i nie wiadomo, jaką odległość Robin może pokonać bez trudu.

W środku jest dość spokojnie, siedzi zaledwie kilku mężczyzn, każdy osobno, pochylony nad swoim piwem. Evelyn stara się być pierwsza przy barze.

– Poproszę dżin z sokiem pomarańczowym dla mnie, a dla... – Odwraca się do Robina.

– Wystarczy duże piwo. – Robin pozdrawia barmana szybkim kiwnięciem głową.

– A więc dżin z sokiem pomarańczowym i duże piwo – powtarza Evelyn.

Robin spogląda na mokre od deszczu okna.

– Okropna pogoda.

Wraca do niej wspomnienie jej samej, jak stoi w oknie na wpół naga i pijana.

– Rzeczywiście – przytakuje, bębniąc palcami w drewnianą ladę.

Gdy barman stawia przed nimi drinki, Robin sięga do kieszeni.

– Nie, nie. – Evelyn łapie go za rękaw i natychmiast puszcza. – Ja zapłacę.

W ramach zadośćuczynienia za dzisiejsze popołudnie.

Robin unosi brwi, ale odsuwa się odrobinę od lady i rozkłada ręce, żartobliwie dając znak, że się poddaje.

– Szczególny przypadek – mówi barman do Robina, a ten odpowiada mu uśmiechem.

Evelyn wyjmuje portmonetkę i obrzucając barmana lodowatym spojrzeniem, wręcza mu należność. Stoją z drinkami w rękach, skrępowani. Który stolik? Przy tym w rogu byłoby zbyt kameralnie, przy drzwiach będzie zawiewało. Evelyn kieruje się do wolnego stolika w środkowym rzędzie i wybiera krzesło pod ścianą. Gdy Robin siada naprzeciwko niej, widzi, że jego noga jest lekko wysunięta do przodu i w bok.

„Często chodzę wieczorem potańczyć”.

Jak on to robi, u licha, z tą nogą?

– A więc – odzywa się Evelyn.

– A więc.

Robin patrzy na nią. W jego wzroku jest coś innego niż zwykle. Jakby wyzwanie. Taki sam wyraz, z jakim spojrział na nią w biurze.

– Było fatalnie? – Upija łyk drinka.

– Słucham? – Na jego twarzy widać konsternację.

– Po południu.

– Skądże. W najlepszym porządku. Choć może nie powinienem tego ujawniać. – Uśmiecha się i unosi szklankę. – Ciekawe doświadczenie. Jeszcze nigdy kobieta nie fundowała mi drinka.

– Na pewno smakuje tak samo – rzuca Evelyn i zapala papierosa.

Teatralnym gestem Robin ogląda napój pod światło i upija łyk na próbę.

– Tak, niczego mu nie brakuje.

Evelyn uśmiecha się mimo woli. Czuje, jak alkohol uderza jej do głowy i obręcz dokoła czaszki litościwie rozluźnia się o jeden ząbek.

– Mógłbym się poczęstować? – Wskazuje papierosy.

– Sądziłam, że nie palisz.

– Tylko czasem, do drinka. Kiedyś paliłem bez umiaru, jak wszyscy, ale wciągnąłem w płuca trochę trucizny, rozumiesz, zatrujęm się gazem.

Podsuwa mu papierośnicę.

Robin zapala papierosa, wypuszcza obłoczek dymu i odkłada papierosa do popielniczki, nad którą unosi się między nimi niebieska smużka.

– No więc, jak ci odpowiada ta praca? – pyta po chwili Evelyn.

– Praca? – Odchyła się na oparcie krzesła. – To zależy. – Obraca w rękach szklankę. – Pod pewnymi względami jest trudniejsza, niż przypuszczałem, ale też i prostsza. Przede wszystkim cieszę się, że pracuję. Nie tak łatwo jest... z czymś takim. – Wskazuje nogę.

Evelyn obrzuca ją wzrokiem. Zastanawia się, jak wygląda. Plastik zamiast

ciała. Przyzwyczajanie się do protezy.

– Lepsze to niż chodzenie od domu do domu i sprzedawanie czasopism albo handlowanie zapalkami na ulicy. – Zaciska dłoń na szklance. – Niedawno widziałem człowieka z katarynką, obok leżały zdjęcia jego dzieci.

– Ile ich miał?

– Zliczyłem dziewięcioro.

Evelyn cicho gwizdże.

– I zapis przebiegu służby.

– Gdzie?

– Nad Sommą, i nie tylko. Przez całą wojnę, jak się zorientowałem.

– Boże. – Evelyn bierze podkładkę pod kufel i rwie ją na pół. – Oni doprowadzają mnie do szału. Mam wrażenie, że chodzimy wokół wielkiego dołu, my wszyscy. Jakiegoś okropnego leja po bombie, w centrum miasta, tyle że wewnątrz znajduje się milion mężczyzn i nikt na nich nie patrzy. Ludzie przechodzą obok, pogwizdują, udają, że nie widzą.

– Nie jestem pewny, czy nie widzą – wtrąca cicho Robin.

– Dobrze, może i widzą. – Evelyn spogląda na niego. – Ogarnia mnie szewska pasja, że oni w ogóle tam są... zmuszeni do zebrania na ulicy. Ponosi mnie zwłaszcza na widok tych starszych. Po prostu stoją, w najlepszych garniturach i kapeluszach, i tyle w nich cierpliwości... tyle godności... a my wszyscy, ot tak... – Milknie, kręcąc głową.

– To dlaczego dla nich pracujesz?

– Proszę?

Znowu ten sam wyzywający wyraz twarzy.

– Dla ludzi, którzy ich tam zepchnęli. Jeżeli nie zrobili tego ci od rent i emerytur, to kto? Gdyby był sprawiedliwszy podział, to na pewno...

– Mylisz posłańca z wiadomością,

– Niewykluczone. Ale przecież możesz zająć się czymś innym.

– Kto wie. – Odchyła się do tyłu i otwiera dłonie. – Co byś proponował?

Robin wzrusza ramionami.

– Na pewno jest dużo posad urzędniczych.

– Wiesz równie dobrze jak ja, że to nieprawda. Zwłaszcza w wypadku kobiet. Obecnie.

Czy oni się spierają? Evelyn nie jest tego pewna, ale ma takie poczucie; krew jej się burzy.

– Jak długo tu pracujesz? – pyta Robin już łagodniej, bardziej pojednawczo.

– Dwa lata.

– A przedtem?

– Przed podjęciem pracy w tym biurze czy przed wojną?

– Jedno i drugie. Jeśli chcesz, zacznij od początku.

Evelyn parska śmiechem.

– Spędzimy tu cały wieczór.

– Cóż. – Patrzy na jej pustą szklankę i na swoją, opróżnioną w połowie. – Zawsze możemy zamówić następnego drinka.

– Pewnie tak – mówi z uśmiechem.

Robin dopija piwo i idzie do baru. W popielniczce nadal tli się jego papieros. Evelyn wypala go do końca i gasi. Przygląda się Robinowi, gdy ten wraca z drinkami. Trudno się domyślić, że ma protezę; zaskakująco dobrze się porusza.

– Jak długo używasz protezy? – pyta, gdy Robin podchodzi do stolika, i natychmiast tego żałuje, ale on przyjmuje to obojętnie.

– Trzy lata. – Stawia szklanki. – Choć trochę to trwało, zanim ją dobrze dopasowano. Zaraz, zaraz – unosi palec – jeszcze nie skończyliśmy. Miałaś mi powiedzieć, gdzie przedtem pracowałaś.

– W fabryce amunicji.

Robin marszczy brwi, wyraźnie zaskoczony.

– Jak tam było? Ciężko?

– Dość ciężko. – Zastanawia się, czy on coś napomknie o braku palca.

– A przedtem?

– Ja... hmm... – Kciukiem i palcem wskazującym zdrowej ręki wyjmuje plasterk pomarańczy, wyciska i wrzuca z powrotem do drinka. Pomarańcza podskakuje na powierzchni, uderzając o kostki lodu. „Przedtem byłam zakochana”.
– Przeprowadziłam się do Londynu. Wynajmowałam na spółkę mieszkanie. Robiłam to i owo, przekonana, że mam dużo czasu na podjęcie decyzji, a potem przyszła wojna i... – Patrzy mu w oczy, ale on przygląda się jej tak uważnie, że musi odwrócić wzrok. – Gdy się skończyła, byłam tutaj. – Bierze połowę podkładki pod kufel i znowu drze na pół. – Teraz kolej na ciebie. Do tej pory to ty sprytnie nakłaniałaś mnie, żebym opowiadała o sobie.

– Zbyt dużo się nie dowiedziałem – mówi z uśmiechem. – Ale niech ci będzie. Pozwolisz mi znów udawać, że palę?

Evelyn przesuwa papierośnicę po stole.

Robin zapala papierosa, ale tym razem trzyma go między palcami.

– Gdy wybuchła wojna, studiowałem na uniwersytecie. Zacząłem studia z opóźnieniem. Wydawało mi się, że najpierw trzeba udać się w podróż.

– Dokąd?

– Indie, Nepal, kraje Lewantu.

– Jakie wrażenia?

– Byłaś tam?

Nie.

– Powinnaś pojechać.

Evelyn patrzy na niego ze zdziwieniem. „Powinnam?”.

– Miałem niewiele pieniędzy, żyłem tanio, zazwyczaj trzymałem się z dala od ludzi i zgiełku. Było wspaniale.

– Co robiłeś?

– Przede wszystkim dużo chodziłem. Też po górach. W północnych Indiach i Nepalu. Wpadłem na pomysł, żeby zatrudnić się w rządzie kolonialnym, ale już na miejscu stwierdziłem, że... – Uśmiecha się. – No cóż, okazało się, że to mi nie odpowiada. Uznałem, że powinienem zrobić coś konstruktywnego. Więc zacząłem studiować filologię klasyczną w Cambridge. – Parska śmiechem. – Bóg raczy wiedzieć dlaczego.

– I rzeczywiście okazało się to konstruktywne?

– Gdzie tam. Byłem starszy od większości studentów. Zaledwie o jakieś trzy lata, ale i tak czułem się wiekowy. Zależało mi jedynie na tym, żeby znów ruszyć w świat. Dlatego, gdy tylko wybuchła wojna, zacząłem się starać o patent oficerski. Chciałem jechać do Jerozolimy. Przypuszczałem, że utworzą tam trzeci front. No i parłem w tym kierunku. – Nagle krzywi się. – Czy to wygląda szalenie cynicznie?

Evelyn kręci głową.

– Dotarłeś tam?

– Nie. Pociągano za sznurki, ale nie te właściwe, i trafiłem na front zachodni.

– Pech.

– Być może.

– Dokąd?

– Z początku pod Ypres. Tam zostałem porażony gazem. Potem odesłano mnie na kilka miesięcy do kraju. Nogę straciłem w szesnastym.

– A... jak? – Nie wie, jak sformułować pytanie.

Robin patrzy na papierosa z taką miną, jakby dziwił się, że wciąż trzyma go w palcach. Zaciąga się szybko i płytko.

– W ogóle nie pamiętam wybuchu pocisku. Ocknąłem się w szpitalu i powiedziano mi, że straciłem nogę. Najpierw nie uwierzyłem. Wciąż ją czułem. I nadal czuję, czasami. Dziwna sprawa... A później – na czole robi mu się bruzda – nie przestawałem myśleć o tych żołnierzach. Jak stoją na rogach ulic, o kulach, z blaszanymi puszkami w rękach. O tym, że już nigdy nie pójdę w góry. Może w ogóle nie będę chodził. I chyba chciałem umrzeć.

Mówi chłodnym tonem, przez co wzbudza w niej jeszcze więcej sympatii.

– Z czasem i to się zmieniło. Poczułem... Nie jestem z tego dumny, ale poczułem ulgę.

– No i? – Evelyn pochyla się ku niemu.

– Potem, gdy poczucie ulgi znikło, ogarnęły mnie...

– Wyrzuty sumienia.

Robin patrzy na nią.

– Przepraszam. – Evelyn rumieni się i odsuwa do tyłu. – Nie chciałam

niczego sugerować.

– Nie ma za co. Tak rzeczywiście było.

Wydaje się jednak, że pękła jakaś cieniutka błona, i do uszu Evelyn wlewa się fala dźwięków. W pubie zrobiło się tłoczno, powietrze jest gęste od dymu, słysząc głośne rozmowy mężczyzn przy stolikach z obu stron.

– Czas już na mnie – mówi Robin, dopijając piwo.

Przed oczami przelatuje jej obraz Robina w jego domu. Czy mieszka sam? Jak wygląda jego mieszkanie? Nagle uprzytamnia sobie, że nie chce, żeby odchodził.

– Gdzie mieszkasz? – pyta.

Spogląda na nią ze zdziwieniem.

– W Hampstead. – Uśmiecha się. – W uboższej części. Dalej od Hampstead Heath.

Kiwa głową, nie wiedząc, co by tu jeszcze powiedzieć.

Wkładają płaszcze. Robin przepuszcza Evelyn przodem i idą do wyjścia. Na dworze jest już naprawdę ciemno. Niesie się zapach liści i dymu z rozpalanych wieczorem kominków.

– Dzięki za drinka – mówi Robin, wkładając kapelusz.

– Cała przyjemność po mojej stronie. – Gdy zapina płaszcz pod szyję, znów czuje, że draży ją niepokój, jak wcześniej w biurze. Czy boi się zostać sama? Skąd się wziął ten strach? To przez brata, dochodzi do wniosku; przez to, co powiedział po południu. – Robin?

– Słucham? – Odwraca się do niej.

– Ta orkiestra dixielandowa, o której wspominałeś. W czwartek, tak? Wciąż się tam wybierasz? – Nie może uwierzyć własnym uszom. Nie może uwierzyć, że te słowa padły z jej ust. – Masz już z kim pójść?

– Tak, wybieram się. – Patrzy na nią ze zdziwieniem, z zadowoloną miną. – Nie, nie mam z kim pójść.

– Hm... pomyślałam, czy chciałbyś... Może jednak bym poszła?

* * *

Ada snuje się wśród karłowatych platanów w parku. Idzie skrajem trawiastego boiska do krykieta, na zimę ogrodzonego liną, i gdy dochodzi do sypiącego się muru z cegły, który zamyka park od północy, zawraca i znów wędruje od jednej kępy drzew do drugiej, a myśli łomoczą jej w głowie z każdym krokiem.

Ivy jest egoistką, wielką egoistką. Ma te swoje papiery, ma plany cmentarzy. To są skarby; Ivy jest bogata. Wyjazd do Francji zapewne dużo kosztuje, ale gdyby to ona wiedziała, że jest miejsce, gdzie spoczywają zwłoki jej syna, nie narzekałaby na brak pieniędzy. Oszczędzałaby każdego pensa, żeby uzbierać na podróż. Usiąść

przy tym skrawku ziemi porośniętym trawą. Przyłożyć do niego ręce.

Chodzi o brak ciała.

Gdyby dostała choć to.

Kiedy umarł jej ojciec, Ada miała osiem lat. Stała w drzwiach pokoju na parterze, dokąd go przeniesiono, i patrzyła na leżące na plecach zwłoki. Był postawnym mężczyzną, ale na blacie stołu wyglądał niepokaznie, jakby śmierć zabrała mu nie tylko życie. Mama poprosiła Adę, żeby zagotowała wiadro wody, poszła po myjkę i przyniosła ją do pokoju. „Możesz już iść”, powiedziała, lekko dotykając czubka jej głowy, i zamknęła drzwi. Ale Ada została i przyłożyła do nich ucho. Słyszała plusk zanurzanej w wodzie myjki, ciche odgłosy mycia i szloch mamy. Gdy mama wyszła, na jej twarzy widać było spokój, jakby i ją dokładnie umyła. Nawet to miało dla Ady sens.

Ale nie to, nie ta... nieobecność. Brak ciała i brak grobu.

Podmuch wiatru niemal porywa jej kapelusz, więc wciska go mocniej na głowę. Mokre liście kłębią się i wirują w powietrzu. W mroku widać jakieś dziwne postacie, ludzi spacerujących z psami, wracających do domu z pracy. Możliwe, że wśród nich jest Jack. Ada zawraca, zmierzając w stronę północnego krańca murawy, gdzie rosną same drzewa.

Gdyby sprowadzono ciało Michaela do kraju, toby je umyła. Nawet ciężko poranione, nawet połamane; zrobiłaby to delikatnie, jak wtedy, gdy był niemowlęciem, gdy był chłopcem. A jeśli nie to – jeśli spełnienie tego ostatniego obrządku nie jest jej dane, podobnie jak im wszystkim, matkom, żonom, siostram, kochankom – żeby choć wiadomość, gdzie pogrzebano ciało, przynajmniej tyle.

Targane wiatrem włosy smagają jej twarz.

Dlaczego córki nie kupiły Ivy biletu do Francji zamiast tej głupiej, niedopasowanej protezy? Dlaczego nie pójdą z nią na ceremonię pogrzebową w czwartek, skoro tego chce? Durne, wymuskane pannice.

Jest niesprawiedliwa. Wie o tym. Wie, że powinna z tym skończyć. Że Ivy ma rację. Że Jack ma rację, mówiąc, że powinna przestać rozdrapywać ranę, która nie chce się przez to zagoić. Ale on jej na to nie pozwala. Syn jej na to nie pozwala. Ma wrażenie, że on ją ciągnie, szarpie za rękaw, jak wówczas, gdy był małym chłopcem.

Zatrzymuje się, samotna postać na tym kawałku murawy, gdzie fioletowe drzewa rysują się na tle nieba. W domach przy parku zapalają się pierwsze lampy, w oknach poruszają się sylwetki ludzi, kobiet zajętych w kuchni przygotowywaniem wieczornego posiłku dla swoich rodzin – dla dzieci, dla mężczyzn. Dziwne uczucie: stać tak i patrzeć z boku na bieg codziennego życia. Nagle zaczyna to rozumieć jasno i wyraźnie. Jakaś umowa została złamana. Coś zostało rozerwane. Dlaczego oni wszyscy zgodzili się nadal żyć tak jak kiedyś?

Powinna iść do domu. Zrobić obiad, w przeciwnym razie po raz drugi

z rzędu nie będzie nic do jedzenia. Ale na myśl, że ona i Jack siądą naprzeciw siebie, krzyk wzbiera jej w gardle. Dlaczego któreś z nich czegoś z tym nie zrobi? Po prostu nie wstanie i nie zburzy ciszy, wołając: „Dość! Dłużej tego nie zniosę”.

Nie wypowie tego, co niewypowiadalne, nie wystrzeli ładunków, nie spowoduje, że wybuchy to wszystko zmiotą.

A co potem? Dokąd by poszła? Donikąd. W ogóle nie było dokąd pójść.

Wychodzi z zasnutego mrokiem parku i skręca w lewo, w ulicę prowadzącą do domu, czując, jak z każdym krokiem pochłania ją życie. Będąc już w kuchni, ociera rękawem twarz, po czym wyjmuje ze spiżarni kilka brudnych ziemniaków i zaczyna je szorować, z całą siłą.

Słychać pukanie do drzwi. Nie zwraca na to uwagi. Gość, ktokolwiek to jest, puka ponownie, już głośniejsze, i Adzie nie pozostaje nic innego, jak wyjść do korytarza.

Na schodku stoi Ivy, zmagając się z wiatrem.

– Mogę wejść?

– Po co?

– Przepraszam cię, Ada.

– W porządku. Nie musisz wchodzić, żeby mi to powiedzieć.

Chce zamknąć drzwi, ale Ivy powstrzymuje ją ruchem ręki.

– Ona mieszkała w Walthamstow. W zwyczajnym domu. Na zwyczajnej ulicy. Wpuścisz mnie? Proszę.

Wchodzą do kuchni. Ada krzyżuje ręce na piersiach.

– No, mów. Co się działo? Jak ona to robiła?

– Trudno powiedzieć – zaczyna Ivy niepewnie, nerwowo. – Najpierw poprosiła... żeby coś przyniosła... zdjęcie Joego, a potem... jakąś rzecz, która miała dla niego znaczenie. Nie wiedziałam, co wziąć. Długo się głowiłam. Koniec końców wzięłam starą szmatkę, którą się bawił w dzieciństwie. Latami nosił ją ze sobą.

– Pamiętam.

– Naprawdę? – Twarz Ivy mięknie. – Gdy chciałam ją uprać, płakał i płakał. Nie miałam serca jej zabierać. Przechowywałam mały ścinek przez cały ten czas. Leżał w Biblii latami. – Śmieje się ze smutkiem. – Nic mu się nie stało, bo nigdy nie sięgnęłam po Biblię. Było mi trochę głupio, słowo daję, gdy wyjmowałam go z torby w salonie u tej kobiety.

– Co ona zrobiła z tą szmatką?

– Chyba po prostu... siedziała, trzymając ją w rękach. Po pewnym czasie... zaczęła mówić różne rzeczy.

– Na przykład co?

Wygląda na to, że siły, jakie Ivy zebrała, by to powiedzieć, się wyczerpały. Jest oklapnięta, wykończona.

– Na miłość boską, Ada, nie wiem. Ledwie pamiętam, naprawdę. Masz. –
Podchodzi krok bliżej i podaje jej kartkę.

Ada widzi adres napisany drobnym, starannym pismem.

Przy drzwiach Ivy odwraca się do niej.

– O czymś ci jednak powiem: po wizycie u niej, w następnym tygodniu, dostałam list z wiadomością, że znaleziono ciało Joego. Podano miejsce, gdzie leży.

Ada podnosi wzrok, serce jej wali.

– Zidentyfikowano go na podstawie krążka na szyi – dodaje Ivy.

Ada kiwa głową.

– Dziękuję.

Ivy przemierza kuchnię, bierze Adę w objęcia i niezdarnie przyciska do piersi. Ada czuje zapach jej mokrego swetra, zapach czystości, jakim tchnie jej miękka skóra. Ivy odsuwa się i łapie przyjaciółkę za ręce.

– Wybierz się ze mną w czwartek – prosi. – Dobrze ci to zrobi. Nam wszystkim. Może dzięki temu pewne sprawy się ułożą.

– Przepraszam, Ivy. – Ada uwalnia się z uścisku. – Ale chyba... nie dam rady.

– Trudno. Uważaj na siebie, dobrze?

– Będę uważać – obiecuje Ada, gładząc palcem cienką kartkę.

* * *

Nawet w starym berecie szkockim na głowie Hettie czuje zmianę: skóra jest wrażliwsza, tak jakby odstoniły się zakończenia nerwów. I jeszcze ta suknia pod płaszczem, jej ciężar dodaje pewności siebie, a zarazem przeraża. Hettie prawie nie wierzy, że się tu znalazła; mogłaby sobie wyobrazić, że jest na zupełnie innej ulicy, gdyby nie ta dziwna niebieska żarówka i tabliczka z brązu przy drzwiach.

Ma nadzieję, że przyszła o odpowiedniej porze.

Po wizycie u fryzjera, zamiast iść do domu, udała się od razu do Di, która na jej widok wydała pisk, jednym ruchem rozsunała zasłony, kazała jej obrócić się dookoła, żeby obejrzeć fryzurę ze wszystkich stron, i wreszcie orzekła, że jest „absolutnie zabójcza”; na koniec pomogła Hettie obandażować klatkę piersiową i teraz biust wygląda tak płasko jak nigdy dotąd. Di musiała iść do pracy, więc Hettie czekała u niej do wieczora, paląc w nadmiarze papierosy przyjaciółki i co rusz bezwiednie dotykając włosów obciętych w literę V na karku, gładząc je z góry na dół i z dołu do góry, co pięć minut wstając, żeby obejrzeć się w lustrze i poprawić suknię, dopóki nie wybiła dziewiąta, a wtedy Hettie włożyła swój znoszony płaszcz i równie znoszony beret i poszła do metra.

Gdy wysiadła na Leicester Square, była za kwadrans dziesiąta. Dużo za wcześnie, ponieważ, jak ustaliły, należało się spóźnić na spotkanie.

„Chyba nie chcesz sterczeć w klubie jak słup. Wiesz, co ludzie sobie pomyślą!”

Wobec tego przespacerowała się kawałek ulicą, czując się nieswojo wśród rozgadanych ludzi, tłumnie wychodzących z teatrów, i w końcu wstąpiła do małej kawiarenki, gdzie zamówiła filiżankę herbaty i sączyła ją, podczas gdy kelner przecierał szklane półki i wstawiał do zlewu patery do ciast. Gdy było dwadzieścia po dziesiątej, znużonym ruchem złożył ścierkę i odezwał się do Hettie:

– Przepraszam, skarbie. Teraz to już muszę iść do domu.

Odniosła pustą filiżankę i spodeczek i zerknęła w lustro za szklaną ladą. Wyglądała na przerażoną.

– Wszystko w porządku? Jest pani bardzo blada.

Przełknęła ślinę i odparła:

– Czuję się świetnie.

Bynajmniej nie czuła się świetnie, gdy zostawiwszy za sobą światła Charing Cross Road, znalazła się sama na tej ulicy. Choć przyszła tu wcześniej niż tamtego wieczoru, ulica już się wyludniła i teraz jedyną oznakę życia stanowi przedziwna niebieska żarówka nad drzwiami.

Jest na miejscu.

Bierze głęboki oddech, unosi rękę i stuka. Okienko się otwiera i widać taki sam jak tamtego dnia prostokąt światła.

– W jakiej sprawie?

Hettie odchrząkuje i stara się panować nad głosem, gdy odpowiada:

– Jestem umówiona z Edem.

Po chwili ciszy dolatuje pytanie:

– Z jakim Edem?

O Boże! To nie przyszło jej do głowy. Dlaczego o tym nie pomyślała?

Drzwi się jednak otwierają, Hettie wsuwa się do środka i staje przed innym niż poprzednio portierem, starszym, bardziej podejrzliwym, o chudej szczerzej twarzy.

– Ile ma pani lat? – pyta, mierząc ją wzrokiem od stóp do głów.

– Ja... dwadzieścia dwa.

Mężczyzna prycha z drwiną.

– W takim razie, kochana, ja mam czterdzieści.

Hettie myśli tęsknie o Grahamie, który z uśmiechem wygląda ze swojej klatki. Zjadłaby nawet tę jego pastylkę mięsna, byleby teraz stał tutaj.

– Możesz tam wejść tylko w towarzystwie członka klubu. Wiele dziewcząt przychodzi do nas... – ciągnie portier, pochylając się ku niej – żeby spróbować szczęścia.

Hettie ściąga mocniej pasek płaszcza, wie, za kogo mógł ją wziąć ten człowiek, już wcześniej pomyślała, żeby się przed tym uchronić. Ale chyba

wybrała jednak nieodpowiednią porę i wieczór się skończył, zanim się zaczął.

Nagle wpada na pomysł.

– Mogę sprawdzić? – pyta. – W księdze.

Portier bez przekonania podsuwa jej księgę.

Hettie wodzi palcem wzdłuż rzędu podpisów, czując na sobie jego baczny wzrok. Nie ma Eda ani Edwarda, ani innego imienia, które mogłoby pasować. Poca jej się dłonie. Czy to w ogóle jest jego prawdziwe imię? Podnosi głowę i patrzy na portiera.

– Przepraszam, która jest godzina?

– Wpół do jedenastej – mówi portier, spoglądając na zegarek. – Przykro mi, ale chyba nie sprzyja ci szczęście, kochana.

Za jej plecami otwierają się drzwi. Odwraca się ze ściśniętym gardłem, ale to tylko nowi goście. Kobieta, otulona futrem, jest roześmiana, jej czerwone usta rozciągają się jak u kota. Mężczyzna wpisuje nazwiska do księgi i po chwili oboje odchodzą, znikają w dole schodów, cichnie stuk obcasów.

– Wciąż tu jesteś? – Portier kręci głową. – Posłuchaj dobrej rady, kochana, i idź do domu.

Hettie robi krok w jego stronę, zaciskając pięści.

– Czy to możliwe, że on przyszedł tu wcześniej? – Sama nie wie, skąd w niej taka śmiałość.

Mężczyzna wygładza palcami wąsy.

– Muszę przyznać, że nie brak ci determinacji. Co takiego wyjątkowego ma w sobie ten Ed?

Hettie milczy, a on lustruje jej twarz i najwyraźniej dostrzega w niej coś, co każe mu złagodnieć.

– Niech ci będzie. – Wzdycha. – Zobacz. – Ślini palec i przewraca wstecz parę stron. – No dobrze. Tu są wpisy popołudniowe. Tylko nikomu nie mów, że pozwoliłem ci zajrzeć, bo wyrzucą mnie na bruk.

Pochylona nad księgą ogląda spis nazwisk i w połowie strony znajduje: „Edward Montfort. Godzina przyścia: 15.00”, natomiast linijka pod spodem, gdzie wpisuje się godzinę wyjścia, jest pusta.

– To na pewno on. – Hettie przesuwa księgę w jego stronę, czując, jak serce wali jej pod żebrami.

Portier zerka na podpis.

– Wygląda na to, że spędził tu cały dzień – stwierdza, po czym prostuje się i mówi do niej z troską: – Panienska jest pewna, że rozsądnie będzie się z nim spotkać?

Wykluczone, żeby miała iść do domu. Nie teraz. Nie po tym wszystkim.

– No ruszaj. – Głową wskazuje za siebie. – Wyślij go tutaj na górę, żebym wiedział, że jest jak należy. O ile on jeszcze trzyma się na nogach.

Na schodach unosi się zapach stęchlizny, jak poprzednim razem, ale to, co w sobotę, w towarzystwie Di, robiło ekscytujące wrażenie, teraz wygląda groźnie, podejrzenie. Skąd, u licha, wzięła się u niej niedawno taka pewność siebie? Mogła zostać w domu i odpoczywać, korzystając z jedyne go wolnego wieczoru w tym tygodniu, zamiast być tutaj i schodzić do...

„Wariat”.

„Limehouse”.

„Handlarz żywym towarem”.

„Ty głuptasko”.

* * *

Gdy otwiera drzwi, ze środka nie bije gwar. Nie uderzają gorąco, zaduch i dźwięki. Klub jest w połowie pusty. Na scenie jakiś inny zespół udaje, że gra; tym razem bez czarnoskórego wokalisty, zamiast niego biały jak mąka śpiewak nieudolnie markuje południowoamerykański akcent; na parkiecie kilka zniechęconych par drepcze w miejscu. Przy stolikach siedzi garstka ludzi, ale wśród nich nie widać Eda. Nagle Hettie uprzytamnia sobie, że nawet nie pamięta jego twarzy, i serce ściska jej się ze strachu. Stoi w drzwiach, trzymając ręce w kieszeniach, i już ma się odwrócić, gdy grupa ludzi między nią a barem się rozchodzi i nagle pojawia się on: siedzi sam przy stoliku w kącie, niedaleko zespołu, lekko rozparty, lewą ręką obejmuje szklankę, tak jakby była dla niego podpora.

Hettie rusza w jego stronę, ale zaczyna się wahać i staje na środku parkietu.

On wygląda tak smutno.

W tej samej chwili Ed podnosi głowę, dostrzega Hettie i wyraz jego twarzy błyskawicznie się zmienia; macha ręką i dźwiga się z krzesła.

– Moja anarchistka! – mówi, wychodząc zza stolika. – Przyszłaś!

Nie jest ubrany wieczorowo. Ma pogniecioną koszulę i sprawia wrażenie zmęczonego. Ale to niewątpliwie on. Gdy staje przed nią, głos zamiera jej w gardle.

– Przyszłaś wywołać tu zamieszanie? – pyta z półśmiechem Ed.

– Ja... – Kręci głową. Robi jej się sucho w ustach. – Raczej nie. Nie sądzę.

– Szkoda. – Prostuje plecy i dopija drinka. – Trochę zamieszania by się przydało. Śmiertelnie tu dzisiaj nudno.

Hettie podąża za jego spojrzeniem. Rzeczywiście. Nawet muzycy wyglądają na znudzonych.

Ed opiera się całym ciężarem o stół.

– Może byśmy się przewietrzyli? Tyle godzin tu siedzę i czekam na ciebie.

– Ale... przecież chciałeś... napisałeś na kartce... żebym przyszła o dziesiątej wieczorem.

– Naprawdę? – Roztargnionym ruchem wkłada płaszcz. – W takim razie... nie powinienem był.

„Czego nie powinien był: wyznaczać tej godziny czy zapraszać mnie do klubu?”.

Wchodzą na schody; Hettie czuje go tuż za plecami, opierającego się ciężko o poręcz. Przy wyjściu unika wzroku portiera, natomiast Ed saltuje i nazywa go sierżantem. Potem są już sami, stoją na ciemnej ulicy przed klubem. Zapada cisza, trzask zapalki. Upiornym głosem nuci: *While you've a Lucifer...* [4] i wyłania się jego zniekształcona, podświetlona od dołu twarz.

– Chcesz jednego? – mamrocze z papierosem w ustach.

– Nie, dziękuję.

Jest pijany. To oczywiste. Siedział tam całe popołudnie i się upił.

Serce w niej zamiera. Powinna odejść.

Ed gasi zapalkę i upuszcza na ziemię; słysząc ciche stuknięcie.

– Przyjemny wieczór – mówi.

Czubek papierosa żarzy się na czerwono.

Hettie patrzy w niebo. Rzeczywiście, wieczór jest przyjemny, dopiero teraz to zauważyła; w czystym powietrzu czuć wilgoć niedawnego deszczu, postrzępione wysokie chmury okalają księżyc.

– Masz ochotę się przejść? Chętnie bym pospacerował. Po tylu godzinach siedzenia tam jak w klatce i czekania na ciebie.

Hettie jest ubrana nie na spacer, lecz na tańce. Będzie jej zimno. Suknia, nowa fryzura, jej odmienione „ja”, pójdą na marne.

– Nie znoszę tego potwornego klubu.

– Dobrze – mówi w końcu Hettie, bo tak naprawdę co innego można powiedzieć.

Poza tym prawdopodobnie bezpieczniejsze jest, pod pewnym względem, przebywanie na dworze.

Z ciemnej bocznej ulicy wychodzą na Charing Cross Road, która nadal jarzy się światłami restauracji i teatrów. Ed idzie szybko, jakby się dokądś śpieszył, a Hettie musi stawiać długie kroki, żeby iść równo z nim. Gdy są przy stacji metra, Ed zatrzymuje się i rzuca:

– Słuchaj, nie mam ochoty brnąć przez to wszystko. A ty?

Czuje się, jakby dostała w twarz.

– Przepraszam, nie wiem, o co ci chodzi.

– Te procedury wstępne. Te bzdurne formy. Nie mam siły... A ty?

– Nie rozumiem.

Podchodzi bliżej.

– Rzeczy, które nas oddalają od siebie. Nie wydaje ci się choć raz, że wszyscy powinniśmy po prostu... mówić prawdę? Mówić to, co, do cholery, mamy

na myśli.

Hettie nie odzywa się, serce wali jej jak młotem.

– Przepraszam. – Ed wyrzuca niedopałek, patrząc, jak leci w powietrzu. – Ten dzień był dla mnie... trochę dziwny. – Przeczesuje palcami włosy i zaraz zapala następnego papierosa. – Chciałbym cię o coś poprosić – odzywa się po chwili. – Moglibyśmy zawrzeć umowę? Tylko na ten wieczór. Mówmy sobie tylko szczerą prawdę. Zgadzasz się? Proszę.

– Tak.

– Dobrze. No to najpierw ja coś powiem. Potem ty.

Hettie czuje się jak w wesołym miasteczku, gdy człowiek marzy, by wsiąść do wagonika karuzeli, a potem, gdy zaczyna wirować, robi mu się niedobrze ze strachu i zastanawia się, po co w ogóle do niego wsiadał.

– Przypominasz mi osobę, którą kiedyś znałem. Od kiedy cię zobaczyłem, tamtego wieczoru w klubie, chcę cię pocałować.

Hettie kręci się w głowie.

– Mogę cię teraz pocałować? – pyta Ed. – Proszę. Nie wyobrażam sobie lepszej chwili.

Robi krok w jej stronę, a ona zamyka oczy, gdy on przechyla ku sobie jej twarz. Pocałunek ma smak whisky. Jest uroczy, delikatny.

– Dziękuję – mówi cicho Ed i odsuwa się.

Gdy Hettie otwiera oczy, on wpatruje się w nią, ale jego twarz jest łagodniejsza, jakby coś z niego uszło.

– Teraz ty coś powiedz. Coś prawdziwego. Chcę słyszeć tylko prawdziwe słowa.

Hettie nie jest pewna, czy zdoła coś powiedzieć, czując na ustach pocałunek tego mężczyzny. W istocie pragnie, żeby pocałował ją jeszcze raz. Próbuje zebrać myśli, ale ma mętlik w głowie.

– Trudno mi... Sama nie wiem.

– To! – Ed cofa się o krok i wyciąga palec.

– Co?

– To, o czym właśnie pomyślałaś. Przed chwilą. Powiedz to!

Hettie przełyka ślinę.

– No dobrze... Pomyślałam, że podobało mi się to, co powiedziałaś tamtego wieczoru w klubie o wysadzaniu w powietrze.

– O Boże. Pewnie sądzisz, że jestem stuknięty.

Hettie myśli o Fredzie, wychudłym tak, że prawie nic z niego nie zostało, siedzącym w fotelu ojca, i o strasznych dźwiękach, jakie wydobywają się z niego nocami. O matce, samotnej, wiecznie wścieklej, coraz bardziej zamkniętej w sobie. Potrząsa głową.

– Też bym coś wysadziła w powietrze.

Ed wybucha śmiechem.

– Dzięki ci za to. – Po chwili rozciera dłonie i mówi: – Piekielnie zimno, nie sądzisz?

Dopiero teraz to zauważa. Na ulicach jest pusto. Ludzie prawdopodobnie rozeszli się do domów.

– Napiłbym się. Masz ochotę na drinka? Znam miejsce niedaleko stąd. – Uśmiecha się, nagle zażenowany. – Tak naprawdę to moje mieszkanie, jeśli mam być szczerzy. A umówiliśmy się, że będziemy wobec siebie szczerzy. No więc jak, chciałabyś pójść do mnie na drinka?

Widząc jej wahanie, unosi ręce. Wykonuje ten sam gest co w klubie w sobotni wieczór. Jakby na znak, że jest nieuzbrojony.

– Daję ci słowo – mówi. – Jestem w każdym calu człowiekiem honoru.

* * *

Parkiet, ściany wyłożone boazerią; zapach pasty i starego, drogiego drewna.

A jednak on jest bogaty.

Hettie zatrzymuje się na skraju podłogi jak na brzegu głębokiego, zimnego jeziora. Mieszkanie jest ogromne. Pięć salonów jej matki w Hammersmith pomieściłoby się z łatwością.

Ed krąży po pokoju, zapalając lampy.

– Mam nadzieję, że nie jesteś niezadowolona. Tkwiałem w tym cholernym bunkrze całe popołudnie. – Odwraca się do niej. – Wejdz i stań tutaj. Daj mi chwilę, a zaraz będzie ciepło.

We własnym mieszkaniu sprawia inne wrażenie, jest bardziej opanowany, mniej pijany.

Hettie podchodzi do kominka, gdzie Ed przekłada węgiel z wiadra na ruszt. Obok są drzwi do drugiego pokoju, otwarte. Widać róg łóżka.

„Mężczyzna. Młoda kobieta. Łóżko”.

– Gotowe – oznajmia Ed, gdy ogień wreszcie się pali. Staje przy niskim stoliku, na którym pobłyskują w świetle lamp butelki ze szklanymi korkami. – Mam whisky, dzin... o, i wódkę! – Chwyta butelkę wypełnioną przezroczystym płynem. – Piłaś kiedyś wódkę?

– Nie. – Nawet nie zna tego słowa, ale woli się nie przyznawać.

– Wszyscy anarchiści powinni znać smak wódki. Wiedzieć, co robią Rosjanie. A zatem napijmy się wódki. – Wyjmuje z serwantki kieliszki i je napełnia.

Hettie grzeje dłonie przy ogniu. Nad kominkiem stoją dwie fotografie. Jedna przedstawia Eda, poważnie prezentującego się w mundurze. Na drugiej wygląda zupełnie inaczej: jest młodszy, z dłuższymi włosami, w swetrze do krykieta. Obok niego stoi piękna młoda kobieta, patrzy prosto w obiektyw i się śmieje. Hettie czuje

lekki ucisk w piersiach.

– Moja siostra. – Ed staje za nią, wskazując kieliszkiem zdjęcie.

– Aha. – Ucisk mija, a Ed podaje jej drinka: przezroczysty płyn z lodem.

– Wtedy chyba ostatni raz widziałem ją uśmiechniętą. – Pociąga łyk, kołysząc się na piętach i nie odrywając wzroku od fotografii. – Jest cholernie przygnębiona. Cały czas. A ty?

– Co ja?

– Masz braci lub siostry?

– Mam jednego brata. – Upija odrobinę wódki: jest zimna i gładka.

– On też jest cholernie przygnębiony?

– Wszystko na to wskazuje – odpowiada ze śmiechem.

Ed zapala papierosa, częstuje Hettie.

– Służył w wojsku?

– Tak. – Pochyla się, gdy on podaje jej ogień.

– Gdzie?

– We Francji.

– A dokładniej?

Hettie wyteża pamięć, ale nie przypomina sobie, by brat kiedykolwiek jej o tym mówił. Nawet podczas wojny nie rozmawiali o Francji. Czuje się teraz okropnie. Przecież powinna to wiedzieć. Ed jednak tylko kiwa głową.

– Wyglądasz tak, jakbyś zamierzała stąd uciec. – Odstawia drinka. – Pomogę ci zdjąć płaszcz.

Zabiera od niej płaszcz i przewiesza przez krzesło. I dopiero wtedy, wreszcie, gdy już całkiem o niej zapomniała, ukazuje się jej suknia. Materiał opada z szelestem, cekiny lśnią i mienią się kolorami w słabym świetle, a skóra rozpala się pod wpływem emocji, jakby nagle całkowicie odsłonięta.

– Boże drogi – mówi Ed.

Hettie zdejmuje kapelusz i trzyma go z przodu, przy sukni. Gdy w końcu podnosi wzrok, dostrzega zakłopotanie na jego twarzy.

– Ściąłaś włosy.

– Tak.

– Dlaczego to zrobiłaś? – pyta dziwnie bezbarwnym głosem.

– Bo... – Przykłada rękę do włosów obciętych w szpic na karku. – Chciałam.

Od dawna chciałam je ściąć i... – Urywa.

Z tyłu strzela i trzeszczy ogień. Po chwili milczenia słyszy:

– Ładnie wyglądasz. – Głos jest bez wyrazu, jak przedtem.

„Kłamiesz”.

– To nieprawda. – Serce wyskakuje jej z piersi.

– Słucham?

Widzi w nim jakiś przeblysk – może gniewu? – który natychmiast znika.

– Powiedziałeś... przedtem... że mamy mówić tylko szczerą prawdę.
– Zgadza się. – Kieruje papierosa prosto w nią. – Masz rację. Tak powiedziałem. Ale również się mylisz. To jest prawda. Wyglądasz pięknie. Jestem tylko...

– Tylko co? – Hettie czuje, jak coś ją skręca w środku.

– Nic. – Ed odwraca się i wrzuca niedopałek do kominka. – Nie zwracaj na mnie uwagi.

Odpowiada śmiechem, który brzmi szorstko, z urazą.

– Zobacz – mówi Ed. Grzebie w kieszeniach i wyjmuje małe okrągłe pudełeczko z tektury. – Mam tu coś. Wiesz, co to jest? – pyta łagodnie i kusząco.

Hettie nie ma pojęcia.

– To koka. – Widząc, że ona wciąż nie rozumie, podchodzi do kanapy przy niskim stoliku. – Chodź tutaj i usiądź koło mnie.

Hettie stoi tam, gdzie stała, i patrzy, jak Ed usypuje na szachownicy mały kopczyk z białego proszku, a następnie dzieli go na dwie długie kreski.

– To mnie trochę ożywi. Będę bardziej towarzyski, obiecuję. – Wyjmuje z kieszeni niewielką srebrną rurkę. – Proszę. – Podaje jej. – Weź pierwsza.

Przypomina jej się niewyraźnie jakaś historia. Z gazety. Dwa lata temu. Młoda kobieta. Aktorka. Znaleziona martwa w swojej sypialni w West Endzie.

– Spróbuj. Może ci się spodoba. Nigdy nie wiadomo.

Hettie podchodzi do niego.

– Czy od tego można umrzeć?

Ed patrzy na nią z rozbawieniem.

– Pewnie tak, jeśli weźmie się za dużo. Ale ludzie umierają ciągle, prawda? Z różnych głupich powodów.

„Kto może tak myśleć? Tak mówić? Traktować wszystko tak lekko?”.

Nie ona.

Nie jej matka, ojciec, brat ani nikt w Palais. Nikt z jej znajomych. Nawet nie Di. Wszyscy starają się nie wychylać, nie ryzykować, nie rozglądać na boki, bo inaczej zawali się świat.

Siada na brzegu kanapy.

– Jak to się robi?

– Wciągasz.

– To znaczy?

– Pokażę ci. – Pochyla się i kciukiem zamyka jedno nozdrze, po czym przesuwając rurkę wzdłuż kreski, wciągając powietrze drugim, i proszek znika.

– Robisz tak jednym ruchem, nie przerywając.

Z bijącym sercem Hettie bierze od niego rurkę. Pochyla się nad stolikiem, zaciska palcem nozdrze i powtarza jego ruch.

– O rany. – Podnosi głowę, pieką ją oczy, połowa kreski wciąż jest na

szachownicy.

– Napij się wódki. – Ed podsuwa jej kieliszek, a potem sam wciąga resztę proszku.

Hettie wypija wódkę. Mieszanka jest bardzo mocna, pieprzna.

Ed siada prosto.

– Cholera, atmosfera jak w grobie. Przydałoby się trochę muzyki!

Zrywa się z kanapy i podchodzi do szafki w rogu pokoju. Hettie po raz pierwszy widzi piękny gramofon Victrola, o jakim marzą obie z Di, cały z ciemnego drewna, z lśniącymi złotymi uchwytami.

– Czego byś posłuchała? – pyta Ed, kręcąc korbką.

– Hmm...

– Poczekaj! Byłbym zapomniał. Kupiłem ci coś, wczoraj. – Z szafki pod gramofonem wyjmuje płytę. – Original Dixies! – woła, stając wyprężony i unosząc ją jak trofeum.

– Nie wierzę! Naprawdę?!

– Nagrali płytę podczas pobytu tutaj, gdy mieli angaż w Palais. Nie wiedziałaś?

Gdy Hettie podchodzi do niego, podaje jej płytę. Na okładce są wszyscy Dixies, Nick LaRocca w środku, uśmiechnięty od ucha do ucha, z trąbką w ręku. Hettie ma wrażenie, że spotkała starego przyjaciela. Nagle poprawia jej się nastrój; wieczór znów zapowiada się obiecująco.

– Kapitalnie! – mówi z szerokim uśmiechem, oddając płytę.

– Bez dwóch zdań. – Wyjmuje płytę z koperty, balansuje nią na środkowym palcu i pochylony do przodu obraca korbką jeszcze parę razy.

Zielone sukno wiruje. Ed kładzie płytę i opuszcza ramię gramofonu. Szelakowa płyta wydaje serię trzasków, a potem rozlega się charakterystyczny ton trąbki Nicka LaRokki i kaskada dźwięków wypełnia salon.

Hettie wybucha głośnym śmiechem. Nie może się pohamować. Coś ją rozpiera, chce się uwolnić. Ten proszek. Alkohol. Potrzebuje ruchu.

– Pomóż mi – mówi Ed. – Szybko. Przesuńmy to.

Przenoszą stół pod ścianę, a potem na czworakach zwijają dywan, odsłaniając taflę podłogi, wypastowanej i wyfroterowanej, stają naprzeciw siebie i tańczą – jak dzicy, jak szaleni – a Hettie jakąś małą cząstką świadomości uprzytamnia sobie w tym tańcu, że właśnie to czuli ludzie w Dalton's, że tego od dawna szukała, że to czuje człowiek wolny, wykraczający poza siebie: porusza się tak, jakby nic go nie obchodziło. Gdy utwór się kończy, stoją, nadal się trzymając, roześmiani i zdyszani.

– Cholernie szybko – mówi Ed, kręcąc głową.

– Na żywo grali jeszcze szybciej.

Patrzy na nią z uśmiechem.

– Jest ich niewiele, wiesz. Niewiele dziewcząt interesuje się muzyką. Niewiele zna się na jazzie.

„Mogę poznać cię z dziesięcioma w samym Palais”.

– Uwielbiam jazz – oświadcza Hettie.

Płyta trzeszczy, a między nimi zapada cisza.

– Naprawdę jesteś niezwykle czarująca. Wiesz o tym?

Znów pochyla się nad nią i tym razem całują się inaczej: mocno, z przejęciem, z przekonaniem.

– Chodź – mówi Ed, odrywając się od niej i obejmując dłonią jej nadgarstek.

– Chcesz tam ze mną pójść?

4 „Kiedy masz zapalę...” – fragment pogrzejającej marszowej piosenki z czasów I wojny światowej.

Dzień czwarty

Środa, 10 listopada 1920

Zaplątana w koce Evelyn siada z trudem na łóżku. Jest jej gorąco, okropnie chce jej się pić. Po chwili już wie dlaczego: poprzedniego wieczoru położyła się spać w ubraniu. Teraz leży w poprzek materaca, a poduszka zsunęła się na dół, między nogi. Evelyn siedzi i mamrocze pod nosem przekleństwa, ściągając przez głowę rozpinany sweter i zostając tylko w dzianinowej bluzce i w majtkach, po czym niepewnie wstaje i wychodzi na korytarz. Drzwi do pokoju Doreen są uchylone. Przystaje przed nimi i nasłuchuje. Cisza. Nie słyszała, żeby przyjaciółka wchodziła do domu zeszłego wieczoru; zapewne spędziła noc ze swoim adoratorem.

Niedługo się pobiorą, widzi to coraz wyraźniej.

W nieoświetlonej kuchni krany wydają jęk protestu, a potem poddają się z dygotem i leci woda. Evelyn napełnia szklankę i opróżnia ją łapczywie, później nastawia czajnik i rozsuwa zasłony, żeby spojrzeć na niebo. Przed sobą ma księżyc, niemal w pełni, lekko przysłonięty u góry, zawieszony nad gęstwiną kominów, które maszerują na wschód, w stronę Camden Town. Patrzy w dal, stojąc z założonymi na piersiach rękami, lekko otumaniona snem. Zza pleców dolatuje ją cichy szum wody grzejącej się w czajniku.

Czy księżyc ubywa, czy przybywa? Dawniej interesowała się takimi rzeczami. Na początku wojny, gdy Fraser jeszcze żył, często budziła się o tej porze, późno w nocy, ale długo przed świtem, o drugiej, trzeciej, czując, jak koszula nocna klei jej się do spoconego ciała. Obowiązywało wtedy zaciemnienie, więc po zmroku nie zapalano lamp, a ona nie mogła zająć się czytaniem, wobec tego dla uspokojenia przychodziła tutaj, nastawiała czajnik, rozsuwała zasłony i patrzyła w niebo. O tak wczesnej porze odległości się zmniejszały, a przy bezchmurnej nocy mogła obserwować księżyc.

„Staję się poganinem – napisał Fraser tej pierwszej zimy. – Tutaj, na tych monotonych połaciach brunatnego błota, które zabarwia się jedynie krwią. Nie ma tu Boga, są tylko księżyc i niebo.

Zawarłem więc układ z księżcem. W bezchmurne noce będzie mnie prznosił do ciebie”.

Z ulicy dolatuje ciche wołanie. Evelyn widzi, jak z za rogu wyjeżdża wózek z mlekiem i staje pod latarnią gazową po drugiej stronie ulicy. Koń przebiera nogami, z pyska ulatują mu smugi pary. Evelyn zatrzymuje wzrok na oknie

szeregowego domu naprzeciwko, gdzie mieszka mężczyzna na wózku inwalidzkim. Patrząc teraz na pusty, nieprzenikniony prostokąt, szczelnie zasłonięty kotarami, ma wrażenie, że wczorajsze popołudnie w oparach alkoholu było wytworem jej imaginacji.

„W bezchmurne noce będzie mnie przenoślił do ciebie”.

Wzdryga się na tę myśl; mogłoby się zdawać, że księżyc, w swej nieposzlakowanej bieli, wnika w każdy zakamarek jej prostackiej jaźni.

Kim ona się stała?

Mężczyzna na wózku. Robin, miniony wieczór: „Może jednak bym poszła?”.

Opiera się o blat, wypuszcza z płuc powietrze. Tęskni za nim. Za Fraserem. Tu, o tej wczesnej godzinie. Wciąż bardzo za nim tęskni. Z kim mogłaby się podzielić myślami? Więdną i usychają w jej głowie. Nie może nawet napisać mu o nich, jak niegdyś, nie może wziąć filiżanki z herbatą do łóżka i siedząc przy świecy podczas zaciemnienia, myśleć o nim, wyobrażać sobie, gdzie on jest i co widzi. Nie może sobie wyobrazić, gdzie przebywa, ponieważ nie zostało z niego nic, nigdzie. Te wszystkie subtelności jego osoby – sposób odwracania głowy w jej stronę, uśmiech wypływający powoli na usta, jego wesołość, brzmienie głosu, także to, jak umiał ją uspokoić, odprężyć – tego już nie ma. Umarło. Życie, które w nim tętniło, życie, które mogli przeżyć razem. Przepadło.

W ciszy głucho wali jej serce. Złamane, a wciąż bije.

Ona pozostała przy życiu. Po co? Zniosła to. Znosi nadal. Zabija czas. Jak one wszystkie. Żałosne kobiety z tymi swoimi ogłoszeniami w gazetach, z tą rozpaczą, wyczuwalną, choć maskowaną pogodą ducha.

„Panna, lat 38. Uczuciowa. Pragnie nawiązać korespondencję”.

„Panna”.

„Panna”.

„Stara panna”.

Stała się jedną z nich. Z wolna, a potem tak nagle.

Inne kobiety traktują je z politowaniem. Te, którym się poszczęściło – z obrączkami na palcach i z dziećmi w wózkach – przechodzą na drugą stronę ulicy, by ją ominąć. Wyczuwają jej zapach. Zapach niepowodzenia.

Jaka czeka ją przyszłość? Którąkolwiek z nich?

Robin? To on ją czeka?

„Może jednak bym poszła?”.

Czy byłoby to aż takie złe?

Kręci głową. Nie pójdzie. To bez sensu. Przejaw słabości. Osłabiło ją dotychczasowe życie.

Za plecami gwizdze i podskakuje na kuchence czajnik. Evelyn wyłącza gaz, parzy herbatę i wraca z filiżanką do łóżka.

Gdy pracowała w fabryce amunicji, nie budziła się w nocy. Była zbyt

zmęczona. Na początku postawili ją przy maszynie. Dawało jej to jakąś ponurą satysfakcję: wycinanie otworów w blasze, przez cały czas. Pięć otworów w arkuszu. Dwadzieścia parę arkuszy na godzinę. W pierwszym tygodniu jej wydajność wzrosła z dwudziestu czterech do trzydziestu. Pracowała przy dużym, długim stole, razem z piętnastoma kobietami, od ósmej rano do piątej po południu. Było to męczące, ale nigdy nie oparła się o blat, nigdy nie dała powodu, by pomyślano, że brak jej hartu. O dziesiątej wszystkie maszerowały na dół, żeby wypić szklankę mleka. Stały w dwóch długich kolejkach: w jednej te, co pracowały przy maszynie, jak ona, w drugiej kobiety z innych hal. Od razu zauważyła, że mają jaskrawożółtą skórę na twarzach, dłoniach i całych rękach.

– Kanarki – szepnęła stojąca za nią kobieta. – Część z nich długo nie pociągnie.

Evelyn odwróciła się do niej.

– Skąd wiesz?

– Są chore. Dlatego tak wyglądają.

Kanarki siedziały przy stołach po przeciwnej stronie pomieszczenia.

Pod koniec drugiego tygodnia pracy, zamiast iść na lunch, Evelyn poszła do biura nadzorcy.

– Chcę się przenieść do działu, gdzie stosuje się trotyl – oznajmiła.

Mężczyzna spojrział na nią bacznie znad okularów. Miał łagodną, opanowaną twarz. Przypominał przedwojennego nauczyciela.

– Kobiety takie jak pani nie pracują przy pociskach – powiedział.

– Słucham?

– Kobiety takie jak pani nie pracują przy pociskach.

– Czyli jakie?

Zdjął okulary i zaczął trzeć małe, podpuchnięte oczy. Prawe oko było lekko zaczerwienione i podrażnione z jednej strony. Westchnąwszy, odezwał się po chwili:

– Panno...

– Montfort.

– Panno Montfort. Działy, gdzie używa się trotylu, ogromnie się różnią od reszty fabryki.

– Zdaję sobie z tego sprawę.

– Na pewno?

– Tak. Dlatego chcę tam pracować.

Zmierzył ją wzrokiem.

– Dlaczego pani podjęła tu pracę, panno Montfort?

– A dlaczego ludzie podejmują tu pracę?

– Dla pieniędzy, proszę pani. Dla pieniędzy.

– W takim razie zrobiłam to dla pieniędzy.

Nie wydawał się przekonany.

– Chcę pracować w dziale, gdzie używa się trotylu – powiedziała krótko i dobitnie.

– Jak pani sobie życzy – odrzekł, wsuwając okulary na nos i odprawiając ją skinieniem ręki.

Dziewczyna, z którą pracowała przy jednym stole, wyglądała zaledwie na piętnaście lat. Pierwszego ranka podała Evelyn coś podłużnego. Miała dziecięcą buzię i pulchne usta.

– To kordyt. Nie powinnyśmy go jeść, ale jest taki słodki i smaczny – wyjaśniła, sepleniąc.

Evelyn posmakowała. Rzeczywiście był słodki.

– Fajnie go possać – dodała dziewczyna.

Budynki, gdzie produkowano trotyl, mieściły się na skraju fabryki. Szło się tam przez hale pełne starszych kobiet: bose, chude, pochylone nad kotłami, z których nabierały stopiony ołów; z długimi rozpuszczonymi włosami wyglądały jak Cyganki albo czarownice.

Kiedy wprowadzono czas letni i świat pograżył się w ciemności jeszcze bardziej, Evelyn zgłosiła się do pracy na nocną zmianę. Spanie w ciągu dnia stanowiło przynajmniej jakąś nowość. I tak jej życie toczyło się w mroku. Idąc na nocną zmianę, gdy obowiązywało zaciemnienie, kobiety nawoływały się, trzymały za ręce w drodze ze stacji kolejowej do hal, w długim wężowatym pochodzie.

Objęła stanowisko kontrolera, które polegało na sprawdzaniu jakości bawełnianych worków wypełnionych trotylem. Było ich nawet i sto dziennie. Po dwóch tygodniach jej włosy nabrały mocno rudego odcienia. Gdy zdarzyło się, że wyszła z domu w ciągu dnia, ludzie jej się przyglądali. Pochylali głowy, jakby na znak, że mają wobec niej jakiś niewypowiedziany dług, ale jednocześnie ogarniał ich strach.

Wkrótce zżółkła jej skóra: najpierw na twarzy, potem na całym ciele. Zmieniający się kolor dłoni coraz bardziej ją fascynował. Oczy lekko zabarwiły się na brązowo. Ledwie poznawała siebie w lustrze. Woda po kąpieli miała kolor krwi. Prowadząc to podziemne życie, czuła jednak, że narasta w niej dziwna, tajemnicza moc. Czuła, że przybliżyła się do czegoś autentycznego. Że być może przemienia się w czarownicę.

Potem zaczęła chorować. Zauważyła, że po jedzeniu zostaje jej w ustach specyficzny smak. Gdy wymiotowała, dość często, ten posmak znikał. Mocz przypominał kolorem mocną herbatę. Traciła na wadze. Miała podwyższoną temperaturę. Na całym ciele pojawiła się wysypka. Pewnego dnia zemdlą podczas pracy; wyniesiono ją z hali i odesłano do domu. Położyła się do łóżka. Wezwany lekarz zbadał ją, a potem zapisał coś szybko w notesie. Słuchając, jak w ciszy skrzypi pióro, wpatrywała się w wyblakły kwiatowy deseń na tapecie.

– Panno Montfort – odezwał się doktor, przeciągając słowo „panno”.

– Słucham?

– Czy pani wie, że jest w ciąży?

Spojrzała na niego.

– Nie wie pani? – Pokręcił głową, zamknął notes i włożył go do torby. – Musi pani pozostać w łóżku. Wrócić do zdrowia po zatruciu trotylem. – Po chwili dodał łagodniejszym tonem: – Bardzo wątpię, czy zdoła pani utrzymać ciążę.

Zrobiła, jak zalecił lekarz, i przeleżała tydzień w łóżku. Nic nikomu nie powiedziała, nawet Doreen. Nie miała z tym kłopotu, bo i tak było wiadomo, że jest chora. Spała do późna – aż dziw, że tak długo – a gdy się budziła, koło południa, kładła ręce na brzuchu i myślała o maleństwie, które nabierało tam życia. Wracała myślami do ostatniego poranka razem z Fraserem. Upalny dzień, słony smak jego ust. Jej wewnętrzny głos odzywał się cicho, wyraźnie, radośnie. Bez względu na konsekwencje, to jakoś nadało sens wszystkiemu, co się do tej pory wydarzyło.

Ale po tygodniu zaczęła krwawić, najpierw pojawiły się niewielkie brązowe plamy, potem jaskrawoczerwone. Tydzień później krwawienie ustało. Mały strzęp życia uszedł z niej, odrobinę powiększyły się liczne szeregi zmarłych.

Kiedy wróciła do zdrowia, poszła znów do fabryki i poprosiła o przyjęcie do pracy. Postawiono ją przy maszynie, jak na początku. Dwa tygodnie później uległa wypadkowi i straciła palec.

Po zdjęciu bandażu niemal się uśmiechnęła. Widok był wymowny: gładko zaokrąglony kikut. Świadectwo nieobecności. Coś autentycznego.

* * *

Pociera kciukiem czubek kikuta. W ciemności ledwie widzi zarys swojej torby wiszącej na drzwiach sypialni. W torbie ma notes z adresem Rowana Hinda. Jest środa. Biuro pracuje do dwunastej, więc będzie miała wolne popołudnie. Jutro jest czwartek, Dzień Rozejmu, święto narodowe, a zatem jeżeli chce złapać Rowana Hinda, musi jechać do Poplar dziś po pracy. W czwartek się nie uda; ulice będą zapchane ludźmi, a jego najprawdopodobniej nie będzie w domu.

Podciąga kolana pod brodę i obejmuje je ramionami.

No tak, powiedziała bratu, że pójdzie z nim na ceremonię pogrzebową Nieznanego Żołnierza; będzie stała na balkonie u Anthony’ego, razem z Lottie i całą resztą, i słuchała ryków śmiechu z tego, ich zdaniem, widowiska.

„Wbijają sobie coś do głowy. Tkwią w miejscu”.

„Wtrącasz się w nie swoje sprawy”.

Jej młodszy brat. Zbywa ją lekceważąco. Dawniej patrzył na nią z podziwem. Słuchał, co ona ma do powiedzenia.

Nie pójdzie. I tak nie cierpi Dnia Rozejmu – tej nowej tradycji, ociekającej

wazeliniarską czołobitnością, kolejnej sposobności dla tych, co mają krew na rękach, by w strojach morderców urządzali maskaradę i paradowali ulicami Londynu, ciągnąc za sobą konie i lawety. Jakby nie można było uczcić zmarłych w inny sposób.

Ktoś powinien oddać światu przysługę. Wziąć jedną z tych wielkich armat, które są wytaczane przy tej okazji, i obrócić ją w przeciwną stronę, skierować na dostojników, tłumnie zebranych pod Cenotaphem i w opactwie westminsterskim – na króla, Lloyd George'a i Haiga, na całą tę bandę – i wystrzelać ich, gdy tak sobie siedzą, pochylając starcze głowy w modlitwie. Modląc się za dusze zmarłych. Hipokrycy, śmierdzący hipokrycy, co do jednego.

* * *

Niewiele widzi zza tyłu nóg. Nogi są najróżniejsze: panów w spodniach brązowych, czarnych i kraciastych i pań w pończochach niebieskich i czarnych. Czuć mocny stęchły zapach, jak w domu babci, tylko jeszcze bardziej.

Dziewczynka ciągnie swojego tatę za rękę.

– Co takiego? – Wysoko nad jej głową pojawia się jego duża twarz.

– Weźmiesz mnie jeszcze raz na barana?

– Dobrze, ptaszyno – odpowiada z uśmiechem. – Chodź.

Podnosi ją i sadza sobie na barkach jednym zręcznym ruchem silnych rąk. Dziewczynka kładzie rączki na jego głowie, tak jak ją uczył, żeby siedziała prosto, i teraz może znów normalnie oddychać i się rozglądać. Nisko w dole widzi całą rodzinę: dwie starsze siostry i swoją mamę obok taty, a dokoła setki ludzi, którzy stoją razem z nimi na szczycie klifów. Widzi wysokie białe skały, które tego dnia są nie białe, tylko szare, i szare niebo, i szarozielone morze. A w dole, w Dover, w mieście, z którego przyszli i w którym mieszkają, widzi jeszcze więcej ludzi. Próbowwała ich policzyć, jakiś czas temu, ale musiała przestać, bo zrobiło jej się gorąco i zakręciło w głowie. Tato powiedział, że przyszły tysiące. Jest ich tak dużo dlatego, że wszystkie dzieci mają dzień wolny w szkole, a tatusiowie mają dzień wolny w pracy.

Jej wzrok przesuwają się wzdłuż horyzontu.

Wie, że czekają na statek. Tym statkiem płynie żołnierz. Ale stoją tu na górze już nie wiadomo jak długo i wciąż nic nie widać.

Nagle zauważa coś na niewyraźnej linii, gdzie morze dotyka nieba. Mruży oczy. Odwraca wzrok. Znowu patrzy w tamto miejsce. Na pewno coś tam jest. Coś ciemnego we mgle.

– Tato! – krzyczy z przejęciem, uderzając piętami w pierś ojca. – Popatrz!

Ojciec prostuje się i wydaje cichy okrzyk. Przez tłum przechodzi szmer; dziewczynka wyciąga szyję i widzi, że szmer niesie się coraz dalej, jak fala.

Pojawiają się światła, światła statku, a potem... sam statek, wiele statków –

duży ciemny statek i sześć mniejszych z każdej strony. W dole podskakują jej siostry, głośno domagając się, żeby je podnieść, bo też chcą coś zobaczyć. Ale ojciec nie zwraca na nie uwagi i dziewczynka nadal siedzi na jego barkach, patrząc na przybliżający się statek, a serce łomocze jej jak oszalałe.

– Bystra córeczka – mówi tato i klepie ją po nogach.

Niemal pęka z dumy, bo to ona była pierwsza, pierwsza go zobaczyła.

* * *

Poplar leży jeszcze dalej, niż Evelyn sądziła.

Wyszła z biura o pierwszej, nie jadła lunchu, a teraz jest już prawie druga. Siedzi w omnibusie, na dolnym piętrze, ściśnięta między oknem a tęgą spoconą kobietą; w środku tłoczą się ludzie, w przejściach i na schodach, aż po samą górę. Przeciera rękawem szybę, ale to, co widzi za oknem, niczego jej nie przypomina; już od długiego czasu poruszają się po nieznanym jej terenie. Ślady wojny są tu wyraźniejsze: w rzędach domów szeregowych zieją wyrwy po całych budynkach, zasypane gruzem i zarośnięte chwastami. Parę przystanków wcześniej, kiedy omnibus zatrzymał się przy na wpół zburzonym domu, Evelyn sięgnęła wzrokiem do sypialni na piętrze i zobaczyła tapetę w czerwone kwiaty, którą położyli ostatni pechowi lokatorzy, teraz spłowiałą na powietrzu, z zaciekami i plamami rdzy. Ucieszyła się, gdy omnibus ruszył; ten intymny obraz przejmował smutkiem.

Widząc przechodzącego konduktora, Evelyn przechyliła się w stronę sąsiadki i dotyka jego rękawa.

– Przepraszam.

– Tak, proszę pani?

– Chcę wysiąść na Poplar High Street. To gdzieś tutaj?

– Następny przystanek.

Odchyła się w tył. Poplar[5]. Co za idylliczna nazwa. Zdaje się, że Pissarro malował topole. W jednym z listów, tych wysłanych na początku, Fraser napisał, że wybrał się na marszobieg.

„Jak u Pissarra, długa prosta droga z topolami po obu stronach. Nie do wiary, że ciągnie się dwadzieścia mil na północ”.

– Przepraszam.

Przeciska się obok kobiety i kiedy omnibus zwalnia, wyskakuje przez tylne wyjście. Po tym tłoku i smrodzie przyjemnie odetchnąć zimnym powietrzem. Po lewej stronie ulicy ciągną się nędzne sklepiki i stragany na kółkach; stoją przy nich w kolejkach ubrane na czarno kobiety, które przyglądają się Evelyn, gdy je mija. Wózki są do połowy pełne warzyw, niezbyt zachęcających z wyglądu: kartofle z szarym nalotem, marchewki, zapiaszczone rzepy i brukwie. Z prawej strony dolatuje odległy łoskot i hurkot ciężkich maszyn, a za dachami i zaroślami widać pochylone żurawie w dokach.

Evelyn idzie szeroką główną ulicą z rynsztokami pełnymi śmieci i zwiędłych liści. Na ławkach po jednej i drugiej stronie rozpiera się kilku mężczyzn, którzy ze znudzonymi minami palą papierosy. Unika ich spojrzeń; wie, co wyrażają, bo widzi je codziennie: jest w nich brak pracy, gniew i apatia, w sumie mieszanek wybuchowa. W dalszej części ulicy biegnącej na wzgórze są dwie kawiarnie, z których wylewają się dokerzy. Paru mężczyzn odwraca się i bez przekonania wykrzykuje coś pod jej adresem. Evelyn opuszcza głowę i podnosi kołnierz płaszcza.

Grafton Street znajduje się dwie przecznice dalej: niskie domy szeregowo po obu stronach, przedzielone wąskim pasem gruntu. Nie ma tu chodników ani drzew, tylko rozkrzyczane dzieci kłębią się bez ładu i składu na całej szerokości drogi. Evelyn szuka numerów na domach, ale nigdzie ich nie widzi. Gdy przy ostatnim domu zawraca i idzie po drugiej stronie, zauważa, że dzieci przerwały zabawę i stoją, przypatrując się jej. Kilkoro jest starszych, niż sądziła, są w różnym wieku, od brzdąców po dziewięcio-, dziesięciolatków.

– Przepraszam. – Podchodzi do nich parę kroków, przeklinając swój akcent.
– Szukam państwa Hindów. Wiem, że mieszkają pod jedenastym, ale z której strony zaczyna się numeracja?

Dzieci ścieśniają się, niczym brudny brązowy ukwiał, i wypychają małą dziewczynkę. Mimo zimna jest bez butów. Ostrożnie, drobnymi kroczkami, przechodzi przez drogę i staje przed Evelyn.

– Numer jedenaście? – Evelyn podsuwa jej kartkę i wskazuje cyfry.

Dziewczynka patrzy tępym wzrokiem.

– Pan Hind? – pyta dalej, pochylając się tuż nad nią. – Rowan Hind?

– To mój tato – odpowiada szeptem dziewczynka i odskakuje; już jej nie ma, błada smuga pędzi i znika za domem.

„A niech to licha!”. Evelyn prostuje się. Powinna była powiedzieć coś takiego, co by uspokoiło tę małą; pewnie pomyślała, że szykują się kłopoty, i chce ostrzec tatę. On się prawdopodobnie schowa, być może w ogóle się nie pokaże.

Pozostałe dzieci wciąż się w nią wpatrują, czujne jak koty. Nagle bierze ją ochota, by zrobić coś głupiego, skrzywić twarz albo tu zatańczyć. Jednak nie robi ani jednego, ani drugiego. Składa kartkę, chowa do torebki i wolnym krokiem rusza w stronę odległych doków, skąd niesie się hałas. Zastanawia się, co dalej. Mogłaby pukać do kolejnych drzwi, pytając o Hindów, ale to wywołałoby jeszcze więcej niepokoju. Nie wiadomo, za kogo oni by ją wzięli. Bez wątplenia za kogoś, kto przysporzy im kłopotów.

„A nie jest tak?”.

Potrząsa głową. Niech to cholera!

Otwierają się drzwi domu po prawej stronie. Staje w nich ładna kobieta, zza jej spódnicy wystawia głowę tamta dziewczynka.

– Czy pani Hind?

Kobieta jest w ciąży, niedługo przed porodem, wyraźnie zmęczona. Wyblakłe oczy, cienkie jasne włosy, luźno związane na karku.

– Kto pyta?

Evelyn podchodzi do drzwi, wyciągając rękę z udawaną pewnością siebie.

– Nazywam się Evelyn Montfort. Pracuję w departamencie rent i emerytur w Camden Town. – Sili się na uśmiech, ale czuje, jak spływa z jej warg gdzieś na ziemię. – Pani mąż był u mnie w biurze przed dwoma dniami. Szukał pomocy. Powiedziałam mu, że nie mogę jej udzielić, ale okazało się... że jednak będę mogła.

Kobieta milczy. Za jej plecami widać gołe deski podłogi i przyglądającą się dziewczynkę.

– Czy go zastałam? Jest w domu?

Kobieta kręci głową.

– Pracuje.

– Rozumiem.

– Jako domokrażca. – W jej głosie słychać cień dumy.

– No przecież. Głupio zrobiłam, przychodząc tak wcześnie.

Kobieta omiata wzrokiem twarz Evelyn.

– Wpadł w kłopoty? Chyba nie, prawda?

– Skądże. Nie ma powodu do niepokoju – zapewnia ją łagodnie Evelyn i podchodzi bliżej. – Pewnie jest pani zdziwiona moim najściem, ale bardzo bym chciała porozmawiać z pani mężem. Może mi pani powiedzieć, kiedy kończy pracę?

– O czwartej. – Kobieta mruży oczy. – Mniej więcej.

– Wobec tego, jeśli pani pozwoli, przyszedłbym o czwartej, dobrze?

Zapada cisza.

– Pani Hind?

Kobieta szybko kiwa głową i zamyka drzwi.

Przy końcu drogi Evelyn odwraca się, przypuszczając, że dzieci wciąż na nią patrzą, ale ich zainteresowanie już minęło. Zbiły się w gromadkę i wróciły do przerwanej zabawy.

* * *

Dwie godziny po podniesieniu kotwicy parowiec zaczyna się ruszać. Zostawia za sobą niszczyce i z wolna kieruje się w stronę wschodniego wejścia do portu w Dover, opływając wysokie pionowe klify.

Na rufie stoi młody oficer marynarki. Przed nim jest trumna; wieńce pokrywają wieko i leżą dokoła, ułożone w wysoki stos. Ów młody oficer musiał pomagać przy wnoszeniu ich na pokład. Niektóre były takie ciężkie, że niosło je czterech ludzi. Zastanawia się, czy to jest coś właściwego Francuzom. Zdaje się, że

przepadają za kwiatami.

Stoi na rozstawionych nogach, z rękami założonymi z tyłu. Widzi zbity tłum zgromadzony wokół portu i wysoko na skałach, wszystkie twarze zwrócone w kierunku statku. Dostrzega armaty na murach zamku, gotowe do wystrzału.

Echo wystrzałów dudni i niesie się po pograżonym w ciszy porcie, woda podnosi się i lekko faluje. Salwa z dziewiętnastu dział. Powitanie marszałka polnego.

Następnie zalega cisza. Zaskakująca, niczym niezmacona. A potem odzywa się syrena statku, krótki, pojedynczy sygnał, i młody oficer idzie dopilnować zarzucenia cum.

* * *

Hettie przewraca się na łóżku.

Rock-a-bye your rock-a-bye baby

With a Dixie melody[6]

Muzyka dochodzi z bliska. Ktoś śpiewa do wtóru. Przez chwilę, w ciemności, zastanawia się, czy to nie jej brat, pewnie poszedł do miasta i kupił sobie gramofon, ale gdy wyciąga nogę w bok, natychmiast czuje się nieswojo, ponieważ łóżko, na którym leży, jest ogromne. Siada, obejmuje się ramionami i ciężko oddycha. Wciąż ma na sobie suknię Di; cekiny odcisnęły się na ramionach. Wszystko do niej wraca jakąś potworną, przyprawiającą o mdłości falą.

To się nie stało.

Nic, nic a nic nie potoczyło się tak, jak miała nadzieję.

Początkowo, gdy tu przyszli, zdawało się, że tak będzie. Gdy Ed całował ją w szyję i gdy leżeli obok siebie, to się działo, była na to gotowa... a potem...

Potem wszystko się rozpląnęło w sinej mgłę; Ed odsunął się od niej na drugą stronę łóżka.

– Przepraszam – bąknął zduszonym głosem, zakrywając twarz rękami.

– O co chodzi?

– Ja tylko... – Mamrotał tak cicho, że ledwie go było słychać, o utracie czegoś, o tym, że coś przepadło. Hettie patrzyła na niego, przerażona, aż po chwili podniósł głowę. – Zostań – powiedział. – Możesz tu zostać, dopóki nie ruszy metro.

– Nie. – Potrząsnęła gwałtownie głową. – Idę stąd.

– Proszę cię! – Wyciągnął ręce, tak jakby chciał przycisnąć ją do łóżka. – Proszę... zostań. Chcę, żebyś została. Nic ci się nie stanie. Obiecuję. Tylko... – Przeczesał palcami włosy, szarpiąc za końce. – Tylko zostań. – Odsunął się od niej jeszcze dalej, w stronę drzwi. – Nic ci się nie stanie – powtórzył.

Potem wstał, zgasił światło i wyszedł, zamykając drzwi. Leżała w ciemności,

czując, że serce wali jej jak młotem, chciała uciec, ale nie mogła się ruszyć, on zaś chodził po mieszkaniu, mówiąc do siebie. Minęły godziny, zanim się uspokoił, a wtedy ona prawdopodobnie zasnęła, bo już nic więcej nie pamięta.

Muzyka ucichła. Hettie wyślizguje się z łóżka i idzie po dywan w stronę smugi światła, które wpada do pokoju przez szparę między kotarami. Rozsuwa je, pochylając się w przód i czubkami palców dotykając zimnej szyby. Jest w mieszkaniu, które mieści się w jednym z szeregu kremowych domów, wysoko, chyba na piątym piętrze. Z prawej strony widać część parku z niemal bezlistnymi drzewami, ciągnącego się w dal po zboczu pagórka. Wygląda na to, że jest zimno, a sądząc po słabym świetle, jest już popołudnie, może nawet później. A więc przespała cały dzień. Zaczyna pracę o wpół do ósmej wieczorem. Musi iść do domu.

Znajduje łazienkę, jak najciszej korzysta z ubikacji, a potem podnosi z podłogi pantofle i bezgłośnie idzie do drzwi. Wszystkie te czynności wykonuje mechanicznie i szybko, bo wie, że napór myśli może ją doprowadzić do płaczu.

Za drzwiami jest rozległy salon, kotary są zasunięte, pali się tylko narożna lampa. Stolik wciąż stoi pod ścianą, dywan jest zwinięty. Jej spojrzenie pada na pudełeczko z proszkiem na szachownicy. Gramofon szumi i trzeszczy w rogu pokoju.

Szszz trr, szszz trr.

Przed nią stoi duży fotel z uszakami, a dalej, na oparciu kanapy, nadal leżą jej płaszcz i kapelusz. Idzie w stronę kanapy.

– Dzień dobry.

Wzdryga się i obraca. Ed wystawia głowę zza fotela i marszczy czoło.

– Mam nadzieję, że nie zamierzałaś wyjść bez pożegnania.

Ścisza w rękę pantofle i kręci głową.

– Całe szczęście. Dobrze się spało?

Wbijają w niego wzrok. Ed już się uśmiecha, zachowuje się tak, jakby nic szczególnego nie wydarzyło się tej nocy.

– Hmm... sama nie wiem – wykrztusza. – A tobie?

Bez pośpiechu zastanawia się nad odpowiedzią. Białą koszulę ma rozchełstana, wyłożoną na spodnie. Kołnierzyk jest odpięty i razem z krawatem leży na podłodze. Na stoliku obok fotela stoi karafka z whisky, na wpół opróżniona szklanka tkwi w dłoni.

– Mam wrażenie, że w ogóle nie spałem – odzywa się w końcu. – Choć może na chwilę się zdrzemnąłem. Chyba grała muzyka. Teraz już się skończyła. – Unosi ku niej szklankę. – Chcesz drinka? Też wypiję z tobą jeszcze jednego. – Mówi dobitnie, jakby z wysiłkiem, ale słowa zlewają się ze sobą.

Hettie czuje, jak coś ją ścisza w żołądku. Nie chce drinka, nie chce zostać w tym ciemnym pokoju, z mężczyzną, którego nie rozumie. Jest zmęczona, bliska

płaczu, i pragnie znaleźć się w domu.

– Która godzina? – pyta.

– Godzina? – Ed potrząsa głową. – Czy to ważne? Czas nie gra roli. Niczemu nie służy.

Wzbiera w niej gniew.

– Niedługo muszę iść do pracy.

– Rozumiem. – Wyciąga szyję zza oparcia fotela. – Wpół do czwartej – mówi, gdy zegar na niskim stoliku chrobocze i wystukuje półgodzinę. – Jeszcze wcześniej – stwierdza ze słabym uśmiechem i macha szklanką. – Chodź, napijemy się.

– Muszę iść.

Pochyla się, wkłada pantofle i zapina sprzączki.

– Whisky?

– Nie, dziękuję.

– Wódki?

Kręci głową i staje prosto.

Czoło Eda marszczy się w skupieniu.

– To może herbaty?

Cisza. Gramofon szumi. Hettie i Ed spoglądają na siebie.

– Będzie herbata – oznajmia zdecydowanie Ed. – Pora w sam raz. – Dźwiga się z fotela i niepewnym krokiem zmierza do drzwi, za którymi jest niewielka kuchnia. – Chodź. – Odwraca się w drzwiach do Hettie. – Dotrzymaj mi towarzystwa.

Mówi to w jakiś szczególny sposób, nagle słychać w jego głosie tak wyraźną bezradność, że Hettie ustępuje, idzie za nim do drzwi, obejmując się z zimna ramionami, i patrzy, jak on nalewa wodę do czajnika.

Nie podnosi rolety, tylko zapala małą lampkę i grzebie w puszkach, otwierając je i wachając. Zachowuje się jak ktoś, kto nigdy w życiu nie parzył herbaty. Po chwili prostuje się i patrzy na Hettie tak, jakby odczytał jej myśli.

– Zwykle mam tu pomoc – wyjaśnia – w sprawach tego rodzaju.

– No tak. – „Oczywiście”.

– Ale... – Odwraca się tyłem i znów zaczyna szperać w szafkach. – Dałem pokojowemu wolny ranek. O, jest! – Znajduje właściwą puszkę, nasypuje z niej liści do dzbanka, a potem unosi nóż. – Nie orientuję się, gdzie on trzyma łyżeczki – mówi przepraszającym tonem, po czym miesza nożem w dzbanku. – Chodźmy. Może do pokoju?

Ostrożnie niesie dzbanek i filiżankę ze spodeczkiem, stawia na stoliku w salonie.

– Proszę, siadaj. – Sam siada naprzeciw niej i marszczy brwi, jak gdyby rozważał jakąś kwestię. – Chyba trochę odczekam – mówi, a po minucie,

wskazując dzbanek, dodaje: – A potem naleję.

Hettie wsuwa dłonie pod uda. Na rękach ma gęsią skórkę. Zamiast ognia w kominku jest kupka popiołu z wczorajszego wieczoru. Hettie zastanawia się, czy nie włożyć płaszcza. W normalnych okolicznościach byłoby to niegrzeczne, ale zwykle normy zachowania już nie obowiązują, wobec tego sięga po płaszcz i kładzie go sobie na kolanach.

Ed posyła jej słaby uśmiech.

– Przydałaby się muzyka, prawda? Momencik.

Wstaje, zygzakiem podchodzi do gramofonu i pochyliwszy się, kręci korbką. Trzaski ustają i rozlega się śpiew; ta sama piosenka, która ją obudziła. Ed nuci do wtóru, stojąc plecami do Hettie i kiwając się na boki.

Rock-a-bye your baby with a Dixie melody

When you croon a tune from the heart of Dixie[7].

– Znasz to? – Odwraca się do niej.

– Nie.

– Stara piosenka. Kołysanka.

Unosi ręce, jakby obejmował wyimaginowaną partnerkę, i zaczyna krążyć po pokoju.

– Chodź – mówi po chwili.

Hettie nie rusza się z miejsca.

– No chodź. Psujesz zabawę.

„Zabawę?!”.

„A więc to, co się działo wczoraj wieczorem, było zabawą?”.

Wstaje z butną miną. Podchodzi do niego. Ed kładzie ręce na jej ramionach, opiera się na niej i lekko się kołyszą z boku na bok.

– Jak miło – mamrocze Ed.

Ma prawie zamknięte oczy. Cuchnie alkoholem. Gdy chce zrobić obrót, zawadza o niski stolik i chwije się, jak przecięte do połowy drzewo, a Hettie musi się odsunąć, żeby nie zrobił jej krzywdy, kiedy upada na podłogę.

– Cholera! – Ed zasłania rękami oczy.

– Przepraszam. – Hettie klęka przy nim. – Coś ci się stało?

– Nic takiego... Nie twoja wina... Do diabła... za bardzo się schlałem. – Leży nieruchomo. – O Boże – stęka w końcu. – Jestem... strasznie pijany. – Zamyka oczy. – I chyba zmęczony. Sam nie wiem.

Gramofonowe trele się kończą i znów słychać trzaski. Hettie spogląda w kierunku drzwi. Ed otwiera oczy i mówi z uśmiechem:

– Czy byłabyś taka uprzejma i pomogła mi wstać?

Hettie wyciąga ręce, a on podnosi się z jej pomocą, niemal ją przewracając.

– Znacznie lepiej. – Poklepuje się po nogach. – Żadnych złamań. – Nadal

trochę się zatacza. – Może usiadzimy? Myślę, że dobrze mi to zrobi.

Dowleka się do kanapy i ciężko siada; przysłaniając oczy ręką, patrzy na Hettie, po czym zamyka jedno oko, jakby nagle oślepiło go słońce.

– Znacznie lepiej – stwierdza. – A więc jesteście dwie. Usiądź tu obok.

– Muszę już iść – mówi Hettie.

– Proszę cię.

Siada na brzegu kanapy, od strony drzwi. Nie patrzy na Eda.

– Mówiłem ci, że kogoś mi przypominasz?

Hettie splata dłonie na kolanach.

– Tak, mówiłeś. – Czuje na twarzy jego wzrok.

– A mówiłem kogo?

– Nie.

Zapada cisza, a potem Ed pyta:

– Ile masz lat?

– Dziewiętnaście.

– Dziewiętnaście?!

Odpowiada na jego spojrzenie, raptem spokojniejsze, czułe, i nie może się z niego wyrwać. Zdaje się, że podczas upadku trochę wytrzeźwiał. Serce jej podskakuje z radości, że on wciąż tu jest, mężczyzna poznany w Dalton's, inny niż wszyscy, których dotychczas spotkała.

– Dlaczego pytasz? – mówi. – A ty, ile masz lat?

– Dwadzieścia siedem. – Krzywi się. – Niedługo dwadzieścia osiem. Całe wieki. – Wydobywa z kieszeni papierośnicę, stuka w nią, żeby wysunął się papieros, i wkłada go do ust. – Pamiętasz – pochyła się do przodu i zapala papierosa – naszą wczorajszą umowę. Jak będziemy ze sobą rozmawiać. Że będziemy mówić prawdę.

– Pamiętam.

– No więc ja nie dotrzymałem słowa. Jestem kłamcą.

Patrzy jej w oczy. Hettie wali serce.

– Ale teraz chcę ci powiedzieć prawdę.

– Muszę iść.

– Jeszcze nie. Masz czas. Zostań. Minutę. Proszę. – Posyła jej słaby uśmiech.

– Sprawiasz wrażenie przestraszonej.

– Nie boję się.

– Nie masz powodu. Nic ci się nie stanie. Jestem do niczego, nawet gdybym chciał.

– Nie rozumiem.

– Te sprawy. – Macha ręką. – Dolne partie.

Hettie przełyka ślinę.

– To tyle. Taka jest prawda. – Odchyła się i rozkłada ręce. – Tak to wygląda.

Podnosi wzrok, nadal trzymając rozłożone ręce, jak gdyby coś jej ofiarowywał. Można by sądzić, że czeka, by ona coś zrobiła z tym, co właśnie powiedział. Jakoś to przyjęła.

Ale ona nie chce tego przyjąć.

Chce, żeby zamilkł.

Ed nie milknie. Mówi dalej.

– Zaczęło się we Francji. Z jedną z tych dziewczyn na tyłach.

Hettie obejmuje się ramionami.

– Dziewczyn ze wsi. Ich ojcowie otwierali żołnierzom swoje domy.

Nie jest pewna, czy dobrze usłyszała.

– Ich ojcowie?!

Ed patrzy na nią i kiwa głową.

– Robili to dla pieniędzy. Byli wtedy w rozpaczliwej sytuacji. Przymierali głodem. Ich gospodarstwa zostały zniszczone. Żołnierze płacili więcej, gdy to się odbywało w domu. A dziewczyny były zawsze czyste. Mało prawdopodobne, by mogły zarazić tryprem.

To przekracza jej wyobraźnię. Słyszała różne opowieści, na początku wojny, o niemieckich żołnierzach i Belgijkach, o gwałtach, ale to, co słyszy teraz, brzmi jakoś inaczej. Jej ojciec nigdy by tak nie postąpił. Chroniłby ją. Czyż nie?

Ta myśl jednak coraz bardziej ją intryguje – wojna w Londynie, zbliża się do Hammersmith, żołnierze są na ulicach.

Jedni ojcowie by tak postąpili. Drudzy być może.

Jak bardzo musiałyby być głodne, żeby to zrobić?

– Co się działo? – pyta. – W tych domach. Jak to wyglądało?

– Zazwyczaj ustawiała się kolejka...

– Ile... ludzi... mężczyzn...?

– To zależy. – Wzrusza ramionami. – Dziwki na usługach armii były zajęte przez parę dni z rzędu. Na swoją kolej czekało czterdziestu, pięćdziesięciu, nawet sześćdziesięciu żołnierzów. Zbyt długo nie wytrzymały, zazwyczaj były na ostatnich nogach. Tamten dom przeznaczono dla oficerów, mieli żwawe dziewczyny. Przedem stało tylko dwóch, może trzech innych. – Cichym głosem dodaje: – Ona była młoda.

– Ile miała lat?

– Chyba tyle co ty. Może trochę mniej. – Patrzy przed siebie. – Wszedłem do środka i się umyłem. W rogu pokoju zawsze był mały zlew, właśnie po to. Gdy się odwróciłem w jej stronę, patrzyła na mnie. Zazwyczaj nie patrzyły, rozumiesz? Miała śliczną buzię. A dokoła tyle okropności. – Ściąga mu się twarz. – Wyglądała tak... świeżo. Potem położyła się, a ja na niej, i... – Robi ruch ręką: płaski, poziomy. – Nic. – Śmieje się krótko, ze smutkiem. – Nie mogłem się zdobyć na to, żeby jej dotknąć. – Spogląda na Hettie. – Miała takie włosy jak ty. Długie, mocne,

brązowe. O tym pomyślałem, widząc cię w tym okropnym klubie; już miałem wyjść stamtąd i wtedy zobaczyłem, jak tam stoisz. I przyszło mi na myśl: może da się to odzyskać. To, co straciłem. Może z twoją pomocą mi się uda.

Mówi od rzeczy.

– Obcięłaś włosy – ciągnie. Na jego twarzy maluje się rozpacz, błaganie. – Dlaczego to zrobiłaś? Dlaczego?!

Hettie kręci głową. Wzbiera w niej gniew. Jest zła na niego. Na nich wszystkich. Na tych wszystkich mężczyzn czekających na swoją kolej. Za tamte młode dziewczyny. I tamte kobiety. „Na ostatnich nogach”. Co się z nimi stało, potem? Dokąd trafiły?

– Jakie to ma znaczenie? – pyta. – Dlaczego to takie ważne, że obcięłam włosy?

– Bo nie cofniesz tego, co się stało.

– Włosy odrastają.

– Wiem. – W jego głosie czuć smutek. – Ale nie cofniesz tego, co się stało. – Pochyliła się do przodu i obejmuje głowę dłońmi.

Hettie słyszy jego ciężki oddech.

Powinna go dotknąć. To jest teraz jej zadanie. Powinna położyć mu rękę na ramieniu. Powiedzieć coś, żeby doszedł do siebie. W jakiś sposób poruszyć jego męskość. Myśli o tym, ale czuje gniew, czysty, zacięty gniew, i nie wyciąga ręki.

– Nie chciałam usłyszeć tej historii.

– O Boże. – Ed podnosi głowę. Krew odpłynęła mu z twarzy. – Bardzo przepraszam. Chodzi o to... że coś... straciłem. I... od tamtej pory nie próbowałem z kimkolwiek być.

– Chcę iść do domu. – Hettie wstaje i wkłada płaszcz. – Muszę się wyszykować do pracy i chcę iść do domu.

– Oczywiście. Zachowałem się okropnie. Od początku do końca. Boże drogi – krzywi się – ależ ze mnie głupiec.

Po tych słowach wymierza sobie cios, wali się mocno pięścią w skroń. Uderza z taką siłą, że Hettie raptownie przytyka dłoń do ust. Ed siedzi jak ogłuszony. Po chwili znów podnosi rękę.

– Nie! – Hettie łapie go za nadgarstek. – Proszę, nie rób tego!

Ed uspokaja się, powoli kiwa głową, jakby godził się z czymś, i kładzie rękę na kolanie, rozpościerając palce.

– Przepraszam – mówi cicho. – Tak naprawdę nie wiem, co tam się stało.

Po chwili wstaje. Obciąga nogawki spodni. Objawów upojenia alkoholem właściwie już nie widać. Teraz sprawia wrażenie po prostu zmęczonego. Klepie się po kieszeniach i wyjmuje pieniądze. Przygląda im się jakby z namysłem.

– Masz za co wrócić do domu? – pyta.

– Tak. Pojadę metrem. Już kursuje.

– W porządku. – Chowa z powrotem pieniądze, ku jej zadowoleniu. – Twój kapelusz. – Gdy go podaje, ich palce przelotnie ocierają się o siebie.

Idzie do drzwi i razem wychodzą na wyłożony zieloną terakotą podest. Ed naciska guzik, żeby ściągnąć windę.

Patrzy w głąb szybu w taki sposób, jakby nagle zobaczył w nim coś fascynującego, jakby badanie szybu windy było jego ulubionym zajęciem. Wydaje się, że winda jedzie na górę okropnie długo. Czekają, stojąc obok siebie w milczeniu. W końcu kabina podjeżdża i Ed przesuwa drzwi.

– Wybacz – mówi cicho – że cię zanudziłem.

– Nie zanudziłeś.

– Jesteś bardzo uprzejma – odpowiada z nikłym, smętnym uśmiechem – ale wiem, że nie mówisz prawdy.

Hettie wchodzi do środka, a Ed zaszuwa kratę.

Gdy winda rusza w dół, szarpiąc i chrobocząc, przed oczami Hettie po raz ostatni przesuwa się jego twarz, rozbita krzyżującymi się liniami układanka.

* * *

Nie tak to sobie Ada wyobrażała. Sądziła, że zobaczy coś innego: ciemne pomieszczenie z okrągłym stolikiem, jak w filmach albo skeczach, takich o ludziach, którzy kontaktują się ze zmarłymi. Dużo ich pokazywano przez ostatnich kilka lat. Ale pokój jest widny i całkiem zwyczajny. Mieści się na tyłach domu stojącego przy zwyczajnej ulicy, tak jak mówiła Ivy. Kobieta, która siedzi naprzeciwko niej, też wygląda zwyczajnie, w pewnym sensie. Jest w niej jednak coś nieuchwytnego. Przede wszystkim trudno określić jej wiek; może mieć około czterdziestu pięciu lat, jak Ada, ale też dziesięć lat więcej. Ma gładką cerę bez zmarszczek. Zdaje się, że nie brakuje jej zębów.

Kobieta potraktowała ją nieprzychylnie, kiedy Ada zapukała do drzwi. Zauważyła to, gdy zapytała o panią Kempton i podała kartkę, wyjaśniając, że poleciła ją jej przyjaciółka, która tu była w czasie wojny. Kobieta zerknęła w lewo i w prawo, po czym mruknęła: „No dobrze, proszę wejść. Choć właściwie już się tym nie zajmuję”.

Poprowadziła ją przez korytarz przesiąknięty zapachem gotowanego niedawno mięsa, obok otwartych drzwi, za którymi Ada zobaczyła salon z pianinem pod ścianą, i dalej do tego pokoju z tyłu domu, gdzie oprócz stołu nie ma żadnych innych mebli, żadnych obrazów na ścianach, a okna wychodzą na mały ogródek z pojedynczym krzakiem róży pokrytym ostatnimi kwiatami.

– Wzięła pani coś ze sobą? – pyta pani Kempton.

Serce Ady zaczyna łomotać. Nie rozmawiają o pieniądzach. Ile ta kobieta zażąda na koniec?

Wyjmuje z torebki szmacianego królika z jednym okiem. Długo nie mogła

się zdecydować, co zabrać. Tę zabawkę uszyła Michaelowi na Gwiazdkę, gdy był mały; nie wypuszczał jej z rąk przez kilka następnych lat. Stawia na stole żalosne, oklapnięte stworzenie, z plackami wytartego filcu i wbitym w nią brązowym okiem.

Kobieta obraca królika w dłoniach. W ciszy słychać tykanie zegara w głębi domu.

– Ma pani coś jeszcze? – odzywa się w końcu. – Coś innego z jego rzeczy? Adzie robi się sucho w ustach.

– To jest niedobre?

– Nie, nie o to chodzi. – Kobieta odkłada zabawkę na stół. Ma blade dłonie o długich palcach. – Pomyślałam tylko, że przydałaby się jakaś nowsza rzecz. Przyniosła pani fotografię?

Ostatnie zdjęcie Michaela leżało w pudełku, to niewyraźne; miała nadzieję, że nie będzie musiała go pokazywać. Wyjmuje je z torebki i kładzie na wyciągniętej ku niej dłoni.

– Przepraszam. – Robi jej się gorąco; pot spływa po skórze pod gorsetem, powoli, długą, krętą strużką.

– Za co? – Kobieta patrzy na nią spokojnie.

– To nie jest dobra fotografia.

Pani Kempton trzyma zdjęcie jeszcze przez chwilę i kiwa krótko głową, kładąc je na blacie. Potem wstaje i zasuwa zasłony; są zielone i dość cienkie, więc do pokoju przenika zielone światło.

– Jeśli to pani nie przeszkadza, wołałabym zasłonić okna. Lepiej, żeby nam nic nie przeszkadzało.

Ada zastanawia się, kto lub co mogłoby im przeszkadzać w tym pokoju na tyłach cichego domu. Pani Kempton siada przy stole; znów w milczeniu dotyka królika, a potem fotografii.

Choć nie ma w tym nic zabawnego, Adzie zbiera się na śmiech.

Kobieta otwiera oczy.

– Nie przepadam za seansami – mówi zmienionym głosem, jasnym i czystym.

Ada jest zaskoczona.

– Nie dla mnie te sztuczki i szopki. – Kobieta kładzie ręce na kolanach. – Staralam się słuchać.

– Czego?

– Pani syna.

Słaby, cierpki dreszcz przechodzi Adzie po plecach, a potem zalewa ją fala mdłości. Zamyka oczy, czekając, aż to minie.

– Dobrze się pani czuje?

Unosi powieki i patrzy na gładką twarz pani Kempton.

– Chyba tak.

– Powinam była uprzedzić – mówi kobieta – że gdyby chciała pani to przerwać, w którymkolwiek momencie, musi mi pani od razu powiedzieć. – Kładzie dłonie płasko na obrusie. – Staralam się słuchać – powtarza, marszcząc czoło – ale to trudne.

– Co to znaczy?

– On nie żyje. Pani syn. Bez wątpienia. Nie wyczuwam tutaj jego obecności. Pokój się przechyla.

– Dobrze się pani czuje?

Ada przytomnieje. Kiwa głową.

– Cieszę się – mówi spokojnie kobieta. – Pani syn nie żyje. Ale nie po to pani tu przyszła – dodaje stanowczym, rzeczowym tonem.

„Nie po to przyszłam?”.

Ada stwierdza, że pasuje jej ta stanowczość.

„Może jednak nie po to”.

– Proszę mi o nim opowiedzieć. – Kobieta dotyka palcem fotografii. – Kiedy zrobiono to zdjęcie? – Przesuwa je po stole.

Ada zerka na nie kątem oka.

– Nie jestem pewna.

– Dlaczego nosi pani to zdjęcie przy sobie, skoro nie chce pani na nie spojrzeć?

– Nie lubię go.

– Dlaczego?

Ada zmusza się, żeby popatrzeć na fotografię.

– Bo twarz jest niewyraźna.

– Rzeczywiście. Tylko jeżeli nie podoba się pani to zdjęcie, dlaczego ma je pani w torebce?

– Nie wiem.

Pani Kempton unosi brwi.

Ada kręci się na krześle; czuje się jak na egzaminie, na którym źle wypada, właściwie już wie, że go nie zdała.

– Mam inne, oprawione w ramki, stoi w salonie, ale uważałam, że lepiej nie brać go ze sobą do omnibusu.

Twarz kobiety mięknie.

– Proszę mnie posłuchać. Powinna pani schować to zdjęcie. – Oddaje fotografię. – Na pani miejscu nie patrzyłabym na nie, skoro budzi w pani takie odczucia.

Ada z ulgą wkłada zdjęcie do torebki.

– Lepiej niech mi pani o nim opowie.

– Słucham?

Spotyka opanowany wzrok pani Kempton.

– Proszę mi go opisać. Jestem pewna, że pani przedstawi go lepiej niż jakiegokolwiek zdjęcie.

To wygląda jak kolejny egzamin, jeszcze cięższy.

– Spokojnie – mówi cicho kobieta. – Tu nie ma złych odpowiedzi. Niech pani po prostu powie, co pani przychodzi na myśl.

Ada zastanawia się, ale ma pustkę w głowie, a właściwie nie pustkę, lecz skłębioną mgłę. Potrząsa głową, żeby oprzytomnieć. Nie widzi go. Nie potrafi wyczarować jego twarzy. Nie umie tego zrobić, fotografia jest niewyraźna, jej syn nie żyje. Wstaje, opierając się rękami o stół. Wyglądają, jakby należały do kogoś obcego. Krew wzbiera w niej jak fala. Obok staje ta kobieta, kładzie chłodną dłoń na jej dłoni. Fala opada. Za nią napływa cisza.

– Przyniosę pani wody.

Ada osuwa się na krzesło. Słyszy dźwięki w kuchni, plusk wody nalewanej z dzbanka. Kobieta wraca i stawia przed nią szklankę.

– Chciałaby pani to przerwać?

– Nie. – Chce jej się pić, nagle straszliwie chce jej się pić. Wypija wodę do dna. – Zostanę. – Stawia pustą szklankę na stole, między sobą a panią Kempton. – Nikt – ciągnie – nikt a nikt, nawet mój mąż, przez te trzy lata nie poprosił mnie, żebyśmy porozmawiali o moim synu.

Kobieta kiwa głową.

– Proszę o nim opowiedzieć.

Ada zamyka oczy.

– Był... zwyczajny. Był zwykłym chłopcem. – Nagle przypomina sobie coś, o czym nie myślała od dawna. – Był zabawny. Opowiadał absurdalne dowcipy.

– Pamięta pani któryś?

– O agrafkach, które szły przez pustynię. Jedna powiedziała, że jest jej gorąco, na co druga poradziła, żeby się rozpięła.

Kobieta się uśmiecha. Ada też.

– Powtarzał to w kółko. Okropność. – Krzywi się. – Grał w piłkę, godzinami, nie mogłam go ściągnąć do domu. Ojciec zabierał go na mecze, od małego. Latem lubił pływać w kanale. Zabraniałam mu, ale mnie nie słuchał. Jednak zawsze wiedziałam, że się kąpał.

– Skąd pani wiedziała?

– Bo dziwnie pachniał. – Marszczy nos. – Nie mógł się pozbyć tego zapachu. Bałam się, czy nie zachoruje. Na szczęście nic mu się nie stało.

Kobieta znowu kiwa głową.

– Chciał iść na wojnę?

Pytanie jest proste, ale zadane wprost, głęboko porusza.

– Na początku – przytakuje. – Gdy zgłosili się wszyscy chłopcy z drużyny.

Ale był za młody. Zaciągnął się po swoich urodzinach w tysiąc dziewięćset siedemnaście. Tylko wtedy już było... inaczej.

– W jakim sensie?

– Czuło się, że oni wszyscy... że sytuacja jest beznadziejna. Że oni wszyscy idą na śmierć. Wydaje mi się, że to wiedział.

– Dlaczego tak pani uważa?

– Któregoś dnia powiedział do mnie: „Nigdzie nie jest bezpiecznie. Nie ma czegoś takiego jak bezpieczeństwo”. Zapadło mi się to w pamięć. Wciąż tam siedzi. Sądzę... że mogłam temu jakoś zapobiec.

– Jak zapobiec? – Kobieta pochyła się w jej stronę.

– Ukryć go. – Ada podnosi wzrok.

Serce bije jej tak mocno i tak szybko, że pani Kempton z pewnością to słyszy i widzi, przez gorset i przez sukienkę.

– Jak? – pyta cicho. – Jak mogła pani to zrobić?

– Mój mąż – ma zachrypnięty głos, więc musi odchrząknąć – mój mąż pracuje w fabryce. Znał tam ludzi ze związków zawodowych, którzy zajmowali się takimi sprawami. Załatwili to wtedy paru kolegom. – Nigdy nikomu tego nie wyjawiała. Nie może uwierzyć, że teraz mówi o tym głośno. – Jack chciał to zrobić, ale się nie zgodziłam. – Potrząsa głową. – Powiedziałam, że musi iść do wojska.

– Jack to pani mąż?

– Tak.

– Dużo by ryzykował.

– Wiem.

– Pani też.

Ada czuje ucisk w sercu, w gardle. Narastające napięcie. Trudno jej przełknąć ślinę. Mówi szybko, wyrzuca z siebie słowa.

– Pomyślałam, że jeżeli on się ukryje, a oni go znajdą, to będzie dla niego jeszcze gorzej. I tak wyślą go na front. Czytało się o mężczyznach, których to spotkało. A poza tym Michael by się nie zgodził. Nigdy by tak nie postąpił. Ale teraz zastanawiam się, co by było, gdybym pozwoliła Jackowi spróbować. Może wciąż byłby z nami.

W ciszy słychać tylko szum gazu w rurach.

– Ma pani poczucie winy?

Podnosi głowę. Pierwszy raz odczuwa wobec tej kobiety pogardę. Jaki z niej pożytek, skoro nie dostrzega tego, co oczywiste? Skoro nie potrafi odczytać tego, co ma przed nosem? A w ogóle to co ona sama tu robi, w tym pustym pokoju, dlaczego rozmawia z tą obcą osobą o najbardziej prywatnych sprawach?

– Oczywiście, że tak.

– Poczucie winy ma ogromną siłę przyciągania.

– Co pani chce przez to powiedzieć?

– Widzi go pani?

– Kogo?

– Swojego syna.

Swędzi ją skóra czaszki, jakby między włosami biegała chmara owadów.

– Tak.

– Dlatego pani tu przyszła?

Owady zaczynają kłuć i kąsać.

– Tak.

– Proszę mi o tym opowiedzieć. – Kobieta patrzy jej w oczy.

Ada kręci się na krześle.

– Widzę go na ulicy.

– Proszę mówić dalej.

– Najpierw widziałam go ciągle. Potem to ustało na kilka lat. A w tym tygodniu... znów go zobaczyłam.

Twarz kobiety nawet nie drgnie.

– Czy on odzywa się do pani? Wtedy, gdy pani go widzi.

– Nie.

– Widzi pani jego twarz?

– Nie. Zawsze patrzy w inną stronę.

Kobieta kiwa głową, wypuszcza powietrze. Zachowuje się tak, jakby te informacje wcale jej nie zdziwiły.

– Chcę pani coś powiedzieć, choć nie wiem, czy to pani pomoże. Ale przecież i tak niewiele pomaga, prawda? Koniec końców. – Kładzie ręce na blacie i wstaje. – Spotykam tu wiele kobiet i wszystkie kurczowo się czegoś trzymają. Swoich synów, kochanków, mężów czy ojców. Równie mocno są przywiązane do fotografii albo okruczeństwa, które przynoszą ze sobą i kładą na tym stole.

– Wskazuje ręką. – Wszystkie są różne, a zarazem takie same. Wszystkie boją się wypuścić ich z uścisku. A jeżeli dręczy nas jeszcze poczucie winy, trudniejsze staje się uwolnienie zmarłych. Trzymamy ich przy sobie, strzeżemy zazdrośnie. Oni są nasi i chcemy, by tacy zostali. – Zalega cisza. – Ale oni nie są nasi. I w pewnym sensie nigdy nie byli. Należą do siebie, wyłącznie. Tak jak my należymy do siebie. Z jednej strony jest to straszne, a z drugiej... może nas oswobodzić.

Ada siedzi w milczeniu, chłonąc te słowa, a potem pyta:

– Jak pani myśli, gdzie oni są?

– Kto?

– Ci nieżyjący chłopcy. Gdzie oni są? Nie przebywają w niebie, prawda? To niemożliwe. Ludzie starzy, chorzy, małe dzieci i raptem... ci wszyscy młodzieńcy. W jednej chwili młodzi i pełni życia, a w następnej martwi. W parę godzin wszyscy są martwi. Dokąd oni poszli?

– Czy pani była kiedyś osobą wierzącą?

– Tak sądziłam.

Twarz kobiety się zmienia; jakby się nagle postarzała, jej kształt jest mniej wyraźny.

– Nie wiem, gdzie oni są – mówi. – Mogę tylko słuchać. Z pomocą przedmiotów, które przynoszą tu ludzie, staram się usłyszeć. Czasem niektórzy z nich są chyba... spokojni, czuję to. I przekazuję ich bliskim. To pomaga, tak myślę. Ale z niektórymi jest ciężiej.

Ada oblizuje wargi. Są suche, spękane.

– A Michael? – pyta. – Co z moim synem?

Kobieta marszczy brwi i przez dłuższą chwilę się nie odzywa. Potem potrząsa głową, jakby chciała oprzytomnieć.

– Myślę, że powinna pani go uwolnić.

Ada milczy.

– Niech mi pani powie... Pani mąż, Jack, tak ma na imię, prawda?

– Tak.

– Czy on jest zdrowy?

Jakie dziwne pytanie.

– Tak sądzę.

– Czy mogę coś pani poradzić?

Ada kiwa głową, niepewnie.

– Niech pani popatrzy na swojego męża – mówi kobieta – i zastanowi się, co widzi. On żyje. Jest żywy. Chce, żeby go dostrzec.

* * *

Gdy dochodzi za kwadrans czwarta, kobieta zaczyna ustawiać krzesła na stolikach. Evelyn jest ostatnim gościem, siedzi w rogu w głębi kawiarni, przy brudnym oknie, przed nią niedopita filiżanka herbaty, trzecia z kolei, a z boku na talerzyku resztki kanapki z bekonem. Zamyka książkę i wkłada płaszcz.

– Dziękuję! – woła do kobiety, wychodząc, a ta żegna ją nieokreślonym ruchem ręki.

Na brunatnej ulicy zapada już zmrok, przez co budynki wydają się masywniejsze, bardziej zwaliste. Niebo, które Evelyn widzi przed sobą, jest jednak wysokie i jasnoniebieskie, jak gdyby zamierzało się odłączyć, zostawić ziemię pogrążoną w jej ciemnościach i swobodnie odpłynąć. Na chwilę wraca to znajome ostatnio uczucie: Evelyn wpada w ścinającą z nóg panikę i musi oprzeć się o ścianę, żeby złapać oddech.

Jest dwie minuty po czwartej, gdy puka do drzwi Rowana Hinda. W środku panuje głucha cisza. Po zachodzie słońca gwałtownie się ochłodziło. Nagle stwierdza, że zachowuje się beznadziejnie, jak pasożyt. Na miłość boską, co ona w ogóle robi na tych peryferiach, napastując ludzi w ich własnych domach?

„Stara panna”.

„Stara panna, która wtrąca się w nie swoje sprawy”.

Otwierają się drzwi i staje w nich tamta dziewczynka, teraz w fartuszku, z włosami związanymi strzępkami niebieskiej wstążki. Oplata jedną nogę wokół drugiej. Wciąż jest boso.

– Taty jeszcze nie ma.

– Aha. Mogłabym tu poczekać do jego powrotu?

Dziewczynka odwraca się, drepcze na koniec korytarza i znika w fioletowym mroku, skąd dolatują przyciszone głosy. Po chwili znów się pojawia.

– Ona mówi, żeby pani poczekała tutaj.

Otwiera drzwi po prawej stronie i wprowadza Evelyn do małego salonu. W rogu jest fotel, pod ścianą nierówna kanapa. Można odnieść wrażenie, że od lat nie palono tu w kominku. Stoją przez chwilę w półmroku, ona i dziewczynka, zwrócone do siebie twarzami.

– Jak myślisz – z ust Evelyn wydobywa się obłok pary – znalazłaby się świeca?

– Przyniosę zapalki.

– Zaczekaj. Mam zapalki. – Wyjmuje z kieszeni pudełko.

Dziewczynka bierze z półki nad kominkiem ogarek świecy i trzyma go w wyciągniętej ręce. Evelyn pochyla się, żeby zapalić świecę.

– Dużo lepiej – mówi, gdy płomień przestaje się chybotać. – Teraz widzę, że masz śliczną wstążkę. Bardzo ładny kolor.

Dziewczynka nie odrywa wzroku od jej twarzy.

– Jak ci na imię?

– Dora.

Ma niski, łamiący się głos, jak to bywa u niektórych dzieci.

– Miło mi cię poznać. Ja mam na imię Evelyn. – Wyciąga rękę.

Dora patrzy na jej rękę, a potem znów na twarz. Słychać trzask zamykanych drzwi i szmer rozmowy w kuchni. Evelyn rozpoznaje głos Rowana Hinda.

– To mój tato – mówi Dora.

Evelyn się prostuje.

– Dlaczego pani do niego przyszła? – Wystraszona dziewczynka zaciska usta tak mocno, że aż bieleją.

– Nie martw się. Nic złego się nie stało, masz moje słowo.

Dziewczynka spogląda na nią takim wzrokiem, jakby się zastanawiała, czy to prawda. Potem podaje jej świecę i mówi:

– Pójdę zapytać, czy będzie chciał przyjść.

Evelyn odstawia świecę na półkę nad kominkiem. Siada na brzegu fotelu i zaraz wstaje. Idzie przez pokój do okna, które jest do połowy zasłonięte obwisłą, pożółkłą firanką. Z okna widzi ulicę, na której nie ma ani jednej latarni; jest niemal

zupełnie ciemno. Marzy, żeby zapalić papierosa.

Otwierają się drzwi i pojawia się w nich Rowan Hind.

– Dzień dobry panu. – Podchodzi do niego, wyciągając rękę. – Jestem Evelyn Montfort. Pracuję w departamencie rent i emerytur, w Camden Town. Był pan u mnie w poniedziałek. – Słowa zderzają się ze sobą, tak szybko chce je wydobyć.

Głowa mężczyzny przechyla się lekko na boki, tym samym bezwiednym ruchem, który dostrzegła u niego wcześniej. Wówczas, tamtego monotonnego popołudnia w biurze, budziło to litość, a teraz, gdy nie widzi wyraźnie jego twarzy, odczuwa strach.

– Pamiętam. Nie jestem głupi. Pamiętam panią.

Evelyn splata dłonie i wciska kciuk jednej w środek drugiej.

– To świetnie. Nie chciałam...

– Fabryka amunicji.

– Zgadza się.

– Ucięty palec. – Wskazuje kikut.

– Tak.

– Co pani robi w moim domu?

W jego głosie jest tyle wrogości, że Evelyn cofa się niezdarnie, zahaczając obcasem o ruszt kominka, i przez krótką, koszmarną chwilę wydaje jej się, że upadnie, ale w samą porę łapie za półkę i odzyskuje równowagę.

– Ostrożnie – rzuca Hind.

– Przepraszam. – Staje prosto. – Przyszłam tu, ponieważ szukał pan pewnej osoby. Kapitana Montforta. Prawda?

Rowan Hind milczy.

– Miał pan na myśli Edwarda Montforta? Kapitana Edwarda Montforta?

Coś w jej słowach sprawia, że zmienia się temperatura w pokoju.

– To mój brat – oznajmia Evelyn. – Mogę panu pomóc, jeżeli wyjaśni mi pan, dlaczego go szuka.

Hind odwraca się i zamyka drzwi.

– Dlaczego? – pyta.

– Dlaczego co?

Twarz mu się ściąga, spojrzenie staje się podejrzliwe.

– Dlaczego przyjechała pani aż tutaj?

– Ponieważ sądziłam, że panu na tym zależy. I... było mi przykro, że skłamałam.

Przygląda jej się z uwagą.

– Mogłam nie przychodzić.

Ledwie wypowiada te słowa, uprzytamnia sobie, że są nieprawdziwe. Że brzmi w nich rozdrażnienie. Musiała przyjść. Nie mogła postąpić inaczej.

Rowan Hind wyjmując z wewnętrznej kieszeni pogiętego papierosa, prostuje go, po czym przykładając prawą rękę do twarzy i dwoma palcami masuje czoło między brwiami.

– Pracował pan dzisiaj? – pyta cicho Evelyn.

– Tak.

– Jak poszło?

Kręci głową i siada na kanapie.

– Beznadziejnie. Cholerna pogoda, za zimno.

– Wydawałoby się, że w taki zimny dzień będą wpuszczać pana do środka.

– Ale tak nie jest. – Zapala papierosa i zdejmując z wargi okruh tytoniu.

– Mogę też zapalić?

– Jak pani chce. – Wzrusza ramionami.

Evelyn zapala swojego papierosa.

– Co on zrobił?

– Kto?

– Mój brat.

Rowan Hind wciąż siedzi z opuszczoną głową, ale słucha, co ona mówi. Jest tego pewna; widzi spiętą sylwetkę, prawie niezauważalnie pochylającą się w jej stronę. Mężczyzna wydaje cichy niekontrolowany dźwięk i zaczyna dygotać. W pierwszej chwili Evelyn sądzi, że to z zimna, jednak gdy drgawki się przedłużają, stwierdza, że tak samo zachowywał się wtedy w biurze, zanim dostał napadu. Słysząc lekkie pukanie do drzwi. Evelyn wzdryga się, lecz wchodzi tylko córka Rowana, która niesie tacę, a na niej dzbanek z herbatą, dwie filiżanki, cukiernicę i dzbanuszek z mlekiem. Idzie ostrożnie, z powagą i w skupieniu; stawia tacę na niskim stoliku przed pustym kominkiem.

Evelyn widzi, że Rowan zmaga się ze sobą, dygot może nim ośwładnąć lada chwila, toczy się walka, stopa wybija uporczywy rytm o podłogę. Czuje, że jednocześnie w niej też narasta popłoch. Rzuca okiem na dziewczynkę. Powinna jakoś ją ochronić przed tym, co się będzie działo, zasłonić jej oczy. Ale dziewczynka już odwraca się w kierunku ojca.

– Tato? – Zostawia tacę i zbliża się do niego. – Tatusiu?

Drgawki są coraz silniejsze, mimo to dziewczynka wdrapuje mu się na kolana i obejmuje go za szyję. Siedzi, mocno trzymając go w ramionach, aż ojciec się uspokaja.

Gdy Evelyn patrzy na tych dwoje, splecionych w uścisku, przepętnia ją gwałtowna, piekąca zawiść; chciałaby być na jego miejscu, trzymać tę dziewczynkę na kolanach, czuć jej ciepło i dotyk chudych rąk na szyi. Odchyła się do tyłu, kładąc zimne ręce na pustych kolanach, i przypomina sobie, jak Robin głaskał Rowana po plecach i go uspokajał i jak potem była wobec Robina taka szorstka. Miał rację tamten okropny typ, ten Reginald Yates, mówiąc, że jest suką.

Rzeczywiście jest sadystyczną suką.

Gdy Rowan w końcu przestaje dygotać, dziewczynka przykładą rękę do jego policzka i nie odrywa jej przez dłuższą chwilę, po czym zsuwa się z kolan ojca. Nalewa herbatę i mleko do obu filiżanek, częstuje Evelyn.

Coś sprawia, że trudno jej spojrzeć na to dziecko.

Kiedy dziewczynka opuszcza pokój, Evelyn stawia spodek i filiżankę obok fotela, na podłodze.

– Przepraszam, że pana niepokoiłam. Pójdę już.

Wstaje i wkłada rękawiczki. Popęłniła błąd, przychodząc tutaj. Wprowadziła zamieszanie w tym domu i chce wyjść.

– Proszę zostać – mówi Rowan już innym tonem, spokojniejszym. – Niech pani wypije herbatę. To niegrzecznie wychodzić, gdy poczęstowano panią herbatą.

– Patrzy jej prosto w twarz, śmiało i pewnie.

Evelyn posłusznie wypija herbatę.

– Pani brat – odzywa się wtedy Rowan.

– Tak?

– Co on pani zrobił?

– On...

„Przy nim nic nie znaczyłam. Byłam głupią starą panną. On potrafi być szczęśliwy. Potrafi zapomnieć wojnę”.

– Okłamał mnie – mówi.

Rowan kiwa głową, jakby ta odpowiedź go zadowoliła.

– Dobrze. Powiem pani. Powiem to, co chce pani wiedzieć. – Zapala papierosa i wymierza go prosto w nią. – Ale proszę pamiętać, że sama pani o to prosiła.

Evelyn milczy.

– Niech pani to powie.

– Co mam powiedzieć?

– Że sama pani o to prosiła. Chcę to od pani usłyszeć.

– Sama o to prosiłam – mówi Evelyn.

– W porządku – kwituje Rowan.

A potem zaczyna opowiadać.

– Miałem kumpla. Poznaliśmy się w obozie odpoczynkowym za linią frontu. Mówiono „odpoczynkowy”, choć wcale taki nie był, musieliśmy wykonywać różne prace. Odpoczywało się tylko po zapadnięciu ciemności, gdy człowiek leżał w łóżku. Do kompanii ściągnięto mnóstwo żołnierzy z innych oddziałów, ale nie zwracałem na nich uwagi. Unikałem towarzystwa. Któregoś dnia mnie i temu chłopakowi kazano zawieźć zwoje drutu gdzieś dalej na linię frontu. Gdy zaczęliśmy ze sobą gadać, od razu zorientowałem się po akcencie, że jest z moich stron. Okazało się, że pochodzi z Hackney. Kilka mil na północ stąd. W tamtym

czasie wszystkie pułki się rozpadły. Ludzie z tych samych okolic już nie służyli razem. No i bardzo wielu zginęło. W rezultacie człowiek z Yorkshire walczył obok londyńczyka i Walijszyka. Po akcji przenoszono tych, co przetrwali i byli zdolni do walki. Rzadko spotykało się kogoś ze swoich stron.

– Jak on miał na imię? – Evelyn przesuwając się na skraj fotela.

– Michael. Michael Hart. Z jego kompanii zginęli prawie wszyscy. Musieli mieć naprawdę ciężko, bo zostało ich może czterdziestu.

– Z ilu?

– Z kilkuset. – Rowan wzrusza ramionami. – Więc przyłączono ich do nas. Nigdy o tym nie rozmawiali. O tym, co się stało. Ale i tak się dowiedzieliśmy. Wszyscy utonęli w błocie.

– Utonęli?!

Kiwa powoli głową, patrząc na Evelyn.

– Nie do uwierzenia, jeżeli człowiek tego nie widział.

Zapada cisza. Evelyn usiłuje to pojąć, ale bezskutecznie. Umysł się buntuje.

– Jaki on był? Ten Michael.

Rowan siada wygodniej, drapie się po karku i chwilę się zastanawia.

– Coś pani powiem. Po pracy, tam w obozie, ludzie zwykle siadali, palili papierosy i grali w karty. Ale Michael nigdy nie grał. Mówił, że nie chce wiedzieć, ile zostało mu szczęścia.

– Jak to? Nie rozumiem.

– Grało się w jakąś grę hazardową. Na pieniądze. Ale jeżeli człowiekowi dobrze szło, ponosiły go nerwy, bo nie chciał dopuścić do siebie myśli, że wyczerpuje swoje szczęście. Michael pewnie uważał, że skoro wyszedł z życiem z tej ostatniej akcji, dopisało mu szczęście. Więc wolał nie grać. Nie chciał wiedzieć, czy wciąż je ma.

– Rozumiem. – Rzeczywiście dostrzega w tym jakąś logikę.

Czubek jego papierosa jarzy się na czerwono.

– Nie był zbyt rozmowny. Jak ci wszyscy nowi. Ale spędziliśmy na tyłach dobre parę tygodni. Każdego wieczoru przydzielano nas do grup roboczych, które szły na linię frontu.

– Co mieliście robić?

– Najrozmaitsze rzeczy. Przenosiliśmy amunicję, worki z piaskiem, młóździerze, drut kolczasty. Ten był najgorszy. Niosło się na kiju zwój drutu, we dwóch, człowiek cały się podrapał, zanim dotarł na miejsce. Szedł dwie, trzy mile i musiał uważać, żeby nie upaść w błoto. Ale zawsze zgłaszaliśmy się razem, ja i Michael, cokolwiek to było. Pewnego razu dostał ciasto. Mama mu przysłała. Duży keks. – Podnosi wzrok i z lekkim uśmiechem pokazuje rękami jaki duży. – Ze wszystkimi się podzielił. Było smaczne. Pamiętam, że zachodziłem w głowę, jak jej się udało zrobić takie smaczne ciasto. Zbierała cukier chyba przez wiele

tygodni. Dostawał też od niej listy, regularnie. Ja nigdy nie dostałem listu od swojej mamy.

– Dlaczego?

Robi pogardliwą minę.

– Nie umiała się nawet podpisać, wiadomo.

– Aha – bąka Evelyn.

„No tak, oczywiście”.

– Minęło kilka tygodni i zaczęli dawać nam więcej jeść. Podwójne racje. Wtedy już wiedzieliśmy, że znowu przeniosą nas na front. Każdy był wytrącony z równowagi, gdy zwiększano racje. Chciał jeść więcej i nie chciał, rozumie pani. Ludzie nie wiedzieli, kiedy ich wyślą, ale zakładali się, dokąd trafią. Wszyscy myśleli tylko o jednym: żeby to był jakiś cichy ką, spokojny odcinek frontu. Kapitan Montfort pojawił się z rana. Powiedział, że wychodzimy następnego dnia o świcie. Wyglądał na podenerwowanego. Od razu coś mnie tknęło. Czuję, że będzie źle.

Gdy z ust tego człowieka pada nazwisko jej brata, Evelyn się wzdryga. „Kapitan Montfort”. Pochyliła się do przodu i pyta:

– Był dobry?

Rowan patrzy na nią pytająco.

– Czy był dobrym kapitanem?

– Tak. – Wzrusza ramionami. – Był w porządku, prawie do końca.

– Prawie?

– Tak.

Nie mówi na ten temat nic więcej, a Evelyn widzi, że nie ma co naciskać. I dziwna rzecz: z jednej strony jakby chciała się bronić, a z drugiej czuje się winna; w duchu stwierdza, że wolałaby usłyszeć, iż jej brat dobrze wykonywał swoje zadanie.

– Odwróciłem się do Michaela, żeby mu coś powiedzieć – ciągnie Rowan – i zobaczyłem, że jest blady jak kreda. Mieliśmy kwatery w wiejskim domu. Po zachodzie słońca nie wolno było palić ognia. Nic nie wolno było robić, pozostawało tylko iść do łóżka. Leżeliśmy w mroku na pryczach, ale ja nie spałem. W pewnej chwili usłyszałem, że Michael się rusza. „Nie śpisz?”, zapytałem. „Nie”. „Mam jakieś złe przeczucia”. „Ja też”. „Obiecasz mi coś?”. „Co takiego?”. „Gdyby coś mi się stało, powiesz mojej żonie?”, poprosiłem. „Pewnie”. „Powiedz jej, co się wydarzyło. Zrób to jak należy. Niech nie czyta tych dyrdymałów, które wypisują do ludzi w kraju. Chcę, żeby znała prawdę”.

– I co on na to? – Evelyn zapala następnego papierosa.

– Obiecał, że to zrobi. Na pewno. A potem zapytał: „Zrobisz to samo dla mnie? Nie mam żony, ale może pojechałbyś do mojej mamy”. „Jak ona ma na imię?”, spytałem. „Ada”. Zażartowałem, że podziękuję jej za ciasto. Roześmiał się.

Następnego dnia zapisał mi jej adres.

Pochyliła się w przód, przykładając ręce do skroni i mówi w podłogę:

– Nauczyłem się go na pamięć, na wypadek gdybym zgubił kartkę. Żeby i tak ją odszukać. Przez lata po jego śmierci ten cholerny adres siedział mi w głowie.

– Nie pojechał pan do niej?

– Nie.

– Dlaczego?

– Nie mogłem jej tego powiedzieć. Stchórzyłem.

– Czego nie mógł pan powiedzieć?

Po dłuższej chwili odzywa się:

– Któregoś dnia, parę tygodni temu, łąziłem od domu do domu z tymi swoimi szczotkami i mydlami, z całym tym chłamem, i w pewnej chwili zorientowałem się, że jestem na jego ulicy. Tę nazwę mi zapisał. Stałem dokładnie przed jego domem. I wtedy otwierają się drzwi, wychodzi jego mama i mija mnie o krok.

– Nie zauważyła pana?

Kręci głową.

– Była zajęta swoimi myślami. Przeszła tuż obok, ulicą w dół. Zanim mnie minęła, przyjrzałem się jej twarzy. Jak jego, tylko drobniejsza i jakby schludniejsza. Pomyślałem wtedy: „Ta kobieta przysłała mu ciasto, które jadłem. Ta kobieta napisała do niego te wszystkie listy”. I zaczynam się trząść, na środku ulicy, rozglądam się w lewo i w prawo i myślę: „Ktoś wie, że nie dotrzymałem słowa. Ktoś chce, żebym opowiedział jej o tym teraz. Minęły trzy lata i właśnie tu stoję”. – Ma zaciętą twarz, jakby prowokował Evelyn, by podważyła jego słowa. – Wiedziałem, że to on mnie tam sprowadził. Do swojego domu.

Evelyn przełyka ślinę.

– I co pan zrobił?

– Pojechałem tam znowu. W zeszłą niedzielę. Wziąłem torbę z rzeczami i udałem, że chcę coś sprzedać. Była niedziela, ale jego mama nie zwróciła na to uwagi. Wpuściła mnie do domu. Wchodzę do środka i od razu czuję, że sobie z tym nie poradzę. Stoję w kuchni, wpatruję się w jego mamę i nasuwa mi się myśl: „Masz taką smutną twarz. A ja wiem dlaczego. Wiem, dlaczego jesteś taka beznadziejnie smutna”.

Milknie i patrzy jej w oczy.

– Widziała pani kiedyś ducha? – pyta po chwili.

– Nie. – Okłamuje go. Słyszy stukanie buta o podłogę, bez przerwy.

Zaciąga się płytko dymem. W końcu wyznaje: – Raz.

– Co pani zobaczyła? Proszę mi opowiedzieć.

– Nie mogę. Przykro mi. Po prostu... nie mogę.

– Niech pani opowie! Ja mówię pani – podnosi głos – to niech pani powie mnie.

Wypuszcza powietrze z płuc. Nikomu o tym nie wspominała. Nigdy.

– Pewnego razu... – zaczyna powoli – obudziłam się w nocy i zobaczyłam małą dziewczynkę. Stała w rogu pokoju. Wyglądała na osamotnioną. Chciałam podejść do niej, pocieszyć ją, więc wstałam z łóżka, a gdy szłam, uprzytomniłam sobie... – zacina się – że jest moim dzieckiem. Moją córką. I chce, żebym ją objęła. Chciałam to zrobić, bardzo chciałam. Ale gdy już byłam przy niej, odwróciła się. Weszła w ścianę. – Cała dygocze.

„Nie płacz. Do jasnej cholery, nie płacz”.

– Bała się pani?

Kiwa głową, odpowiadając na jego spojrzenie.

– Tak – potwierdza. – Bałam się.

Rowan pochyla się w jej stronę.

– Też widziałem ducha. Tamtego dnia. Michaela. Stał w kuchni swojej mamy, tuż przy niej. Widziałem go tak wyraźnie jak teraz panią.

Serce podchodzi jej do gardła, w skroniach pulsuje.

– Wskazuje palcem prosto na mnie i porusza ustami, ale go nie słyszę. Wygląda to jak na filmie, gdy nie ma napisu, a i tak wiadomo, co mówią aktorzy, bo widać dziką furię na ich twarzach. Myślę tylko o jednym: żeby się stamtąd wydostać. Chcę wyjść, ale jego mama już się domyśliła i próbuje mnie zatrzymać.

– Jak? Jak się domyśliła?

Rozkłada ręce.

– Nie wiem. Ale wymówiła jego imię. Powiedziała: „Michael”.

Evelyn słyszy przez ścianę brzęk garnków. Stłumione, przeplatające się głosy matki i dziecka.

– I nie przestaję myśleć o tym, że jedyne, co mam zrobić, to powiedzieć tej kobiecie prawdę. Bo ona jej nie zna, można się założyć. O niczym nie wie. Pani brat bez wątplenia nie napisał prawdy w liście do niej.

– Co chce pan przez to powiedzieć?

Twarz Rowana zastyga w grymasie.

– Zabiłem go – mówi. – Zabiłem. – Kołysze się w przód i w tył, przyciskając do piersi bezwładną rękę. – Zmusił mnie do tego pani brat.

Wydaje się, że czas stanął w miejscu. Dopiero po chwili z jej ust wydobywa się dźwięk, zduszony śmiech.

– To absurd. On... Ed... by tego nie zrobił.

– Skąd pani wie?

– Bo jest... dobrym człowiekiem.

– Naprawdę? Skąd ta pewność?

Evelyn mruga oczami. Kręci głową. Co ma na to powiedzieć?

„Zawsze mnie kochał. Kiedyś mnie podziwiał. Był moim sprzymierzeńcem. Sprawiał, że czułam się odważniejszą, lepszą częścią jego samego”.

„Po prostu wiem”.

Rowan podnosi głos, niemal krzyczy:

– To co pani tu robi, skoro jest pani tego taka pewna?

Evelyn zmusza się, by na niego spojrzeć.

– Przepraszam. Chyba... nie jestem.

Nie chce tego usłyszeć. Tego, co on ma do wyjawienia. Mimo to wie, że będzie musiała, że rozpętali coś, we dwoje, i już nie mogą wycofać się, dopóki to się nie dokona.

Rowan znów zapala papierosa, siedzi skulony, wyrzuca słowa w dzielącą ich przestrzeń.

– Gdy tylko zbliżyliśmy się do linii frontu, przekonałem się, że przecucie mnie nie myliło i będzie ciężko. Przeszliśmy przez Albert. Wszystkie domy były zabite deskami. Jakby przez miasto przetoczyła się zaraza. Na kościele stała przechylona figura anioła, kobieca postać trzymająca w rękach dziecko. Wyglądała jak rzeźba na dziobie tonącego statku. Kazali nam czekać pod tym kościołem godzinami. Coś się działo z Michaeliem, cały się trząśł. Usiadłem przy nim. „W porządku, bracie?”. Spojrzył na mnie. Zaczął coś mówić. Chyba próbował opowiedzieć, co się stało z nimi wszystkimi, wcześniej. Że szli tędy w drodze na front. Ale mieszało mu się w głowie, gadał od rzeczy. Ludzie nie lubili, gdy ktoś strzępił przy nich język albo gdy trząśł się ze strachu. No więc siedzimy tam, koledzy słyszą gadaninę Michaela i zaczynają wykrzykiwać: „Każ mu się zamknąć!”. Widać, że są wkurzeni. No to mówię mu: „Nie teraz. Jesteśmy w drodze. Sam wiesz. Przepraszam, ale teraz nie mogę cię słuchać. Jesteśmy w drodze”. Przycichł. Myślałem, że się otrząsnął. Rozstawili kuchnię polową i dali nam herbatę, coś zjedliśmy, wypaliliśmy po papierosie. Michael się nie odzywał. Poczekaliśmy, aż zrobiło się ciemno, i ruszyliśmy w kierunku frontu. Noc była bezksiężycowa, co nas w pewnym sensie cieszyło, bo świecący księżyc to nic dobrego.

– Dlaczego?

Rowan patrzy pogardliwie na Evelyn.

– Ponieważ widział nas nieprzyjaciel, rzecz prosta. Najgorzej było podczas pełni.

„Zawarłem więc układ z księżycem. W bezchmurne noce będzie mnie przenosił do ciebie”.

Wstrząsa nią dreszcz. „Idiotka ze mnie”. Oczywiście.

– Długo maszerowaliśmy, pewnie do drugiej, trzeciej nad ranem, aż w końcu dało się wyczuć, że jesteśmy prawie na miejscu.

– Jak to się czuło?

– Po zapachu. Pioruńsko śmierdziało. I ziemia rozmokła. Szliśmy po drewnianych pomostach. Ten, kto z nich spadł, tonął w błocie. Słyszało się rżenie koni, krzyki ludzi, którzy tam ugrzęźli i wzywali pomocy. A myśmy ich zwyczajnie mijali. Musiałeś trzymać się człowieka przed sobą i nie ustawać w marszu. Nie można było iść zbyt szybko. Gdy byliśmy już blisko, poczuliśmy ludzi, których mieliśmy zastąpić na tym odcinku frontu.

– Jak?

– Szli z naprzeciwka, przeciskali się między nami w ciemności, pośpiesznie, byle szybciej się stamtąd wydostać. Musieliśmy kucać, żeby nas nie poprzewracali. Gdy nas mijali, słychać było pytania rzucane szeptem w ciemność: „Jak tam jest?”. Każdy chciał wiedzieć, co zastanie. A oni odpowiadali: „Cichy kącik, kolego, cichy kącik”. Zawsze tak mówili. – Urywa i śmieje się krótko, oschle. – W ciemnościach nie widziało się twarzy, ale czasami Niemcy strzelali racami świetlnymi. Przypominały duże czerwone fajerwerki. Odpalali je raz na jakiś czas, żeby mieć dobry widok na nasze pozycje. Michael szedł zaraz za mną. Odwróciłem się akurat wtedy, gdy rozbłysła raca, i zobaczyłem jego twarz. Stał jak wryty, wbijając wzrok w rękę, która wystawała ze ściany okopu, tuż przed nim. Sam się o nią otarłem, ale nie spojrzałem, co to takiego.

– Jak to możliwe? Skąd ona się tam wzięła?

– Bywało tak w okopach. Jeżeli przez długi czas toczyły się ciężkie walki, żołnierze musieli ponownie się okopywać i odgrzebywali trupy. Nie mieli wyboru. Ten widok wytrąca Michała z równowagi i chłopak zaczyna jęczeć. Cicho, ale przeciągle. Jakoś tak: „Oooooo”.

Nawet tu, w tym pokoju, brzmi to strasznie. Nawet gdy siedzą tutaj, Evelyn nie chce tego słuchać.

– Wszyscy dokoła burczą, żeby się zamknął. On jednak dalej jęczy. Jakby ich nie słyszał. „Oooooo”. Kapitan Montfort przepycha się do nas od czoła, łapie go za ramiona i mówi, że jeżeli nie przestanie, poderżnie mu, kurwa, gardło, a wtedy zamknie się na zawsze. To działa. Jęki milkną. Idziemy dalej. Ale słyszę, że Michael dygocze. Tak jakby słowa wpadły mu do wewnątrz. I słyszę, jak plecak podskakuje mu na plecach. Gdy docieramy na miejsce, nasze pozycje są pod zmasowanym ostrzałem. Meldujemy przybycie. Sierżant przydziela zadania. Michael siedzi bezwładnie; sprawia wrażenie nieobecnego. Zastanawiam się, co by mu powiedzieć, jak go choć trochę uspokoić, ale nie mogę nic wymyślić. Sierżant poleca mi zanieść wiadomość do ziemianki kapitana Montforta. A on wrzeszczy na kogoś przez telefon. „Co to, kurwa...” i „Co to, kurwa...”. Dranie, którzy tam byli przed nami, odeszli w pośpiechu i nic nie zostawili. Żadnych informacji, nic a nic. Zwyczajnie uciekli. „Hind – mówi kapitan – za drugą linią okopów jest mnóstwo zabitych. Weź pięciu ludzi z łopatami i zakopcie tych biednych dupków. Weź też tego pieprzonego Harta – dorzuca. – Żeby mi się tu nie wydzierał”. A ja myślę

sobie, że przynajmniej zejdziemy na jakiś czas z pierwszej linii, może uda mi się uspokoić Michaela. Każdy czasem się boi, ale nikt nie chce mieć koło siebie jakiegoś strachajły. Bo to się udziela. Zabieram Michaela i jeszcze czterech, zostawiamy plecaki i ruszamy. Kapitan Montfort opisał miejsce, ale gdy jesteśmy niedaleko, wcale nie trzeba szukać: roi się tam od much.

Rowan zapala papierosa od poprzedniego.

– Wychodzimy z rowu, ale musimy się trzymać przy ziemi, bo choć jesteśmy za pierwszą linią, to odległość nie jest znów taka duża. Akurat tam nie było zbyt grząsko. Nie wiem dlaczego. Na grząskim terenie zwłoki zapadłyby się w błoto. A tak trzeba było je zakopać. Ostrzał nie ustawał, walili cholernie głośno, dając słowo, ale bzyczenie much wszystko zagłuszało. Ci, co tam byli ostatni, zostawili swoich kumpli, żeby zgnili pod gołym niebem.

Patrzy w dal.

– Zasłaniamy twarze chustkami i zaczynamy kopać. Kopiemy niedaleko zwłok, bo jest ciemno, a teren niebezpieczny, więc lepiej nie odchodzić za daleko. Właściwie musieliśmy pogrzebać ich tam, gdzie leżeli. Było nas sześciu, po dwóch przy każdym grobie. Pracuję z Michałem i wciąż go pytam, jak się czuje. Mówi, że dobrze, ale co rusz odwraca się i wymiotuje, choć nie ma w tym niczego dziwnego, bo wymiotujemy wszyscy. Od czasu do czasu wylatuje w górę raca, a wtedy musimy paść na ziemię, więc po prostu wskakujemy do wykopywanych grobów. No pięknie, psiakrew, myślę sobie. Gdyby coś nam się stało, już jesteśmy w grobach, trzeba by tylko zasypać nas ziemią. Ale co będzie z tymi biednymi dupkami, których mieliśmy pochować, gdzie się podzieją? Wcale nie mam ochoty wylądować z którymś z nich w grobie. Oglądamy ich identyfikatory, żeby napisać nazwiska na krzyżach. Zawsze tak się robi, bo wtedy jest szansa, że człowiek będzie odnaleziony, po tym wszystkim, jeśli tylko nie przeniósł się na tamten świat w strzępach. Michael stara się odczytać napis na krążku, ale on ciągle wyślizguje mu się z rąk. „Daj mi – mówię. – Zobaczymy, co tam jest...”. Pochylam się i...

Urywa.

– Spadł pocisk. Uderzył jakieś dwadzieścia jardów od nas. Gdy oprzytomniałem, dokoła nic nie było widać, pół pola miałem w nosie i ustach, wszystko poczerniało jeszcze bardziej. A ja stoję tam, pluję i staram się coś zobaczyć. Zapalam latarkę. Wszyscy są obok, wycierają piasek z oczu i ust. Michaela nie ma. Wołam go. Szukam. Nigdzie go nie ma. Są wszyscy oprócz niego. Sypię łopatą trochę ziemi na zwłoki, które miałem pochować, i wracam z kolegami do tej części rowu, gdzie jest nasza ziemianka. Ale tam też go nie ma. Więc idę do kapitana Montforta i melduję, że szeregowy Hart zniknął. „Jak to: zniknął?”, pyta. „Przepadł. Wybuchł pocisk i on przepadł”. „Dobrze wiem, że wybuchł pocisk. Zginęło dwóch kucharzy”. Słabo słyszę, dzwoni mi w uszach i to dzwonięcie zagłusza wszystko inne. „Masz krew na czole – mówi kapitan. – Lepiej

idź kawałek dalej tym rowem, żeby cię opatrzyli”. Na wpół słyszę, na wpół czytam z jego ust, tak mi szumi w głowie. Idę okopem i rozglądam się za Michaeliem, ale nigdzie go nie ma.

– Ale przecież... – odzywa się Evelyn.

– Co?

– Ale przecież mógł być też przysypany ziemią. Po wybuchu. Nikt o tym nie pomyślał, nie sprawdził?

– Wiedziałem, że tak się nie stało. – Rowan kręci głową. – Poszedłem do punktu ewakuacji rannych. Mają tam wielu rannych, tak silny był ostrzał, a ja nie potrzebuję szybkiej pomocy i wiem, że trochę to potrwa, zanim mnie opatrzą. Więc szukam Michaela, myślę sobie, że jeśli został trafiony, to mógł dowlec się tutaj. Gdy w końcu mnie oglądają, mówię im o wybuchu i pytam, czy ktoś do nich trafił. Pytają, z której jestem kompanii, no to im mówię i okazuje się, że jakiś czas temu mieli jednego z naszych, bredził od rzeczy i cały się trząsał. Położyli go na noszach, ale zniknął. „Stawił się z powrotem?”, pytają. Powiedziałem, że nie wiem. I wtedy poczułem, że jest naprawdę źle. Wracam na nasz odcinek i tam go nie znajduję. Zapada noc, a jego wciąż nie ma. Rano, podczas apelu i sprawdzania gotowości bojowej, ja po nieprzespanej nocy, nie stoi w szeregu, wszyscy patrzą na mnie, jakbym wiedział, gdzie się podział. Wzywają mnie do kapitana Montforta. Ten wrzeszczy na mnie. Wygląda tak, jakby też nie zmrużył oka. Na pewno pił. Od oficerów zawsze czuło się whisky. Nam na to nie pozwalano. Tylko porcja rumu z rana, zanim ruszymy do ataku. – W jego głosie słyszę gorycz. – Kapitan wydziera się: czy coś widziałem? Czy uznałem, że on zginął podczas ostrzału? Co sobie w ogóle pomyślałem? A ja myślę tylko o doktorze z punktu ewakuacji rannych i o tym, co mówił. Jeżeli wyda się, że to od niego usłyszałem, będę miał za swoje. Wobec tego powtarzam kapitanowi słowa doktora. A kapitan od razu idzie tam, do tego punktu. Nie ma go pół dnia.

Rowan potrząsa głową.

– Przez cały ranek tkwiliśmy w okopie. To było gorsze niż bitwa, bo człowiek nie mógł się ruszyć. Nic tylko czekał. Jak przykuty. Nie opuszczała mnie myśl, że dzieje się tu coś najgorszego na świecie, a my mamy to zobaczyć i dlatego tu jesteśmy. Z tego dołu patrzymy na coś najgorszego na świecie. No bo gdyby nikogo tam nie było, to nikt by nie uwierzył, że coś podobnego jest możliwe.

Gasi niedopałek i dodaje:

– Co nie znaczy, że ktokolwiek chciał się dowiedzieć.

– Ja chcę się dowiedzieć – mówi cicho Evelyn. – Dlatego tu jestem.

Ale on jakby jej nie słyszał.

– Nie to było najgorsze. W ostatecznym rozrachunku – stwierdza, zapalając następnego papierosa. – Kapitan Montfort wrócił po południu. Widziałem, jak mija moją ziemiankę. Akurat gdy na mnie przypadła godzina kimania. Ale nie mogłem

się przekimac. Czułem, że nic z tego nie będzie. I rzeczywiście, kapitan zaraz mnie wezwał. Szeregowy Hart jest w areszcie. Złapano go w gospodarstwie, kilka mil od linii frontu. Rozpalił ognisko i jakiś oficer z innego pułku zauważył dym, znalazł Harta i zaaresztował. Kapitan trzymał mnie dość długo. Chciał wiedzieć o Michaelu wszystko. Powiedziałem, że jest dobrym chłopakiem.

– Czy on pana wysłuchał? – pyta Evelyn. – Wysłuchał pana? – Chce, żeby brat tak się zachował; nagle staje się to dla niej ogromnie istotne.

Rowan wzrusza ramionami.

– Zadał jeszcze kilka pytań. Potem pozwolił mi odejść.

Opada plecami na poduszki kanapy.

– Widziało się żołnierzy rozpiętych na kole lawety. Nazywano to „karą dyscyplinarną pierwszego stopnia”. Wyglądali, cholera, jak ukrzyżowani, na klęczkach, z rękami na boki, przywiązani do koła i zostawieni na skraju drogi. A my mieliśmy na nich patrzeć. Draniom, którzy urządzali te przedstawienia, zależało właśnie na tym, żebyśmy przyglądali się tym chłopcom i ich zawstydzali. Ale nigdy na nich nie patrzyliśmy. Wszyscy odwracali wzrok, przechodząc obok, żeby ci biedacy mieli trochę spokoju.

Evelyn kiwa głową. „Zrobiłabym to samo. Też bym spojrzęła w drugą stronę”.

– Tamtego wieczoru, gdy zamknąłem oczy, widziałem rozciągniętego na kole Michaela. Rozumie pani, sądziłem, że to go czeka. Następnego ranka kapitan Montfort wzywa mnie znowu. Oznajmia, że Michael stanie przed sądem wojennym za dezercję. Wyrażono zgodę, by w rozprawie uczestniczył ktoś, kto się za nim ujmie. Jako tak zwany przyjaciel więźnia. Hart prosił, żebym to był ja. Pytam kapitana, kiedy odbędzie się rozprawa; mówi, że w czwartek. Pytam, jaki mamy dzień tygodnia; mówi, że wtorek.

Rowan spogląda na Evelyn i przez chwilę się nie odzywa.

– I już wiem, co się wtedy wydarzy, daję pani słowo. Wiem wszystko, od początku do końca. Jakby to było zapisane w książce, na przykład w Biblii. Jakbym mógł przerzucić kartki i zajrzeć na ostatnią stronę, przeczytać ostatnią linijkę.

Evelyn napina i rozluźnia kciuki. Boli ją kikut po straconym palcu.

– Co się wydarzyło? – pyta. – Jak przebiegła rozprawa?

Rowan wstaje, podchodzi do okna, wkłada ręce do kieszeni i patrzy przez szybę.

– Mój udział był bez znaczenia. Nawet nie pozwolono mi zobaczyć się z Michaelem. Zostałem zaprowadzony do małego pokoju i przesłuchany przez dwóch mężczyzn z czerwonymi naszywkami na mundurach. Trwało to zaledwie kilka minut. Z trudem wydobywałem z siebie słowa. Chciałem im powiedzieć, że się pomylili, że Michael był w złym stanie po tym, co widział podczas ostatnich walk. Ale ich interesowały tylko jego krzyki w trakcie przemarszu. Pani brat

powiedział im to wcześniej, więc już zaszufładowali Michaela i było po sprawie, bez względu na to, co bym im mówił. – Odwraca się, spluwa do paleniska i opiera się zdrową ręką o kominek, przykładając do niej czoło.

Evelyn przygląda mu się w świetle prawie wypalanej świecy: drobny człowiek, z tyłu koszula wystaje mu ze spodni, szelki wiszą po bokach.

– A więc nie widział się pan z nim wtedy? – pyta półgłosem Evelyn.

Zwraca głowę w jej stronę i po długim milczeniu mówi:

– Wtedy nie. A potem, gdy w końcu opuściliśmy ten odcinek, zebrali wszystkich i poinformowali nas, że szeregowy Hart został uznany za winnego i będzie rozstrzelany. A ja słyszę tylko jedno słowo na okrągło: rozstrzelany, rozstrzelany, rozstrzelany. To moja wina, wyrzucam sobie. Powinienem był go odszukać. Ściągnąć z powrotem. Zastanawiam się, czy mu powiedzieli, czy już mu powiedzieli, czy powiedzieli jego mamie. Bo sądząc po cieście, które mu przysłała, na pewno chciałyby przyjechać tu i się pożegnać. – Parska gorzkim śmiechem.

– Pozwolili im? – pyta Evelyn. – Pozwolili rodzicom pożegnać się z synem?

Prycha, nie kryjąc wzgardy.

– A jak pani przypuszcza? Myśli pani, że przywożono ich tutaj, żeby pomachali swoim chłopcom, gdy ci ruszali do boju? Myśli pani, że przywieźliby ich z takiego powodu jak ten?

„Oczywiście, że nie”. Evelyn czuje, że żółć podchodzi jej do gardła. Zapala papierosa, próbując ją powstrzymać.

Rowan kręci głową.

– Cały czas mam gonitwę myśli, a kapitan Montfort przemawia, wyczytuje nazwiska. Ledwie słyszę. Potem mówią do mnie: „Ale niefart, co?”. „Jak to?”, pytam. „Ten pluton egzekucyjny. Co za niefart, żeby strzelać do kumpla”. I wtedy do mnie dociera. Wcześniej nie usłyszałem. Pani brat wyczytał moje nazwisko.

Rowan wbija wzrok w Evelyn.

– Pani brat, ten cholerny drań, wyczytał moje nazwisko.

Cały dygocze.

Evelyn modli się, żeby to się znowu nie zaczęło. Ten napad. Nie teraz.

– Mówią mi, że jeśli chcę, mogę pójść i się z nim zobaczyć. Że być może on by tego chciał. Jakby wyświadczyli mi uprzejmość. Jakby wyświadczyli uprzejmość jemu, bo nakłonili mnie, żebym poszedł się pożegnać. „No dobra, stary. Przykra sprawa z tym rozstrzelaniem. Niefart, że wypadło na mnie. Masz jakieś ostatnie życzenie? Przekazać coś twojej mamie?”. Powiedzieli, że mam przyjść na widzenie o siódmej. Ale nie poszedłem. Woląłem iść do lasu. Siedziałem tam i się zastanawiałem. O czym on będzie myślał? Zostawiony sam sobie? Wiedziałem, że powinienem tam pójść, zobaczyć się z nim, ale nie mogłem.

Rowan staje przed Evelyn, bezdena rozpacz maluje się na jego twarzy.

– Rozumie pani, dlaczego nie mogłem pójść? Na pewno?

– Tak, rozumiem.

Obejmuje głowę rękami, plecy unoszą się raz i drugi. Gdy znów się odzywa, słowa padają szybko, jakby i on chciał to zakończyć.

– Rano prowadzą nas tam, na pustkowie, gdzie stoi słup. – Milknie na chwilę. – Zwykły pał wbity w ziemię. Ustawiają nas przed nim. Potem wyprowadzają Michaela. Ma worek na głowie, chwieje się, jakby był pijany. Może był. Ktoś mi mówił, że poją ich przedtem alkoholem, żeby nie wiedzieli, co się dzieje. Z jednej i z drugiej strony ma żołnierza, ale nie stoi na własnych nogach. Ci dwaj ciągną go po piachu. Pani brat idzie wzdłuż szeregu, żeby sprawdzić naszą gotowość. Trzymam w rękach karabin i przelatuje mi przez myśl: nie jego, ale ciebie mógłbym zastrzelić. – Patrzy na Evelyn. – Zrobiłbym to. Z ochotą. Tyle że wtedy zastrzeliliby mnie. A ja miałem już swoją Dorę i chciałem do niej wrócić. Pragnąłem jednego: wrócić do domu. – Łamie mu się głos. – Gdy przywiązują go do słupa, widzę, że się zśukał. I nie tylko. To czuć, bo stoi blisko. Powiedziano nam, że mamy być cicho. Stać tak, żeby nie wiedział o naszej obecności. Jest cholernie cicho. Dręczy mnie myśl: czy Michael wie, że tu jestem? Czy to wyczuwa? Chciałem coś mu powiedzieć, dać znać, że nie jest w tym sam. Ale nie mogłem. Zresztą byłoby to kłamstwem. Bo on był w tym sam, prawda?

Rowan zakrywa twarz dłońmi, splatając palce.

– Zaczyna coś mówić. Woła: „Mamo, mamo, mamo”.

Evelyn przykłada rękę do ust.

– A ja zaczynam się modlić. Dawniej, gdy odmawialiśmy modlitwę w szkole, zawsze tylko poruszałem ustami. Nigdy w życiu nie modliłem się tak naprawdę. Jedno zdanie krążyło mi po głowie. Odpuść nam nasze winy. „Odpuść nam nasze winy”. Modlę się i myślę: o co ty się modlisz, Rowan? Przecież nikt cię nie słucha. Więc przestaję. Pani brat podchodzi do Michaela i przyczepia mu białą chusteczkę w miejscu, gdzie jest serce. A ja mam pewien pomysł. Chybię. Nie ja go trafię. Ale wtedy słyszę z boku szeregowego Jonesa, tego cholernego drania o zimnym sercu, który pewnie dlatego został wybrany do plutonu egzekucyjnego. Mówi szeptem: „Strzelaj przed siebie, chłopcze. Dla jego dobra. Celuj w chusteczkę. Strzelaj przed siebie”. – Potrząsa głową. – I wtedy pada rozkaz. Unoszę karabin i strzelam. Michael osuwa się, głowa opada mu na piersi. Pani brat idzie do niego. Sam z trudem stawia stopy w linii prostej. Jeżeli Michael żyje, on musi go dobić, rozumie pani. Zdejmuje mu worek z głowy.

Rowan wbija wzrok w przestrzeń. Po chwili się wzdryga.

– Nie mogę na to patrzeć. Nie słyszać strzału. To znaczy, że Michael nie żyje. Odchodzimy. I potem zaczynam się trząść. Cały dygoczę, nie mogę przestać. I nie czuję ręki. Tej, którą strzeliłem. Od tego czasu stała się niesprawna i już nie odzyskałem w niej władzy.

Zdejmuje temblak, ręka zwisa z boku, pomarszczona i do niczego niezdatna.

Uderza w nią. Wali mocno. Raz po raz.

* * *

Ada starannie lepi kluski, nucąc pod nosem urywki piosenki, którą kiedyś bardzo lubiła śpiewać. Podnosi pokrywkę garnka. Mięso już od paru godzin parkocze w sosie połyskującym intensywnie brązową barwą. Dusi dobry kawałek wołowiny razem z ostatnimi marchewkami z działki i dynią, którą Jack dał jej w niedzielę. Z przyjemnością kroić ją w plastry, patrząc, jak spod pomarańczowej skóry wyłania się jeszcze jaskrawszy miąższ. Jedną po drugiej wkłada kluski do sosu i gdy wypływają na powierzchnię, przykrywa garnek i strzepuje mąkę z rąk. Ma wrażenie, że porusza się z łatwością. Czuje się lżejsza, jakby była mniej i zarazem bardziej sobą.

Dotyka włosów i palcami skręca pasma. Jakiś czas temu zagrzała wodę, umyła włosy i ułożyła, gdy były jeszcze wilgotne. Wieczorem, gdy je rozpuści, będą opadały falami. Jack uwielbiał kiedyś taką fryzurę. Bardzo lubił, gdy włosy spływały jej falami na plecy. Zapala świecę i stawia na stole. Kupiła również kilka butelek piwa. Otwiera piwo i nalewa do szklanki, żeby uprzyjemnić sobie czekanie.

* * *

W otwartym oknie stoi cała rodzina: ojciec, matka, córka i dwóch małych synów. Matka patrzy, jak światło pada na ogród w dole, wydobywa z mroku wiąz na końcu trawnika i huśtawkę, którą uwielbiają jej dzieci. Za nim biegną szyny kolejowe. Kobieta dorastała w tej wiosce, w domu za rogiem, gdzie nadal mieszkają jej rodzice.

W czasie wojny, gdy była w ogrodzie z małą córeczką, widziała jadące w stronę wybrzeża pociągi z wojskiem. To było takie ekscytujące, początkowo, więc przerywała swoje zajęcia – wieszanie prania czy zabawę z dzieckiem – stała w tym ukwieconym ogrodzie i machała ręką. Ci chłopcy to uwielbiali; wymachiwali rękami w odpowiedzi, krzyczeli, posyłali całusy, mieli zadowolone i pełne nadziei twarze. Jeżeli pociąg się zatrzymywał, podnosiła wysoko córkę, która dawała żołnierzom stokrotki i mleczkę, a oni wkładali je sobie za uszy.

Pociągi jechały również w odwrotnym kierunku: pociągi sanitarne, załadowane chorymi i rannymi, zmierzające do londyńskich szpitali. Jeżeli podczas przejazdu takiego pociągu była z córką w ogrodzie, zabierała ją do domu. Czuła się wtedy okropnie, ale wołała nie myśleć o rannych i konających, którzy tysiącami przejeżdżali tak blisko jej domu.

Dwudziestu siedmiu mężczyzn z wioski straciło życie. Postawiono im pomnik przed kościołem. Dwadzieścia siedem nazwisk wyrytych w kamieniu.

Jej mąż wrócił do domu cały. Do tego czasu nigdy nie myślała, że ma jakieś wyjątkowe szczęście w życiu. Teraz wie, że jest wybranką losu. Nie da się temu

zaprzeczyć. W niedzielę, w kościele, czuje na sobie spojrzenia sąsiadów. Dlaczego ona? Dlaczego on? Co w nich było takiego szczególnego?

Kobieta sztywnieje. Wyczuwa zbliżanie się pociągu, zanim go usłyszy. Potem ciche trzaski na drutach. Stuk-puk, stuk-puk, stuk-puk.

– Jedzie – szepcze do siebie.

Córka bierze ją za rękę. Obaj synowie łapią za spódnicę. Mąż staje z tyłu.

I nagle już jest, w kłębach pary, wśród łoskotu kół. Dwa zwyczajne wagony i między nimi jeden inny, z dachem pomalowanym na biało. Ledwie zdążą zobaczyć w środku trumnę, obite fioletem ściany wagonu, ogromne wieńce oparte z przodu i z tyłu, a już pociąg przejechał.

Kobieta oddycha głęboko, wsuwa się między swoją rodzinę, w mocne ramiona męża, swoje szczęście.

* * *

Dopiero ponad półtorej godziny później Ada słyszy stuk furtki od strony ogrodu i kroki Jacka na ścieżce. Wstaje, wygładza spódnicę i poprawia włosy. Drzwi się otwierają i on już jest, jej mąż, pachnący pubem, dymem i zimnym powietrzem, jego zwalista sylwetka wypełnia futrynę. Ada ma wrażenie, jakby widziała go po raz pierwszy w życiu. I czuje ucisk w gardle.

Jack zamyka za sobą drzwi, zdejmuje czapkę i wsadza ją do kieszeni kurtki.

– Co się dzieje? – pyta, rozglądając się wokoło.

– Czekałam na ciebie. – Brzmi to głupio, dziecinnie. – Z jedzeniem – dodaje i chcąc pokryć zmieszanie, podchodzi do kuchenki. – Zrobiłam duszone mięso.

– Duszone mięso? – Siada przy stole i wodzi podejrzliwie wzrokiem, jak gdyby zwęszył zagrożenie.

– Z kluskami. – Stara się mówić lekkim, beztroskim tonem. Piwo szumi jej w głowie; rzadko pije alkohol. – Jesteś głodny?

– Tak.

Nakłada jedzenie na talerze, podaje Jackowi i siada przy stole.

– Co to wszystko znaczy? – pyta Jack.

– Niby co? – Ada nalewa mu piwa do szklanki.

– To. – Zatacza łuk ręką. – Po co to? I jeszcze ty. Coś ze sobą zrobiłaś.

– Naprawdę?

Jack mruży oczy.

– Coś jest inaczej. Twoje włosy.

– Och... tylko je ułożyłam. – Czuje, że zaczynają palić ją policzki.

Jack nabiera jedzenia na łyżkę, wpatrując się w Adę.

– A po co?

– Po prostu... miałam ochotę na zmianę.

Jack kiwa głową. Pierwsze kęsy je powoli, ale po chwili rozsmakowuje się

i pochłania łyżkę za łyżką, nie odzywając się, dopóki nie skończy.

– Dobrze – stwierdza, wycierając usta. – Jest jeszcze?

Ada wstaje i nakłada mu drugą porcję. Jack obserwuje ją, gdy idzie w jego stronę. Sama nie zjadła prawie nic.

– Coś się dzieje – mówi Jack. – Widzę to.

– Po prostu... chciałam coś ugotować. Na naszą rocznicę. Żeby ją uczcić.

– Rocznicą była w poniedziałek.

– Wiem. Ale... dzisiaj przechodziłam koło rzeźnika. I pomyślałam, że kupię kawałek mięsa. Zrobię coś smacznego.

– Sądziłem, że zapomniałaś. – Na jego twarzy widać zadowolenie.

– Nie zapomniałam. – Kręci głową i siada na swoim miejscu.

„Niech pani popatrzy na swojego męża”.

„Chce, żeby go dostrzec”.

Ada obserwuje męża przy posiłku, szeroką dłoń, w której trzyma łyżkę, ciemne włoski na palcach.

Nagle uprzytamnia sobie, że chciałaby go pocałować. Pocałować kciukiem jego palców. Mogłaby to zrobić, gdy będzie unosił łyżkę. Nic trudnego. Siedzą blisko siebie. Na tę myśl uśmiecha się i rumieni. Jack podnosi wzrok i widzi jej spojrzenie.

– Co takiego?

Ada kręci głową. Ale on chyba wyczuwa, o czym ona myśli, bo zmienia się atmosfera między nimi. Coś zaiskrzyło. Ada widzi, że w odpowiedzi jego policzki nabierają koloru. Że nasuwa mu się inne pytanie. Jack kończy jeść, kładzie łyżkę z boku talerza. Milczy. Po chwili odzywa się niskim głosem:

– Ładnie wyglądasz.

– Dziękuję.

Ich spojrzenia się spotykają. Jack patrzy na nią jak na zwierzę. Ada czuje, że odzywa w niej dawna siła. Siedzą tak przez chwilę i wreszcie Jack mówi:

– Chodź tutaj.

Ada wstaje i podchodzi do niego.

Jack bierze ją za rękę i pociera kciukiem jej nadgarstek.

– Co dzisiaj robiłaś? – pyta, wolno wymawiając słowa. – Oprócz obiadu.

– Byłam...

– Słucham?

Ada milczy.

– No, mów.

Wciąż wodzi delikatnie kciukiem po jej nadgarstku. Ada ma wrażenie, że roztapia się pod wpływem jego dotyku. Opiera się tyłem o stół.

– Rozmawiałam... z Ivy.

– I co?

– Chce, żebym poszła z nią jutro do opactwa.
– Zobaczyć pogrzeb? – Lekko naciska na miejsce, gdzie bije puls, a Ada ma wrażenie, jakby ją odpychał. – I co jej powiedziałaś?
– Ja tylko... – W tej samej chwili uprzytamnia sobie, że źle by postąpiła, nie mówiąc mu o tym, nie dzieląc się z nim, chwyta go więc za rękę i wyrzuca z siebie:
– Poszłam spotkać się z pewną kobietą, Jack, w ciągu dnia.

– Z jaką kobietą?

– Ivy była u niej podczas wojny.

– Aha?

– Ona... – śmieje się pod nosem – podobno rozmawia ze zmarłymi.

Atmosfera między nimi znów się zmienia; jest spokojniej, ale to nie jest przyjemny spokój. Raczej spokój przed burzą. Ada czuje, że jego dłoń się rozluźnia, odrywa, cofa. Jack puszcza jej rękę.

– Mieszka w Walthamstow. W całkiem zwyczajnym domu. Nigdy byś nie pomyślał...

– Że co?

– Że... ktoś taki tam mieszka.

Jack milczy, kładzie ręce na kolanach.

– Wszystko w porządku? – pyta cicho Ada.

– Mów dalej. Poszłaś do tej kobiety. Co się potem działo?

Robi jej się trochę mdło. Co tam się potem działo? Nie pamięta. Poca jej się dłonie.

– Wzięłam ze sobą zdjęcie.

– Zdjęcie? Jakie zdjęcie?

– Michaela. Wzięłam zdjęcie Michaela, żeby jej pokazać.

– Wzięłaś zdjęcie Michaela?!

– Tak.

– I co ci powiedziała?

– Żebym na nie więcej nie patrzyła.

– Dlaczego?

– Bo to mi nie służy.

Gdy dostrzega pogardę na twarzy męża, uczucie, które w sobie nosiła przez całe popołudnie, wędnie, zwija się i zamiera jak roślina na mrozie.

– Coś ze mnie opadło – mówi coraz słabszym głosem. – Stałam się lżejsza. – Wie, że brzmi to głupio, absurdalnie.

Znowu zapada cisza. Wyplatane krzesło trzeszczy, gdy Jack odchyła się do tyłu.

– Ile jej zapłaciłaś?

– Ja...

– No, powiedz. Ile?

– Dziesięć szylingów.

Jack kręci głową i wstaje.

– Jesteś stuknięta – stwierdza. Podchodzi do niej i przez chwilę wydaje się, że ją uderzy, ale tylko przyciska czubek palca do jej czoła. – Od lat jesteś stuknięta. Żyjesz ze zmarłymi, do cholery. Jakbyś sama już była na tamtym świecie. Uważasz, że jesteś żoną? Prawdziwą żoną?

Ada otwiera usta i zaraz je zamyka.

– Naprawdę tak uważasz?!!

– Chciałam... ja tylko... chciałam...

Jack odejmuje palec, ale w miejscu, gdzie jej dotykał, Ada wciąż czuje pieczenie. A on chwyta czapkę i naciąga na głowę.

– Nie jesteś prawdziwą żoną – mówi. – Jesteś duchem. Niczym innym jak tylko pieprzonym duchem.

* * *

Victoria Station. Matka stoi przy barierkach, przy niej jej mały syn. Jest tu od ósmej rano; uparła się, że musi mieć dobry widok. I ma. Widzi pusty peron, na który wjedzie pociąg: peron ósmy opodal Buckingham Palace Road.

Gdy tylko przeczytała wiadomość w gazetach, postanowiła przyjść tutaj, przyprowadzić syna, żeby zobaczył swojego ojca. Chłopiec ma prawie cztery lata, wygląda zupełnie jak on. Takie same niebieskie oczy, takie same gęste brwi.

Poznali się, gdy miała piętnaście lat. Dwa lata później wzięli ślub. Upłynęły dwa miesiące i wyjechał. Był we Francji, gdy urodził się ich syn. Poszła do fotografa i poprosiła o zrobienie zdjęcia, jak trzyma zwrócone do obiektywu dziecko. Wie, że miał tę fotografię przy sobie, gdy zginął; wróciła do niej razem z jego rzeczami. Przyniósł je listonosz; w paczce był zakrwawiony mundur, a w wewnętrznej kieszeni kurtki plik listów od niej oraz jej zdjęcie z ich synem. Ogarnęło ją przerażenie, nie wierzyła własnym oczom; wystawiła dziecko do ogrodu i zamknęła drzwi na klucz. Spłukała plamy krwi z munduru, ale nie wyprała go zbyt starannie. Chciała, żeby zachował się zapach jej męża. Potem zawiesiła mundur na manekinie krawieckim.

Stoi przy łóżku.

Podczas długiego czekania trudno było nieustannie zabawiać dziecko. Grali w najrozmaitsze gry. Opowiedziała mu wszystko o ojcu, różne historyjki, jakie tylko przyszły jej do głowy. Gdy chłopiec chciał zrobić siusiu, przesadzała go przez barierkę, żeby załatwił się na peronie. Patrzono na nią ze zdziwieniem, ale nie zamierzała stracić swojego miejsca. Potem, z upływem dnia, wszyscy tak robili, wielu mężczyzn. Nawet jakaś kobieta przykucnęła na ziemi, a spódnica wydeła się wokół niej, upodabiając ją do dziwnego stwora morskiego.

Matka dostrzega poruszenie wśród otaczających ją ludzi: zbliża się pociąg –

nadeszła pora. Bierze syna na ręce, a on ją obejmuje.

– Tatuś już jedzie – szepcze mu do ucha, w szyję. – Zaraz tu będzie.

– Gdzie? Gdzie? – Młec rozgląda się na wszystkie strony.

– Cii. – Matka głaszcze syna po głowie. – Jest w pociągu.

Pociąg nadjeżdża, wśród tłumu rozlega się jęk, ludzie przepychają się, napierają od tyłu. Kobieta jest przyciśnięta do barierki. Słysząc krzyk:

– Nie pchać się! Tu są dzieci. Nie pchać się!

Obejmuje mocniej syna. Napór tłumu narasta. Za barierkami chodzą tam i z powrotem funkcjonariusze, w pośpiechu, nerwowym krokiem. Gdy wjeżdża pociąg, barierki przewracają się i chmara ludzi wylega na peron. W pierwszej chwili kobieta nic nie widzi w kłębach dymu i pary, które wzbijają się wysoko pod dach dworca, potem dym rzednie i wyłania się wagon. W środku pali się światło elektryczne. Kilku młodych mężczyzn usiłuje wejść na dach wagonu, powstaje zamęt, wokoło szlochają kobiety, głośno, niepohamowanie.

– Tam jest twój ojciec. – Kobieta wskazuje wagon. – Tam.

– Tatusiu! – krzyczy chłopiec. – Tatusiu? – Wyślizguje się z objęć matki i pędzi przed siebie.

Młodzi mężczyźni wciąż wylewają się na peron. Policjanci biegają między nimi, krzykiem zmuszając ich, żeby się cofnęli. Kobieta widzi oczami wyobraźni, jak biegnący tratuja jej syna. Rzuca się za nim, ale powstrzymuje ją potężny policjant.

Woła swoje dziecko. Widzi je w odległości może dziesięciu kroków, jak szalone rozgląda się na boki. Wtedy policjant staje, pochyla się, chwytając zdezorientowanego chłopca za rękę i prowadzi do matki. Kobieta podnosi syna i bierze go w ramiona. Szłocha, wtulona w jego szyję, ściskając go ze wszystkich sił.

* * *

Zdaje się, że w ogóle nie ma tu latarni, widać tylko zarysy niskich, przygarbionych budynków, i dopiero u stóp wzgórza mającą rozproszone żółte światła. Evelyn nie pamięta, którądy tu przyszła. Idzie kawałek do przodu i przypomina sobie, że w dole wzgórza są doki.

Zamiast stóp ma pozbawione czucia klocki. Przez cały czas, gdy była u Rowana, gdy opowiadał swoją historię, nie paliło się w kominku. Nie wie, ile godzin tam spędziła, może dwie, a może sześć.

Mija kawiarnię robotników, widzi stolik w rogu, przy którym siedziała i jadła kanapkę, jej krzesło jest porządnie ustawione na blacie. Zbliży się do sklepików na dole, teraz opustoszałych, wszystkie stragany są zamknięte na kłódkę, a na ławkach nie ma już przygnębionych mężczyzn. Evelyn idzie dalej, na przystanek. Omnibusu ani śladu, w oddali migocze pojedyncza latarnia gazowa,

reszta ulicy jest ciemna.

Przelatuje jej przez myśl, że być może ugrzęzła w Poplar na całą noc. Niewątpliwie zamarzłaby na śmierć, gdyby tu została. Czy wróciłaby do Rowana, prosząc, żeby ją przenocował? Kręci głową. Wszystko jest jakieś niemrawe: bieg jej myśli i krążenie krwi. Oczywiście, że nie zamarznie. W ostateczności pójdzie do domu pieszo, a przynajmniej dojdzie gdzieś, gdzie znajdzie omnibus albo taksówkę. Chyba nie jest stąd aż tak daleko do Primrose Hill; nie więcej niż pięć, sześć mil?

W jej stronę ktoś idzie. Jakiś mężczyzna, skulony z zimna. Evelyn przywiera do ściany budynku, nie wiedząc, czy ten człowiek ją zauważył. Za chwilę przejdzie obok niej. Przypominają jej się słowa Rowana i niemal słyszy, jak żołnierze szepczą jeden do drugiego w nieprzyjazną noc. „Cichy kącik, kolego, cichy kącik”.

Mężczyzna mija ją w milczeniu.

Evelyn próbuje zapalić papierosa, ale tak się trzęsie, że nie daje rady. Jak długo już dygocze? Kiedy to się zaczęło? Gdy wyszła od Rowana? A może wcześniej? Gdy go słuchała? Tego nie wie. Na lewo, po drugiej stronie ulicy, wznoszą się magazyny, wysokie budynki z mnóstwem okien. Na ulicy panuje cisza, ale nie oznacza ona spokoju; to cisza właściwa ciężkim rzeczom, dźwigom i okrętom, zastygłym i czekającym, aż zostaną wprowadzone w ruch.

Przed wyjściem zapytała, gdzie jest grób tego chłopca.

„Pochowali go na miejscu. Gdy tylko nadarzyła się okazja, wróciłem tam. Znalazłem drogę. Była niedziela rano. Odszukałem grób. Pochowali go w rogu. Wiedziałem, że to jego grób, bo ziemia była świeższa niż dokoła”.

„Nie postawili krzyża?”

„Nie. Ale wszędzie wokół ciągnęły się pola. Wciąż były tam normalne pola, nie tak jak na terenach przy froncie. Poszedłem tam, na zwyczajne pole porośnięte trawą i kwiatami, jak należy. Zerwałem pęk kwiatów. Niebieskich. Nie wiedziałem, jak się nazywają. I mu zaniósłem. Ale wie pani, co było dziwne? Gdy wróciłem do domu, okazało się, że takie same rosną w moim ogrodzie. Żona je wyhodowała. Powiedziała, że nazywają się *borage*. Do rymu z *courage*[8]. Wysiała je dla mnie, żeby starczyło mi sił. Żeby wrócić do domu. No i co pani myśli o tym?

Courage.

Nie wiedziała, co o tym myśleć.

Stojąc tu teraz, w zimnie, na tej ulicy, Evelyn coś sobie uzmysławia. Że czekała właśnie na takie spotkanie: na to, żeby ktoś opowiedział jej swoją prawdę. Po czterech latach wojny i jeszcze dwóch od demobilizacji stało się to, o co dzień w dzień zabiegała i czego pragnęła. Poznać prawdę drugiego człowieka. Nie radości, męstwa, gniew czy kłamstwa. Przez cztery lata wojny i następne dwa nikt – ani Fraser, ani jej brat – nie opowiedział jej swojej prawdy.

Usłyszawszy ją, wie jednak, że gdzieś w tym mieście, w domu przy górnym

biegu rzeki, jest jej brat, człowiek, który rozkazał Rowanowi strzelić do przyjaciela. A teraz, gdy ta prawda do niej dotarła, stała się jej częścią, okazuje się, że wcale nie jest diamentowo twarda i lśniąca, jak prawda być powinna, lecz pada na nią cień, okalają ją strach, pot, brud i mrok. Nie ma w niej niczego uwznioślającego, nie ma odpowiedzi ani nadziei.

5 *Poplar* (ang.) – topola.

6 „Ukołysz swoje maleństwo przy muzyce dixielandowej” – popularna piosenka z 1918 roku, później przebój wielu słynnych wykonawców.

7 „Ukołysz swoje maleństwo przy muzyce dixielandowej, zanuć piosenkę z samego serca Południa”.

8 *Borage* (ang.) – ogórecznik lekarski; *courage* (ang.) – odwaga.

Dzień piąty

Czwartek, 11 listopada 1920

Jacka nie ma przy niej, gdy się budzi; Ada to wie, nie otwierając oczu, i gdy siada na łóżku, nawet w mroku zauważa, że koc po jego stronie leży równo. Zeszłego wieczoru długo starała się nie zasnąć; oczami wyobraźni widziała męża, który siedzi w pubie, pije bez opamiętania, zwija papierosy i opowiada o niej innym ludziom.

„Moja żona”.

„Ta cholerna baba, całkiem stuknięta”.

Albo coś jeszcze gorszego.

Puste miejsce obok napawa ją lekkim strachem. Jack nigdy, przez tyle lat małżeństwa, nie spędził nocy poza domem.

A dokąd poszedł, gdy zamknięto puby? Gdzieś musiał przenocować. Nasuwa jej się myśl, która poraża ją jak prąd elektryczny. A jeśli z kimś był? Z kobietą? Z kobietą, która dała mu to, czego ona nie dała, nie chciała dać, zapomniała? Przypomina sobie, jak patrzył na nią zeszłego wieczoru, z pogardą na wykrzywionej twarzy. „Nie jesteś prawdziwą żoną. Jesteś duchem. Niczym innym jak tylko pieprzonym duchem”.

Wie, że mężczyzna może znaleźć sobie kobietę w różny sposób. Bez trudu. Wystarczy, że się rozejrzy. Ile by to kosztowało? Mniej niż dziesięć szylingów, które ona wydała? Te jej dziesięć szylingów, żeby porozumieć się ze zmarłym?

A przecież była gotowa, zeszłego wieczoru.

Za późno; była gotowa za późno.

Odrzuca na bok pościel i wstaje. Podchodzi do okna i rozchyła zasłony, wpatrując się w ciemną ulicę. Większość okien jest wciąż zasłonięta; choć niebo po lewej stronie zaczyna się lekko rozjaśniać, do świtu jeszcze daleko. Tylko w oknie Ivy, po drugiej stronie ulicy, pali się słabe światło. Zasłony są rozsunięte i Ada widzi, jak Ivy chodzi po sypialni. Ze swojego okna widzi ją pod kątem, jedynie połowę twarzy, odwróconą głowę. Grubą ręką, wygiętą do tyłu, Ivy zapina gorset. Gdy już go zawiązała, bierze coś ze stolika nocnego i wkłada do ust. Sztuczną szczękę. Ada staje bliżej okna, gdy Ivy znika jej z oczu. Choć nie wypada tak się jej przyglądać, zwłaszcza że Ivy o tym nie wie i nie może się zasłonić, Ada nadal stoi przy oknie, chcąc, by przyjaciółka ponownie się pokazała.

Kiedy znów ją widać, porusza się sztywno, ubrana w czerń, w suknię z wysokim kołnierzykiem, staroświecką, z innej epoki.

Ada doskonale wie, jak się w niej chodzi, jaka jest ciężka, jak pachnie. Ma podobną, schowaną w skrzyni przy nogach łóżka; ostatni raz włożyła ją po śmierci swojej matki przed dwudziestu laty.

Ivy rozpuszcza włosy i zaczyna szcztokować długie siwe pasma, potem zwija je i upina. Wygląda blado, staro i ociężale, ale Ada, stojąc tak przy oknie, widzi młodą kobietę z dawnych czasów, roześmianą, ciężarną, z nowo narodzonym synem w ramionach, z córeczkami czepiającymi się jej spódnicy.

Uczesana podchodzi do okna i patrzy w niebo, jakby sprawdzała, co pogoda ma w zanadrzu. Ten obraz – czarna suknia, siwe włosy, wyprostowana sylwetka, żałobny strój po stracie syna – ma w sobie tyle spokoju, jest tak zniewalający, że włoski stają Adzie na karku.

I wtedy Ada się odwraca, w pośpiechu, zapala lampę parafinową przy łóżku. Niesie ją do okna i daje sygnał w ciemność. Widzi, że Ivy wzdryga się, wyteżę wzrok. Kobiety patrzą jedna na drugą. Ada przysuwa lampę do twarzy i mówi bezgłośnie: „Poczekaj. Poczekaj na mnie”.

* * *

Strzępy mgły snują się po ulicach, gdy Evelyn wychodzi z mieszkania, ale już widzi, jak rozrywają się chmury, odsłaniając niebieskie niebo, i czuje niespodziewaną obecność słońca. Kieruje się na południe, w stronę domu swojego brata. Jest przekonana, że jeszcze nie wyszedł; wstała wcześniej, żeby go na pewno zastać.

Mimo rannej pory ulice wypełniają się ubranymi na czarno ludźmi, którzy zmierzają do śródmieścia. Chcą zająć dobre miejsca podczas uroczystości, przypuszcza Evelyn. Niech im się uda, jej na tym nie zależy. Choć wokoło dominuje czerń, atmosfera w mieście się oczyściła. Czuć jakby powiew nadziei. Alejki w Regent's Parku wyglądają jak splukane wodą. Gdy Evelyn zbliża się do rzędu szeregowych domów, gdzie mieszka jej brat, budynki wyglądają uroczo w porannym świetle, które odbijając się od kremowych stiuków, nadaje im łagodny złoty odcień. Jedzie starą grzechoczącą windą na piąte piętro, a tam wita ją w drzwiach Jackson, służący brata.

– Dzień dobry, panno Evelyn. – Jest zaskoczony jej obecnością. – Przyszła pani do kapitana Montforta?

– Tak.

– Właśnie się ubiera.

Evelyn mija go i idzie w głąb ciemnego przedpokoju.

– Aha. W takim razie zaczekam tutaj.

Zanim Jackson zdąży otworzyć jej drzwi salonu, robi to sama i wchodzi do środka. Kotary są już rozsunięte; duże pomieszczenie jest zalane jaskrawym światłem. Nie wiedzieć czemu, ogarnia ją gniew na myśl, że brat już wstał. Czuje

się tak, jakby ją prześcignął, w czymś drobnym, ale znaczącym, jak to było w dzieciństwie, gdy pokonywał ją w grach, a ona nie mogła ścierpieć porażki. W pokoju panuje jednak nieład: dywan jest zwinięty pod ścianę, stolik odsunięty na bok; można by sądzić, że ktoś zamierza zamieść podłogę. Drzwi do sypialni są zamknięte.

– Ed? – woła.

– Eves? Zaraz przyjdę. Daj mi minutę.

Okraża stolik. Nigdy nie lubiła tego mieszkania. Kiedyś należało do ich ojca, który zatrzymywał się tu podczas pobytu w mieście. Odwiedzali go, gdy niania zabierała małego Eda i ją na wycieczkę do zoo. Wprowadzano ich do salonu i stali na środku, pozostawieni sami sobie, niania trzymała się z boku, i czekali, aż ojciec wyda opinię na temat ich wzrostu albo pogody, tak jakby byli dziećmi jakichś dalekich krewnych, którymi niewiele się przejmował. W tamtych czasach blat stolika znajdował się na wysokości jej talii. Mieszkaniem dysponuje teraz Ed, od lat, a ściślej od połowy wojny, gdy ojciec odszedł na emeryturę.

Drzwi sypialni się otwierają i staje w nich Ed; ma świeżo wypomadowane włosy i stateczny czarny garnitur, do którego zawiązuje czarny krawat. Na piersi wiszą dwa ordery, każdy z trzema paskami.

– Dzień dobry, Eves. – Idzie ku niej przez pokój. – Cieszę się, że postanowiłaś się wybrać.

Ma zmęczoną twarz, jak zawsze, wyraźniejsze i bardziej sine cienie pod oczami. Gdy ją całuje na powitanie, czuć od niego zapach alkoholu i pasty do zębów. Odsuwając się od brata, Evelyn zauważa ze zdziwieniem, że on ciągle zalatuje alkoholem, od lat, ale nigdy nie widziała go pijanego.

Zirytowana, kręci głową.

– Nie wybieram się.

– O? – Ed ściąga węzeł krawata. – Czemu to?

– Nie mogę sobie wyobrazić nic gorszego.

– Naprawdę?

– Zdecydowanie.

Krawat jest zawiązany i Ed unosi ręce. Trochę mu się trzęsą, zauważa Evelyn.

– Przykro to słyszeć. Ale nie pakujmy się w to, dobrze? Nie dzisiaj.

– O co ci chodzi?

– Przyjmujesz skrajną postawę.

– To wszystko budzi we mnie odrazę.

– Użyłaś mocnego słowa.

Już się w to wpakowali.

– Czyżby? Teraz ma być już dobrze, tak? Bo urządzamy pogrzeb? Wywlekamy zwłoki z ziemi gdzieś we Francji i ściągamy je tutaj? A potem

wszyscy schodzimy się, przyglądamy i zalewamy łzami? Oklaskując widowisko?

– Daj spokój, Eves. – Wzdycha. – Wiesz co? Może zrobiłabyś nam drinka?

– A co chcesz?

– Whisky będzie w sam raz.

Zastanawia się, czy nie napomknąć o porze dnia, ale zważywszy na alkoholowy oddech Eda, byłoby to zupełnie zbędne, a poza tym sama niewiele spała. Whisky nie jest takim złym pomysłem. Evelyn podchodzi do barku i nalewa dwie szczodre miarki, podaje szklankę Edowi, po czym staje w otwartym oknie i zapala papierosa. W dole, ulicą, która okrąża park, płynie nieustanny potok ludzi, z prawej strony na lewą. Upija mały łyk. Nad dachami domów szeregowych po drugiej stronie słońce wypala chmury. Ludzie przemierzają się w rozbłysłym nagle, jaskrawym świetle. Kilka osób przystaje i unosi twarze ku słońcu. Evelyn patrzy na zegarek. Ósma trzydzieści. Zaciąga się płytko papierosem.

– Byłam wczoraj u Rowana Hinda. Człowieka, którego, jak się zarzekałeś, nie pamiętasz. – Odwraca się przodem do brata. – Mieszka w Poplar. Zdajesz sobie sprawę, gdzie to jest?

Zauważa, że spojrzenie Eda wędruje w stronę zegara na stole nieopodal. To ją złości.

– Zdążysz.

– O wpół do dziesiątej spotykam się z ojcem.

– I tak zdążysz.

– Będą tłumy... – Zaciska zęby i na jego szczęce widać skurcz mięśnia. – No dobrze. Mów dalej.

– Odwiedziłam go wczoraj. W jego domu.

Ed kiwa głową.

– Opowiedział mi coś, co, jak sędzę, chciał opowiedzieć komuś od dawna.

– A mianowicie?

– O pewnym szeregowym, który nazywał się Michael Hart.

Edowi drży powieka.

– I został rozstrzelany przez pluton egzekucyjny w roku tysiąc dziewięćset siedemnastym.

Ed pociąga łyk ze szklanki. Jego twarz przybiera dziwny wyraz, zupełnie nieczytelny, który znika tak szybko, że Evelyn nawet nie zdąży się zastanowić, co oznacza. Brat trzyma whisky w ustach i dopiero po chwili przełyka.

– Tak. Rzeczywiście – odzywa się.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Że pamiętam. Byłem przy tym.

Nie mówi nic więcej, tylko stoi nieruchomo, nogi ma lekko rozstawione, szklankę przy piersi, ciało nagle wyprężone w postawie żołnierskiej, która jest dla Evelyn całkowitym zaskoczeniem.

– I nie zamierzasz nic dodać?

– A niby co, Evelyn? – Rozkłada ręce. – To żadna tajemnica. Wszystko jest w aktach wojskowych, do których każdy ma wgląd. Może ty mi wyjaśnisz, o co tu właściwie chodzi?

Evelyn przełyka ślinę.

– On mi powiedział, że wysłałeś szeregowego Harta w grupie, która miała grzebać poległych.

– Ach tak? – Na jego szczęście znowu widać skurcz mięśnia. – Cóż, przykro mi, ale naprawdę nie przypominam sobie.

– Rowan mówił, że Hart był w okropnym stanie. Że przedtem jego kompania została zdziesiątkowana.

– Rowan? – powtarza z niedowierzaniem Ed. – Już jesteś z nim w takiej komitywie?

Evelyn zgina kciuki do środka dłoni tak mocno, że strzelają stawy.

– Tego się dowiedziałeś od szeregowego Hinda?

– Tak.

– Nie ma zatem wątpliwości, że twoje informacje pochodzą z pewnego źródła. – Uśmiecha się do niej cierpko. – Brawo, Evelyn. Znalazłaś tego żołnierzyka w Poplar, skonstruowałaś całą opowieść i w swoim mózgu dokonałaś oceny. Ja zaś wolę zająć się innymi sprawami, niż przeznaczać swój cenny czas na to, by modyfikować tę historyjkę. – Odwraca się i wchodzi do sypialni, zatrzymując się przy drzwiach.

Evelyn patrzy za nim nieruchomym wzrokiem i po chwili kopie w stojący przed nią stół. Z bólu łzy cisną jej się do oczu. Robi kilka kroków i puka do drzwi. Po paru sekundach Ed wychodzi z sypialni. Wygląda tak, jakby ledwie nad sobą panował.

– Wolalbym, żebyś już poszła, Evelyn. Robi się późno, muszę wyjść.

– Dlaczego nie napisałeś do jego matki?

– Że co?!

– Dlaczego nie napisałeś do jego matki? Matki Michaela Harta, Ady. Ma na imię Ada. Wiedziałaś? Dlaczego jej nie powiadomiono?

– Najprawdopodobniej poinformowałem jego matkę, że jej syn zmarł z odniesionych ran. Co było prawdą. – Mija ją i podchodzi do barku.

– Jak ty możesz ze sobą żyć? – mówi pod nosem Evelyn.

– Słucham? – odzywa się cicho Ed, biorąc do ręki karafkę.

– Jak ty możesz ze sobą żyć?! – powtarza podniesionym głosem. – Jak możesz przypinać sobie te ordery i paradować jak ten głupek, skoro masz krew na rękach?

– Ty pieprzona suko! – Rzuca karafką o ścianę. Szkło rozpryskuje się na tysiąc drobnych odłamków i pojawia się plama, okropna ciemna plama na ścianie.

Ed odwraca się do Evelyn, zaciskając pięści. – Nie jestem jakimś wrzodem! Nie jestem pieprzonym wrzodem, który możesz sobie rozdrapywać, Evelyn! – Cały dygocze. – Wiesz, na czym polega twój problem?

– No, na czym? – Ma wrażenie, jakby wylano jej na plecy wiadro zimnej wody.

– Jesteś zgorzkniała – oświadcza Ed. – I samotna. W swoim życiu kochałaś jednego człowieka, a on został ci odebrany. Stała się wielka tragedia i jest mi z tego powodu przykro. Zawsze było. Tyle że mnóstwo ludzi cierpi jeszcze bardziej i nadal są przyzwoici, może nawet lepsi, niż byli. Ale w tobie śmierć tego jednego człowieka nieustannie podsycza nienawiść do świata.

– Wcale nie. Mylisz się.

– W takim razie wymień coś. Coś, co nie wzbudza w tobie nienawiści. No dalej, Evelyn. Mów. – Jego twarz wykrzywia się w grymasie. – Jest coś, czego nie nienawidzisz?!

– Dawniej nie czułam nienawiści do ciebie.

Przez chwilę stoi oniemiały, ale zaraz kręci głową, niemal rozbawiony.

– Na miłość boską, Evelyn. Jesteś na wskroś przeżarta żółcią. Spójrz na siebie. Zatrulaś się w tej upiornej fabryce, a teraz nadal się trujesz w tym okropnym biurze. Kompletnie nie rozumiem, skąd się bierze to poczucie moralnej wyższości u osoby, która pracowała przy napełnianiu skorup pocisków materiałem wybuchowym.

– Chodziło o co innego.

– Ach tak? – Wydyma wargę. – Naturalnie, Evelyn, naturalnie. A o co chodziło?

Evelyn zaczyna:

– Ja... – I milknie.

– Szukasz brzydoty i zgnilizny i znajdujesz je wszędzie, a potem nie robisz niczego innego, tylko podtykasz je ludziom pod nos. I chcesz wiedzieć coś jeszcze? Naprawdę chcesz wiedzieć? To czysty egoizm. Zależy ci tylko na tym, żeby nadal cierpieć. Czy kiedykolwiek, choć raz, przyjęłaś do wiadomości to, że śmierć Frasera przydarzyła się jemu, a nie tobie?

Początkowo Evelyn nie wie, czy silniejszy jest w niej gniew, czy żal. Przeważa gniew.

– Jak śmiesz?! Jak śmiesz tak do mnie mówić?!

Rzuca się przez pokój i uderza Eda w twarz, z całej siły. Wymierza cios nieco zgiętą dłonią, więc jest niezdarny, ale gdy cofa rękę, ból sprawia jej zaskakującą przyjemność.

– No to zaczynamy. – Ed chwyta ją za nadgarstki. – Chcesz mi dołożyć? Zrób to porządnie, do cholery. No dalej!

Coś w niej wzbiera. I już biją się na całego. Ed oddaje wet za wet, a Evelyn

uprzytamnia sobie, gdzieś w zakamarkach świadomości, że właśnie tego chce. Że i to sprawia jej przyjemność. Chwilę później Ed przestaje się bić, odsuwa się od niej i kuca skulony w kącie, a Evelyn, na czworakach, z trudem łapie oddech.

Potworny dźwięk wypełnia pokój.

Plecy Eda drżą. W ułamku sekundy Evelyn orientuje się, że jej brat płacze, wydaje z siebie okropny, urywany szloch.

– Ed – odzywa się Evelyn. – Ed?

Nie słyszy jej, wciąż szlochając.

– Eddie?

Zza okna dolatuje huk wystrzału armatniego. Brzęczą szyby. Evelyn odruchowo pada na podłogę.

* * *

Idą jeszcze kilka kroków przed siebie. Z omnibusu, na który musiały czekać bardzo długo, bo każdy podjeżdżający na przystanek w Hackney był zapchany, wysiadły na północnym krańcu Charing Cross Road. Konduktor, spocony i czerwony na twarzy, krzyknął do pasażerów wyczekujących w tłoku na dolnym piętrze: „Bliżej nie dojedziemy! Trafalgar Square jest już zamknięty”.

Poruszają się powoli, w gęstwie ludzi, w ciężkich ubraniach, od których odzwyczały się przez te lata. Kapelusz Ady, ozdobiony kwiatkami i marmurkowymi owocami, też sporo waży. Poranek jest taki ciepły, że musiały przystanąć i zdjąć płaszcze, które niosą teraz przewieszzone przez rękę; jak wszystkie kobiety wokoło, trzymają także kwiaty zerwane w przydomowych ogródkach przed wschodem słońca. Ivy ma róże, Ada michałki. Im również dokuczyla pogoda i zaczynają więdnąć.

– Jesteśmy już prawie na miejscu – mówi Ada, bardziej z nadzieją niż pewnością.

Tak naprawdę nie ma pojęcia, gdzie są. Ulica wychodzi na wielki plac, ale w takim tłumie nie da się spojrzeć w dal i zorientować w przestrzeni.

– O rany! – Ivy łapie Adę za ramię. – Popatrz! – Wskazuje duży budynek z wieżą, na której szczycie tkwi ażurowa metalowa kula. – Znam to miejsce. Byłam tu raz.

– Co to takiego?

– Coliseum. Teatr rewiowy. Byłam tu na przedstawieniu, lata temu. Bill mnie zabrał, gdy byliśmy młodzi. Och, jak tam ładnie w środku... – Ivy aż rumieni się na to wspomnienie. – Oglądaliśmy tresowane foki. I tych pływaków. W akwariach. To dopiero było coś! Żałuj, że nie widziałaś. Człowiek nie wierzył własnym oczom!

Ivy ożywia się na widok teatru i w przyływie energii bystrzejszym wzrokiem ogarnia okolice.

– Chodźmy tam. – Pokazuje schody dużego kościoła po lewej stronie. – Jeżeli uda się nam wejść na górę, zobaczymy więcej.

Przepychają się przez falujący tłum. Na schodach stoi człowiek przy człowieku, ale z tyłu pozostało trochę pustego miejsca i w końcu się tam przeciskają. Widok jest niezwykły: rozciągający się w dole plac jest cały czarny, jak okiem sięgnąć. Omnibusy i automobile tkwią na środku ulicy wypełnionej prawie nieruchomą rzeszą narodu i wyglądają tak, jakby ugrzęzły w rzece smoły.

– To Nelson – mówi Ada, zadowolona, że też coś rozpoznaje.

Podstawa kolumny jest oblepiona ludźmi. Nie widać ani kawałka kamienia.

– Chyba już nikt się tędy nie przecisnie, jak myślisz? – W głosie Ivy brzmi niepokój i zakłopotanie.

Ada czuje, że wpada w popłoch.

– To dokąd pójdziemy? Może lepiej zostać tutaj? Nawet nie wiemy, którądy będą przechodzić, prawda?

Spoglądają tam, skąd przyszły, i widzą nieustannie nadciągający tłum. Wkrótce i ta ulica będzie nie do przebycia. Słyszą niski, dudniący dźwięk, podobny do odległego grzmotu; odbija się od ścian budynków i wzbudza zaniepokojenie zgromadzonych.

– Co to było? – Ivy chwyta Adę za ramię.

– Nie wiem. Chyba armaty.

– Wszystko w porządku? Jak myślisz?

Ludzie rozglądają się, rozmawiają szeptem, szukają słów potwierdzenia i otuchy u swoich sąsiadów.

– Nie ma powodu do obaw. – Postawny, dobrze ubrany pan, stojący nieopodal, zwraca się do tłumu. – To był wystrzał armatni. Rusza kondukt. Wkrótce opuści Victoria Station.

– Skąd nadejdą? – pyta Ada, ciesząc się, że wreszcie znalazł się człowiek, który ma rozeznanie w sytuacji.

– Stamtąd. – Mężczyzna wskazuje ulicę przed nimi. – Tam jest Mall. Na drugim końcu mieści się pałac Buckingham. Kondukt przejdzie pod tamtym łukiem i skręci w Whitehall. – Wyciąga rękę w stronę szerokiej ulicy, bliżej miejsca, gdzie stoją. – Potem skieruje się do Cenotaphu i dalej do opactwa. Nie uda się paniom podejść pod obelisk, rzecz jasna, bo tam wpuszczają tylko za zaproszeniami, ale jeśli się panie pośpieszą, może znajdą miejsce na rogu. My zostaniemy tutaj, bo moja mama źle się czuje w tłumie.

Za nim stoją dwie kobiety, młodsza i starsza, które pozdrawiają Adę skinieniem głowy, oraz dwójka cichych dzieci, z powagą patrzących na nią szarymi oczami.

– Dziękuję – mówi Ada.

– Powodzenia – odpowiada mężczyzna, unosząc kapelusz.

Ada i Ivy ogarniają wzrokiem niezmiernie zbiorowisko, powolne czarne morze ludzi.

– Myślisz, że tam dotrzemy? – pyta z powątpiewaniem Ivy.

– Przecież po to przyszliśmy – stwierdza Ada.

Ivy kiwa głową i zbiera się w sobie.

– No to chodźmy.

* * *

Ośmiu żołnierzy z Gwardii Grenadierów wchodzi do wagonu pociągu i przykrywa trumnę podartą flagą brytyjską. Ta flaga była już używana wielokrotnie jako obrus ołtarzowy podczas nabożeństw odprawianych w prowizorycznych warunkach przed bitwami pod Vimy Ridge, o High Wood, pod Ypres, Messines, Cambrai i Bethune. Na wierzchu trumny grenadierzy kładą stalowy hełm żołnierza piechoty i parciany pas.

Tworzy się kondukt pogrzebowy: połączone orkiestry, dudy i werble, dudziarze w kiltach; laweta, po obu stronach marszałkowie polni, admirałowie i generałowie. Za nimi ustawia się tysiąc kombatantów, po sześciu w szeregu. W wielkim sklepionym budynku dworca słychać czasem brzęk klamry albo ciche ocieranie się tkaniny o tkaninę.

Z Hyde Parku dolatuje salwa z dziewiętnastu armat. Żołnierze stoją na baczność. Echo wystrzałów nadal niesie się w powietrzu, gdy orkiestra gra Marsz żałobny Chopina i kondukt rusza.

Tuż przy bramie dworca stoi w tłumie młody mężczyzna i patrzy na przechodzący kondukt.

Myśli o swoim najlepszym przyjacielu, z którym dorastał na ulicach Battersea. Miał osiemnaście lat i był prawiczkim, gdy zginął. Młody mężczyzna pamięta, jak tamten patrzył w górę, leżąc na dnie okopu. Na ziemi wokół niego wyciekające życie. Czyste zdumienie na twarzy. Dziura tam, gdzie powinno być krocze.

Mężczyzna zamyka oczy. Czuje, jak skóra na twarzy napina mu się w niespodziewanym słońcu. Dlaczego on? Dlaczego on ocalał? Nie był najlepszy z nich wszystkich. W ogóle się do nich nie umywał. Mógłby wymienić tak wielu lepszych od siebie. Teraz nawet nie może znaleźć pracy.

Ale ma żonę; dziewczyna czekała na niego i ożenił się z nią tuż po wojnie. Ma też dziecko. Córeczkę. Przygląda im się czasem, gdy tego nie widzą. Są dla niego cudem, te dwie, nieskazitelne, nienaruszone. Uwielbia słuchać przyciszonego głosu żony, gdy kołysze dziecko do snu.

Myśli o tym, co zrobi wieczorem, po powrocie do domu. Pocałuje żonę; podziękuję, że ją ma, a potem zanurzy się w niej głęboko, jak najgłębiej.

* * *

Gdy cichnie dudnienie, Evelyn podnosi głowę.

Jej brat siedzi w kucki, oparty plecami o ścianę. Ma pomarszczoną, czerwoną od płaczu twarz.

– Co to było? – pyta Evelyn.

– Zaczęła się uroczystość – mówi Ed. – Z całą pewnością.

– Będą salwy?

– Na to wygląda.

– Czy oni nie umieją uczcić zmarłych w lepszy sposób?

Ed rozkłada ręce.

Evelyn wyciera policzek rękawem. Pieką ją dłonie.

– Jak mogłeś tak postąpić?

Ed wzdycha. Mocno odchyła do tyłu głowę, jakby gdzieś w górze znajdowała się odpowiedź. Czerwona pręga nabrzmiewa na jego lewym policzku, a koło prawego oka rozlewa się bolesny siniak.

– To był potworny odcinek frontu – odzywa się Ed. – Miesiącami brodziliśmy w błocie. Gdy ktoś zdezerteruje, to się roznosi. Przynajmniej tak uważali generałowie. Kiedy wzięli sprawę w swoje ręce, kłamka zapadła. Był siedemnasty rok. Rosjanie poszli w rozsypkę, Francuzi się buntowali. Nieposłuszeństwo budziło straszliwe przerażenie wśród dowództwa. Gdy wróciłem z punktu ewakuacji rannych, już zajmował się nim sąd polowy. Nic nie mogłem zrobić.

Evelyn kiwa głową. Rozumie sytuację.

– Ale dlaczego wybrałeś jego? Dlaczego kazałeś mu strzelać do przyjaciela?

Jakie to... okrutne.

– Standardowa procedura. Żeby utrzymać dyscyplinę w szeregach.

– Skuteczna?

Ed ucieka spojrzeniem.

– Chyba tak.

– A jego matka?

– Czyja? Harta?

– Tak.

– Kazano nam nie informować jej, co się wydarzyło. Naprawdę uważasz, że ta biedna kobieta powinna była poznać prawdę?

– Sądzę, że miała do tego prawo.

– Miała prawo? Nie jestem o tym przekonany. – Patrzy na swoje dłonie. –

A co z Hindem? Myślisz, że on tam wróci? Powie jej? – Unosi wzrok.

– Myślę, że gdyby w ogóle zamierzał jej mówić, już by to zrobił.

– A powiedział ci, gdzie ona mieszka? – Na jego twarzy widać napięcie.

– Nie. Zastanawiałam się, czy nie zapytać. Ale to przecież nie należy do

mnie. Ta historia mnie nie dotyczy.

– A dlaczego chciał się ze mną spotkać?

Evelyn patrzy na brata. Bierze głęboki wdech.

– Sądzę, że chciał zrozumieć. Ale gdy skończył... nie zapytał ani o twój adres, ani o nic innego. A bym mu podała. Chyba wystarczyło mu, że opowiedział tę historię i ktoś jej wysłuchał.

Ed z wolna kiwa głową.

Atmosfera między nimi wreszcie się uspokaja.

Ed wyjmując dwa papierosy z papierośnicy, częstuje siostrę i podaje jej ogień. Przez chwilę palą w milczeniu.

– Wiesz co, Eves? – odzywa się w końcu.

– No co?

Przesuwa się nieco, wciąż oparty plecami o ścianę, i wyciera twarz ręką.

– Za chwilę – mówi – gdy wypalę papierosa, wstanę, wyjdę z domu i postaram się przedostać jak najbliżej Cenotaphu. Może uda mi się zobaczyć, jak to wszystko przebiegnie. Zależy mi na tym. Myśl sobie, co chcesz, ale ja uważam, że to piękna sprawa.

Masuje punkt między brwiami. Tak robi zmęczony człowiek. Ten ruch kogoś jej przypomina. Przypomina Rowana Hinda.

– Może pokrzepi ludzi, może lżej zniosą żalobę. Może i mnie będzie lżej. Ale nie zakończy wojen. Bez względu na to, co ludzie mówią i myślą, Anglia nie wygrała tej wojny. Niemcy też by jej nie wygrały.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – pyta Evelyn.

– Wygrywa wojna. Za każdym razem.

Papierosem rysuje w powietrzu koło, tak jakby rysował wszystkie wojny, wiele, wiele tysięcy wojen, te minione i te przyszłe.

– Wygrywa wojna – powtarza z goryczą – a ci, co myślą inaczej, są głupcami.

* * *

Hettie siedzi na brzegu łóżka i nieruchomym wzrokiem patrzy na pełen słońca pokój. Wstała o świcie, po prawie nieprzespanej nocy. Ma zatłakany nos, opuchnięte oczy i przy każdym oddechu czuje bolesne drapanie w płucach. Jest pewna, że brat słyszał przez ścianę jej płacz.

Poprzedniego wieczoru, gdy szła ze stacji metra do domu, w sukni Di, otulona płaszczem, modliła się, żeby dopisało jej szczęście i jakimś cudownym trafem matki nie było w domu.

Ale los nie był dla niej łaskawy. Przez cały dzień nie był łaskawy.

Ledwie otworzyła drzwi, wyczuła nastrój oczekiwania, niczym dźgnięcie nożem. Nie zdążyła się schować, bo matka natychmiast wyskoczyła z kuchni.

– No i co masz mi do powiedzenia? – syknęła. – Jakie kłamstwa wymyślisz tym razem?

– Przepraszam, mam. Ja...

– Nie ma cię od wczoraj po południu. Gdzie się podziewałaś?

– Byłam u Di.

– Nie kłam! – Matka przeszła kilka kroków w jej stronę i zatrzymała się w połowie korytarza, przykładając rękę do ust. – Coś ty ze sobą zrobiła?

– Nic. – Hettie aż się cofnęła.

– Przecież widzę. Zdejmij kapelusz. Coś ty zrobiła?!

Dopiero wtedy Hettie zorientowała się, że matce chodzi o jej włosy. Zdjęła kapelusz i uniosła brodę.

Matka zbladła.

– Kiedy?

– Wczoraj.

– Namówiła cię ta twoja koleżanka, tak? Ta bezwstydną pannica.

– Nie, sama chciałam – mówi Hettie. – To był mój pomysł.

– Nie odszczekuj się!

I wtedy matka mocno uderzyła ją w twarz.

* * *

Hettie przykładła rękę do policzka. Jest obolała. Wszystko ją boli. Czuje się tak, jakby rzuciła skórę i zostało z niej tylko miękkie bolesne wnętrze.

Robi głęboki wdech i patrzy na swoje dłonie leżące na kolanach. Słyszy, że w sąsiednim pokoju Fred przewraca się na łóżku. Niedługo pójdzie na swój spacer. Hettie wie, że ma niewiele czasu.

Wstaje i cicho idzie na dół. Matka siedzi w kuchni przy filiżance herbaty. Hettie staje w drzwiach, przypatrując jej się w milczeniu. Pograżona w myślach, zgarbione plecy, twarz zastygła w wyrazie rozczarowania i bezradności.

– Jest jeszcze herbata?

Matka spogląda na nią, zaskoczona. Kiwa głową.

– Wystarczy na dwie filiżanki?

– Chyba tak.

Hettie bierze tacę, na której umieszcza dwie filiżanki, nalewa herbatę, dodaje mleko i cukier.

– Co robisz? – pyta matka.

– Zaniosem Fredowi.

W milczeniu matki Hettie wyczuwa niedowierzanie. Idzie z tacą na górę, stawia ją na podłodze i puka do sypialni brata.

Za drzwiami słyszy szelest.

– Fred? – pyta cicho. – Obudziłeś się?

Niepewne kroki i wychodzi jej brat, w piżamie, ze zmierzwionymi jasnymi włosami.

– Proszę. – Podaje mu herbatę. – Dla ciebie.

Fred przenosi wzrok z siostry na filiżankę i z powrotem. Mruga gwałtownie, po czym bierze filiżankę do ręki.

– Dzięki – mówi, patrząc na Hettie pytającym wzrokiem.

– Chcę, żebyś coś dla mnie zrobił, Fred. Proszę, zgódź się.

* * *

O dziwo słońce świeci mocno i mocno przygrzewa. Na ulicy, gdzie stoi Evelyn, graniczącej z parkiem, jest cicho, ale gdy spojrzy w lewo, w kierunku Euston Road, widzi mnóstwo przemierzających się ludzi. Odwraca się od nich i wchodzi do Regent's Parku. Mimo to nie udaje jej się uciec od tłumów; suną nieustannie: rodziny z koszami piknikowymi, matki z dziećmi na rękach, kobiety, wszędzie kobiety, stare, o zmęczonych twarzach, w kapeluszach nie z tej epoki na upiętych włosach; młode kobiety, z krótko obciętymi włosami, w czarnych krótkich spódnicach. Wszyscy mają niewzruszone twarze, zamknięte, jakby nie chcieli niczego uronić przed czasem, nim nastanie wyznaczona przez gazety i polityków godzina żalu. Godzina jedenasta.

Evelyn spogląda w górę, na okno mieszkania brata, a potem przepycha się przez nadciągający z naprzeciwka tłum i kieruje się na szczyt wzgórza. Tych ludzi czeka długa droga, długi i powolny spacer, zanim będą mogli się otworzyć.

„Jedenasty listopada”.

Dwa lata po zakończeniu wojny.

Mimo wszystko tamten dzień, w końcu tysiąc dziewięćset osiemnastego roku, był niesłyszany.

* * *

Siedziała w biurze i wystawiała faktury, gdy zobaczyła chłopaka z wyższego piętra, który zbiegał do hali produkcyjnej. Krzychał i wymachiwał rękami. Ze swojego miejsca nie słyszała, co mówił, ale widziała, jakie wrażenie robią jego słowa na pracujących niżej ludziach: wszyscy co do jednego zatrzymywali się, w osłupieniu patrzyli na siebie, a potem wychodzili z hali, zostawiając włączone maszyny. Ona też przerwała pracę, poszła na dół i dopiero wtedy zrozumiała okrzyki niosące się po klatce schodowej.

„Koniec wojny! Wygraliśmy! Koniec wojny! Wygraliśmy!”.

Był mokry, mglisty dzień. Przed fabryką panowało zamieszanie, kobiety biegały tam i z powrotem, trajkotały piskliwie, donośnie. Nikt z pracowników nie wiedział, co robić. Jedni krzyczeli, płakali, padali sobie w objęcia. Inni po prostu stali, patrząc w dal.

Evelyn dostrzegła znajomą, z którą dawniej pracowała w hali produkcyjnej; koleżanka machała do niej z taksówki. W środku siedziało już sześć albo siedem kobiet, prawie nie było miejsca, jednak jakoś się zmieściła, pakując się po trosze na kolana jednej z nich i przyciskając twarz do szyby zalanej deszczem.

Po drodze kobiety zatrzymywały taksówkę, żeby kupić szampana, ale ten towar już był wyprzedany i musiały zadowolić się kilkoma butelkami marnego białego wina, które piły, wychylając się, mimo deszczu, przez okno i śpiewając wesole piosenki poznane w fabryce. Zmierzały na Trafalgar Square, lecz taksówkarz zdołał dojechać tylko do Marylebone Road i musiały wysiąść. Zgromadziły się tam już takie tłumy, że niemal nie dawało się przejść. Evelyn od razu zgubiła resztę towarzystwa, ale sama tym łatwiej przecisnęła się do Oxford Street, gdzie ruch całkowicie stanął, i dalej w kierunku Soho. W West Endzie puby były zapchane, ludzie wylewali się na chodniki i ulice, nie zważając na deszcz. Przed oczami przesuwały jej się pijane twarze. Minęła starszą kobietę z prostymi rozpuszczonymi włosami, uczeponą płaszcz młodego żołnierza. „Masz, twoja kolej – bełkotała. – Masz”. Padła przed nim na kolana, podając mu butelkę portera. Zażenowany mężczyzna usiłował się uwolnić.

Evelyn przedostała się przez rozkołysany tłum do Charing Cross Road, gdzie z okien biur wylatywały arkusze papieru, jakby wybebeszano budynki, i poszła dalej do Trafalgar Square. Świątowano tu w zgiełku, ruch na jezdniach był zablokowany, ludzie tańczyli na chodnikach i dachach samochodów, tupali, biegali w kółko jak zepsute mechaniczne zabawki.

Wszędzie widziała młodość. Wokół młodzi ludzie się całowali, mniej lub bardziej żywiołowo; jakaś para tuliła się do siebie, dziewczyna siedziała na murze, z zadartą wysoko spódnicą, która odsłaniała jej białe, masywne uda. Evelyn miała wrażenie, że w tym czasie gdy pracowała w fabryce, wgąpiona w maszyny, a potem w segregatory, świat zostawił ją w tyle. Przez dwa lata siedziała przy warsztacie albo przy biurku i patrzyła tylko na to, co było tuż przed nią. Teraz musiała podnieść głowę.

Obeszła plac. Gdziekolwiek spojrzeć, flagi. Sprzedawcy, jeden za drugim, stali przy małych szarych stolikach, które wyrosły jak grzyby po deszczu. Jakiś tęgi spocony mężczyzna akurat kupował wszystkie flagi ze straganu i wręczył jedną Evelyn.

– Proszę, skarbie, to dla ciebie.

Przez chwilę stała wpatrzona w chorągiewkę, a potem podniosła wzrok na mężczyznę.

– Dobrze się czujesz, skarbie?

Gdy nie odpowiedziała, przestał się nią interesować i zaczął rozrzucać flagi wśród zadowolonych ludzi. Evelyn spojrzała na maleńki sztandar, niewiele większy od jej dłoni, zrobiony z papieru i drewnianka zakończony ostro jak

wykałaczką. Wbiła spiczasty czubek głęboko w kciuk. Zabolalo, ale nie tak dotkliwie, prawie wcale. Wyciągnęła patyk i popłynęła krew. Evelyn rozmazała ją na ustach.

„Zrób to, co powinno być zrobione w 1914!”.

Jakiś człowiek obok niej sprzedawał papier toaletowy. Na każdym kawałku oddzielnym perforacją widniała twarz kajzera. Evelyn zamrugala; przez chwilę miała wrażenie, że jej się przywidziało. „Zrób to, co powinno być zrobione w 1914!”.

– Kochanie. – Ktoś położył rękę na jej ramieniu.

Przed nią stał młody człowiek w mundurze. Był wysoki, mówił z amerykańskim albo kanadyjskim akcentem.

– Wszystko okay?

Miał szeroką twarz, młodą i gładką, na czole kropelki potu. Czy rzeczywiście był taki młody? To aż niemożliwe, żeby być takim młodym.

– Czy mogę cię pocałować, kochanie? – zapytał. – Mogę cię obdarować pocałunkiem zwycięstwa?

Nie odezwała się, więc przyciągnął ją do siebie i pocałował. Otworzył usta, a ona poczuła dotyk jego języka, smak piwa, zapach grubego, wilgotnego munduru khaki, a głębiej ostrego, słonego potu. Gdy się odsunął, zobaczyła na jego ustach krew i przebiegło jej przez myśl, że go skaleczyła, ale zaraz przypomniała sobie, że to jej własna krew.

– Chodź – powiedział.

Wziął ją za rękę, a ona dała się poprowadzić przez ulicę, między stojącymi pojazdami, obok kobiety okrytej flagami państwowymi, która jechała rowerem po chodniku, rozwrzeszczana, pijana w sztok, a z każdej strony biegło obok niej dwóch żołnierzy. Szła za nim w stronę stojącego przy placu kościoła St Martin in the Fields, na którego schodach tłoczyli się ludzie: siedzieli, stali, chronili się przed deszczem. Młody żołnierz pociągnął ją na skraj kościoła i w dół po niskich stopniach, w miejsce pod łukowym sklepieniem, gdzie panował chłód, niósł się pogłos i nie było nikogo.

– Tu – rzucił, przyciskając ją do kolumny. Poczula chropowaty kamień na plecach. – Zróbmy to tutaj.

Zaczął szarpać jej bluzkę, nie rozpiął guzików, tylko wyciągnął bluzkę ze spódnicy i przesunął ręce pod spodem, pod krótką koszulką, aż znalazły się na piersiach. Przyłożył twarz do jej szyi. Odwróciła się bokiem, oparta o zimną kolumnę, gdy on podnosił spódnicę. Potem ściągnął jej majtki. Wyjęła nogę z nogawki i majtki zsunęły się na ziemię, owinięte wokół kostki. Gdy mężczyzna wszedł w nią, nabrała duży haust powietrza.

Słyszała odgłos werbli, łoskot, krzyki, śpiewy i ocieranie się munduru o bluzkę. Uniosła głowę w stronę sklepionego sufitu. Po pięciu, sześciu

pchnięciach było po wszystkim; żołnierz odsunął się i odwrócony zaczął zapinać guziki. Wyglądał jak dziecko, gdy znów na nią spojrział. Chciała położyć mu rękę na ramieniu i powiedzieć, że wszystko w porządku. A jednocześnie chciało jej się śmiać.

Wyszli razem, a potem, nic do siebie nie mówiąc, jakby już postanowili, że właśnie tak ma być, rozstali się na ulicy, bez słowa. Evelyn skręciła w Northumberland Avenue, oddalając się od kościoła i kierując ku rzece. Z naprzeciwka napływały zbite tłumy, nieprzerwanie; falująca podpita chmara nadciągała mostami od południa. Opoдал niej ktoś zaczął śpiewać, najbliżej idący podchwycili rytm i krąg rozkołysanych ludzi poszerzał się coraz bardziej, aż objął wszystkich.

W końcu doszła do Embankment, gdzie wzdłuż brzegu stały przycumowane statki z włączonymi syrenami. Niedaleko niej grupa ludzi otoczyła latarnię, na którą wspiął się mały chłopiec. W pierwszej chwili nie wiedziała, co on tam robi, ale szybko zauważyła, że zdrapuje farbę, którą pomalowano szybki, gdy zaczęło obowiązywać zaciemnienie. Światło rozbłysło i rozległy się wiwaty. Zaraz zaświeciła następna latarnia i po kolei wszystkie przy Embankment, wzdłuż całej rzeki.

Przecisnęła się pod niski mur i stała tam, opierając się i oddychając głęboko. Czowała w majtkach zimny, śliski śluz, jaki zostawił ten chłopak. Zrobiło jej się niedobrze z obrzydzenia. Spoglądała na rzekę, na pomarańczowe odbicia latarni w wodzie, i naszła ją myśl, że mogłaby z łatwością wejść na mur, stanąć na nim i skoczyć. Nikt by nie zauważył. Bo wszyscy patrzyli w przyszłość i szukali w niej miejsca dla siebie. Przez ułamek sekundy wydawało jej się, że ma dość odwagi, że zdobędzie się na ten czyn, ale to minęło, a ona wciąż tam stała, patrząc na rzekę, na rozświetlone pomarańczowe krople uchwycone w locie, jakby zatrzymał się czas, a deszcz zawisł w powietrzu i wcale nie padał.

* * *

Fred jest ubrany elegancko, w garnitur i kapelusz. Idąc obok niego, Hettie czuje się dziwnie. Jak po chorobie, w dzieciństwie. Pierwszego dnia po wstaniu z łóżka i powrocie do szkoły, kiedy miała nogi jak z waty i wszystko dokoła wyglądało inaczej. Jej dom. Mijani ludzie. Ulica.

Teraz ulica opustoszała, nikogo nie ma. Domy sprawiają wrażenie zaniepokojonych, jakby nie były pewne, czy mieszkańcy powrócą.

„Tak, powrócą”.

Hettie już nie chce, żeby wybuch rozsadził budynki czy rozerwał ulice. Chce, żeby cegły były mocne i dawały schronienie. Żeby wszystko pozostało bez zmian. Chce, żeby jej ojciec wciąż żył, żeby ogrody zachowały swoją niewinność, a fioletowe kwiaty heliotropu kojarzyły się tylko z latem, a nie z opuchlizną

i rychłą śmiercią. Chce, żeby we francuskich wioskach nie było dziewcząt, które przyjmowały mężczyzn jednego po drugim w domach swoich ojców. Ani kobiet, które ledwie trzymały się na nogach i czekały, aż skończą się kolejki ustawionych do nich żołnierzy. Chce, żeby zniknęła smutna defilada mężczyzn w Palais albo żeby znów byli cali i zdrowi. Chce, żeby Ed nie był załamany. I Fred też. Chce znów mieć swojego brata.

Tego ciepłego słonecznego ranka wie jednak, że nic z tego – a raczej prawie nic – nie jest możliwe. Że Ed ma słuszość: nie cofniesz tego, co się stało.

Ale brat jest przy niej. Spełnił jej prośbę i poszedł. Idą razem, ramię w ramię, obok siebie, krok za krokiem. Krok za krokiem.

Gdy są już u wylotu ulicy, Hettie słyszy szmer tłumu, dobiegający z Hammersmith Broadway. Ludzie tłoczą się po obu stronach, w trzech rzędach. Sklepy są nieczynne, markizy nadal zwinięte, żaluzje opuszczone.auta i omnibusy zjechały na bok i stoją przy krawężniku. Zegar na wysepce na środku jezdni wskazuje za kwadrans jedenastą.

Hettie i Fred przechodzą za rzędami ludzi, szukając miejsca. Im dalej do przodu, tym ciasniej, a Hettie czuje, że Freda ogarnia niepokój.

– Tu będzie dobrze? – pyta, kładąc mu rękę na ramieniu. – Wolę nie wciskać się głębiej.

– Tak, świetnie. – Kiwa głową, patrząc na nią z wdzięcznością.

Wybierają miejsce i stają tuż obok siebie. Wszyscy już ucichli: setki ludzi zwrócone twarzami do setek ludzi i między nimi pusta jezdnia.

* * *

Przesuwają się coraz głębiej w tłum, aż w końcu tkwią zaklinowane pośród czarnych pleców i wydaje się, że nigdy się stąd nie ruszą.

– Tutaj nie wytrzymamy – jęczy Ivy.

Stoją przyklejone do siebie; Ada czuje oddech Ivy, trochę kwaśny, i zatęchłą woń naftaliny, którą zalatuje jej sukienka, a także zapach trzymany przez nią róż, a z dalszej odległości dochodzą ją zapachy innych ciał, tysiący ludzi, i tysiący szybko więdnących bukietów. Przez krótką chwilę, w tym słodkosmrodliwym zaduchu, Ada boi się, czy nie zemdleje. Opanowuje nerwy i wyciąga szyję, zerkając zza wysokiego mężczyzny, ale widzi tylko plecy, głowy i kapelusze. Między nią a jezdnią stoi z piętnaście osób, co najmniej, tak ściśle jedna przy drugiej, że nawet nie widać barierki. Nikt nie ośmiela się powiedzieć tego głośno, ale mnóstwo ludzi zrzędzi na to pod nosem.

– Musimy wytrzymać – mówi z udawaną pogodą ducha.

Powinny były zostać na schodach kościoła. Tam przynajmniej dało się oddychać i miały dobry widok. To ona zaproponowała, żeby iść dalej.

W tym momencie widać jakiś ruch wśród ludzi na przedzie. Coś się dzieje

w pierwszym rzędzie. Przed dłuższą chwilę nic nie wiadomo, a potem rozlegają się krzyki: „Zrobić miejsce! Zrobić miejsce!”. Tłum trochę się ścieśnia, powstaje wąskie przejście i dwóch mężczyzn wynosi młodą kobietę, nogami do przodu. Z kiwającej się na boki głowy spada kapelusz. Ada schyla się po niego, ale nie wie, co z nim zrobić, i w końcu kładzie na piersi kobiety. Kapelusz jest modny, ładny, jeden z tych w kształcie klosika, z małym pęczkiem materiałowych białych kwiatków na brzegu.

– Dojdzie do siebie? – pyta Ada, dotykając rękawa młodego mężczyzny.

– Nic jej nie będzie. Tylko poczuła się dziwnie. Prawda, Mary?

Kobieta zaczyna się poruszać.

– Wszystko w porządku – mówi młody mężczyzna, pochylając się nad nią. – Jesteśmy przy tobie, kochanie.

Na skutek tego zamieszania tłum się kołysze i wraca na dawne miejsce, potem ludzie nagle lecą w przód, jakby popchnięci przez tych za nimi, wszystkich razem, i wydaje się, że upadną jak kostki domina, a wtedy grupa dokoła Ady i Ivy przesuwa się niczym spiętrzona fala. Obie trzymają się kurczowo jedna drugiej, ściskając w rękach kwiaty, i suną przed siebie.

Gdy tłum nieruchomieje, są przy barierkach i mają otwarty widok na ulicę: na plecy policjantów, którzy pilnują porządku, stojąc w rozkroku, z rękami założonymi z tyłu, w hełmach lśniących w słońcu; na duży odcinek pustej jezdni; i na te liczne twarze po drugiej stronie, w rzędzie, pełne oczekiwania, wpatrzone w tych z naprzeciwka.

Ada czuje, że stojąca obok niej Ivy cała się trzęsie, i dotyka jej ramienia.

– Dobrze się czujesz, kochana?

Gdy Ivy podnosi głowę, widać, że się śmiała. Kiwa głową i wyciera oczy.

– Nie mogłam się pohamować – szepcze. – I co ty na to? Ktoś chce, żebyśmy wszystko widziały.

– Rzeczywiście śmiesznie wyszło – przytakuje Ada, już spokojna.

Po ich prawej stronie stoi młode małżeństwo z małym synem w środku, cała trójka trzyma się za ręce. Mężczyzna mówi cicho do żony i syna:

– Spójrzcie na okna. I na dachy.

Ada śledzi ruch jego ręki i nie posiada się ze zdumienia. W każdym oknie na wszystkich piętrach, widać twarz przy twarzy; również na dachach są ludzie. W większości młodzi mężczyźni, ale także kobiety, siedzą w dość karkołomnych pozycjach na parapetach i na krawędziach małych balkonów. Ada klepie Ivy w ramię i wskazuje ręką do góry.

– Dobry Boże! – Ivy aż się wzdryga.

Z oddali dobiega je powolne, głucho dudnienie werbli.

* * *

Kondukt pogrzebowy mija młodego Irlandczyka. Poprzedniego dnia przyjechał z Cork pociągiem, wszedł na prom, dopłynął do Southampton i ruszył dalej do Londynu. Nikomu nie powiedział o tej podróży, tylko oznajmił, że chce odwiedzić siostrę w Wexford. Sytuacja w Irlandii się zmieniała. Kłamstwo było konieczne.

Irlandczyk zaciągnął się do wojska w tysiąc dziewięćset piętnastym i walczył za Wielką Brytanię, ale potem, po powstaniu wielkanocnym, opluwano go na ulicy, ilekroć przyjechał do domu na przepustkę. Mówili o nim „pieprzony Angol”, „pieprzony zasraniec”.

Teraz jest stronnikiem Collinsa. Członkiem Sinn Féin. Dobrze wie, za kogo walczy. A walka będzie się toczyła. Co do tego nie ma wątpliwości. Niecałe trzy tygodnie wcześniej burmistrz miasta Cork zmarł w więzieniu w Brixton, prowadząc strajk głodowy.

Mimo to on musiał tu przyjechać. Musiał skłamać i przyjechać. Zrobił to dla chłopaków, z którymi bił się ramię w ramię i którzy umierali przy nim, czasem na jego rękach. Którzy, choć zostali okłamani, jak on, walczyli bohatersko. Którym, a były ich tysiące, zmarnowano życie, by zyskać skrawek ziemi. Nie może ich zapomnieć. I nie zapomni.

Będę o was pamiętał, mówi w myśli, gdy mija go laweta z trumną i wgniecionym hełmem na wierzchu. Zamyka oczy.

Nic nie wróci im życia. Ani słowa zamożnych ludzi. Ani oświadczenia polityków. Ani banały płatnych poetów.

„Przy zachodzącym słońcu będziemy o nich pamiętać” [9].

Nie.

Będę o was pamiętał, nabijając fajkę.

Będę o was pamiętał, unosząc kufel piwa.

Będę o was pamiętał w jasne i ciemne dni. I w letnim słońcu.

Otwiera oczy i patrzy na maszerujących żołnierzy. Orientuje się, kim są ci ludzie, przeczytał ich nazwiska w gazetach: marszałkowie polni, admirałowie, generałowie. Zaskoczony, rozpoznaje Haiga, jest tak blisko, że widać jego szpakowate wąsy. Ma ochotę go opluć.

Wie, że król stoi gdzieś niedaleko. Nagle jawi mu się obraz wybiegającego z tłumu człowieka z bombą umocowaną na ciele. Cios w samo serce imperium. Prosta sprawa, bardzo prosta. Kręci głową. Jeszcze nie teraz, mówi do siebie. Jeszcze nie teraz.

* * *

Dźwięk werbli narasta i razem z nim niesie się szept: „Są blisko, są blisko, są blisko”. Ludzie napierają od tyłu, więc Ada trzyma się mocno barierki. Z trudem oddycha, strużki potu ciekną jej po plecach. Żałuje, że tak mocno ściągnęła gorset.

Jeżeli zemdleje, kto ją stąd wyniesie? Za nią tłum faluje i po chwili znów nieruchomieje.

– Trzeba stać na szeroko rozstawionych nogach – radzi stojący obok młodzieniec. – Nie martwcie się. Więcej nie będą napierać. To koniec czekania. Zobaczycie.

I oto już zbliżają się cztery ogromne cisawe konie, stuk kopyt tłumi rozłożona na jezdni słoma. Podchodzą niemal równym krokiem, jak wyćwiczone, i wtedy wszyscy mężczyźni odsłaniają głowy. Młodzieniec obok Ady i Ivy trzyma czapkę przy piersi.

Za końmi kroczą werbliści z osłoniętymi kirem werblami, które wydają głuche, stonowane dźwięki. Następni maszerują dudziarze. Cienkie wysokie tony dud wiszą w nieruchomym powietrzu. Potem jest przerwa, odstęp, i idzie szóstka lśniących karych koni z klapkami przy oczach, ciągnących lawetę. Na niej stoi trumna okryta podartą spłowiałą flagą, jakby wyblakła od słońca.

Wzrok Ady pada na wgnieciony hełm żołnierski, leżący na fladze. Taki sam jak Michaela. Patrzy w osłupieniu, przez ułamek sekundy porażona myślą, że to jest jego hełm, ten sam, który miał, gdy widziała go ostatni raz, jak odchodził powoli ulicą w bladym wiosennym słońcu, i który podskakiwał mu na plecach, a ona się martwiła, że zrobią się siniaki. Przez ten ułamek sekundy jest przekonana, że to jego zwłoki leżą w trumnie. Z piersi jakiejś kobiety wyrывa się szloch, przenikliwy i niekontrolowany. Odbija się od ścian domów po obu stronach ulicy. Po chwili znów słycać łkanie, i znów, i znów; w tłumie naprzeciwko pojawiają się setki chusteczek do nosa, śnieżnobiałych na czarnym tle. Stojącą obok niej Ivy wstrząsa bezgłośny płacz.

I nagle Ada uprzytamnia sobie: oni wszyscy mieli takie hełmy. Mężowie, bracia, synowie tych wszystkich kobiet.

Kondukt mija Adę i Ivy, zmierzając w stronę Cenotaphu. Ada odprowadza go wzrokiem i widzi, jak zwalnia, a potem staje.

Słycać szmer, po czym zalega długa cisza, postój.

I zaczynają bić dzwony.

* * *

Z trudem łapiąc oddech, Evelyn wchodzi na szczyt wzgórza. Z radością widzi, że nikogo tam nie ma, nikt nie zajmuje jej ławki. Można by sądzić, że leżące poniżej miasto przyciągnęło wszystkich niczym wielki szary magnes. Powietrze stoi nieruchomo, czego dowodzi dym z kominów w dole, unoszący się pionowo do góry. Jest naprawdę piękny dzień.

Evelyn słyszy bicie dzwonów na jedenastą. W Primrose Hill, Camden Town i innych dzielnicach bliżej śródmieścia; rozdzwania się wiele, wiele dzwonów, jednocześnie i osobno. Gdy zapada cisza, niemal widać, jak przetacza się długą falą

do miejsca na wzgórzu, gdzie siedzi Evelyn.

Po chwili to, co brała za ciszę, ustępuje czemuś innemu. Czemuś zaskakującemu. Jest to odgłos miasta bez ludzi. Bez stąpania, biegania czy gwaru rozmów, bez aut i omnibusów, bez fabryk, biur i doków. Nie jest to jednak cisza, nie tu na wzgórzu, bynajmniej. Evelyn słyszy wiatr, który przelatuje przez resztkę kruchych, ale nieustępliwych liści, słyszy wrony nawołujące się wśród drzew, a potem jeszcze inne nawoływania w oddali: głosy zwierząt w zoo; słyszy szwargot mały i głęboki ryk wielkiego kota. Tego się nie spodziewała. Na jej twarzy pojawia się uśmiech.

Tu, na wzgórzu, wciąż snują się strzępy mgły, zalegając w zielonych zagłębieniach. Tu nigdy niczego nie pobudowano.

Ta ziemia to też miasto, myśli Evelyn.

Tu jest i ona, siedzi na ławce w słońcu.

Przypomina jej się letni poranek, otwarte okno, upał na dworze. Leży obok Frasera, wsłuchana w odgłosy miasta. Promienie słońca wpadają przez okno i ogrzewają podeszwy stóp. Wyraźny, ciepły zapach kochanego mężczyzny. Potem wstaje i przeciąga się, czuje chłód posadzki pod stopami. Odwraca się do Frasera. „Idziemy na dwór?”.

Lekki uśmiech na jego twarzy.

„Kochałam cię”, mówi w myślach. „Kochałam cię, Fraser”.

„Za dwa tygodnie będę miała trzydzieści lat”.

Nabiera haust powietrza, rozpoznaje słaby zapach ziemi, czuje to samo słońce, jego nieoczekiwane dobrodziejstwo – w listopadowy dzień – ciepły dotyk na skórze.

„Żyję. Żyję. Żyję”, powtarza w duchu.

* * *

Gdy zapada cisza, Hettie uprzytamnia sobie, że Fred stoi obok niej zeszywniały.

Chce się dowiedzieć, o kim on myśli. Kto zaludnia mu tę ciszę? Czyje nazwiska wykrzykuje nocami?

Nie mieści jej się w głowie, że nigdy dotąd nie chciała go o to zapytać.

Naprzeciw niej są setki mężczyzn, z kapeluszami przy piersiach, i setki kobiet, i wiele z nich, mężczyźni i kobiety, płacze. Skoro tu, w Hammersmith, stoją na ulicy setki ludzi, to z pewnością tak jest wszędzie, w całym mieście, w całym kraju i jeszcze dalej, za morzem, we Francji.

A co z tą dziewczyną o długich brązowych włosach? Gdzie ona jest? Też stoi tak na ulicy? W jakiejś wiosce? Nadal ma długie włosy? Może także je obcięła? A tamte kobiety, te starsze, te, które się sprzedawały raz po raz, dzień w dzień. Co się z nimi stało?

A Ed?

Na myśl o nim robi jej się przykro. Boli ją serce.

Czy on też stoi teraz na ulicy? Gdzieś niedaleko? Czy jest z rodziną? A może tam, gdzie go zostawiła, zranionego i samotnego?

Oby nie.

Fred się poruszył. Hettie spogląda na niego. Ma spokojniejszą twarz, ciało mniej napięte. Hettie bierze go pod rękę. Fred najpierw się wzdryga, ale nie odsuwa się od niej, nie odtrąca jej, tylko kładzie dłoń na jej dłoni. I stoją tak, ramię przy ramieniu. Hettie przenosi wzrok na ludzi po drugiej stronie ulicy.

Dają świadectwo, oni wszyscy. Właśnie to robią. Dlatego tu są.

* * *

W przedłużającej się ciszy coś do niej dociera. Jego tu nie ma. Jej syna nie ma w środku. Ale tam wcale nie jest pusto; wewnątrz jest pełne, rozbrzmiewa żalem: żalem żyjących. Jej syna jednak tam nie ma.

Gra trąbka, *The Last Post*[10], metaliczne dalekie dźwięki. Gdy melodia cichnie, wszyscy wypuszczają powietrze z płuc. Przez długą chwilę stoją w miejscu, jakby nie mieli ochoty się poruszyć. Potem napływają z daleka, początkowo słabe, odgłosy pojazdów na ulicach, szum powracającego, wzmagającego się życia. Znany dźwięk, a jednak brzmi jak zniewaga.

Koło nich, w pierwszym rzędzie, nikt się jeszcze nie rusza. Po kilku minutach ścisk się zmniejsza; tłum rzędnie, ludzie przechodzą tyłem chodnika.

– Dokąd oni idą? – pyta Ada.

– Pod Cenotaph – wyjaśnia młoda kobieta z bukietem lilii, stojąca z lewej strony. – Żeby złożyć kwiaty poległym.

– Też pójdziemy? – odzywa się Ivy.

Ada odwraca się do niej. Kolejka już jest szeroka na dwadzieścia osób; ludzie przesuwają się do przodu noga za nogą. Nim dojdą do końca ulicy, miną godziny.

– A chcesz? – pyta Ada.

– Tak.

Po chwili wahania Ada mówi:

– Będziesz miała mi za złe, jeżeli cię zostawię? Chciałabym pójść w jeszcze jedno miejsce.

Nie wyjaśnia nic więcej, a Ivy nie naciska na nią, nie pyta, dokąd się wybiera, tylko wskazuje ręką kwiaty.

– Chcesz, żebym je położyła?

– Tak, dziękuję. Poradzisz sobie?

– Oczywiście. – Ivy kiwa głową i bierze michałki.

– Przydałoby im się coś do picia.

– Mnie też. Coś mocniejszego – rzuca z uśmiechem Ivy. – Po powrocie do domu. Przyjdź do mnie, jeśli będziesz miała ochotę.

– Możliwe, że przyjdę.

Żegnają się szybkim uściskiem.

– No to w drogę – mówi Ivy.

Przeciskanie się pod prąd jest męczące, ale potem, gdy Ada już wydostaje się z tłumu i wreszcie może głęboko odetchnąć, ogląda się za siebie, licząc na to, że zobaczy Ivy i pomacha jej na pożegnanie.

I wtedy go widzi.

Mężczyzna stoi dwadzieścia kroków od niej, razem z ciężarną żoną i małą dziewczynką. Jest niski, kuli ramiona; mizerny, o bladoniebieskich oczach; cienki mały wąs ledwie przysłania wargę. Czeka w kolejce do Cenotaphu. Trzyma w ręku bukiet niebieskich kwiatów. Jeszcze jej nie zauważył.

Ada robi krok w jego stronę i w tym momencie on podnosi oczy i ją dostrzega. Jego dłoń zaciska się na ramieniu córki. Dziewczynka krzyczy i wyrwa się. W pierwszej chwili Ada, widząc jego przerażoną twarz, myśli, że mężczyzna zostawi rodzinę i ucieknie. Ale tak nie robi. Nie ustępuje pola, panuje nad sobą i wytrzymuje jej wzrok. Można odnieść wrażenie, że staje się wyższy, gdy przyciąga do siebie córkę i bierze za ramię ciężarną żonę.

Ada nie woła do niego. Nie podchodzi. Kiwa tylko głową, jakby pozdrawiała kogoś znajomego, po czym odwraca się i odchodzi wolnym, pewnym krokiem.

* * *

Po zakończeniu uroczystości żałobnych, gdy rozeszli się uczestnicy nabożeństwa – król i królowa, premier, matki, które straciły wszystkich synów, matki, które straciły wszystkich synów, a także mężów, i dziewczyna, która straciła dziewięciu braci, poległych lub zaginionych, i napisała list z prośbą o umożliwienie jej wzięcia udziału w ceremonii, oraz sto pielęgniarek, ociemniałych ofiar wojny, jak również członkowie parlamentu i lordowie, którzy stracili brata lub syna – gdy wszyscy się rozeszli, wrota opactwa westminsterskiego na krótko się zamykają.

Wokół grobu pojawiają się cztery drewniane barierki i cztery zapalone świece. Przejdą tędy rzesze ludzi.

Młody chórzysta, spełniwszy swoje obowiązki na ten dzień, wymyka się z pomieszczenia, gdzie jego koledzy zdejmują ceremonialne szaty. Nikomu nie mówi, dokąd idzie. Przez uchylone drzwi wślizguje się do głównej nawy. Ogromny, rozbrzmiewający echem kościół jest pusty. Jedyne światło dają świece. Sklepienie ciągnie się gdzieś w nieskończoność. Z bijącym sercem chłopiec podchodzi do drewnianych barierek. Kiedy odbywała się uroczystość, z miejsca przeznaczonego dla chóru nie było widać trumny. Chce ją teraz zobaczyć.

Przechodzi pod barierką i na czworakach pełźnie na skraj otworu

w posadzce. W grobie, dość głęboko, widzi trumnę okrytą flagą. Blask świec ledwie sięga czerwieni, bieli i błękitu.

Chłopiec myśli o swoim bracie; ostatni raz widział go w mundurze: wydawał się taki wysoki, taki wspaniały. Doskonale go pamięta, choć był małym dzieckiem, i przypomina sobie, że pragnął być duży, żeby razem z bratem iść na wojnę.

Wojna. W tym słowie jest coś, co wywołuje w nim dreszcz. Porządny dreszcz. Taki, który mówi mu, że pewnego dnia, gdy dorośnie, i on może będzie miał swoją szansę.

Nagle znów otwierają się wrota kościoła i strumień bladego listopadowego światła zalewa posadzkę. Chłopiec zrywa się na nogi, przemyka pod barierką i rzuca się w mrok. Ale widzi jeszcze, jak długi sznur ludzi dwójkami sunie ku niemu główną nawą.

* * *

Evelyn staje przed lustrem, przykłada do siebie sukienkę, trzymając ją pod brodą, i z powątpiewaniem się obraca. Sukienka jest ciemnoczerwona. Nie nosiła jej od lat, ale fason jest dobry. Musi się nią zadowolić.

W drzwiach, za jej plecami, pojawia się Doreen, zarumieniona od świeżego powietrza, i splata ręce na piersiach.

– Wybierasz się gdzieś?

– O Boże, sama nie wiem. – Evelyn rzuca sukienkę na łóżko i siada obok niej. – Zapomniałam, ile to fatygi.

Doreen, wyraźnie rozbawiona, sadowi się koło przyjaciółki.

– Dokąd idziesz, jeśli wolno spytać?

Evelyn sięga po papierośnicę.

– Na tańce. Tak sądzę.

Doreen unosi brwi.

– Gdzie konkretnie?

– Hammersmith.

– Do Palais?

– Uhm. – Zapala papierosa.

– A z kim...? – pyta z uśmiechem Doreen.

Evelyn odchyła do tyłu głowę.

– Z mężczyzną.

Doreen uśmiecha się szerzej.

– Dobrze i to. Na początek.

– Z kolegą. Z pracy.

– Coś podobnego.

– To nic nie znaczy – dorzuca szybko Evelyn.

– Rzecz jasna – przytakuje nadal uśmiechnięta Doreen.

– Daj spokój. Nie patrz tak na mnie.

Ale Doreen wciąż na nią patrzy. Wobec tego Evelyn wstaje, bierze sukienkę i przytrzymuje ją pod brodą.

– Jak wyglądam? – pyta.

* * *

Ada wysiada z omnibusu kilka przystanków przed swoim domem i idzie pustą ulicą w kierunku kanału. Wciąż świeci łagodne słońce. Kiedy schodzi po pokrytych porostami schodkach, które prowadzą do ścieżki dla koni holujących barki, poprawia jej się nastrój. Zawsze lubiła to miejsce, od dziecka, gdy karmiła tu z ojcem kaczki; uwielbia ten zatechły, mulisty zapach i bujne zarośla wzdłuż ścieżki. Skręca w lewo, czując na plecach promienie słońca, a potem odsuwa się na bok, żeby poczekać, aż pod mostem przepłynie barka. Barkarz pozdrawia ją, zdejmując czapkę.

Łódź zdumiewa kolorami: intensywną żółcią, czerwienią i błękitem. Kuc ma na głowie uzdę z klapkami przy oczach; w popołudniowym powietrzu czuć słodczy jego oddechu.

Ada przechodzi pod mostem, widzi przed sobą zbiorniki na gaz, w połowie pełne, z szarymi kratownicami rysującymi się na tle nieba. Zbliżając się do działek, czuje dym palonego drewna. Gdy skręca na ścieżkę biegnącą za ogrodami, podrywają się do lotu dwa tłuste gołębie grzywacze. Idzie obok opadłych jabłek, brunatnych chaszczki i pustych, zadbanych działek.

Chwilę później już go widzi. Zwrócony do niej plecami, klęczy przy grządce, z łopatką w ręku. Ada staje na ścieżce, tuż przy furtce, i patrzy, jak on nachyla się, wyrywając coś z ziemi. Jest bez kurtki, w samej koszuli, z plamami potu pod pachami. Obok niego leży na ziemi kupka warzyw. Po prawej stronie pali się małe ognisko. Ada schyla się, podnosi skobel i robi kilka kroków w stronę męża. Jack nie odwraca się, choć usłyszał, że weszła na działkę; jest tego pewna, widząc jego znieruchomiałą sylwetkę. Jack powoli prostuje się, wyciera ręce i podchodzi do stołu, na który odkłada łopatkę. Dopiero wtedy się odwraca.

– Cześć. – Ada odzywa się pierwsza.

– Cześć. – Jack ociera twarz rękawem. – Długo tak stoisz?

– Właśnie przyszedłam.

Jack kiwa głową.

– Zazwyczaj tu nie bywasz.

– No tak. – Obejmuje się za ramiona, skrępowana, w żałobnym stroju. Zdejmuje kapelusz i trzyma go przed sobą, drugą ręką poprawia włosy. – Pusto tu – mówi, spoglądając na inne działki.

– Cały dzień nie było nikogo. Chciałem wykorzystać okazję. Dużo zrobiłem. Ogród jest przygotowany do zimy.

Ada widzi świeżo zgrabione grządki, przykryte siatką umocowaną kołkami. Krzaki są przycięte, gałęzie i liście złożone w stos i gotowe do spalenia. Dokoła panuje spokój, porządek.

– Zobacz, dojrzała jeszcze jedna dynia. A myślałem, że już się skończyły.

Dynia leży na kupce ubrudzonych ziemią warzyw. Jaskrawopomarańczowa, z żółtymi i zielonymi smugami. Ma jeszcze bardziej intensywny kolor niż ta, którą przyniósł w niedzielę. Jack podchodzi do ogniska, przykłęka i roznieca ogień, żeby dawał więcej ciepła.

Ada staje naprzeciw męża.

– To znaczy, że byłeś tutaj? – Wolno wymawia słowa, ma sucho w gardle. – Tu spędziłeś zeszłą noc?

Jack patrzy na nią i kiwa głową, raz.

Kamień spada jej z serca.

– Gdzie spałeś?

– W szopie.

– Nie zmarzłeś?

– Nie. Byłem ostro nabuzowany.

To ją rozśmiesza. Nastrój robi się lżejszy. Ada zbliża się do ognia i grzeje ręce.

– Mogę dołożyć liści? – pyta.

Jack jest zaskoczony, ale zachęca ją gestem.

Ada podchodzi do sterty liści, podnosi czerwono-żółto-brązowe naręcze i wrzuca do ognia, który pełza po liściach, aż rozbłyskuje na krótką chwilę, pięknie, i zaraz zwijają się z trzaskiem. Szary kłęb dymu wzbija się w nieruchome powietrze. Ada wciąga je do płuc.

– Przepraszam – odzywa się Jack.

Wzrok Ady biegnie ku niemu nad ogniskiem. Jack spokojnie obserwuje płonące liście. Jego twarz lekko się rozplywa w rozgrzanym powietrzu. Policzki ma zaczerwienione, a oczy opuchnięte, jakby długo wpatrywał się w ogień.

– To ja powinnam przeprosić.

– No nie wiem. – Spogląda na nią.

– Nie widziałam ciebie – przyznaje Ada. – Przez cały ten czas. Patrzyłam w inną stronę, wypatrywałam czegoś innego, i straciłam cię z oczu.

Jack stara się to zrozumieć. Stara się ją zrozumieć. Kiwa głową, jakby potwierdzał prawdziwość jej słów.

– Więc jednak pojechałeś do miasta?

– Tak.

– Sama?

– Z Ivy.

Jack burczy coś pod nosem. Przysiada na piętach, w bojowej pozycji.

– Warto było? – rzuca.

„Czy było warto?”

Nie odpowiada od razu. Myśli o zgromadzonych tłumach. O ludziach stojących w ścisku, napierających na siebie, o ich zapachu; o ciszy, która się przeciąga, donośnej ciszy żalu. Myśli o młodzieńcu, jego żonie i córce, i o jego niebieskich kwiatach. O tym, że odwracając się od niego, poczuła się tak, jakby przez te lata mocno zaciskała pięść, a gdy ją otworzyła, okazało się, że dłoń jest pusta.

– Tak, było warto – odpowiada.

Jack kiwa głową.

– Aha.

Wstaje, bierze resztę zgrabionych liści i wrzuca wielkie naręcze do ogniska; liście szeleszczą i pękają, cienkie łodyżki wykręcają się i zwijają w płomieniach, ogień rozbłyskuje na krótko, potem przygasa i ognisko znów spokojnie się żarzy. Jack wkłada kurtkę. Za jego plecami, nad zbiornikami z gazem, zachodzi słońce, w wieczornym świetle niebo przybiera fioletową barwę.

– Jack?

– Słucham?

Ada podchodzi do męża, a on unosi ręce, żeby ją objąć. Przytula się do niego, dotykając uchem jego piersi. Słyszy równe uderzenia serca. Wdycha go mocno. Pachnie dymem palonego drewna, całodzienną pracą i sobą.

* * *

Przy wyjściu ze stacji metra Evelyn zatrzymuje parę młodych ludzi.

– Przepraszam, może państwo wiedzą, gdzie jest Hammersmith Palais?

Dziewczyna, elegancko ubrana, w wełnianym płaszczu i klosiku na głowie, wbija w nią wzrok, jakby zobaczyła osobę niespełna rozumu.

– Jest pani na miejscu – mówi. – Też tam idziemy.

Podchodzą do kolejki, w której stoi z pięćdziesiąt osób, przed budynkiem przypominającym zajezdnię tramwajową.

– Dziękuję. – „Cholera jasna”.

Evelyn nie chce stać koło tych dwojga, samotnie, na końcu kolejki, żeby nie próbowali z litości nawiązać z nią rozmowy.

– Muszę jeszcze... kupić papierosy.

Wstępuje do małego kiosku przy stacji i kupuje paczkę gold flakesów, po czym idzie za róg i zapala papierosa.

Co, do diabła, ona tu robi? Wychyla się zza rogu. Dziewczyna i jej towarzysz już zniknęli z pola widzenia. Ze stacji wylewa się strumień ludzi, którzy dołączają do kolejki ciągnącej się jeszcze dalej wzdłuż ulicy, w jej stronę. Przynajmniej jednak szybko się przesuwa i nikomu na przedzie nie odmówiono

wstępu. Evelyn dopala papierosa, gasi go obcasem i jakby nigdy nic idzie na koniec kolejki.

Tyle tu młodych ludzi, większość, okropnie młodych.

Poprawia kołnierz, wiedząc, że spod płaszcza wystaje czerwona sukienka. Żałuje, że ma ją na sobie, w ogóle nie powinna była jej wkładać. Tak bardzo schudła, że sukienka źle leży. Kolor też jest nieodpowiedni: czerwony! Komu by w ogóle przyszło do głowy ubrać się na czerwono? Poza tym sukienka będzie odstawać od ciała. Ta świadomość ją przybija.

Chce wracać do domu.

Przyszła za wcześnie czy się spóźniła? Nie ma pojęcia. Czy Robin będzie czekał na nią w środku? Tu go nie widać. Czy dostrzeże ją pierwszy? A jeśli będzie musiała stać tam, wypatrywać go, szukać w tłumie? Jak to się robi, u licha? Powinni byli przynajmniej ustalić miejsce spotkania. Nagle ma wrażenie, że nawet nie pamięta, jak on wygląda, a ci wszyscy rozgadani, podekscytowani ludzie w kolejce wydają się tacy młodzi, i dlatego, właśnie dlatego, nie chodzi się bawić; ponieważ tego rodzaju lokale są dla młodych, dla tych, co muszą dopiero zrozumieć, że nie mają prawa do przyjemności.

* * *

Zza drzwi dobiega gwar tłumnie zebranych gości, gdy Hettie wchodzi do zagrody i staje na swoim miejscu, a Grayson lustruje rząd tancerzy.

Ten wieczór zapowiada się jakoś inaczej. Coś buzuje pod powierzchnią. Każdy to wyczuwa: chłopcy siedzący po drugiej stronie, Grayson, który wodzi wzrokiem z góry na dół, i dziewczęta ledwie powściągające emocje.

Palais prezentuje się ze wszech miar okazale. Sprzątaczkki wyfroterowały parkiet na glans, lśnią szklane panele, chińskie lampiony są odkurzone. Otwierają się drzwi w tylnej części sceny i jeden za drugim wychodzą członkowie orkiestry. Gdy muzycy unoszą instrumenty i stroją je przed występem, dziewczęta w zagrodzie czują dreszcz podniecenia. Hettie, Di i ich koleżanki wyżej trzymają głowy.

Trębacz gra solo gamę, zakończoną trylem. Tego wieczoru orkiestra brzmi pewnie, z buńczuczną dumą. Hettie nie jest jednak przekonana, czy ma ochotę słuchać jazzu. Wolałaby muzykę harmonizującą z jej stanem ducha, kojącą, z domieszką melancholii, która nie opuszcza jej przez cały dzień. Gdy szła tutaj w tym nastroju, czuła się tak, jakby niosła jakiś drogocenny płyn: coś, co jest świeżo wydestylowane i czego nie chce rozlać; coś, co widziała również w twarzach ludzi mijanych na ulicy w ostatnich promieniach nieoczekiwanego w tym dniu słońca.

Otwierają się drzwi i potok gości wlewa się do sali. Jakaś cząstką siebie Hettie wzdryga się na ten widok. Nie chce, żeby to delikatne odczucie zostało

podeptane, jeszcze nie teraz.

Choć drzwi są otwarte dopiero od paru sekund, na parkiecie już jest tłoczno. Orkiestra jeszcze nie zaczęła grać, ale kilka osób tańczy, kołysze się w rytm własnego ragtime'u. Wzrok Hettie pada na wysokiego jasnowłosego mężczyznę w stroju wieczorowym. Stoi samotnie i wodzi oczami po tłumie, jakby kogoś wypatrywał. Nagle, można by sądzić, że przyciągnięty jej spojrzeniem, odwraca ku niej głowę. Gdy znów na niego patrzy, blondyn idzie przez parkiet w kierunku zagrody. Hettie czuje szturchnięcie pod żebro.

– Szykuj się, Het – szepcze Di. – Teraz ty.

Zmierza wprost do niej. Trochę nierównym krokiem, lekko się kołysze, jakby miał jedną nogę dłuższą.

Proteza.

Staje dokładnie naprzeciwko niej.

– Dobry wieczór – wita się. Ma szczerą twarz. Przyjazny uśmiech. Dotyka palcem metalowej bramki, jakby sprawdzał jej wytrzymałość. – Barbarzyński pomysł, prawda? – Potrząsa barierką. – Dlaczego oni trzymają panie w zamknięciu? Jesteście niebezpieczne?

Hettie sili się na słaby uśmiech. Zna te dowcipy, słyszała wszystkie.

– Czy panie są wypuszczane?

– Sześć pensów – odzywa się Hettie, wskazując kasę. – Tam.

– A więc mogę panią uwolnić za sześć pensów? To jest warte tych pieniędzy.

Mężczyzna odwraca się, ale raptem jakby przypomniał sobie o czymś, znowu staje przed nią, z rękami w kieszeniach i pytającą miną.

– To znaczy jeśli pani pozwoli.

Czy on się z niej naśmiewa? Nie jest pewna.

– Oczywiście. Na tym polega moja praca.

Gdy odchodzi, Hettie znów widzi, że mężczyzna lekko utyka, troszkę się chwieje. Tym się zdradza, ale dobrze ukrywa brak nogi, myśli Hettie; jeśli się nie umie patrzeć, można nie zauważyć.

– Porządny gość – mówi jej do ucha Di. – Jak ci się udało go złapać?

Hettie wzrusza ramionami. Wie, że Di stara się być miła. Od chwili gdy Hettie weszła do garderoby i tylko pokręciła głową w odpowiedzi na pytanie, jak minął zeszły wieczór. Di nie drażyła tematu, gdy Hettie musiała się wytłumaczyć, dlaczego nie oddała jej sukni i zamiast to zrobić, poszła na Broadway, by stać tam w ciszy.

Di marszczy czoło i kładzie rękę na ramieniu Hettie.

– Na pewno dobrze się czujesz, Het? Jesteś dzisiaj taka przygaszona.

– Doskonale.

* * *

Po minucie jasnowłosa mężczyzna wraca z biletem.

– Załatwione. – Podaje jej kwitek. – Kazali to pani dać.

Hettie wkłada paperek do woreczka i wychodzi przez bramkę. Stoją naprzeciw siebie, on trzyma ręce w kieszeniach, ona za plecami. Mężczyzna nie robi kroku w jej stronę. Trwa to długą chwilę i w końcu zniecierpliwiona, poirytowana Hettie pyta:

– Nie chce pan tańczyć?

– Tańczyć?! – Unosi brwi. – To pani robi? Siedziała pani za tą barierką i miała taką żalostną minę, że uznałem, iż muszę wypuścić panią na wolność.

Hettie wbija w niego wzrok.

– Przepraszam. Tylko żartowałem. – Wyjmuje ręce z kieszeni. – Jaki to będzie taniec?

– Pierwszy i ostatni jest zawsze walc.

Patrząc mu przez ramię, widzi, że muzycy skończyli stroić instrumenty. Poprawiają krawaty, przysuwają nuty, pochylają się do przodu na krzesłach. Z kulis wychodzi dyrygent, którego witają okrzyki i pojedyncze oklaski.

– Pierwszy i ostatni – powtarza mężczyzna, kiwając głową, jakby informacja była na tyle ważna, że trzeba ją zapamiętać. – Jak długo jest pani wolna?

– Tylko jeden taniec.

– Co będzie potem? Zamieni się pani w dynię? A może mnie to czeka?

– Potem wracam tam. – Wskazuje zagrodę, gdzie nie ma już Di, również poproszonej do tańca, i zostały tylko trzy dziewczyny.

– Aha, rozumiem. – Uśmiecha się krzywo.

Pary wchodzą na parkiet, gwar cichnie i po sali niesie się inny dźwięk: szmer oczekiwania i podniecenia.

– No cóż – mówi mężczyzna, otwierając ramiona – muszę się postarać, żeby to dobrze wypadło.

Hettie unosi ręce i ich dłonie się stykają, leciutko. Jego prawa ręka obejmuje jej talię.

– Słyszałem, że ten zespół jest bardzo dobry.

Hettie zastanawia się, jak on da sobie radę w tańcu, z tą nogą.

Dyrygent unosi pałeczkę i rozbrzmiewa muzyka. Zespół gra cicho, w pulsującym rytmie. Nie jest to zwyczajny walc. Dźwięki płyną wolniej, są smutniejsze, trochę dziwne. Wokoło słychać szelest sukni i stuk butów, gdy pary zaczynają krążyć po drewnianej posadzce.

Przez kilka pierwszych taktów jej partner stoi w miejscu. Hettie już wydaje się, że będzie tak stał cały wieczór, gdy on ujmując ją odrobinę mocniej i zaczyna tańczyć, wirować z nią na parkiecie. Umie prowadzić, trzyma pewnie, ramiona ma odchylone i rozluźnione, gdy krążą po sali przy tej zaskakująco akcentowanej

muzyce.

Orkiestra gra w tym dziwnym, pulsującym rytmie tak długo, że jego osobliwość i chwiejność wydają się czymś naturalnym, żywym, jakby nieregularnym biciem serca. A potem wstaje trębacz i na pierwszy plan wybija się trąbka.

* * *

Wewnątrz, wszędzie dokoła, zaskakują przepych i chiński wystrój. Niezrozumiałe znaki widnieją na szklanych panelach, bociany i pagody powtarzają się jako motyw dekoracyjny na ścianach. Powinno to wyglądać tandetnie, ale o dziwo, sprawia przyjemne wrażenie. Evelyn dostrzega tabliczkę damskiej toalety i idzie tam, choć właściwie nie czuje potrzeby skorzystania z ubikacji; okazuje się, że musi czekać w krętej kolejce i patrzeć, jak młode dziewczyny robią się na bóstwo przed lustrem na całą długość ściany. Gdy w końcu zwalnia się kabina, Evelyn zamyka się w środku, wyjmuje z torebki szczotkę i przyczesuje włosy. Ma ochotę zrobić w tył zwrot i opuścić ten lokal. To nie jest miejsce dla niej. Nie powinna była tu przychodzić.

Po wyjściu z kabiny przegląda się niechętnie w lustrze i obciąża sukienkę. Dlaczego, no dlaczego ją włożyła? Bo nie ma nic innego, taka jest prawda. Ale gdy zacznie się ruszać, tańczyć, sukienka będzie odstawać. To oczywiste. W takim razie może nie powinna tańczyć? Tylko narobi sobie wstydu. Nie powinna była tu przychodzić. Nie powinna była tu przychodzić!

Oddaje płaszcz szatniarzowi i dostaje numerek, po czym wchodzi przez dwuskrzydłowe drzwi do ogromnej sali pełnej wirujących par. Z sufitu zwisają duże kolorowe lampiony, które lśnią różowym, niebieskim i żółtym światłem. Pośrodku wyfroterowanego parkietu stoi jakaś śmieszna miniaturowa góra, z której spływa woda, a po przeciwnej stronie sali, pod dachem czegoś podobnego do chińskiej świątyni, gra orkiestra: dwudziestu albo trzydziestu muzyków w białych garniturach.

A więc tak wygląda klub taneczny.

Wokół parkietu stoją stoliki. Evelyn postanawia raz je obejść i zobaczyć, czy nie siedzi gdzieś Robin, i jeśli go nie znajdzie, to wyjdzie stąd.

Robiąc kółko, widzi po prawej stronie małe stoisko z napojami. Krótka kolejka szybko się przesuwa.

– Poproszę dzin z sokiem pomarańczowym – mówi do dziewczyny w mundurku, która stoi za ladą.

Dziewczyna przewraca oczami.

– Nie sprzedajemy alkoholu – informuje ją, pokazując wywieszkę nad głową.

ZAKAZ SPRZEDAŻY ALKOHOLU, NA POLECENIE

KIEROWNICTWA

Evelyn unosi brwi.

– A zatem co pani proponuje?

– Herbatę albo koktajl owocowy.

– Koktajl owocowy powinien chyba zawierać dżin, prawda?

Odpowiada jej nieruchome spojrzenie.

– Wobec tego poproszę koktajl.

– Dwa pensy – mówi dziewczyna, nabierając płynu z kadzi po swojej prawej stronie.

Evelyn podchodzi do stolika i odstawia na chwilę napój, żeby zapalić papierosa. Jest blisko muzyków i dyrygenta, który właśnie wkracza na scenę; gdy unosi pałeczkę i orkiestra zaczyna grać, Evelyn okrąża parkiet, od niechcienia wodzi obojętnym wzrokiem od jednego stolika do drugiego, żadnego nie omijając; ale Robina nigdzie nie widać.

Gdy jest w połowie sali, nasuwa jej się myśl, że mógł w ogóle nie przyjść. Umawiali się przed paroma dniami. Może zapomniał. Czy nie przemawia przez nią arogancja, każąc jej sądzić, że on tu jest, że na nią czeka? Czy ona w ogóle chce się z nim spotkać? Evelyn zatrzymuje się, opiera o barierkę i patrzy na parkiet. Tańczy tam pewnie czterysta albo pięćset par, a mimo to ich ruchy, kroki są tak lekkie, że słychać solo na trąbce, wybijające się ponad orkiestrę, która utrzymuje nieregularny, pulsujący rytm.

* * *

Ten mężczyzna jest nadzwyczajnym tancerzem. Gdy wiruje w jego ramionach, a on trzyma dłoń na jej plecach i wykonuje spokojne, pewne kroki do rytmu tej smutnej, rozchwianej muzyki, Hettie ma świadomość samej siebie, czuje własną skórę, krew, aż po najmniejszą cząstkę ciała. Wszystkie cząstki wydają się odmienione, naprężone, przestawione.

Nie jest taka, jak była.

Z powodu Eda. Jakby coś z jego załamania przeniknęło do jej wnętrza. Także z powodu Freda, tego stania razem z nim w ciszy i słońcu. Z powodu rozmyślań o tamtych kobietach we Francji. Z powodu smutku, jakim tchnie ten walc.

Choć odczuwa cały ten smutek, coś ją wspiera – ten mężczyzna. Tym, jak ją trzyma, jak zachowuje niezmienny, ale nieustanny dystans wobec niej. I najwyraźniej nie chce go skrócić. Tym, jak swoimi ruchami daje jej do zrozumienia, że chce z nią tańczyć i to mu wystarcza.

Solo na trąbce się kończy, ostatni dźwięk zawisa w przestrzeni. Muzyka zwalnia i cichnie.

– Dziękuję. – Mężczyzna zatrzymuje ją łagodnym ruchem. – To było

znakomicie wydane sześć pensów.

Hettie chce poprosić, żeby zatańczył z nią jeszcze raz; chce mu powiedzieć, że chętnie przetańczy z nim cały wieczór; chce go zapytać, jak to możliwe, że tańczy tak pięknie, mając tę...

Ale mężczyzna patrzy nad jej ramieniem i coś przykuwa jego wzrok. Zmienia się wyraz jego twarzy, policzki nabierają rumieńców. Mężczyzna puszcza Hettie, w zabawny sposób składając lekki ukłon.

– Pani wybacz – mówi.

Całym sobą jest skupiony na czymś, co znajduje się za nią, na wysokości jej głowy. Hettie nie musi się odwracać, by wiedzieć, że jest to kobieta; ta, z którą przyszedł tu się spotkać.

Oczywiście, że miał się tutaj z kimś spotkać. To jasne.

Hettie tłumi rozczarowanie i spogląda do tyłu.

Kobieta, ubrana w czerwoną sukienkę, stoi na przeciwległym skraju parkietu. Opiera się o barierkę, patrząc przed siebie, i pali papierosa. Ma faliste brązowe włosy, sięgające brody. Nie jest ani zbyt niska, ani zbyt wysoka i jest piękna. Piękna, ale nie tak jak kobiety, które chcą przyciągać wzrok; sprawia wrażenie osoby, która cieszyłaby się, gdyby nikt na nią nie patrzył. Hettie wydaje się, że kogoś jej przypomina, ale kogo?

Kobieta jeszcze nie zauważyła mężczyzny, więc jego twarz jest rozluźniona, wzrok wędruje swobodnie. Hettie przygląda mu się z uwagą. Być może, myśli, ta kobieta poczuje na sobie jego wzrok, odwróci się i ich spojrzenia się spotkają.

Jest ciekawa, czy ona darzy go takimi samymi uczuciami, jakimi on darzy ją. Bo widzi od razu, bez zastanawiania się, że mężczyzna kocha tę kobietę. Wie również, że on jest dobrym człowiekiem, wartym miłości.

Hettie zostawia go i wraca do zagrody, żeby nie stać na linii wzroku kobiety, gdy się odwróci.

Kobieta się odwraca...

9 Z wiersza Laurence'a Binyona *For the Fallen* (Poległym): „At the going down of the sun and in the morning we will remember them” (Przy zachodzącym słońcu i o poranku będziemy ich pamiętać).

10 *The Last Post* (Capstrzyk) – wojskowy utwór żałobny.

Nota od autorki

Relacje opisujące proces wyboru szczątków Nieznanego Żołnierza różnią się między sobą. Na potrzeby tej książki trzymałam się sprawozdania, jakie złożył w owych czasach generał brygady Wyatt, cytowanego obszernie przez Michaela Gavaghana w *The Story of the British Unknown Warrior*. Stwierdza się tam, że ekshumowano cztery ciała z czterech najważniejszych terenów działań Brytyjczyków na froncie zachodnim – z okolic Sommy, Aisne, Arras i Ypres – i dokonano tego na polach bitew, a nie na cmentarzach, jak twierdzą niektórzy. Wybór zwłok pochodzących z pól wokół Arras jest już moim pomysłem.

Podziękowania

Podczas zbierania materiałów i pisania *Trenu* czytałam wiele książek, a po kilka z nich sięgałam wielokrotnie.

Aby poznać brytyjskie społeczeństwo z lat po pierwszej wojnie światowej: *The Great Silence, 1918–1920* Juliet Nicolson oraz wspaniałą *The Long Weekend, A Social History of Britain, 1918–1939* Roberta Gravesa.

Aby zrozumieć wpływ wojny na kobiety z pokolenia Evelyn: *Singled Out* Virginii Nicholson.

Aby zaznajomić się z ówczesnymi relacjami kobiet z tamtych czasów: *Women of the Aftermath* Helen Zenny Smith; *The Virago Book of Women and the Great War* pod redakcją Joyce Marlow; *Testament of Youth* Very Brittain oraz *The Forbidden Zone* Mary Borden. Ta ostatnia jest kapitalną książką i choć nie miała bezpośredniego wpływu na kształt *Trenu*, stanowi lekturę podstawową dla każdego, kogo interesują przeżycia kobiet podczas pierwszej wojny światowej.

Aby uprzytomnić sobie, w jakich warunkach walczyli żołnierze na froncie zachodnim: *The Great War and Modern Memory* Paula Fussella oraz *Death's Men* Denisa Wintera, przejmujący do głębi opis realiów życia żołnierzy Kitchenera.

Aby uzyskać informacje o pomnikach, miejscach czci i odprawianiu żałoby: *Sites of Memory, Sites of Mourning* Jaya Wintera oraz *The Missing of the Somme*, znakomitą książkę Geoffa Dyera.

Dope Girls Marka Kohna to rewelacyjna praca, która powinna być szerzej znana. Pozwoliła mi bliżej przyjrzeć się zjawisku społecznemu, jakim była działalność instruktorek tańca, oraz stała się źródłem inspiracji i informacji, które pomogły mi zbudować postacie Hettie i Di.

Nieocenioną wartość miały dla mnie również *The Story of the British Unknown Warrior* Michaela Gavaghana i *The Unknown Soldier* Neila Hansona.

Podziękowania niech zechcą ponadto przyjąć:

Caroline Wood, moja fantastyczna agentka, oraz wszyscy w agencji literackiej Felicity Bryan Associates.

Jane Lawson, wspaniała redaktorka i idealna czytelniczka mojej książki.

Susan Kamil za jej wnikliwe spostrzeżenia i dodatkowe uwagi o tekście.

Kate Samano, Alison Barrow i pracownicy Transworld oraz amerykańskiego oddziału Random House.

Thea Bennett, Martha Close, Pippa Griffin, Keith Jarrett, Olya Knezevic,

Philip Makatrewicz, Josh Raymond, David Savill, Matthew Weait, Ginevra White i Cynthia Wilson, znani jako The Unwriteables; tej fenomenalnej grupie pisarzy i czytelników dziękuję za ich krytyczne opinie, świetne pomysły, przyjaźń i wsparcie.

Philip Makatrewicz i Toby Dantzie, którzy zgodzili się przeczytać maszynopis i okazali mi nieocenioną pomoc w krytycznym okresie jego dojrzewania.

Christine Bacon za to, że dała mi spokój, gdy najbardziej tego potrzebowałam.

Allan Mallinson i Christopher Wood za wyjaśnienie spraw wojskowych.

Cherry Buckwell, Jennie Grant, Hazel Sainsbury, Beth Weightman, Lou Rhodes, Emma Darwall-Smith i Jane Larsen.

Sandy Chapman.

Moja cudna zwariowana rodzina, Dan, Emily i Sophie, oraz załoga w rozszerzonym składzie.

Musiałyby powstać następna książka, bym zdołała wyrazić całą wdzięczność swoim rodzicom, więc tymczasem dziękuję:

Tony'emu Hope'owi za jego dobroć, szczodrość i zaszczepienie mi miłości do książek.

Pameli Hope, która czytała mi opowiadania, zanim nauczyłam się sama czytać, i była zapaloną, nieustraszoną czytelniczką wielu różnych wersji *Trenu*.

I wreszcie dziękuję tobie, Dave – za bezgraniczne wsparcie, radosną miłość, zbudowanie szopy i powiedzenie mi, żebym się do tego zabrała. Jesteś najlepszy.

Bez was wszystkich tej książki by nie było.

Dziękuję.

